

ZESZYT STO TRZYDZIESTY SZÓSTY

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
2001

ZESZYT STO TRZYDZIESTY SZÓSTY

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
2001

BIBLIOTEKA «KULTURY»
TOM 515

ISSN 0406-0393
ISBN 2-7168-0183-5

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 MAISONS-LAFFITTE

Andrzej Stanisław KOWALCZYK

JERZY GIEDROYC W BUKARESZCIE (1939-1940)

Po wybuchu wojny Jerzy Giedroyc opuścił Warszawę samochodem w nocy z 4 na 5 września wraz z personelem Ministerstwa Przemysłu i Handlu. Towarzyszyła mu żona Tatiana (z którą od roku 1937 pozostawał w separacji). Trasa ewakuacji wiodła przez Lublin do Równego. Tu na dłuższym, kilkudniowym postoju na polecenie ministra Antoniego Romana Giedroyc organizuje z dziennikarzy *Polski Zbrojnej* grupę, która w dniach 12-14 września wydaje dwustronicowe pismo *Ostatnie Telegramy*, publikujące informacje pochodzące z nasłuchu radiowego, z biura prasowego rządu oraz od władz cywilnych i wojskowych.¹ Ukazały się trzy numery pisma w nakładzie 6-ciu tysięcy egzemplarzy. Następnym etapem ewakuacji ministerstwa był Śniatyn. Stąd 16 września Giedroyc udał się do kwatery Naczelnego Wodza w Kołomyi, gdzie od płka Zygmunta Wendy otrzymał polecenie zorganizowania radiostacji w Śniatynie. Agresja Związku Sowiec-

1. Jerzy Giedroyc, „Autobiografia na cztery ręce”. Opracował i posłowiem opatrzył Krzysztof Pomian. „Czytelnik”. *Archiwum «Kultury»*. Warszawa 1994, s. 79 (dalej lokalizacja cytatów w tekście za pomocą skrótu A). Fotokopie rachunku za papier i druk oraz kalkulacji *Ostatnich Telegramów*, [w:] A. St. Kowalczyk, „Giedroyc i «Kultura»”. Wyd. Dolnośląskie, Wrocław 1999, s. 53.

kiego na Polskę 17 września przekreśliła wykonanie tego zadania. Giedroyc dołączył do swego ministerstwa, z którym w nocy z niedzieli 17 na poniedziałek 18 września przekroczył granicę polsko-rumuńską na Czeremoszu w Kutach. Następnego dnia przez Wyżnicę dotarł w kolumnie wozów władz najwyższych RP do Czerniowiec. Przez kilkanaście najbliższych miesięcy Jerzy Giedroyc będzie uczestniczył w najważniejszych i mniej ważnych rumuńskich epizodach polskiego życia politycznego. Jego los będzie ściśle związany z przemianami systemu władzy na wychodźstwie.

Członkowie władz najwyższych RP, prezydent Ignacy Mościcki, premier Felicjan Sławoj Składkowski, minister spraw zagranicznych Józef Beck i wódz naczelny marszałek Edward Rydz-Śmigły spotkali się w przygranicznym miasteczku Kutu 17 września po południu na ostatniej naradzie, na której zapadła decyzja przekroczenia granicy Rzeczypospolitej przez prezydenta i rząd RP. Kraj był niemal w całości w rękach okupantów. Do Śniatynia zbliżały się sowieckie oddziały pancerne. Układ z Rumunią zobowiązywał ją do pomocy Polsce w wypadku agresji sowieckiej, ale nie przewidywał sytuacji przekroczenia granicy przez władze RP. 17 września minister Beck konferował w Kutach z ambasadorem rumuńskim Gheorge Grigorceą, który miał mu zaproponować gościnę na terytorium rumuńskim lub „nieoficjalny” przejazd władz RP przez Rumunię do innego kraju.² Min. Beck uznał, że oznacza to przyznanie *droit de passage*, zgodne z konwencją haską prawo swobodnego przejazdu przez terytorium sąsiada. Wcześniej rząd francuski zaofiarował władzom polskim *droit de résidence*, prawo pobytu. 17 września o godzinie 23 Prezydent i rząd RP przekroczyli granicę państwa. Po północy Polskę opuścił marszałek Rydz-Śmigły.

2. Zob. Kajetan Morawski, „Wspólna droga z Rogerem Raczyńskim. Wspomnienia”. Wstęp J. Pajewski. Przedmowa M. Libicki. Oprac. Przemysław Matusik. Wyd. Poznańskie. Poznań 1998, s. 123. O rozmowach polsko-rumuńskich nt. przejścia władz RP przez terytorium Rumunii pisze szczegółowo ich świadek i uczestnik Alfred Poniński w swoim artykule wspomnieniowym „Wrzesień 1939 roku w Rumunii”, *Zeszyty Historyczne*, z. 6, 1964, s. 166-173. Poniński bardzo krytycznie ocenia działania min. Becka.

Z nadgranicznego miasta rumuńskiego Wyżnica kolumna około 60 automobili skierowała się do Czerniowiec, gdzie działał Konsulat polski. 18 września w Czerniowcach były już tysiące uchodźców z Polski. Tłumy koczowały pod Konsulatem, bo banki rumuńskie odmawiały wymiany złotych na leje. W tej i innych sprawach (np. los żołnierzy, polskiego sprzętu wojskowego i taboru kolejowego) konieczna była interwencja władz w Bukareszcie. Min. Beck i Wiktor Tomir Drymmer, dyrektor Biura Personalnego MSZ, usiłowali bezskutecznie skomunikować się z Ambasadą polską. Radca Alfred Poniński, zastępujący Raczyńskiego, był nieosiągalny. Sam ambasador, przebywający w Czerniowcach 18 września do późnych godzin nocnych do min. Becka się nie zgłosił, choć w Kutach dnia poprzedniego takie polecenie miał otrzymać.³

Tymczasem Polacy dowiedzieli się, że nie mogą udać się w dalszą podróż. Rumuni deklarowali gotowość przepuszczenia przez swe terytorium władz RP tylko pod warunkiem formalnego zrzeczenia się przez nie atrybutów konstytucyjnych, politycznych i administracyjnych. Stało to w sprzeczności z tym, co min. Beck ustalił niedawno z ambasadorem Grigorceą w Kutach. Prezydent, premier, minister Beck i marszałek Rydz-Śmigły odrzucili ten warunek. Rumuni zaproponowali przejazd koleją z Czerniowiec do Słanic w Mołdawii, gdzie Polacy mieli czekać kilka dni na załatwienie wszystkich spraw związanych z tranzytem.

W Czerniowcach Giedroyc, który dysponował samochodem, odłączył się od grupy rządowej i po dwóch dniach uzyskał od władz rumuńskich zezwolenie na przejazd autem do Bukaresztu. Na Bukowinie została właśnie zarządzona mobilizacja i ruch pojazdów, zwłaszcza obcych, był ściśle kontrolowany. Najpewniej już w Czerniowcach Giedroyc porozumiał się z Raczyńskim, który pomógł mu uzyskać nie-

3. Wiktor Tomir Drymmer, „W służbie Polsce”. Warszawska Oficyna Wydawnicza „Gryf”. Warszawa 1998, s. 217-218. Zob. też Władysław Pobóg-Malinowski, „Najnowsza historia polityczna Polski 1864-1945”. Tom III 1939-1945. Wyd. II, Londyn 1981, s. 70-71. Autor zwraca uwagę, że w swej relacji Raczyński nic o tym poleceniu Becka nie mówi. Fakt wydania takiego polecenia kwestionuje Poniński, „Wrzesień...” *op. cit.*, s. 170.

zbędne zezwolenie. Ambasador był co prawda 17 września przez 5 godzin w Kutach, dokąd wezwał go min. Beck. Jest jednak bardzo mało prawdopodobne, by mogli się wtedy spotkać. O swojej pierwszej rozmowie z Raczyńskim w Rumunii Giedroyc napisał lakonicznie, że ambasador prosił go, by został i pomógł.⁴ „Nasze osobiste sprawy muszą iść w kąt – powtarzał w owych dniach Raczyński – bo na naszym posterunku rumuńskim możemy jeszcze niejedno dla Polski zdziałać, choć gmach Rzeczypospolitej się wali”.⁵

Giedroyc poznał Raczyńskiego w roku 1928; w latach 1934-1936, gdy Raczyński pełnił funkcję wiceministra rolnictwa, Giedroyc był jego sekretarzem. „Moje stosunki z nim – wspominał – były stosunkami zarazem podwładnego i przyjaciela. Był dla mnie – a pochlebiam sobie, że i ja byłem dla niego – jednym z najbliższych ludzi. W stosunkach pozasłużbowych byliśmy na ty” (A 31-32). W Bukareszcie Giedroyc stanął 21 lub 22 września.⁶ Po mniej więcej tygodniu objął stanowisko prywatnego sekretarza ambasadora.

Ministrowie wraz z towarzyszącymi im urzędnikami i rodzinami (w sumie około 300 osób⁷) zostali przewiezieni do górskiego letniska Slănic, które okazało się miejscem ich internowania. Po drodze wagon prezydenta został odczepiony i pojechał do Bicăz,⁸ wagon zaś marszałka Rydza-Śmigłego do miasta Craiova. W czasie tej podróży miała miejsce scena niemal symboliczna: wicepremier Eugeniusz Kwiatkowski pożegnał się z Prezydentem i marszałkiem przez okno podczas prze-

4. Giedroyc, List do Tadeusza Dubickiego z dnia 21 kwietnia 1992. Archiwum Instytutu Literackiego.

5. Poniński, *op. cit.*, s. 183.

6. „Protokół przesłuchania podejrzanego Jerzego Giedroycia”. IPMS, 482/31.

7. Janusz Rakowski, „Diariusz wrześniowego dramatu”. *Zeszyty Historyczne*, z. 39, 1977, s. 134.

8. Prezydent RP zamieszkał w Bicăz w skromnych warunkach. Dom, gdzie go zakwaterowano, nazywany bywa „królewskim pałacykiem myśliwskim” bądź „królewską leśniczówką”. Drymmer mówi, że *château* królewskie tonęło w błocie i było „po prostu piętrową leśniczówką”. („W służbie...”, *op. cit.*, s. 221). Ignacy Mościcki mógł opuścić miejsce internowania w grudniu 1940, dopiero po stanowczej interwencji posła Stanów Zjednoczonych.

taczania wagonów. Zapytał wtedy Rydza-Śmigłego, czy ma jakieś pieniądze zagraniczne. Gdy się okazało, że nie ma ani grosza, Kwiatkowski wyjął z portfela jedyny banknot 20-dolarowy, jaki posiadał. Marszałek potwierdził odbiór pieniędzy na bilecie wizytowym.⁹

Na początku października grupa byłych ministrów wraz ze Sławojem Składkowskim (rząd ustąpił 30 września) oraz grupa generałów i oficerów przeniesiona została na drugi kraniec Rumunii do górskiej miejscowości uzdrowskiej Băile Herculane w Banacie, w pobliżu granicy jugosłowiańskiej. Podczas podróży wagon wiozący Józefa Becka został odłączony. Przymusowym miejscem pobytu byłego ministra spraw zagranicznych było miasto Braszow w Siedmiogrodzie.

Łączności między miejscami internowania w zasadzie nie było (funkcji łącznika podjął się Drymmer). Polakom odmówiono również widzenia się z przedstawicielami władz rumuńskich. Minister spraw zagranicznych Gafencu nie przestawał zapewniać, że lada dzień wszystko się wyjaśni. Starając się wytłumaczyć swoje postępowanie, Rumuni powoływali się na naciski niemieckie i sowieckie (które jednak nastąpiły dopiero w kilka dni po internowaniu), a także lęk przed sprowokowaniem agresji obu mocarstw. Napięta była sytuacja wewnętrzna w kraju – 22 września zamordowany został przez faszystów rumuńskich z Żelaznej Gwardii premier Armand Călinescu, polityk życzliwie odnoszący się do uchodźców polskich i nastawiony proaliancko.¹⁰

9. Janusz Rakowski, *op. cit.*, s. 115-116.

10. W. Pobóg-Malinowski, „Najnowsza historia polityczna...”, s. 65-68; „Zapiski ambasadora Rogera Raczyńskiego dotyczące przejścia Naczelnych Władz Polskich do Rumunii i rezygnacji b. Prezydenta RP prof. Ignacego Mościckiego”. *Kultura* 1948, nr 9-10. Przedruk: J. Giedroyc, „Autobiografia...”, *op. cit.* Pobóg-Malinowski uważa, że internowanie władz polskich nastąpiło w wyniku spisku francusko-polsko-rumuńskiego. Decydującą rolę historyk przypisuje tym politycznym i wojskowym sferom francuskim, które chciały uczynić z Polski i innych państw regionu narzędzie francuskie: „Koła te od dawna skupiały przy sobie różnych (...) przedstawicieli opozycji polskiej (...) i próbowały ingerować w wewnętrzne sprawy polskie”. Nie chciały więc dopuścić do Francji prezydenta i rządu odpornych na obce wpływy i naciski. Pobóg-Malinowski argumentuje na rzecz tej tezy, ale dowodów nie przedstawia (*ibidem*, s. 68-75). Neutralny i na ogół obiektywny Zabiełło nazywa działania Ambasady „sabotażem”, (St.

Kiedy rząd internowano w Slănic, gen. Władysław Sikorski, który opuścił Polskę 18 września rano i w Wyżnicy zdążył już odbyć konferencję z ambasadorem Francji w Polsce Noëllem, przebywał w Bukareszcie. Zamieszkał w ambasadzie francuskiej. Spotkał się z *attaché* wojskowym, ppłk. Tadeuszem Zakrzewskim, który mu już przez cały czas pobytu w Rumunii towarzyszył. Sikorski prowadził konsultacje z ambasadorami Francji i Wielkiej Brytanii, rozmawiał także z ambasadorem Raczyńskim.¹¹ 22 września wyjechał wraz z ambasadorami Francji i Wielkiej Brytanii do Paryża, a 30 września otrzymał z rąk Władysława Raczkiewicza, nowego prezydenta RP, nominację na stanowisko prezesa Rady Ministrów. Pozbawieni funkcji i stanowisk politycy sanacji nie zostali z obozów internowania zwolnieni. W ciągu kilkunastu dni września powstał na polskiej scenie politycznej zupełnie nowy układ. Jednym z jego twórców był ambasador RP w Rumunii Roger Raczyński.

W chwili przekroczenia granicy przez władze RP Raczyński musiał być już przekonany, że radykalna zmiana jest konieczna i nieunikniona. W Bukareszcie pozostawał nieuchwytny. Telefonów od Becka ze Slănic nie przyjmował, rządowych depeš za granicę nie wysyłał, twierdząc, że to tylko potwierdza zarzuty Rumunów, że rząd polski kontynuuje działalność na terenie państwa neutralnego. Nie było mowy o interwencji u Rumunów. W Slănic mówiono, że ambasada RP przekręciła klucz w drzwiach zamkniętych na klamkę przez Rumunów.¹² Raczyński energicznie przystąpił

Zabiełło „Na posterunku we Francji”. IW PAX. Warszawa 1967, s. 38); uważa on, że inspiratorami całej akcji byli Francuzi, którzy wywarli presję na rząd rumuński („O rząd i granice. Walka dyplomatyczna o sprawę polską w II wojnie światowej”, wyd. IV, IW PAX. Warszawa 1986, s. 25-26). Piłsudczyk Drymmer, uczestnik wydarzeń, nazywa działania Ambasady „buntem” i „wojną domową”. („W służbie...”, s. 217-218). Tezę spiskowo-buntowniczą odrzuca Alfred Poniński „Wrzesień...” *op. cit.*

11. Pobóg-Malinowski, „Najnowsza historia...”, *op. cit.*, s. 72, przyp. 36. Poniński, *op. cit.*, s. 152-153.

12. St. Zabiełło, „O rząd...”, s. 26-27. Podobna opinia panowała w korpusie dyplomatycznym w Bukareszcie. Michał Sokolnicki przytacza zdanie ambasadora Turcji w Rumunii: „Po 18 września była jeszcze w ciągu kilku dni szansa na zmianę decyzji władz rumuńskich o internowaniu władz RP.

do aranżowania legalnego pozbawienia piśsudczyków władzy. 18 września – jak stwierdza w swych „Zapiskach” – uznał, że rząd i prezydent z Rumunii już nie zostaną wypuszczeni i że najpilniejszym zadaniem, „któremu wszystkie inne należałoby podporządkować”, jest skłonienie prezydenta Mościckiego do odwołania następcy w osobie marszałka Rydza-Śmigłego i naznaczenie na jego miejsce kogoś z polityków polskich znajdujących się na Zachodzie (cyt. za: A 238). Oznaczało to równoczesne ustąpienie internowanego Prezydenta. 20 września Raczyński był już w Bicz i przekonywał Ignacego Mościckiego do wskazania następcy i abdykacji.

Obejmując w końcu września stanowisko sekretarza ambasadora Raczyńskiego, Giedroyc musiał zaakceptować jego faktyczne wypowiedzenie posłuszeństwa najwyższym władzom RP. W „Autobiografii...” Giedroyc powiada, że Raczyński „uratował ciągłość państwa polskiego dzięki rozwiązaniu problemu prezydentury. Była to decyzja bardzo ciężka, gdyż wymagała zagrania przeciw Beckowi i wymówienia posłuszeństwa rządowi. Ale nie było innego wyjścia” (A 32). Drastyczną formę „zerwanie” to przybrało w wypadku ppłka Tadeusza Zakrzewskiego, *attaché* wojskowego, który do swego przełożonego, gen. Wacława Stachewicza, napisał: „Panowie byli absolutnie niezdolni do [wykonania] przyjętego na siebie obowiązku. W tych warunkach, szczególnie na obcej ziemi, nie mogę uważać Pana Marszałka [Rydza-Śmigłego] ani Pana Generała za moich przełożonych legalnych i moralnych”.¹³ Attachat wojskowy, prowadząc masową ewakuację Polaków (wojskowych, polityków i urzędników) na Zachód, stosował selekcję polityczną. Uniemożliwiał wydostanie się z Rumunii ludziom związanym z sanacją lub podejrzanym o pro-sanacyjne sympatie.¹⁴ Drugim stronnikiem Sikorskiego okazał

Ambasador Raczyński żadnej akcji u rządu rumuńskiego nie przedsięwziął, żadnego wpływu nie użył. *Il était mou* [Był bez inicjatywy]” (M. Sokolnicki, „Dziennik ankarski 1939-1943”. Gryf – SPK. Londyn 1965, s. 52, zapis z 29 listopada 1939).

13. Cyt. za: Tadeusz Dubicki, Stanisław Jan Rostworowski, „Sanatorzy kontra sikorszczycy, czyli walka o władzę na uchodźstwie w Rumunii 1939-1940”. Oficyna Wyd. Adiutor. Warszawa 1993, s. 46.

14. *Loc. cit.* Zabięło pisze, że usłyszał we wrześniu w Ambasadzie, iż

się Alfred Poniński, radca Ambasady. Miał on sabotować wszystkie polecenia, które przychodziły ze Słanic, nie pozwalając na żadną urzędową korespondencję z internowanymi członkami rządu, co prowadziło – jak pisze Pobóg-Malinowski – do konfliktów z ambasadorem Raczyńskim, „gdy ten dzięki przyzwoitości i głębszemu zrozumieniu konieczności państwowych polecał jakiś szyfr wysłać”. Do Słanic Poniński wysyłał listy informujące o nieskuteczności wszelkich podejmowanych w obronie rządu interwencji. Korespondencję do Słanic miał konfiskować lub niszczyć, emisariuszy rządu udających się na Zachód zatrzymywać.¹⁵ Tak to z pewnością wyglądało z perspektywy miejsc internowania. Pobóg-Malinowski nawet jako historyk nie uwolnił się od oddziaływania własnych wspomnień z Rumunii. Podziały i konflikty, nurtujące wychodźstwo w latach następnych, rzutuje na jesienne miesiące roku 1939. Nie ulega jednak wątpliwości, że wiele postaw i tendencji, które tak negatywnie zaciążyły na polityce polskiej okresu II wojny światowej, ujawniło się właśnie na rumuńskim rozdrożu.

Pisząc o sytuacji w ambasadzie, Giedroyc wyraźnie różnicuje postawę Zakrzewskiego i Ponińskiego z jednej strony oraz Rogera Raczyńskiego z drugiej. O pierwszym mówi, że „w sposób bardzo brutalny wymówił posłuszeństwo gen.

gen. Sikorski rozpoczął w Paryżu urzędowanie od zwrócenia się do Francuzów o udzielanie wiz tylko osobom, które znajdują się na sporządzonych przez niego listach, składanych sukcesywnie władzom francuskim (St. Zabiełło, „Na posterunku ...”, s. 33). Przeciwny pogląd wypowiada Janusz Kowalewski, wspominając swoją rozmowę z gen. Sikorskim w Bukareszcie: przyszły premier „wyraźnie unikał mówienia o personaliach, szukał poglądów na zagadnienia, był znacznie bardziej zainteresowany planami przyszłości niż ocenami przeszłości”, („Cykl rumuński”, *Zeszyty Historyczne*, z. 6, 1964, s. 136). Kowalewski, były szef Ozonu, twierdzi, że ppłk. Zakrzewski i jego zastępca mjr Marian Zimnal „robili wszystko co mogli, aby ograniczyć dyskryminacje [piłsudczyków] do absolutnego minimum. Powstawała tutaj sprawa dyscypliny i lojalności wojskowej, o czym Zakrzewski rzucił kiedyś zdanie: „Dyscyplina i lojalność – doskonale, ale czy żołnierska czy żołdacka?” (*ibidem*, s. 138).

15. W. Pobóg-Malinowski, „Na rumuńskim rozdrożu (fragmenty wspomnień)”. Warszawska Oficyna Wydawnicza „Gryf”. Warszawa 1990, s. 41. Wspomnienia Poboga-Malinowskiego, spisane w roku 1947, ukazały się w *Kulturze* 1948, w nr 7, 8, 9-10. Poniński replikował Pobogowi-Malinowskiemu w artykule „Wrzesień...”, *op. cit.*

Stachiewiczowi”, o drugim, że „z miejsca zajął stanowisko praktycznego nieuznawania poleceń rządu Sławoja Składkowskiego”.¹⁶ Ambasadora zaś usprawiedliwia: „Roger Raczyński w tej sytuacji zachował się przyzwoicie, jego stosunki z dotychczasowym rządem były poprawne, natomiast zdawał sobie sprawę z konieczności zasadniczych zmian”. I dalej powie również o sobie: „staliśmy na stanowisku ciągłości państwa, przyzwoitego traktowania byłego rządu czy działaczy piłsudczykowskich (...) popieraliśmy – wbrew instrukcjom Sikorskiego – sprawę ucieczki min. Becka czy pomoc marszałkowi Rydzowi-Śmigłemu w przygotowywaniu ucieczki i w powrocie do kraju”.¹⁷

Giedroyc negatywnie oceniał samego gen. Sikorskiego i jego politykę. O premierze powiedział, że okazał się małostkowy i mściwy; arogancji wobec piłsudczyków towarzyszyło jego całkowite uzależnienie od Francuzów: „Nie wolno

16. Giedroyc, List do Tadeusza Dubickiego z dnia 21 kwietnia 1992. Archiwum Instytutu Literackiego. Manifestowanie niechęci wobec internowanych władz Giedroyc nazwie „ucieczką szczurów z tonącego okrętu” (A 86). Ponińskiego nie darzył sympatią: „Miałem ochotę napisać do tego starego arywisty Ponia odpowiednio niegrzeczny list – pisał do Rogera Raczyńskiego 25 stycznia 1941 – ale daję spokój. Przypuszczam, że i tak nie ma złudzeń, do tego, co o nim myślę i za kogo go uważam” (IPMS, 482/30).

17. Giedroyc, List do T. Dubickiego... Inaczej widzi i ocenia stanowisko ambasady RP w Bukareszcie Pobóg-Malinowski, dla którego internowanie władz RP było wynikiem „spisku francusko-polsko-rumuńskiego”. Jego celem było uczynienie z Polski posłusznego narzędzia w ręku Francuzów i podporządkowanie im całego regionu. Rolę głównego spiskowca w ambasadzie przypisuje historyk Ponińskiemu. O Raczyńskim pisze, że mógł nie należeć do osób wtajemniczonych, bo lubił się wyręczać Ponińskim, „często nie znał wielu spraw, dziejących się na jego ambasadorskim podwórku (...), ale ostatecznie Raczyński stanął po stronie przewrotu, a stanąwszy – konsekwentnie już grał żalosną swoją rolę i pchał tę taczkę, jaką mu wyznaczono” (Pobóg-Malinowski, „Najnowsza historia...”, *op. cit.*, s. 70-71). Z zarzutami Poboga-Malinowskiego polemizuje, w wielu punktach przekonująco, Poniński w swoim artykule „Wrzesień...”, *op. cit.* Zabięło, wspominając swoją rozmowę z Raczyńskim w październiku 1939 w Bukareszcie, pisze, że ambasador wciąż przeżywał podjętą decyzję. „Bolał go widocznie zarzut nielojalności, z którym się spotkał ze strony zwolenników usuniętego reżymu, gdyż na wszelkie sposoby starał się wytłumaczyć mi swe postępowanie. Poniński natomiast, jak zawsze cyniczny oportunistą, chełpił się ważnością odegranej roli” („Na posterunku...”, *op. cit.*, s. 33).

obejmować władzy za sprawą obcego państwa” (A 86). Zdaje się więc, że Giedroyc podejmując 18 września decyzję o przyłączeniu się do Rogera Raczyńskiego, liczył, że konieczne zmiany polityczne nastąpią w innym trybie, a postępowanie nowych władz będzie bardziej odpowiedzialne. Odłączając się w Czerniowcach od kolumny rządowej i ministra Andrzeja Romana, którego był sekretarzem, nie mógł przewidzieć biegu wydarzeń.

Giedroyc pozostał w Bukareszcie wbrew głosom przyjaciół wzywającym go do wojska polskiego we Francji: „Odmówiłem, gdyż uważałem, że więcej mogę zrobić zostając w Rumunii niż szkoląc się na żołnierza” (A 81). Decyzja ta zgodna była z panującym wśród piłsudczyków przekonaniem, że należy skupić się na Węgrzech i w Rumunii, skąd najbliżej jest do Kraju. Liczono na rychłe pokonanie Niemców przez aliantów zachodnich. Środowisko piłsudczyków skupione wokół Becka rozwinęło energiczną działalność. Jej ośrodkiem stał się właśnie Bukareszt, gdzie płk Tadeusz Schaetzel i Wiktor Tomir Drymmer założyli w połowie października Organizację Pracy na Kraj. Jej twórcy powiadomili rząd RP o swoich działaniach. OPK nie kryła krytycyzmu wobec Ambasady RP, która według piłsudczyków zachowywała się defetystycznie, działając na rzecz ochrony prawnej „nikomu niepotrzebnych przywilejów”.¹⁸

Stanowisko służbowe Giedroycia, choć nominalnie skromne, poza hierarchią oficjalną, dawało mu szerokie pole do działania, bo ambasada w Bukareszcie stała się, obok Paryża, najważniejszym miejscem, gdzie robiło się politykę polską. Tędy prowadziły szlaki kurierskie łączące okupowany Kraj z Zachodem, tu toczyła się rywalizacja między sikorszczykami i piłsudczykami-sanatorami. W istocie, ponad roczny okres bukareszteński był dla Giedroycia bardzo pracowity: asystował ambasadorowi Raczyńskiemu w działaniach mających na celu zmianę na stanowisku prezydenta RP, na-

18. Tadeusz Dubicki, Stanisław Jan Rostworowski, „Sanatorzy kontra...”, *op. cit.*, s. 34-37. Ambasada z kolei raportowała 20 listopada 1939 do Paryża, że według twórców OPK rząd gen. Sikorskiego „może co najwyżej spełnić przejściową rolę symbolu na Zachodzie, skazany z góry na bezwład i oderwanie od mas” (cyt. za: *op. cit.*, s. 36).

wiązywał kontakty z Krajem, wysyłał pieniądze i utrzymywał korespondencję, prowadził rozmowy z przedstawicielami mniejszości ukraińskiej w Rumunii, wziął udział w organizacji ucieczki marszałka Rydza-Śmigłego do Polski, kontaktował się z wysłannikami władz niemieckich, sondującymi stanowisko strony polskiej w sprawie ewentualnego nawiązania współpracy. Po likwidacji Ambasady polskiej w Bukareszcie miał pieczę nad sprawami polskimi w Rumunii, organizował m.in. opiekę nad uchodźcami i internowanymi żołnierzami.

W latach 1939-1940 Ambasada polska przypominała oblężoną twierdzę, w której trwa wojna domowa. W Rumunii rosły wpływy niemieckie, Berlin kategorycznie domagał się od Bukaresztu zakazu działalności Ambasady RP. Wzrastały siły faszystów rumuńskich, których bojówki atakowały budynek przedstawicielstwa i jego pracowników. Jednocześnie Ambasada nie cieszyła się pełnym zaufaniem rządu RP.

We wrześniu 1939 z Polski do Rumunii przedostało się 49 500 uchodźców. Żołnierzy zdołało się ewakuować 24 000. Wojskowi, choć oficjalnie internowani, z łatwością wyjeżdżali, kierując się do Francji lub na Bliski Wschód. Do początku 1941 prawie wszyscy opuścili Rumunię (pozostałych 1700 żołnierzy polskich zostało przekazanych Niemcom w lutym 1941). Liczba uchodźców cywilnych zmalała w wyniku wyjazdów z 26 000 w październiku 1939 do 15 000 w grudniu tego roku.¹⁹ Sytuacja materialna uchodźców była dramatyczna, większość nie miała żadnych środków do życia. Dopiero po zdeponowaniu w Banku Narodowym Rumuńskim części (3 ton) wywiezionego z Polski złota banki zaczęły wymieniać złote na leje.²⁰ Na podstawie tego depozytu władze rumuńskie ustanowiły zasiłek dla uchodźców w wysokości 100 lei dziennie na osobę dorosłą i połowę tej sumy na dziecko. Internowani członkowie władz polskich i wyżsi wojskowi otrzymywali pięciokrotnie więcej. Nie były to

19. Tadeusz Dubicki, „Uchodźcy polscy w Rumunii 1939-1945. Studia i materiały”. Warszawska Oficyna Wydawnicza „Gryf”. Warszawa 1995, s. 10-12.

20. Dwie osoby przypisują sobie autorstwo tego znakomitego pomysłu: W. T. Drymmer („W służbie...”, *op. cit.*, s. 219) i Kajetan Morawski („Wspólna droga...”, *op. cit.*).

sumy małe, niższy urzędnik rumuński zarabiał ok. 2500 lei miesięcznie. Pobory Giedroycia wynosiły 35000 lei. Jednak szybka dewaluacja waluty rumuńskiej pogarszała warunki bytowe uchodźców.²¹ Z pomocą Polakom śpieszyły rządy (w tym władze RP we Francji) i organizacje zagraniczne, przesyłając transporty odzieży i leków, pieniądze. Przyjaźnie odnosiło się do Polaków społeczeństwo Rumunii, stwierdzają zgodnie prawie wszyscy autorzy wspomnień. Władze pozostawały życzliwe. Działalność instytucji i organizacji polskich ułatwiał rozpowszechniony w Rumunii zwyczaj przyjmowania łąpoków przez urzędników.²² Stosunek władz rumuńskich do Polaków musiał się zmienić, gdy państwo to przystąpiło w listopadzie 1940 roku do Paktu Osi i zawarło ścisły sojusz z III Rzeszą. Szereg instytucji i dziedzin życia społecznego kontrolowali wówczas bezpośrednio Niemcy.

Bukareszt przepełniony był uchodźcami. Tysiące Polaków zamieszkiwało wszystkie hotele w centrum miasta, załudniało restauracje, kawiarnie i główne ulice, a setki gromadziły się przed Ambasadą, Konsulatem i placówkami dyplomatycznymi obcych państw, usiłując zdobyć paszporty, wymienić pieniądze, uzyskać wize wyjazdowe i przede wszystkim jakąś orientację co do pokierowania dalszym losem. Przed hotelami stały liczne rzędy zaparkowanych polskich samochodów, a na ulicach słyszało się często polską mowę i spotykało mnóstwo urzędników, dziennikarzy i przemysłowców z całej Polski.²³ Z czasem Polaków w Bukareszcie ubywało. Przebywający w stolicy Rumunii na początku 1940 roku inż. Antoni Dąbrowski pisał współcześnie, że „teren był i pozostał podminowany powszechną obawą najazdu bolszewicko-niemieckiego, co wpływało na większe rozluźnienie chwiejnej w ogóle postawy etycznej (...). W tej atmosferze – zwłaszcza w Bukareszcie – uchodźstwo, a przynajmniej pewna jego

21. T. Dubicki, „Uchodźcy polscy...”, s. 15. W Rumunii pozostały również znaczne ilości polskiego sprzętu wojskowego, którego wartość Komisja Ochrony Mienia Państwowego szacowała na ok. 2 mld lei (Dubicki, *op. cit.*, s. 17). Zob. też Kajetan Morawski, „Wspólna droga ...”, *op. cit.*, s. 133.

22. Zob. np. Drymmer, „W służbie...”, *op. cit.*, s. 221.

23. Rakowski, „Diariusz...”, *op. cit.*, s. 129; St. Zabiełto, „Na posterunku...”, *op. cit.*, s. 32-33.

część, demoralizowało się bardzo szybko, mnożąc liczbę nabieraczy, oszustów, defraudantów, spekulantów, a nawet agitatorów i szpiegów niemieckich”. W Bukareszcie, pisał Dąbrowski, „był element najgorszy pod względem moralnym”.²⁴ Podobną opinię wyraził w spisanych w 1947 roku wspomnieniach Władysław Pobóg-Malinowski, charakteryzując typ „bukareszteńskiego” Polaka jako śmiesznego zarozumialca, mizernego krętacza, pochlebcy, łgarza, tchórza.²⁵

Brama wiodąca do Ambasady RP na Alea Alexandru 23 była zamknięta, wpuszczano wyłącznie osoby z przepustkami. Zamknięcie bramy na dziedziniec stało się koniecznością z powodu natłoku uchodźców, którzy kierowali się wprost do Ambasady i wkrótce zaczęli dezorganizować jej pracę. Informacja na bramie odsyłała ich do Konsulatu polskiego, bezpośrednio zajmującego się sprawami uchodźców.²⁶ Na dziedzińcu, przed oficyną, w której urzędował *attaché* wojskowy, ppłk Zakrzewski, gromadzili się mężczyźni pragnący wstąpić do Wojska Polskiego we Francji. Poparcie Ambasady było konieczne do otrzymania wizy francuskiej.

Jerzy Giedroyc przybył do Bukaresztu około 21-22 września. Po tygodniu objął stanowisko sekretarza prywatnego ambasadora Rogera Raczyńskiego. Personel ambasady zrobił na nim zdecydowanie ujemne wrażenie. Był nie tylko nie przygotowany do podjęcia nowych zadań, lecz i zdemoralizowany. „Pośpiesznie usuwano portrety prezydenta Mościckiego czy marszałka Rydza-Śmigłego, a przecież zarówno prezydent, jak i rząd egzystowali jeszcze mimo internowania. Prześcigano się w potępianiu sanacji i polityki Becka” (A 80).

Ambasador Roger Raczyński był nie tylko przyjacielem i zwierzchnikiem Giedroycia, lecz i najważniejszą dla niego postacią w okresie rumuńskim. Wojciech Krzyżanowski, sekretarz Ambasady RP, wspomina, że był on „jedną z najbardziej uroczych postaci (...), a na pewno najlepszym

24. A. Dąbrowski, „Zorganizowanie rekrutacji sił fachowych i robotników dla przemysłu polskiego we Francji”. AZHRL, Archiwum St. Kota, 105. Dąbrowski przebywał w Rumunii od 15 stycznia do 15 kwietnia 1940 jako emisariusz rządu RP.

25. W. Pobóg-Malinowski, „Na rumuńskim...”, *op. cit.*, s. 69.

26. Zob. Krzyżanowski, *op. cit.*, [2], s. 182.

szefem. Wielkiej kultury i rozległej wiedzy, łączył doskonałe formy towarzyskie z zupełnie naturalnym sposobem bycia. Miał rzadki dar obcowania z ludźmi na stopie całkowitej równości; rozmawiał tak samo swobodnie z królem [Rumunii] Karolem, jak i z najuboższym z jego poddanych. Nigdy nie widziałem go nieopanowanego, nigdy nie podniósł głosu, nigdy nie był szorstki, chociaż okazji do stracenia równowagi było aż zanadto. Jego podejście do spraw było zawsze poważne, ale bez pedanterii, do ludzi zawsze spokojne i pogodne, nie bez szczypty humoru, ale nie ironiczne, a już na pewno bez złości i złośliwości. Pewna umiejętność odseparowywania się od nurtu spraw bieżących była jego formą samoobrony przed rzeczywistością; mogła ona wywoływać wrażenie, że Roger Raczyński bywał roztargniony (...) Ambasadador potrzebował koło siebie obecności osoby zorganizowanej i w miarę autorytatywnej (sam przyznawał, że nie lubi sekretarzy czy sekretarek, którzy się go bali). Dlatego też wielką pomocą dla niego i dla nas wszystkich stał się jego dawny intymus, Jerzy Giedroyc (...), który potrafił właśnie potrzebnym autorytatywnym spokojem, rozważą i umiejętnością organizowania spraw i ludzi podtrzymać Rogera Raczyńskiego w tym może najtrudniejszym okresie jego życia”.²⁷

Giedroyc towarzyszył Raczyńskiemu w jego podróżach do prezydenta Mościckiego do Bicz, co najmniej raz 27-28 września (A 247-248). Równocześnie Ambasada musiała podołać nowym zadaniom, do których nie była przygotowana. Konieczna stała się reorganizacja. Zainicjował ją Giedroyc – bo z dużą dozą prawdopodobieństwa możemy założyć, że to on odegrał rolę *spiritus movens*.²⁸ Większość funkcji opiekuńczych, gospodarczych, rejestracyjnych przeniesiono na specjalnie w tym celu utworzone komisje, złożone z fachowców, działające we własnych lokalach poza Ambasadą. Zwiększona została liczba sekretarzy Ambasady, którym powierzono ściśle określone działy administracyjne.

27. *Ibidem*, s. 171-172. Wysoko ocenia pracę Giedroycia również Poniński, „Wrzesień...”, s. 192.

28. Kajetan Morawski pisze, że plan opracowany został przez trzy osoby: jego, Giedroycia i Raczyńskiego (K. Morawski, „Wspólna droga...”, *op. cit.*, s. 132).

Przy ambasadorze utworzono rodzaj gabinetu prezydialnego, którego kierownikiem został Giedroyc. „Pilnował z taktem, lecz stanowczo – wspomina Kajetan Morawski, wówczas wiceminister skarbu – by ani z góry ustalony podział czasu, ani hierarchia i kolejność rozpatrywanych zagadnień nie zostały naruszone”. Giedroyc urzędował na parterze Ambasady, w jednym z dawnych salonów (mniejszym), zamienionym po wybuchu wojny na pomieszczenie biurowe.²⁹

Kiedy sytuacja polityczna uległa względnej stabilizacji, Giedroyc zajął się nawiązaniem łączności z Krajem. Szlaki kurierskie nie były jeszcze przetarte, więc wykorzystywał swoje kontakty z Ukraińską Wojskową Organizacją, której członkowie przynosili korespondencję przez granicę. Giedroyc starał się wspomagać wybrane osoby i środowiska polityczne, co do których był pewien, że nie pozostają bezczynne. Wspierał zarówno działaczy sanacyjnych, jak socjalistycznych (np. Mieczysława Niedziałkowskiego). Niczego jednak adresatom pomocy nie sugerował ani nie inspirował żadnych działań.

W listopadzie 1939 roku w Bukareszcie zatrzymał się w drodze do Paryża prof. Henryk Tennenbaum, przyjaciel gen. Sikorskiego. Giedroyc zajmował się wówczas kwestią ukraińską. Był m.in. w kontakcie z Wasylem Mudryjem, przewodniczącym UNDO, najważniejszej partii ukraińskiej w Polsce, i wicemarszałkiem Sejmu RP, który gotów był wyjechać natychmiast z Kraju i wejść w skład Rady Narodowej, powstałej właśnie we Francji, jako przedstawiciel polskich Ukraińców. Polityczny sens powołania Mudryja do Rady Narodowej wydawał się oczywisty i Tennenbaum obiecał tę sprawę w Paryżu załatwić. Postanowił też zgłosić wniosek, by Giedroycia mianowano kierownikiem biura do spraw mniejszości przy Radzie Ministrów. Rzeczywiście, wkrótce nadeszła nominacja i polecenie przyjazdu do Paryża (A 85). Najwyraźniej jednak instancja decydująca o polityce społecznej rządu i obsadzie stanowisk nie uzgodniła swojego zarządzenia z instancją decydującą o tym, komu wolno przyjechać do Francji.³⁰

29. Krzyżanowski, *op. cit.*, [2], s. 181.

30. W „Księdze telegramów Ambasady RP w Bukareszcie” zapisano pod datą 23 listopada 1939 radiotelegram nr 190 do Paryża:

„Dla Pana Ministra Ładosia. Proszę załatwić na Quai d’Orsay sprawę

W wyniku interwencji prof. Stanisława Kota wizy francuskiej Giedroycowi odmówiono. Trudno powiedzieć, co bardziej zaważyło: przedwojenny uraz Kota do redaktora *Buntu Młodych* za zaliczenie go do masonerii (A 85) czy nawyk utrącania każdego, kogo Kot uznał za piłsudczyka lub sanatora. Mandatu w Radzie Narodowej nie otrzymał również Wasyl Mudryj. W organie, który miał być parlamentem polskim na wychodźstwie, zabrakło przedstawiciela Ukraińców.

7 października 1939 ambasador Raczyński wraz z Giedroyciem, Morawskim i Wragą złożyli wizytę marszałkowi Rydzowi-Śmigłemu w Câmpulung, gdzie był internowany. Giedroyc referował tam swoje działania. Płk Zygmunt Wenda zanotował w dzienniku: „Giedroyc rozpoczął już akcję. Słusznie uznaje kolejność pilności roboty w Ameryce, dobiera ludzi, poza tym robi prasę, tak tutaj, jak myśli i o okupacjach, i o Francji. Chwilowo pełni obowiązki sekretarza osobistego Raczyńskiego, obiecał utrzymywać najżywszy kontakt. Z całą ufnością odnosi się do osoby Raczkiewicza – świństwa żadnego nie robi”.³¹ W ten sposób nawiązana została współpraca Giedroycia z grupą piłsudczyków przygotowującą ucieczkę marszałka Rydza-Śmigłego. Zaprzyjaźnił się wtedy z majorem Karolem Krzewskim (autorem słynnych książek o Kapralu Szczapie). Bywał często w Dragoslavele w Alpach Transylwańskich, dokąd 14 października przeniesiono Rydza-Śmigłego. Giedroyc nie miał złudzeń co do przyjęcia marszałka w Kraju („pan się rozbije jak butelka rzucona o skałę”), ale w pełni akceptował jego decyzję. Pomógł też zaopatrzyć Rydza-Śmigłego w fundusze (sto tysięcy dolarów) na działalność konspiracyjną (A 83). Dobrze przygotowana i sprawnie przeprowadzona ucieczka marszałka na Węgry 12 grudnia 1940 roku udała się.

W lipcu 1940 do Bukaresztu przyjechał starszy radca z

wizy wjazdowej Giedroycia. Proszę o adresy [Stanisława] Mikołajczyka i [Jerzego] Stempowskiego. Możliwy mój wyjazd na Węgry. Proszę o nadesłanie wiadomości. Łączkowski, Raczyński”.

31. Zygmunt Wenda, „Z marszałkiem Śmigłym. Wspomnienia. Cz. I.”. *Zeszyty Historyczne*, z. 98, 1991, nr 98, s. 190.

Auswärtiges Amt (niemieckiego MSZ) Franz von Rintelen, który usiłował nawiązać poufne rozmowy z osobistościami polskimi na temat ewentualnej współpracy przeciw Rosji Sowieckiej.³² Kontaktował się z nim min. Mirosław Arciszewski, delegat rządu RP do spraw uchodźców. Rozmówcą von Rintelena byli również Giedroyc, a także Władysław Wolski, były urzędnik Biura Prasowego MSZ, pracownik Ambasady i Ryszard Piestrzyński. Przed wojną środowisko *Buntu Młodych* i *Polityki* stało na stanowisku antysowieckiego sojuszu z Niemcami. Aleksander Bocheński, jeden z najważniejszych działaczy grupy, miał nawet plany kolaboracji z władzami okupacyjnymi. „Nie bądź głupi – pisał do Giedroycia z Kraju – wracaj, robimy rząd” (A 84). Giedroyc wracać, zwłaszcza w celu kolaboracji, nie zamierzał, ale propozycji spotkania z przybyшем z Berlina nie odrzucił. „Uważałem jednak, że trzeba rozmawiać, skoro nadarza się taka sposobność, aby wysondować drugą stronę, a zarazem określić warunki jakiejś możliwej współpracy, w tym wypadku – wojny przeciw Sowiecom” (*loc. cit.*). O spotkaniu Giedroyc powiadomił ambasadora Raczyńskiego dopiero po fakcie, podkreślając w ten sposób, że decyzję podjął na własną odpowiedzialność. Giedroyc nie wdawał się zresztą w żadne negocjacje. Na pytanie von Rintelena, na jakich warunkach współpraca polsko-niemiecka byłaby możliwa, odpowiedział, że punktem wyjścia musi być odbudowa niepodległej Polski. Giedroyc stwierdził również, że bez Polski Niemcy nie będą w stanie wygrać przyszłej wojny ze Związkiem Sowieckim (którą uważał za nieuniknioną). Von Rintelen odniósł się do tych ocen sceptycznie i na tym rozmowa się zakończyła.

W sierpniu 1940 bukareszteńska Ekspozytura II Oddziału wszczęła przeciw Jerzemu Giedroyciowi dochodzenie. Po wojnie Redaktor do tej sprawy nie wracał. Brak o niej wzmianki w „Autobiografii...” Aluzyjnie nawiązał do tego epizodu w wywiadzie dla *Aneksu*: „Cała moja bukareszteńska zabawa przysporzyła mi zresztą bardzo wielu wrogów. Były

32. T. Dubicki, „Internowanie płk. Józefa Becka w Rumunii (IX 1939 VI 1944)”. Centralne Muzeum Jeńców Wojennych w Łambinowicach-Opolu. Opole 1997, s. 60-61.

później różne kampanie, broszury w Polsce, o tym, jak w Bukareszcie kradną, robią pieniądze...”³³ Na paszkwil Klaudiusza Hrabyka³⁴, nawiązujący również do bukareszteńskiego śledztwa, Giedroyc nie zareagował.

Śledztwo wszczęto przeciw Jerzemu Giedroyciowi, Tatianie Giedroyc i Ferdynandowi Gużkowskiemu. W końcu sierpnia 1940 ambasador Roger Raczyński otrzymał dokument zatytułowany „Sprawa karna Jerzego Giedroycia i towarzyszy o zbrodnię z art. 286 § 2; 287 § 2 i 293 KK. «Zapiski dochodzenia»”,³⁵ opatrzony datą 29 sierpnia 1940. Czternastostronicowy tekst nie został podpisany. Inne dokumenty pozwalają zidentyfikować autora: jest nim mjr Stanisław Orłowski, szef Ekspozytury Oddziału II w Bukareszcie, występujący pod pseudonimem „Stanisław Ostaszewski”.³⁶

W „Zapiskach dochodzenia” przedstawiono następujące fakty i domniemania: Ferdynand Gużkowski, obywatel polski, handlował notami werbalnymi Ambasady RP, wystawionymi na oficjalnych blankietach i podpisanymi przez ambasadora Raczyńskiego. Wspólnikami Gużkowskiego mieli być Tatiana Giedroyc i Jerzy Giedroyc. Autor zamieścił w „Zapiskach” również insynuacje na temat związków łączących Tatianę Giedroyc i Gużkowskiego. Oboje w trakcie przesłuchań stanowczo temu zaprzeczyli. Dzięki notom werbalnym można było uzyskać wizy zagraniczne, a nawet paszport polski. Bezpodstawne wystawianie not werbalnych załatwiać miał w Ambasadzie Jerzy Giedroyc. W „Zapiskach dochodzenia” przedstawiono następujące dowody: W sierpniu 1940

33. „Rozmowa z Jerzym Giedroyciem sprzed dwunastu lat”. *Aneks* 1986, nr 44. Przedruk: „Zostało tylko słowo. Wybór tekstów o Kulturze paryskiej i jej twórcach”. Wyd. FIS. Lublin br.

34. Tadeusz Mateja [właśc. Klaudiusz Hrabyk], „Podwójne życie Jerzego Giedroycia”. Nakładem miesięcznika *Nasz Znak*. Malmö 1965. Przedruk fragmentów w antologii „Anty-Kultura. Wybór tekstów o paryskiej Kulturze”. Wstęp Leopold Unger. Oprac. Marek Zieliński. Oficyna Wyd. „Pomost”. Warszawa 1992, s. 25-47.

35. Archiwum Instytutu Polskiego i Muzeum Sikorskiego (IPMS), 482/30.

36. Zob. raport Karola Alexandrowicza dla min. St. Kota z dnia 12 listopada 1940. IPMS, 25/41. Także: Dubicki, Rostworowski, „Sanatorzy kontra...”, s. 142.

zgłosił się do Gużkowskiego p. Szapiro,³⁷ od którego przyjął on zamówienie na notę werbalną wystawioną na nazwisko Hermana Schwarza. 9 sierpnia Gużkowski przekazał notę Szapirze; swoje usługi zaś wycenił na 25 dolarów. Nota stwierdzała, że Herman Schwarz „jest ambasadzie osobiście dobrze znany, jest przemysłowcem i pochodzi ze Lwowa”. Tymczasem – stwierdzał autor „Zapisków dochodzenia” – ów Herman Schwarz, z zawodu fotograf, pochodzi z Drohobycz. W Polsce był znanym komunistą, kilkakrotnie karanym przez Sąd Karny we Lwowie. Udało mu się uciec z więzienia i zbiegł do Związku Sowieckiego. Ambasadzie polskiej w Bukareszcie nie był rzecz jasna wcale znany. Gużkowski żądał za notę 25 dolarów, twierdząc, że za jej załatwienie w Ambasadzie musi zapłacić urzędnikowi 20 dolarów od sztuki. 13 sierpnia 1940 roku Gużkowski sprzedał za 50 dolarów dwie noty werbalne wystawione na życzenie kupującego na nazwiska Daniela Rosenwurzla i Dawida Hausera. Tymczasem pierwszy zmarł w roku 1938, a drugi był od lat chory umysłowo i ubezwłasnowolniony. W związku z wystawianiem not werbalnych i paszportów uwagę mjra Orłowskiego zwróciła sprawa niejakiego Szajna, przemysłowca polskiego, który do Rumunii przybył wraz z sześciuosobową rodziną spod okupacji sowieckiej na podstawie paszportu bułgarskiego. Tożsamość wszystkich potwierdzona została przez pracowników Ambasady. Roger Raczyński polecił wydać rodzinie Szajnow polskie dokumenty. Przemysłowiec uzyskał też noty werbalne dla innych członków rodziny w Sowietach, aby mogli przyjechać do Bukaresztu. Inny obywatel polski, Abner Stern, otrzymał przez Gużkowskiego zaświadczenie Ambasady, że jest „aryjczykiem”. Gużkowski i Giedroyc mieli także za pieniądze wyrobić mu wizę włoską i jugosłowiańską. „Zapiski” Orłowskiego pełne są pomówień o łapówkarstwo, oszustwa i nielegalne machinacje, które rzekomo popełnili Jerzy Giedroyc i Tatiana Giedroyc wraz z Gużkowskim. Mieli np. sprzedawać miejsca na liście osób przewidzianych do ewakuacji na Cypr. Gużkowski dzięki poparciu Giedroycia –

37. Był to ppor. Edward Szarkiewicz z Ekspozytury „R” Oddziału II. Szapiro to jego nazwisko rodowe. O Szarkiewiczu zob. niżej.

twierdził Orłowski – otrzymał z ambasady zlecenie zakontraktowania statku na Cypr do transportu osób zagrożonych; Gużkowski spodziewał się zarobić na tym kilka miliardów lei. Proceder ten miał również Giedroyciowi przynieść krocie, czego dowodem było rzekomo przekazanie matce do Kraju 500 tys. zł. „Resztę ulokował on niewątpliwie za granicą” – pisał Orłowski. Cały jego elaborat pełen jest oskarżeń całkowicie gołosłownych. Autor twierdzi np., że Tatiana Giedroyc i Jerzy Giedroyc „wydali osobom i obywatelom rumuńskim narodowości żydowskiej niezliczoną ilość not werbalnych i paszportów polskich za pieniądze”, ale nie podaje źródła swych rewelacji.

W Rumunii znalazło się w 1939 ponad 2 500 obywateli polskich pochodzenia żydowskiego. Tak jak i pozostali uchodźcy, starali się oni wyjechać. Zwłaszcza że coraz większą rolę w życiu kraju odgrywali faszyci – 21 września 1939 bojówkarze Żelaznej Gwardii zamordowali premiera Rumunii. Coraz silniejsze były wpływy niemieckie. Zdarzały się zamieszki antyżydowskie. Choć rasistowskie zarządzenia przeciwko obywatelom pochodzenia żydowskiego pojawiły się dopiero w sierpniu 1940 roku, Żydom trudniej było wyjechać. Anglicy np. zgodę na przyjęcie obywateli polskich w koloniach opatrzyli zastrzeżeniem, że nie dotyczy ona osób pochodzenia żydowskiego.³⁸

W ten sposób rozpoczęła się „sprawa karna Jerzego Giedroycia i towarzyszy”. Na początku września przesłuchano wszystkich podejrzanych. Zachowały się protokoły przesłuchań prowadzonych przez Stanisława Wondrauscha, sędziego Sądu Apelacyjnego. 5 września przesłuchany został Giedroyc. Zeznał on, że Ferdynand Gużkowski kilkakrotnie prosił go o wydanie not werbalnych dla swoich przyjaciół pozostających pod okupacją sowiecką we Lwowie. Ponadto przedstawił Giedroyciowi Sterna i Wiselberga, którzy również ubiegali się o noty werbalne. „Z wydaniem tych not nie robiłem żadnych trudności, gdyż wiedziałem, że Stern jest poważnym przemysłowcem naftowym, zaś Wiselberg – dziennikarzem. (...) Okazane mi noty werbalne z daty 9 sierpnia 1940 dla

38. Dubicki, „Polscy uchodźcy...”, *op. cit.*, s. 103-104.

Hermana Schwarza, oraz z daty 13 sierpnia 1940 dla Daniela Rosenwurza i Dawida Hausera referowałem [ambasadorowi Raczyńskiemu] na prośbę p. Gużkowskiego, który zapodał mi, że są to jego znajomi względnie nawet przyjaciele, i że bardzo mu zależy, by ci noty do Ambasady tureckiej dostali”. Następnie polecił kancelarii noty wystawić i dał do podpisu ambasadorowi. Zeznał, że żadnych pieniędzy od Gużkowskiego nie brał, traktując całą rzecz jako przyjacielską przysługę. O sprawie Szajna słyszał, ale nie załatwiał ani paszportów, ani not werbalnych. Abnerowi Sternowi, na prośbę Gużkowskiego, wystawił w kwietniu lub w maju notę do Ambasady francuskiej, dzięki czemu otrzymał wizę. Na przełomie lipca i sierpnia Stern otrzymał również notę do Ambasady tureckiej, w której Giedroyc rzeczywiście wpisał, że jest on wyznania rzymskokatolickiego. W niczym to nie pomogło, bo Turcy Sternowi wizy odmówili. Wyznanie rzymskokatolickie miał zresztą wpisane już we wcześniej otrzymanym zaświadczeniu z Konsulatu polskiego. Na liście ewakuacyjnej na Cypr Giedroyc nikogo nie umieszczał; nie było to nawet możliwe, bo lista ta pozostawała w wyłącznej gestii Delegatury Rządu. Giedroyc zeznał, że pieniądze do matki do Warszawy wysyłał, w sumie ok. 18 tysięcy zł. Większe sumy (180 tysięcy) przekazał na adres matki, ale były to pieniądze dysponowane przez ambasadora Raczyńskiego „na specjalne cele”. Nazwisk prawie wszystkich osób wymienionych w „Zapiskach dochodzenia” mjra Orłowskiego, z którymi łączyć go miały przestępcze powiązania, nie zna w ogóle albo zaledwie je słyszał. Stwierdził, że „do winy poczuwa się tylko o tyle, że w dwóch przypadkach (...) zaniedbał obowiązku sprawdzenia okoliczności istotnych i powodowany prośbą Gużkowskiego dopuścił do wydania not zupełnie niewłaściwie”. Zaprzeczył stanowczo, by z działalności swojej „osiągnął lub starał się osiągnąć korzyści pieniężne”.³⁹

5 września przez sędziego Wondrauscha przesłuchana została Tatiana Giedroyc. Stwierdziła ona, że nic nie wie o

39. „Sprawa karna Jerzego Giedroycia i towarzyszy. Protokół przesłuchania podejrzanego Jerzego Giedroycia z dnia 5 września 1940”. IPMS, 482/31.

wyrobieniu przez Ferdynanda Gużkowskiego not werbalnych za wynagrodzeniem. Nigdy w żadnej sprawie w Ambasadzie nie interweniowała. Słyszała tylko, jak Gużkowski kilkakrotnie nalegał na Jerzego Giedroycia w sprawie noty dla Schwarza.⁴⁰

8 września przesłuchany został w charakterze podejrzanego Ferdynand Gużkowski. Przedstawił on się jako człowiek życzliwy ludziom i skłonny do pomocy. Stwierdził, że z Tatianą Giedroyc i Jerzym Giedroyciem pozostawał w „miłych i przyjemnych stosunkach towarzyskich”. Przyznał, że „w niektórych wypadkach brał od stron pieniądze, o ile strony same ofiarowały mu jakieś wynagrodzenie (...) za poniesione trudy i stracony czas”. Stwierdził, że nie pamięta, by kiedykolwiek prosił o interwencję panią Tatianę Giedroyc. Notę werbalną na nazwiska Schwarza istotnie przekazał p. Szapirze, który twierdził, że dostał jego adres od portiera jakiegoś hotelu. Wkrótce Szapiro zwrócił się do niego z prośbą o noty dla Rosenwurzla i Hausera, swoich szwagrów. Szapiro miał sam proponować Gużkowskiemu pieniądze. Przesłuchiwany zaprzeczył również, by dzielił się pieniędzmi z kimkolwiek w Ambasadzie. W sprawie wpisania na listę zagrożonych przeznaczonych do ewakuacji na Cypr nikt się do Gużkowskiego nie zwracał, w żadnej z takich spraw nie interweniował ani w Delegaturze Rządu, ani w Ambasadzie. O wynajęciu statku tylko słyszał, bo mówiło się o tym na mieście, że Delegatura Rządu zawarła umowę na wynajęcie statku i straciła zadatek wysokości 1 miliona lei. Dla obywateli rumuńskich Gużkowski nigdy o wizy się nie starał. Giedroyciom nigdy pieniędzy nie dawał ani nie pożyczał. Kilka razy byli we trójkę na kolacji, kilka razy w cukierni.⁴¹

W tej sprawie przesłuchana została również Stanisława Czestyńska, kierowniczką kancelarii Ambasady. Zeznała ona, że wydawała noty werbalne już podpisane przez ambasadora Raczyńskiego, ale też na zlecenie telefoniczne z sekretariatu Ambasady. Nie pamięta jednak, od kogo takie zlecenie

40. „Protokół przesłuchania podejrzananej Tatiany Giedroyc z dnia 5 września 1940”. IPMS, 482/31.

41. „Protokół przesłuchania podejrzanego Ferdynanda Gużkowskiego z dnia 8 września 1940”. IPMS, 482/31.

otrzymywała. W lecie Jerzy Giedroyc raz polecił przysłać sobie okrągłą pieczęć ambasady, którą Czestyńska wówczas dysponowała. Kilka razy sam przynosił do kancelarii notatki dla sporządzenia czystopisu noty werbalnej.⁴²

Przesłuchania wykazały, że sformułowane w „Zapiskach dochodzenia” zarzuty pod adresem Jerzego Giedroycia i Tatiany Giedroyc nie miały żadnych podstaw. Ferdynand Gużkowski nadużył zaufania swoich znajomych. Giedroyciowi można zarzucić tylko to, że nie sprawdził podanych przez Gużkowskiego danych personalnych. Okoliczność łagodzącą stanowi fakt, że noty werbalne miały służyć ludziom bezpośrednio zagrożonym. Bezstronna lektura protokołów przesłuchań i „Zapisków dochodzenia” przekonuje o niewinności Tatiany Giedroyc i Jerzego Giedroycia. Orłowski musiał działać w złej wierze lub w zaślepieniu.

Ambasador Raczyński w piśmie do mjra Orłowskiego z 27 września 1940 uznał, że w przedłożonych mu materiałach „nie ma dowodów potwierdzających poszczególne punkty zawarte w doniesieniu”. Prosił Orłowskiego o „przedłożenie całego materiału, który służył za podstawę do sformułowania rzeczonych doniesienia”. W liście do Raczyńskiego z 27 września 1940 twierdził, że dostarczył „niezbitych dowodów winy” Giedroycia, i dziwił się, że ambasador na nie nie zareagował. Informował, że „wobec rozgłosu, jakiego cała sprawa nabrała”, przekazuje wszystkie jej akta do Komisji Badawczej przy Ambasadzie.⁴³ Oznaczało to, że odmawia ambasadorowi wglądu w dokumentację sprawy. Roger Raczyński stanowczo sprzeciwiał się nadawaniu sprawie Giedroycia dalszego biegu. Komisja Badawcza do Spraw Przyczyn Kłęski Wrześniowej, powołana przez rząd RP 30 maja 1940,⁴⁴

42. „Protokół przesłuchania świadka Stanisławy Czestyńskiej z dnia 7 i 10 września 1940”. IPMS, 482/31.

43. List Raczyńskiego do Ostaszewskiego z 27 września 1940. Ambasador powołuje się również na opinię min. Arciszewskiego, Władysława Kańskiego i Jana Szuldrzyńskiego. IPMS, 482/30 i 31.

44. Eugeniusz Duraczyński, „Rada Narodowa Rzeczypospolitej Polskiej 1939-1945”, [w]: E. Duraczyński, Romuald Turkowski, „O Polsce na uchodźstwie. Rada Narodowa Rzeczypospolitej Polskiej 1939-1945”. Wyd. Sejmowe. Warszawa 1997, s. 37. Komisja Badawcza do Spraw Przyczyn Kłęski Wrześniowej działała do 27 czerwca 1945, zebrała obfity

pracowała w Bukareszcie pod kierownictwem Karola Alexandrowicza, byłego pracownika Prokuratury Generalnej i męża zaufania min. Kota.

Narastający od dłuższego czasu konflikt między przewodniczącym Komisji Badawczej i Raczyńskim znalazł się w fazie krytycznej. 30 września 1940 ambasador wystosował radiotelegram do premiera Sikorskiego, ministra spraw zagranicznych i ministra sprawiedliwości, w którym winą za konflikt służbowy obarczył przewodniczącego Komisji Badawczej Alexandrowicza, zarzucając mu ingerencję w pracę innych urzędów. „Nadużywając zaufania i nazwiska P. Ministra Kota, a niekiedy i Pana Premiera – pisał Raczyński – próbował odgrywać tutaj rolę komisarza politycznego, nie stosując się do żadnych norm urzędowania za granicą. Poza dostarczaniem do Angers i do Londynu nieścisłych, złośliwych, a przeważnie wręcz fałszywych informacji o charakterze delatorskim, działalność Alexandrowicza sprowadza się do skompromitowania własnej osoby i powierzonej mu Komisji Badawczej”.⁴⁵ Jej przewodniczący nie zastosował się do instrukcji rządu, nakazującej mu ograniczenie działalności do realizacji powierzonych zadań, przerwał współpracę z Ambasadą i kontakty z ministrem Ponińskim. „Głosił, że jako polskie Gestapo powołany jest do głębokiej czystki tutejszych stosunków urzędowych. Zaczęło się montowanie sztucznych spraw w stosunku do urzędów z pominięciem drogi służbowej przez demoralizujące podpytywanie urzędników, po czym nastąpiły insynuacje i «dochodzenia» przeciw osobom z otoczenia Arciszewskiego i mojego, a wreszcie [przeciw] samej Ambasadzie i Konsulowi Generalnemu Mikuckiemu. (...) W opozycyjnej i bezprawnej tej akcji, której starano się nadać charakter publicznego skandalu, odgrywał czynną rolę współinicjatora szef ekspozytury II, major Orłowski, stosując wspólnie z A.[lexandrowiczem] brudne metody inwigilacji *à la* Gestapo i Czeka”. Ambasador zażądał natychmiastowego

materiał, ale oficjalnie nikogo oficjalnie nie oskarżono ani nie napiętnowano, czego domagali się projektodawcy Komisji z rządu i Rady Narodowej.

45. Radiotelegram szyfrowany nr 253 do Londynu z 30 września 1940. Książka radiotelegramów Ambasady RP w Bukareszcie. IPMS, A. 26 – I/7C.

zwolnienia ze służby Alexandrowicza i Orłowskiego. Gdyby to się nie stało, Raczyński stawiał swoje stanowisko do dyspozycji, tzn. zapowiadał dymisję. Taką samą decyzję podjął konsul generalny Mikucki.⁴⁶ Dymisje nie zostały jednak złożone.

Osoba Alexandrowicza i działalność Komisji Badawczej budziła niechęć również wśród osób bardzo krytycznie oceniających pracę Ambasady. Antoni Robaczewski, sekretarz generalny Centralnego Komitetu Obywatelskiego Pomocy i Opieki nad Uchodźcami w Rumunii, pisał, że Alexandrowicz zrobił z Komisji „Czerezwyczajkę, o której w całym Bukareszcie się mówi i we wszystkich ośrodkach: «strzeżcie się tej chjeno-piastowej czerezwyczajki, która z każdego chce zrobić złodzieja». (...) Złożyło się przy tym tak, że p. Alexandrowicz bawi się tutaj w wielkiego polityka prorządowego, co nie przyczynia i nie przysparza akcji, którą propaguje, «splendoru»”.⁴⁷

Wkrótce nastąpiły wydarzenia, które wstrząsnęły światkiem polskim w Bukareszcie i przesądziły o jego losie.

18 października 1940 roku były minister spraw zagranicznych Józef Beck, internowany od roku w miejscowości Snagow pod Bukaresztem, podjął próbę ucieczki. Zorganizowali ją ludzie z otoczenia Becka, ale za wiedzą ambasadora Raczyńskiego, który był zdania, że byłego ministra trzeba ewakuować z Rumunii. Obawiano się, że Niemcy, gdyby wpadł w ich ręce, mogliby go wykorzystać do utworzenia jakiegoś protektoratu lub rządu marionetkowego w Polsce.⁴⁸

46. *Ibidem*.

47. List Antoniego Robaczewskiego do nieznanego adresata z 30 marca 1940. AZHRL. Archiwum St. Kota, 322. Robaczewski o urzędnikach ambasady, konsulatu, attachatu, delegatury rządu pisał, że – poza nielicznymi wyjątkami – „nie są zdolni do żadnej energiczniejszej akcji, nie są zdolni do przeciwdziałania i przeciwstawienia się niezwykle pomysłowej i perfidnej wrogiej akcji. Ci urzędnicy to przeważnie wygodni, napuszeni i niemądry panowie, którzy lubią dobrze zjeść, dobrze wypić, dobrze..., ale nie [nadają się] do pracy pozytywnej, wymagającej wysiłku myślowego – to przeważnie zapasieni trutnie”.

48. „Przedstawienie dra Karola Alexandrowicza, przewodniczącego Komisji Badawczej – dawniej w Bukareszcie – obecnie w Istanbule”. IPMS, 25/41. Adresatem pisma był minister sprawiedliwości.

Sam Beck podczas internowania był w kontakcie z Anglikami i liczył na szansę powrotu na scenę polityczną. Nie było to całkowicie iluzoryczne, gdyż Brytyjczycy rozważali przez chwilę postawienie byłego ministra na czele rządu polskiego. Beck został aresztowany wraz ze swoimi towarzyszami na szosie niedaleko Snagow. Policjanci rumuńscy znaleźli w jego samochodzie znaczną sumę dolarów i paszport angielski na inne nazwisko, wydany przez angielskiego *chargé d'affaires* w Bukareszcie Roberta Hankeya.⁴⁹ Było w nim pozwolenie opuszczenia kraju, tzw. *plecare*, wystawione za łapówkę przez rumuńskiego urzędnika.

20 października nastąpiły aresztowania Polaków. Zatrzymany został m.in. Tomasz Kuźniarz, radca finansowy Ambasady RP. W wyniku rewizji w jego gabinecie i w mieszkaniu policja skonfiskowała ponad 20 tysięcy dolarów, będących własnością skarbu państwa. (Kuźniarz za zgodą ambasadora Raczyńskiego przechowywał pieniądze służbowe u siebie w domu; w Ambasadzie obawiano się napadu rabunkowego). Następnego dnia zatrzymany został Karol Alexandrowicz, przewodniczący Komisji Badawczej. Policja zajęła jej lokal, siedzibę radcy finansowego i radcy handlowego, a także lokal Ekspozytury II Oddziału, gdzie skonfiskowano 2 miliony lei (pieniądze później zwrócono). Zatrzymano szefa Ekspozytury mjra Orłowskiego (Ostaszewskiego). U wielu osób w mieszkaniach dokonano rewizji, aresztowania objęły kilkadziesiąt osób. W cytowanym wyżej „Przedstawieniu”, adresowanym do ministra sprawiedliwości, dr Alexandrowicz stara się ustalić przyczyny represji policyjnych przeciw Polakom. W Bukareszcie krążyły rozmaite domysły. Bezpośrednim powodem akcji policji miały więc być operacje finansowe radcy Kuźniarza, który sprzedawał w Bukareszcie przekazy na Palestynę, czego zakazywało rumuńskie prawo dewizowe. Była to jednak w środowisku dyplomatycznym Bukaresztu praktyka powszechna, którą władze tolerowały. W czasie rewizji

49. Robert Alers Hankey (1895-?), syn lorda Maurice Hankeya, członka gabinetu wojennego Churchilla. Zanim w 1939 został konsulem w Bukareszcie, był od 1936 II sekretarzem ambasady brytyjskiej w Warszawie. Mówił dobrze po polsku i w Bukareszcie był łącznikiem angielskim do ambasady polskiej. Po wojnie był m.in. ambasadorem w Szwecji.

policeja miała przypadkiem znaleźć dowody szpiegostwa Ekspozytury II Oddziału – raport wraz z rysunkiem dyslokacji baterii przeciwlotniczych w Rumunii. Alexandrowicz jednak krótko przed rewizją usunął z biura Kuźniarza wszystkie kompromitujące dokumenty. Wedle innej wersji przyczyną represji było doniesienie jednego ze zwolnionych pracowników polskiego attachatu wojskowego, który z zemsty miał zadenuncjować jego działalność wywiadowczą Rumunom albo wprost Niemcom. Alexandrowicz i ten powód kwestionuje: od września 1939 roku wywiad rumuński i niemiecki systematycznie zajmowały się Ambasadą polską i doskonale orientowały się we wszystkich interesujących ich zagadnieniach. Bardzo wątpliwe, by pojedynczy donos mógł stać się źródłem jakiejś rewelacji. Sam Alexandrowicz z jednej strony uważa, że wobec całkowitego zdominowania życia rumuńskiego przez Niemców dalsza działalność Ambasady RP i Delegatury Rządu była niemożliwa. Próba ucieczki Becka stała się wygodnym pretekstem dla likwidacji placówek polskich w Bukareszcie. Policja chciała powiązać z ucieczką byłego ministra nawet osoby, które były jego zdeklarowanymi przeciwnikami. Z drugiej strony Alexandrowicz wskazuje, że „wszyscy aresztowani kierownicy placówek w Bukareszcie byli w ostrym konflikcie z naszą Ambasadą. Poza tym Komisja Badawcza była również w ostrym konflikcie z Delegaturą Rządu RP. Konflikt ten, jeśli chodzi o panów Ostaszewskiego, Kuźniarza i Alexandrowicza, polegał na sprawie Jerzego Giedroycia, prywatnego sekretarza ambasadora Raczynskiego i jego osobistego przyjaciela”.⁵⁰ Alexandrowicz nie ma wątpliwości, że dochodzenie wykazało niezbicie winę Giedroycia i jego „wspólników”. Co więcej, sugeruje, że proceder ich miał ogromny zasięg i daleko idące następstwa: „Na skutek licznych skarg i powszechnego oburzenia w związku z wysyłaniem znacznej ilości Żydów na Cypr przez Delegaturę RP w Bukareszcie oraz z uwagi na coraz bardziej powtarzające się oskarżenia, iż działa się to niebezinteresownie, Komisja Badawcza wszczęła w tej sprawie dochodzenie. Wywołało to z kolei oburzenie ministra Arciszewskiego, który również, jak

50. „Przedstawienie...” *op. cit.*

ambasador Raczyński, podał się do dymisji. Sytuacja była niebywale trudna, ponieważ skandaliczne wprost i nagminne wysyłanie Żydów na Cypr było dowodowo ustalone, zaś min. Arciszewski uważał, iż wszelkie dochodzenie w tej sprawie godzi w niego osobiście i jest podrywaniem jego autorytetu oraz ukrytą z nim walką”. Alexandrowicz sugeruje więc, że komuś w Ambasadzie zależało na skompromitowaniu, jeszcze przed zwinięciem polskich placówek, osób niechętnych Giedroycowi, a więc także Raczyńskiemu i Arciszewskiemu, przez przypisanie im udziału w przygotowaniach do ucieczki Becka. Aresztowanych przez policję można by następnie obciążyć częściową odpowiedzialnością za zerwanie polsko-rumuńskich stosunków dyplomatycznych: radca Kuźniarz dokonywał niezgodnych z prawem operacji finansowych, mjr Orłowski nieudolnie kierował Ekspozyturą, nie umiejąc nawet zadbać o bezpieczeństwo najbardziej tajnych dokumentów wywiadowczych. Tak więc opinia publiczna i zwierzchnicy winni wysnuć wniosek, że ci, którzy domagali się głowy Giedroycia, sami okazali się ludźmi nie do końca uczciwymi, a z całą pewnością nieudolnymi, przynoszącymi państwu ogromne szkody. „Ostateczne przekonanie o prawdziwych powodach, które spowodowały aresztowania, rewizje i w konkluzji wyjazd Ambasady RP z Bukaresztu – pisze Alexandrowicz do ministra sprawiedliwości – powziąć by można oczywiście dopiero po udostępnieniu akt policji rumuńskiej. Na razie stwierdzić należy, że bardzo niepokojącym objawem jest dziwny wybór ludzi, których aresztowano. Nie da się zapewne stwierdzić z pożądaną ścisłością, czy i kto udzielił ostatnio władzom rumuńskim pewnych informacji. Jedno jest tylko pewne: gdyby policja rumuńska otrzymała informacje z kół Ambasady RP, aresztowania nie wypadłyby inaczej, niż wypadły w rzeczywistości. Aresztowani zostali znani i zdeklarowani przeciwnicy ucieczki Becka i urzędowania w Ambasadzie Jerzego Giedroycia, wywierającego na ambasadora Raczyńskiego przemożny wpływ”.

Rozpoznajemy w „Przedstawieniu” Alexandrowicza ten sam styl, co w „Zapiskach dochodzenia” Orłowskiego: jakieś fakty i domysły pozwalają domniemywać, że ktoś zawinił, a więc jego winę można uznać za udowodnioną. Alexandrowicz

powtarzał opinię swego środowiska. Także Jerzy Kurcysz nie miał wątpliwości, że aresztowania były następstwem denuncjacji dokonanej przez „dygnitarzy bukareszteńskich” pragnących pomścić fiasko ucieczki Becka i dochodzenie przeciw Giedroyciowi, „za którym twardo stał Raczyński razem ze swoją kompanią”.⁵¹

Intrygi Alexandrowicza i jego współpracowników w Bukareszcie wynikały z antysanacyjnej obsesji sikorszczyków, a zwłaszcza ministra St. Kota. W „Autobiografii...” Giedroyc pisze, że był on przekonany o istnieniu tajnego rządu sanacyjnego w Rumunii, gotowego do wkroczenia do Kraju zaraz po zakończeniu wojny. Kot uważał Giedroycia za sekretnego przedstawiciela tego rządu w Bukareszcie, osobę przebiegłą i wielce niebezpieczną (A 85-86). Autorzy raportów i doniesień z Bukaresztu, dzieląc antysanacyjną obsesję Kota, starali się przekazywać mu taki obraz rzeczywistości, w jaki wspólnie wierzyli. Sprawa wytoczona Jerzemu Giedroyciowi miała być jeszcze jednym argumentem dowodzącym *moral insanity* ludzi sanacji, ułomności nieuleczalnej nawet w obliczu największych klęsk narodu. Uderzenie w Giedroycia godziło pośrednio w ambasadora Raczyńskiego, jego przełożonego, który, nie umiając uwolnić się od dawnych przyjaźni i lojalności, nie dostrzegał korupcji w swoim najbliższym otoczeniu.

Po zawieszeniu stosunków między Polską a Rumunią 4 listopada 1940 Ambasada została ewakuowana do Stambułu. Na mocy porozumienia polsko-chilijskiego interesy polskie miał reprezentować Wydział Polski przy Poselstwie Chile w Bukareszcie. Rumuni zgodzili się na to pod warunkiem, że pracownicy Wydziału nie będą się rekrutowali z personelu dyplomatycznego byłej Ambasady. Szefem Wydziału został Władysław Wolski (był dobrze znany władzom rumuńskim, miał stosunki w kierownictwie Żelaznej Gwardii), jego zastępcą mianowano Jerzego Giedroycia. Personel Wydziału Polskiego liczył 13 osób (oraz 3 osoby dodatkowe). Zakres

51. List Jerzego Kurcysza do prof. Kota z 18 listopada 1940, [w:] Bernadetta Tendyra, „Archiwum prof. Stanisława Kota”. *Zeszyty Historyczne*, z. 75, 1986, s. 149. Przygotowania do ucieczki Becka były tajemnicą Poliszynela. Wiedzieli o nich Rumuni, a także Polacy, m.in. Alexandrowicz i Kuźniarz. Oni też powiadomili rząd.

prac Wydziału obejmował opiekę nad takimi organizacjami i dziedzinami jak: YMCA, szkolnictwo, zapomogi, fundusz „zapomogowo-dożywieniowo-odzieżowy”. Preliminarz budżetu na listopad 1940 opiewał na 3 mln 150 tys. 204 leje; w tym uposażenia: 392 tys. 200 lei; finansowanie YMCA: 1,5 mln lei; szkolnictwo: 40 tys.⁵² Nieoficjalnie Wydział miał wypełniać takie zadania zlikwidowanej Ambasady i attachatu wojskowego, jak: nawiązywanie i podtrzymywanie kontaktów z krajem, wysyłanie żołnierzy i oficerów WP z Rumunii na Zachód. Były to prace tajne, finansowane ze środków pozabudżetowych, tj. gotówki pozostawionej przez ambasadora Raczyńskiego.⁵³ Jednym z pierwszych zadań było „posprzątanie” po Ambasadzie, która wyjechała w popłochu. Kontrolując jej gmach Giedroyc i jego współpracownicy znaleźli wojskowe mapy sztabowe Bałkanów, skrzynie z pistoletami ViS i amunicją, sprzęt radiotelegraficzny. Mapy – jak się okazało – bardzo cenne – przekazano Anglikom, a broń zatopiono (A 95-96).

Mimo oficjalnego szyldu placówka polska w Bukareszcie była ledwie tolerowana przez władze rumuńskie. Pracowników nie chronił immunitet dyplomatyczny ani autorytet państwa. W listopadzie 1940 Rumunia, rządzona od września przez dyktatora gen. Antonescu, przystąpiła do Osi. Faszystowska Żelazna Gwardia dokonywała mordów skrytobójczych i pogromów antyżydowskich. W kraju stacjonowały wojska niemieckie. Rwał się kontakt między Wydziałem a Ambasadą RP w Stambule. „Nie masz pojęcia – pisał Giedroyc do Raczyńskiego w pierwszej połowie listopada – co dla nas znaczy list z wiadomościami. Człowiek tak się czuje czasami zgubiony i odcięty aż śmiesznie. Zupełnie jak dziecko w lesie w nocy. Trudno się przyzwyczaić do nowych warunków,

52. Preliminarz budżetu Wydziału Polskiego na listopad 1940, IPMS, 482/15.

53. Zob. list Giedroycia do R. Raczyńskiego z 14 stycznia 1941: „...praktycznie od grudnia finansuję całą akcję polityczną, informacyjną etc. z pieniędzy przez Ciebie zostawionych, gdyż inaczej by to wszystko stanęło”. Także list z 7 lutego 1941: „...mamy dzięki Twoim zasobom trochę kontaktów w Sigurancy i to [pozwolenie opuszczenia Rumunii] się jakoś przepycha” (IPMS 482/30).

gdzie trzeba na wszystko uważać i wszystkiego się wystrzegać i gdzie się jest człowiekiem właściwie poza prawem”.⁵⁴

Trudności i konflikty pojawiły się już na początku listopada, kiedy funkcję zwierzchnika Wydziału Polskiego pełnił *chargé d'affaires* Miguel A. Rivera. Sabotował on pracę Wydziału odmawiając podpisywania dokumentów i rachunków, nie przychodził do biura.

Dlaczego wybrano właśnie Poselstwo chilijskie? Wybór ten nie był przypadkowy. Z chilijską służbą dyplomatyczną związany był Samson Mikiciński, Żyd polski, cieszący się zaufaniem min. Kota.⁵⁵ Właśnie Mikiciński, pełniący w Poselstwie chilijskim funkcję szefa kancelarii, objął kontrolę nad Wydziałem Polskim.⁵⁶ Stał on się zwierzchnikiem Giedroycia i, jak się wkrótce okazało, jego przeciwnikiem. W listopadzie 1940 Mikiciński miał już bogatą biografię wojenną i był osobą znaną w polskich kręgach politycznych.

Pojawił się we Francji w listopadzie 1939.⁵⁷ Podając się

54. List Giedroycia do R. Raczyńskiego z pierwszej połowy listopada 1940 (bez daty), IPMS, 482/30.

55. „Był to pomysł profesora Kota, żeby opiekę interesów polskich powierzyć poselstwu chilijskiemu” – wspomina Giedroyc („Rozmowa z Jerzym Giedroyciem...” Cyt. za: „Zostało tylko słowo...”, *op. cit.*, s. 68). Oficjalnych tytułów Mikicińskiego, jak „konsul Chile w Polsce” czy „szef kancelarii Poselstwa Chile” nie należy traktować poważnie. W imieniu Poselstwa Chile w pertraktacjach ze stroną polską występował *chargé d'affaires* Miguel A. Rivera (zob. pismo R. Raczyńskiego do MSZ nr 49/R/1940 z 30 XI 1940, IPMS, PRM 32).

56. Wybór przedstawicielstwa Chile i Mikicińskiego nie był z pewnością konsultowany z Rogerem Raczyńskim. W liście ze Stambułu z 2 XII 1940 do Edwarda Raczyńskiego ambasador pisał, że „Mikiciński ma opinię, również u Anglików, agenta gestapo” (IPMS, 23 H/148). Roli Mikicińskiego nie mógł zrozumieć mjr Orłowski, szef kontrwywiadu na Rumunię. Twierdził, że Mikiciński został przez II Oddział rozpracowany i nie mógł uwierzyć, że jest on mężem zaufania Londynu (List Giedroycia do R. Raczyńskiego z 12 grudnia 1940, IPMS 482/30).

57. Samson Mikiciński (1895-1941), urodził się gminie Bośki w powiecie Bielsk Podlaski w zamożnej rodzinie żydowskiej. Dzieciństwo spędził w Petersburgu, gdzie rozpoczął również studia prawnicze. W czasie I wojny światowej powołany został do armii rosyjskiej. Po rewolucji bolszewickiej walczył w armii gen. Denikina i doszedł do stopnia kapitana artylerii. Do 1928 przebywał we Francji, Belgii i Niemczech. Utrzymywał się z dorywczych zajęć, wspomagala go matka zamieszkała w Nowym Jorku.

za konsula chilijskiego, jadącego do Warszawy zlikwidować poselstwo, ofiarował pomoc w ewakuacji rodzin, przekazywaniu listów i pieniędzy. Szmuglował też za odpowiednio wysokim okupem przedmioty wartościowe, biżuterię, obrazy. Podejmował się również przewozu na Zachód osób z kraju. Zdobył zaufanie adiutanta gen. Sosnkowskiego, który rekomendował go swemu przełożonemu jako osobę wiarogodną (Mikiciński wywiózł z Polski panią Sosnkowską). „Konsul” chilijski musiał mieć poparcie również innych osób, skoro premier Sikorski zdecydował się powierzyć mu przewóz pieniędzy rządowych do kraju. Już po wyjeździe Mikicińskiego zjawili się u Sosnkowskiego oficerowie polskiego kontrwywiadu z wiadomością, że „konsul” był przed wojną konfidentem Oddziału II, ale podejrzewano go o „pracę na dwie ręce”. Powiadomiony o tym został premier, który zdecydował, żeby nie zatrzymywać Mikicińskiego w drodze, lecz ostrzec wszystkie zainteresowane osoby w Kraju. Sosnkowski

Po powrocie do Polski zamieszkał w Łodzi, gdzie za pieniądze otrzymane od matki założył własną firmę, która jednak w 1934 zbankrutowała. Następnie pracował w różnych firmach w Warszawie. Zwrócił się do II Oddziału z propozycją współpracy – udzielania wywiadowi sowieckiemu kontrolowanych informacji. Oferta została odrzucona, bo Mikiciński nie wzbudził zaufania. Chilijski paszport dyplomatyczny uzyskał w październiku 1939 roku w Paryżu.

Postać Mikicińskiego doczekała się dwóch skrajnie odmiennych ocen: Władysława Michniewicza (Ladislas Michniewicz, „Operation Haifa”. Casterman. Tournai 1969), i Kazimierza Iranka-Osmeckiego („Afera Mikicińskiego”. *Zeszyty Historyczne*, z. 32, 1975). Pierwszy uważa go za polskiego patriotę i bohatera, ofiarę rozgrywek politycznych i służb wywiadowczych; drugi – za podwójnego agenta, dla którego przewożenie pieniędzy rządowych do Polski było maską dla usług oddawanych Abwehrze: „lojalność i wierność zachowywał dla jednej tylko strony – tej silniejszej”. Iranek-Osmecki odwołuje się do własnych wspomnień (był emisariuszem do Warszawy w 1940 i 1941) i do dokumentów; Michniewicz polega całkowicie na wypowiedziach min. Kota, który sam zaangażował Mikicińskiego jako emisariusza rządu do kraju i nie przyjmował do wiadomości kompromitujących go świadectw (Recenzja pracy Michniewicza pióra Iranka-Osmeckiego: „Szkodliwa książka”, *Zeszyty Historyczne*, z. 18 1970; polemika Michniewicza „Szkodliwa książka?” *Zeszyty Historyczne*, z. 20, 1971). Informacje o Mikicińskim w „Autobiografii...” Giedroycia (s. 94) zawierają nieścisłości i błędy.

Listy Jerzego Giedroycia do Rogera Raczynskiego z 1940/1941 z Bukaresztu (IPMS 482/30) przyznają słuszość Irankowi-Osmeckiemu.

nakazał zerwanie z Mikicińskim wszelkich kontaktów. Nie zastosował się do tego Oddział Polityczny kierowany przez prof. Kota.

Pewne informacje własnego kontrwywiadu nie powstrzymały premiera Sikorskiego przed powierzeniem Mikicińskiemu rządowych pieniędzy. Na początku lutego 1940 pojawił się on w Ambasadzie RP w Bukareszcie, poprzedzony pismem premiera polecającym przekazać mu wszystkie zasoby placówki w złotych bez liczenia i bez pokwitowania. Kazimierz Iranek-Osmecki wspomina, że przed przyjazdem Mikicińskiego do Bukaresztu oficer angielski uprzedził Ekspozyturę II Oddziału, że Anglicy podejrzewają „konsula” chilijskiego o kontakty z Niemcami. Odbierając gotówkę w Ambasadzie (siedem milionów złotych w siedmiu workach)⁵⁸, Mikiciński stwierdził, że przewiezie ją do Polski sam dzięki swemu statusowi dyplomatycznemu, i odrzucił ofiarowaną przez polskich oficerów pomoc. O respektowaniu przez Niemców statusu dyplomatów akredytowanych przy rządzie RP nie mogło być mowy, gdyż okupanci nie uznawali państwa polskiego. Wszystkie placówki dyplomatyczne w Kraju zostały zwinięte. Nie było wątpliwości, że Mikiciński cieszył się specjalnymi względami Niemców. W Rumunii „konsul” Mikiciński rozwinął szeroko zakrojoną akcję, zbierając w miejscach internowania i pobytu Polaków pieniądze celem przekazania ich rodzinom w kraju (za pośrednictwo pobierał 15% prowizji). Po kilku tygodniach okazało się, że pieniądze te były wypłacane krajowym adresatom przekazów. Żaden z odbiorców nie spotkał się z tego powodu z szykanami władz okupacyjnych.

Polski kontrwywiad ustalił, że Mikiciński spotyka się z przybyłym z Berlina kapitanem Abwehry Erichem Nobisem, kurierem dyplomatycznym. Z nim właśnie Mikiciński polecał do Berlina. Worki z pieniędzmi zostały odprawione na lotnisku jako bagaż dyplomatyczny kpt. Nobisa. O po-

58. Według Wojciecha Krzyżanowskiego Mikiciński przyszedł do ambasady z olbrzymim workiem, do którego zapakował pliki banknotów (W. Krzyżanowski, „Lata bukareszteńskie” [3]. *Zeszyty Historyczne*, z. 43, 1977, s. 178-179). Jeżeli, jak podaje Iranek-Osmecki, było to rzeczywiście 7 milionów, to w jednym worku zmieścić się nie mogło.

czynaniach „konsula” w Polsce Iranek-Osmecki dowiedział się w listopadzie 1940 w Warszawie od samego Komendanta Głównego ZWZ gen. Stefana Roweckiego. Okazało się, że Mikiciński pieniądze do Polski przywoził już parokrotnie, w tym duże kwoty od rządu dla osób i organizacji. Zachowywał się niekonspiracyjnie, adresatów poszukiwał przez telefon, wzywał ich do siebie lub wyznaczał spotkania w miejscach lub lokalach publicznych. W tej sytuacji wiele osób rezygnowało z pieniędzy albo wprost schodziło do konspiracji, obawiając się aresztowania. Generał Rowecki zlecił ścisłą obserwację Mikicińskiego i prosił Londyn o staranniejszy dobór emisariuszy. Wywiad ZWZ ustalił, że „konsul” był w Polsce pod ścisłą kontrolą Abwehry, spotykał się z kpt. Nobisem. Odwiedzał też biura Gestapo w alei Szucha. Jednocześnie żadna z osób kontaktujących się z Mikicińskim nie wpadła z tego powodu, co tłumaczono dążeniem Abwehry do niekompromitowania „konsula” w oczach Polaków. Zaaranżowano nawet ostentacyjną rewizję w warszawskim mieszkaniu Mikicińskiego, o której nie omieszkła donieść *Warschauer Zeitung*. Ale „konsul” w Polsce się już nie pokazał. W listopadzie 1940 został zwierzchnikiem Wydziału Polskiego przy Poselstwie chilijskim w Bukareszcie.

Zwierzchnictwo Mikicińskiego narzucili Wydziałowi Polskiemu Chilijczycy lub sam min. Kot, który bardziej ufał jemu niż Giedroycowi. W liście z 8 listopada 1940 Giedroyc pisał do Raczyńskiego do Stambułu, że Mikiciński „przydzielił się z miejsca do poselstwa (...) wtrąca się we wszystkie drobiazgi, żąda podpisywania wszystkich kwitów (...) liczę, że zrobisz wszystko, by tu nie wrócił lub (...) wrócił [ze Stambułu] maksymalnie skrzepowany”. Giedroyc prosił o opracowanie statutu Wydziału i formalne pisemne mianowanie jego urzędników przez władze polskie.⁵⁹ Mikiciński traktował Wydział jako narzędzie i parawan dla własnych nielegalnych przedsięwzięć, ale interesował się również ewakuacją żołnierzy polskich na Zachód (A 94). Kiedy Giedroyc stanowczo odmówił mu wglądu w te dokumenty, został przez Mikicińskiego 2 grudnia usunięty ze stanowiska.

59. IPMS 482/30.

Oświadczył on Giedroycowi, że to władze rumuńskie nie wyraziły zgody na funkcjonowanie Wydziału Polskiego. Tymczasem Rumunom chodziło tylko o Wolskiego, byłego pracownika Ambasady, którego nakazali wyłączyć ze składu osobowego Wydziału Polskiego. Poselstwo nie tylko nie zaprotestowało, ale odpowiedziało władzom rumuńskim, że właściwie wszyscy pracownicy są byłymi urzędnikami.⁶⁰ Nie dotyczyło to Giedroycia, który pracownikiem Ambasady nigdy nie był. Mikiciński nie zamierzał tego jednak Rumunom wyjaśniać. Jednocześnie mianował on nowego kierownika Wydziału – dra Henryka Blenaua.⁶¹ Jemu w zaufaniu powiedział, że Giedroyc i Wolski zostali usunięci na telegraficzne polecenie premiera Sikorskiego, które Mikiciński miał otrzymać w Stambule. Wobec braku kontaktu z władzami polskimi Giedroyc był bezsilny. Od likwidacji Ambasady RP w Bukareszcie (tj. od 4 listopada 1940) Wydział Polski nie otrzymał z Ambasady w Stambule żadnych, ani oficjalnych, ani prywatnych, informacji. W liście do Raczyńskiego z 6 grudnia Giedroyc tak charakteryzował sytuację Wydziału Polskiego:

W tej chwili jest tu kompletny chaos. Mniejsza o sprawy prestiżowe, jakkolwiek bardzo nieprzyjemne. Bo w rezultacie przetrzymaliśmy najtrudniejszy miesiąc, uporządkowaliśmy z grubsza bałagan, jaki powstał po wyjeździe placówki, przeszliśmy osobiście aresztowania i rewizje bez najmniejszej pomocy ze strony Poselstwa Chile i, mimo zaważenia pracami techniczno-filantropijnymi, mieliśmy możliwość i czas organizować stronę polityczno-informacyjną, wywiadowczą oraz kontakt z Krajem. Przykro też, że w zamian za to zostało się kopniętym bez najmniejszego „dziękuję”, wtedy, kiedy i rząd, i Wy macie co tydzień moż-

60. Listy Giedroycia do R. Raczyńskiego z 12 i 14 grudnia 1940, IPMS, 482/30.

61. Dr Henryk Blenau był warszawskim adwokatem i działaczem samorządu stołecznej palestry. Wbrew informacji zawartej w książce T. Dubickiego, „Polscy uchodźcy...”, *op. cit.* (s. 130) nie był on *chargé d'affaires* Poselstwa Chile w Rumunii. Tytułu tego Blenau używał bezprawnie (zob. list Giedroycia do R. Raczyńskiego z 7 lutego 1941, IPMS, 482/30).

ność komunikowania się z nami chociażby przez Anglików.⁶²

Giedroyc opisywał Raczyńskiemu machinacje i oszustwa Mikicińskiego, który kradł czyste paszporty polskie, a nawet zamawiał w drukarni nowe blankiety. Mikiciński i Rivera – pisał Giedroyc:

*zakroili tu ogromną aferę wywożenia Żydów rumuńskich za naszymi paszportami z ich pieniędzmi. Sprawa była znana Żelaznej Gwardii i policji i w niedzielę ubiegłą został aresztowany Muszyński, który wioził Mikowi pieniądze zainkasowane w Konstancy, a sam Mik[iciński] został przy wyjeździe aresztowany, przetrzymany szereg godzin, rewidowany do goła i wypuszczony z postawieniem stempla w paszporcie, że nie ma prawa wrócić do Rumunii. Ponieważ Mik (...) występował jako Polak, mąż zaufania Londynu etc., więc całe odium spadło na Wydział Polski i stąd represje.*⁶³

W wyniku intryg Mikicińskiego w połowie grudnia z całego Wydziału został tylko dr Blenau, człowiek słaby, planujący legalny powrót do Kraju. Dzięki dobrym stosunkom wśród Rumunów i wsparciu poselstwa angielskiego Giedroyc mógł dalej prowadzić działalność. Usunięty z pomieszczeń biurowych urzędował w mieszkaniach prywatnych, kawiarniach, a nawet w budynkach zarekwirowanych przez Niemców, jak hotel Athénée Palace, gdzie „dla zwykłej publiczności dostępny był tylko parter z barem i czytelnia – wspominał Giedroyc. – Tam głównie urzędował Władek Wolski.

62. List Giedroycia do R. Raczyńskiego z 6 grudnia 1940, IPMS 482/30. W tym samym liście, zmęczony presją wypadków, pisał: „SPRAWY OSOBISTE. Te są proste. Staram się, by wysiedzieć tu jak najdłużej, by jak najwięcej pomóc czy zrobić. Uspokój – jeśli się kto tym niepokoi – że ani reflektuję na żadną posadkę, ani nikogo tu nie chcę zwalczać. Ponieważ widzę, że to wszystko bezsilnie tonie, i tak się składa, że lepszego ode mnie nie ma, to trzeba będzie pomagać dokąd można. Jeśli mnie wywalą, to z niechęcią zjadę do Stambułu”.

63. List Giedroycia do R. Raczyńskiego z 12 grudnia 1940, IPMS 482/30.

Było to niewątpliwie najbezpieczniejsze miejsce” (A 94-95). Giedroyc, Wolski, Mościbrodzki (pseudonim kapitana Bolesława Ziemiańskiego, oficera kontrwywiadu) i Ryszard Piestrzyński wciąż zajmowali się sprawami polskimi, zwłaszcza ekspediowaniem żołnierzy na Zachód i ewakuacją uchodźców. Zabiegali też o uwolnienie aresztowanych przez Rumunów w październiku 1940 roku polskich urzędników i oficerów kontrwywiadu. Udało im się m.in. wydostać z więzienia i wysłać do Turcji majora Stanisława Orłowskiego, szefa Ekspozytury „R” II Oddziału.⁶⁴ Ekipa Giedroycia nie miała jednak dla swojej działalności żadnego oficjalnego mandatu. Nawet pracownicy Poselstwa angielskiego, z którym Polacy ściśle współpracowali, nie kryli swych wątpliwości.

*Taktyka, jaką (...) stosujemy jest ta – pisał Giedroyc do Raczyńskiego – że stwierdzamy naszą nieufność do Chilijczyków, specjalnie co do Mika [Mikicińskiego], nie wypowiadamy się co do obecnego składu Wydziału Polskiego, a co do siebie, podkreślamy, że czekamy na decyzję władz polskich, które nam zleciły interesy polskie, i że decyzja władz polskich jest dla nas jedynie miarodajna, a nie zwolnienie Chilijczyka. No i że mamy nadzieję, że ta decyzja lada dzień nadejdzie. Raz jeszcze apeluję, by nacisnąć Londyn. Może zagrożenie ich blamażem u Anglików ich wstrząśnie. (...) My tymczasem amcimy, mając niestychanie głupią sytuację wobec wszystkich, nie wyłączając Anglików, no i mimo wszystko ryzykujemy osobiście diablo dużo, mając w zamian błoto zamiast podziękowania.*⁶⁵

Władze polskie żądały od ekipy Giedroycia wykonywania zadań, ale nie dawały żadnego wsparcia i nie dezawuowały Mikicińskiego. Tymczasem sytuacja była poważna, bo z wydawanymi przez niego i wizowanymi przez Brytyjczyków

64. List Giedroycia do R. Raczyńskiego z 14 stycznia 1941, IPMS 482/30.

65. *Ibidem*.

paszportami polskimi do Anglii przedostać się mogli agenci niemieccy. Jeżeli Poselstwo angielskie wciąż dawało Polakom wizy, to działało się tak tylko dzięki zaufaniu *chargé d'affaires* Roberta Hankeya do ludzi Giedroycia. Kiedy Hankey zwrócił się w połowie stycznia do Blenaua z ofertą współpracy przy ewakuacji z Rumunii dzieci polskich, ten odmówił. Tłumaczył się brakiem instrukcji od rządu, zakazem Mikicińskiego i pustkami w kasie. Zaproponował, żeby Anglicy sami tę akcję sfinansowali. „Wyszedł mały skandal – komentował sprawę Giedroyc – gdyż Hankey wyszedł wściekły, a Blenau rozpowiada rozmowę w najdrobniejszych szczegółach wszystkim”.⁶⁶

W rezultacie Poselstwo angielskie faktycznie przejęło interesy polskie, podejmując się wydawania Polakom not werbalnych do zagranicznych konsulatów. Jednocześnie Anglicy uprzedzili Turków, by nie honorowali not chilijskich i Wydziału Polskiego. Zamierzali też powołać „tajny” wydział polski przy swoim poselstwie. „To jest niesamowita kompromitacja naszego rządu – pisał Giedroyc. – Sytuacja jest dla nas niezmiernie głupia (...). Nie możemy bowiem angażować się (nawet bezinteresownie) na pracę u Anglików bez polecenia jakiegoś czynnika polskiego. Sprawa jest (...) tym pilniejsza, że w tej chwili mamy, jak już wiesz z depeszy, koło 300 osób do wojska”.⁶⁷ Taki nieoficjalny wydział przy poselstwie brytyjskim w postaci ekipy Giedroycia istniał *de facto* od początku grudnia 1940, kiedy Mikiciński sparaliżował pracę oficjalnego Wydziału Polskiego, czyniąc zeń narzędzie swoich malwersacji i oszustw. Gdyby nie ryzykowna improwizacja Giedroycia i jego współpracowników, tysiące uchodźców polskich w Rumunii pozbawionych by zostało opieki konsularnej, a częściowo i materialnej, setki żołnierzy i oficerów nie wydostałoby się z obozów internowania (co oznaczało – jak się wkrótce okazało – wydanie Niemcom).

W styczniu 1941 roku Mikiciński – skompromitowany

66. *Ibidem*.

67. List Giedroycia do R. Raczyńskiego z 17 stycznia 1941, IPMS 482/30.

w Rumunii – wyjechał do Turcji. W jednej ze stambulskich kawiarni miał – według Krzyżanowskiego – wznowić działalność swojego kantoru transferowego. 16 stycznia porwany został przez oficerów polskiego kontrwywiadu (z Ekspozytury „R”)⁶⁸ i angielskim samolotem przewieziony do Hajfy w Palestynie. Przyznał się do kontaktów z Abwehrą i przekazywania „nieistotnych” informacji, ale zaprzeczył, że był jej agentem. W połowie 1941 r. Mikiciński zginął w Palestynie, zastrzelony podczas próby ucieczki.⁶⁹

W lutym 1941 stosunki brytyjsko-rumuńskie zostały zerwane, Poselstwo zlikwidowane. „Hankey – wspomina Giedroyc – przyjechał do mnie i powiedział, że za dwie godziny wyjeżdżają i że muszę wyjechać z nimi, gdyż wedle ich informacji, grozi mi niebezpieczeństwo” (A 95). 16 lutego Tatiana Giedroyc i Jerzy Giedroyc przybyli statkiem, przez Konstancę, do Stambułu.⁷⁰ Epizod rumuński i pierwsze emigracyjne doświadczenie polityczne Redaktora zostały zakończone.

Andrzej Stanisław KOWALCZYK

68. Akcję zorganizował i przeprowadził ppor. Edward Szarkiewicz. Michniewicz przedstawia go jako dyletanta wywiadowczego, człowieka prymitywnego i karierowicza. Stanowczo przeciwstawia się temu Iranek-Osmecki, który Szarkiewicza znał osobiście. Píše, że był to człowiek o wielkiej przedsiębiorczości, ambitny i zarozumiały, ale o żywej i szerokiej inteligencji. Przed wojną był zaangażowany w handel bronią na rynkach międzynarodowych. Niezależny finansowo (był właścicielem kina w Londynie) pracował w wywiadzie polskim bezinteresownie. Miał pasję ścigania przestępstw („Szkodliwa książka”, *op. cit.*, s. 229).

69. Iranek-Osmecki, „Afera Mikicińskiego”, *op. cit.* Krzyżanowski sugeruje, że został utopiony w morzu; rybacy tureccy mieli w lutym 1941 wyłowić jego zwłoki zaszyte w worku obciążonym kamieniami („List do Redakcji”. *Zeszyty Historyczne*, z. 34, 1975, s. 234). Miałby więc zginąć zaraz po porwaniu. Wiarygodny jest oczywiście Iranek-Osmecki, który znał sprawę z pierwszej ręki i powołuje się na dokumenty.

70. M. Sokolnicki, „Dziennik...”, s. 172 (zapis z 16 lutego 1941).

Marek BIAŁOKUR

MANNERHEIM A POLSKA PRZYCZYNEK DO BIOGRAFII MARSZAŁKA FINLANDII

Carl Gustaf Emil baron Mannerheim to postać, która w historii Finlandii budzi podobne emocje jak Marszałek Józef Piłsudski w Polsce. Biografie Mannerheima i Piłsudskiego, podobnie jak dzieje Finlandii i Polski mają wiele elementów wspólnych. Na analogie te uwagę zwracali już na początku XX wieku tacy znawcy problematyki narodowościowej, jak Leon Wasilewski¹ czy Władysław Studnicki². Podkreślali oni przede wszystkim realia XIX wieku, kiedy to Finlandia w całości, a Polska w przeważającej części znalazły się w granicach carskiej Rosji³. Także czas uzyskania samodzielności

1. Zob. L. Wasilewski, „Finlandia”, Kraków 1925. Rola i wpływ Leona Wasilewskiego na kształt polskiej polityki wobec państw bałtyckich m.in. Finlandii zob.: A. Skrzypek, „Związek Bałtycki. Litwa, Łotwa, Estonia i Finlandia w polityce Polski i ZSRR w latach 1919-1925”, Warszawa 1972, s. 27-29.

2. W. Studnicki, „Finlandja i sprawa finlandzka”, Kraków 1910.

3. Finlandia do 1809 r. stanowiła integralną część Królestwa Szwecji, by w wyniku przegranych przez Szwecję kilku wojen z Rosją ostatecznie, po traktacie w Tylży, przejść pod panowanie rosyjskie. W ramach Imperium Finlandia miała w latach 1809-1917 status autonomicznego Wielkiego Księstwa. Problematyce wzajemnych relacji fińsko-rosyjskich w odniesieniu do przełomu XIX i XX wieku poświęcona jest praca: B. Szordy-

państwowej był w Finlandii, tak jak w Polsce spowodowany następstwami Wielkiej Wojny (1914-1918), wydarzeniami rewolucyjnymi w Rosji i Niemczech⁴ oraz walką obydwu narodów, którym w tym tak ważnym momencie dziejowym przewodzili wymienieni na wstępie dwaj wielcy mężowie stanu XX-wiecznej historii⁵. Do wzajemnych relacji między Mannerheimem a Piłsudskim powrócę w dalszej części tekstu.

Historię wojny i pokoju można i należy studiować nie tylko na podstawie dokumentów, ale i ludzkich losów. To wielokrotnie już cytowane stwierdzenie pasuje jak żadne inne do postaci marszałka Carla Gustawa Emila barona von Mannerheima. Koncentrując uwagę głównie na tych aspektach jego działalności, które dotyczą Polski i Polaków, warto przywołać kilka najważniejszych faktów z jego biografii.

Urodzony 4 czerwca 1867 r. w majątku Louhisaari w Finlandii, Carl Gustaf Emil baron von Mannerheim pochodził z arystokratycznej rodziny mającej szwedzkie korzenie. W roku 1886 porzucił fińską szkołę kadetów i poświęcił się zawodowej służbie wojskowej w armii rosyjskiej⁶ – zdając

kowskiej, „Finlandia w polityce caratu w latach 1899-1914. Problemy rusyfikacji i unifikacji”, Gdańsk 1994.

4. L. Wasilewski, *op. cit.*, s. 157; B. Szordykowska, *op. cit.*, s. 5. Por. A. Bregman, „U sąsiadów imperium sowieckiego”, [w:] „Finlandyzacja”, Kraków (b.r.w.), s. 33-58, w tekście tym czytamy m.in. „żaden bodaj kraj europejski nie jest dla nas tak interesujący jak Finlandia. Tak jak duża część Polski należał długo do państwa carów. Jak Polska odzyskała niepodległość w 1918 r. Gdy Polska upadła pod ciosami najpierw Niemiec, a następnie Sowietów, Finlandia padła ofiarą agresji sowieckiej jeszcze w tym samym 1939 roku”.

5. Wskazania elementów łączących narody Finlandii i Polski podjął się ostatnio także estoński historyk, znawca problematyki państw bałtyckich Raimo Pullat w pracy: „Stosunki polsko-fińskie w okresie międzywojennym”, Warszawa 1998. Zob. rozdział I: Finlandia i Polska – różnice i podobieństwa).

6. Informacje biograficzne dotyczące Mannerheima zaczerpnięte zostały przede wszystkim z jego wspomnień, wydanych we fragmentach w Polsce; zob.: C. G. Mannerheim, „Wspomnienia”, Gdynia 1996. Wykorzystano także szkic biograficzny pt. „Pierwszy Marszałek Finlandii” zamieszczony [w:] *Przegląd polsko-fińsko-estoński*, nr 5 z 6 XII 1937; artykuł: „Bohater finlandzkiej”, [w:] *Czas*, nr 286 z 4 XI 1919. Zob. także: T. Konecki, „Wojna radziecko-fińska 1939-1940”, Warszawa 1998, s. 66-67. Znamiennym jest, że w Polsce do dziś nie ukazała się żadna rodzima czy też obcojęzyczna biografia Mannerheima.

wcześniej egzamin maturalny w Helsinkach, który był jednym z warunków przyjęcia do elitarnej Mikołajewskiej Szkoły Kawalerii, którą ukończył z bardzo dobrymi wynikami w roku 1889⁷. Na okres jego służby w carskiej armii przypadły m.in. wydarzenia wojny rosyjsko-japońskiej (1904-1905), w której brał udział awansując do stopnia pułkownika oraz okres I wojny światowej, kiedy to awansował do stopnia generała.

Jeszcze przed końcem działań militarnych Mannerheim powraca do Finlandii, by stanąć na czele formowanych od 1917 roku oddziałów narodowego wojska, określanych często jako biała armia, której przyszło walczyć w kraju, gdzie – cytując: „...bolszewizm grasował w najlepsze, opierając się na garnizonach rosyjskich, które cały kraj pod terrorem dzierżyły”. Tak na łamach krakowskiego *Czasu* opisywano fińskie realia, przybliżając jednocześnie czytelnikom sylwetkę Mannerheima⁸.

Rok 1918 był przełomowy w jego karierze, wówczas to po raz pierwszy zaistniał w świadomości rodaków, stając się obok senatora – pierwszego premiera niepodległej Finlandii – Pehra Evinda Svinhufvuda, niekwestionowanym przywódcą walki o niepodległość oraz kandydatem do pełnienia najwyższych urzędów w niepodległym już państwie. Nie przeszkadzało w tym nawet to, że aż po pierwsze lata okresu międzywojennego nie mówił po fińsku, komunikując się ze swymi podkomendnymi przez tłumaczy⁹. Po zakończonej w kwietniu 1918 r. Wojnie o niepodległość, która stała się wojną domową, sprawował przez siedem miesięcy (XII 1918-VII 1919) rządu, jako regent Finlandii, by po uchwaleniu konstytucji i wybraniu prezydenta, usunąć się z życia politycznego¹⁰.

7. C.G. Mannerheim, „Wspomnienia,” s. 20-21.

8. *Czas*, nr 286 z 4 XI 1919.

9. Było to spowodowane tym, że w domu rodzinnym, jak i w szkole posługiwał się językiem szwedzkim, a w okresie służby w carskiej armii językiem rosyjskim. Za M. Kopczyński Wstęp, [w:] C. G. Mannerheim, *op. cit.*

10. Przebieg wojny domowej 1918 roku, zob. T. Cieślak, „Historia Finlandii”, Wrocław-Warszawa-Kraków-Gdańsk-Łódź 1983, s. 207-232;

Okres dwunastu lat, pomiędzy 1919 a 1931 rokiem, poświęcił pracy społecznej, podróżom oraz działalności naukowej. W 1931 r. powierzono mu funkcję przewodniczącego Rady Obrony Państwa, a w 1933 r. został pierwszym Marszałkiem Finlandii. *Attaché* prasowy polskiej ambasady w Helsinkach, Norbert Żaba, pełniący tę funkcję w końcu lat trzydziestych, o jego działalności pisał: „...marszałek Mannerheim, współtwórca niepodległości. Zwyciężył Czerwonych i zapewnił Finlandii niepodległość i zachodni ustrój demokratyczny. Nie sięgnął po władzę dyktatorską, która właściwie leżała na ulicy. Wycofał się z dowództwa i polityki, zajmując tylko honorowe stanowiska prezesa ROP i Czerwonego Krzyża. Czas na niego przyszedł, gdy w roku 1939 i 1941 niepodległość Finlandii była ponownie i dwukrotnie zagrożona”¹¹.

Okres poprzedzający wybuch II wojny światowej wykorzystał także na modernizację i reorganizację fińskich sił zbrojnych¹². Jak podaje Bernard Piotrowski, autor monografii poświęconej wojnie zimowej¹³: „Rola tego doświadczonego i wpływowego w kołach wojskowo-politycznych Europy Zachodniej dowódcy niepowstrzymanie rośla”¹⁴. Jednym z najważniejszych projektów tego okresu była budowa systemu umocnień na Przesmyku Karelskim wzdłuż granicy z ZSSR, która w 1932 r. otrzymała priorytetowe znaczenie. Mannerheim, który był jednym z inicjatorów i pomysłodawców tego przedsięwzięcia, głównie dzięki społecznemu poparciu, został

tenże, „Geneza i rozwój wydarzeń rewolucyjnych w Finlandii w latach 1917-1918”, [w:] *Z pola walki* nr 1, 1972; tenże, „Rola prasy fińskiej w odrodzeniu narodowym”, [w:] *Kwartalnik Historii Prasy Polskiej*, nr 4, 1979; S. Sierpowski, „Między wojnami 1919-1939”, część 1: lata 1919-1929, Poznań 1998, s. 142-143; L. Wasilewski, *op. cit.*, s. 65-68; *Czas* nr 286; C.G. Mannerheim, *op. cit.*, s. 83-142.

11. N. Żaba, „Finowie i Polacy w roku 1944”, *Zeszyty Historyczne*, z. 106, 1993, s. 211.

12. Charakterystyka fińskich przygotowań w latach trzydziestych., zob.: M. Zgórniak, „Europa w przededniu wojny. Sytuacja militarna w latach 1938-1939”, Kraków 1993, s. 524-526.

13. B. Piotrowski, „Wojna radziecko-fińska (zimowa) 1939-1940. Legendy, nieudomówienia, realia”, Poznań 1997.

14. Tamże, s. 122. Mowa tu przede wszystkim o Wielkiej Brytanii, gdzie Mannerheim miał grono przyjaciół i cieszył się dużym autorytetem.

dowartościowany faktem nadania całemu systemowi tych umocnień nazwy „linia Mannerheima”, pochodzącej od jego nazwiska¹⁵. W latach 1939-1945 był dwukrotnie naczelnym dowódcą fińskich sił zbrojnych, dając dowody zdolności dowódczych, pełniąc po raz kolejny rolę autentycznego „ojca narodu fińskiego”, walczącego z „dziedzicznym wrogiem” – Rosją, w imię obrony „domu, wiary, ojczyzny”¹⁶. *Talvisota*, czyli wojna zimowa (1939-1940), oraz tzw. wojna kontynuacyjna (sowiecko-fińska z lat 1941-1944), ugruntowała pozycję Mannerheima na stałe w historii kraju tysiąca jezior¹⁷.

Ostatnim aktem jego aktywności na niwie politycznej i wojskowej było wypowiedzenie w marcu 1945 r. wojny III Rzeszy oraz pełnienie w okresie od sierpnia 1944 do marca 1946 r. urzędu prezydenta Republiki Finlandii.

Na wszystkich z wymienionych etapów życia Mannerheim stykał się z Polakami, dla wielu, szczególnie tych poznanych przed wybuchem I wojny światowej, był osobą bardzo bliską. Wracając pamięcią po latach do pierwszych kontaktów z Polską i Polakami, na kartach swoich wspomnień zapisał: „Im bliżej poznawałem Polaków, tym lepiej ich

15. Tamże, s. 124-127.

16. Tamże, s. 218.

17. Działania militarne i charakterystyka stosunków społeczno-politycznych okresu obejmującego w/w wojny, zob.: cytowane prace B. Piotrowskiego i T. Koneckiego, a także: M. Zgórnjak, „Wojna zimowa 1939-1940”, [w:] „Bałtowie. Przeszłość i teraźniejszość”. Pod red. A. Kastory, A. Essena, Kraków 1993, s. 138-153; K. Grünberg, „Czas wojny 1939-1940. Wykłady z historii”. Toruń 1991, s. 121; J. Smaga, „Narodziny i upadek imperium ZSRR 1917-1991”. Kraków 1992, s. 157-158; M. Smoleń, „Stracone dekady. Historia ZSRR 1917-1991”. Warszawa-Kraków 1994, s. 156-157; J. Ulicki, „Wojna zimowa”, *Krytyka – Kwartalnik Polityczny*, nr 8 1981, s. 124-140. Por. P. Łossowski, „Tragedia państw bałtyckich 1939-1941”, Instytut Pracy i Wydawnictw „Novum” 1990. Polityczny wymiar wojny zimowej zob.: A. Kastory, „Finlandia w polityce mocarstw 1939-1940”, Kraków 1993; tenże: „Radziecka polityka wobec Finlandii (październik 1939-marzec 1940)”, [w:] „Bałtowie. Przeszłość i teraźniejszość”. Kraków 1993, s. 154-202; tenże, „Złowrogie sąsiedztwo. Rosyjska polityka wobec europejskich państw ościennych w latach 1939-1940”, Kraków 1998, s. 57-98; B. Piotrowski, „Niemcy i kraje skandynawskie a wojna radziecko-fińska (zimowa) 1939-1940”, [w:] „Niemcy w polityce międzynarodowej 1919-1939”, t. IV. Praca zbiorowa pod red. S. Sierpowskiego, Poznań 1992, s. 317-337.

rozumiałem i lepiej się wśród nich czułem”¹⁸. Kalisz – najstarszy ośrodek miejski na ziemiach polskich – był także miejscem, gdzie rozpoczynał on swoją przygodę z wojskiem, jako „kornet” (podoficer kawalerii rosyjskiej), służąc w 15 Aleksandryjskim Pułku Dragonów, który na pamiątkę po czasach, gdy należał do huzarów, nazywano wciąż „huzarami śmierci”. Tradycja ta mocno oddziaływała na jego młodzieńczą wyobraźnię¹⁹, miał wówczas niespełna 21 lat. Ten okres nie trwał jednak zbyt długo, gdyż już w 1890 r. został odwołany do Petersburga. Kolejnych 18 lat odsłużył w carskiej armii, mając ograniczony kontakt z Polakami do tych, którzy przebywali w stolicy imperium, bądź tak jak on nosili mundur.

Początek XX wieku zapowiadał przełomowe wydarzenia. Wojna rosyjsko-japońska, która dla Rosji miała być lokalnym konfliktem z szybkim zakończeniem, przybrała zupełnie inne oblicze. Wydarzenie to miało się okazać równie ważne dla przyszłości Finlandii, jak i Polski. Rewolucja, która ogarnęła imperium i część przyłączonych w XVIII i XIX wieku terenów, była tego najlepszym potwierdzeniem. Mannerheim trafnie z perspektywy czasu ocenił ten burzliwy okres: „Rosyjska klęska i następujące po niej wewnętrzne wstrząsy, które naruszyły podstawy cesarstwa, okazały się mieć decydujący wpływ na politykę światową. (...) Także w Finlandii – pisał – wiały nowe wiatry. Rewolucja w Rosji dodała naszemu krajowi ducha w walce z nasilającym się od przełomu wieków uciskiem”²⁰. Poglądy zbliżone do tych wyrażanych przez Mannerheima padały równie często z ust Polaków, którzy, podobnie jak Finowie, problemy wewnętrzne Rosji chcieli wykorzystać dla poprawy warunków bytu narodowego²¹.

18. C. G. Mannerheim, *op. cit.*, s. 21.

19. Tamże.

20. Tamże, s. 28-29.

21. Naturalnie, trudno mówić w tym okresie o hasłach i postulatach, które dotyczyły uzyskania pełnej suwerenności, najczęściej przewijał się wątek dotyczący zwiększenia zakresu autonomii Królestwa Polskiego. Taki program wysuwało najsilniejsze w zaborze rosyjskim stronnictwo polityczne, jakim było SDN Romana Dmowskiego. Zob.: R. Wapiński, „Roman

Najdłuższy okres, w którym Mannerheim miał bezpośredni związek z Polakami, przypadł na lata 1908-1914/15, kiedy to ponownie przydzielono go do służby na ziemiach polskich. Ten fragment jego biografii znalazł pełne odzwierciedlenie w spisanych po latach i cytowanych już wspomnieniach.

„Wkrótce po powrocie mogłem cieszyć się własnym pułkiem, ponieważ otrzymałem dowództwo stacjonującego w Mińsku Mazowieckim, w sercu Polski, 13 Pułku Ułanów Włodzimierskich. Z przyjemnością przyjąłem nominację i związane z nią przeniesienie do Polski, gdzie 19 lat wcześniej zaczynałem karierę wojskową...”²². Fakt, że Mannerheim czuł się wśród Polaków bardzo dobrze, czego nie ukrywał, nawiązując liczne znajomości, nie przeszkodził mu w szybkich awansach w ramach carskiej armii²³. Wracając pamięcią do lat spędzonych na polskim gruncie pisał:

„Jeszcze dziś z przyjemnością wspominam 7 lat spędzonych w Polsce²⁴. Zanim zacząłem tam stacjonować, służbowo

Dmowski”, Lublin 1988, s. 132-168. Odmienne ten problem postrzegany był przez działaczy polskich związanych z Józefem Piłsudskim. Zob.: W. Suleja, „Józef Piłsudski”, Wrocław-Warszawa-Kraków 1995, s. 87-112; J.M. Nowakowski, „Walery Sławek (1879-1939). Zarys biografii politycznej”, Warszawa 1988, s. 28; M. Pestkowska, „Kazimierz Sosnkowski”, Wrocław-Warszawa-Kraków 1995, s. 8-10. Zob. także interesującą charakterystykę postawy Polaków w całym okresie popowstaniowym, w kontekście tzw. postaw ugodowych: A. Szwarc, „Od Wielopolskiego do Stronnictwa Polityki Realnej. Zwoleńnicy ugody z Rosją, ich poglądy i próby działalności politycznej (1864-1905)”, Warszawa 1996.

Najnowsze ujęcie charakteryzujące postawy Polaków w latach 1864-1914 przedstawił krakowski historyk Andrzej Chwalba w pracy: „Polacy w służbie Moskali”, Warszawa-Kraków 1999.

22. C. G. Mannerheim, *op. cit.*, s. 37.

23. Między innymi w 1911r. otrzymał nominację na generała majora oraz komendę nad Pułkiem Ułanów Gwardii Przybocznej J.C.M. w Warszawie, co było dla niego szczególnym wyróżnieniem, gdyż był to jeden z najlepszych pułków jazdy w armii rosyjskiej. Pułkiem tym Mannerheim dowodził przez trzy lata odrzucając w międzyczasie m.in. propozycję objęcia bardzo atrakcyjnej nominacji na dowódcę Brygady Kirasjerów w Carskim Siole, tylko dlatego, by objąć stanowisko komendanta samodzielnej Brygady Kawalerii Gwardii w Warszawie. (Tamże).

24. Warto wspomnieć, że prace nad opracowaniem i spisaniem wraz z grupą współpracowników Mannerheim rozpoczął dopiero w 1946 roku, choć idea ich powstania zrodziła się znacznie wcześniej.

odwiedzałem stadniny polskich ziemian, a dwa razy byłem odkomenderowany do Warszawy, by z ramienia dworskiego urzędu koniuszego odbyć inspekcję w związku z planowanym pobytem cesarza w Polsce. Dzięki znajomym kawalergardom z ministerstwa dworu zetknąłem się z wieloma wybitnymi Polakami, którzy w sezonie zimowym odwiedzali Petersburg. W rezultacie miałem wśród nich wielu przyjaciół, zanim jeszcze objąłem komendę 13 Pułku Ułanów Włodzimierskich. Zamiłowania do koni, sportu i polowań otwierały przede mną wiele drzwi. Brałem udział nie tylko w życiu towarzyskim wyższych sfer rosyjskich wojskowych i urzędników, lecz także obracałem się w polskim towarzystwie, o którym wiadomo, że jest świetne i ekskluzywne. Wkrótce po przybyciu zostałem przyjęty do Klubu Myśliwskiego w Warszawie; takiego polskiego *Jockey Club*, który całkowicie mógł równać się z najszlachetniejszymi klubami Londynu, Paryża i Petersburga²⁵. Mannerheimowi bez problemu przychodziło zorientowanie się w polskich realiach. Podobieństwa jak i różnice w położeniu Finlandii i Polski dostrzegał bardzo wyraźnie.

Interesującym wątkiem, na który podczas pobytu na ziemiach polskich zwrócił uwagę, był fakt, że mająca długą historię nienawiść między Polakami a Rosjanami nie znajdowała ujścia w aktach gwałtu, jako że Polacy rozumieli, iż dałoby to tylko powód do większego ucisku. Relacje między Polakami a Rosjanami pomimo wrogości cechowała często rycerskość²⁶.

„Polacy przyjmowali mnie, (wspominał – dop. M.B.) mimo mojego stanowiska służbowego, bez uprzedzeń. Jako Fin i zdeklarowany przeciwnik polityki rusyfikacji w moim

25. Opinie zbliżone do tych wyrażanych przez Mannerheima, a wiążące się z pozycją polskiej arystokracji, potwierdzają w odniesieniu do ich percepcji na gruncie rosyjskim, wspomnienia nieprzejechanego „pogromcy” Polaków „Wiesziela”, czyli Michaiła Murawjowa, zob.: C.G. Mannerheim, *op. cit.*

26. C.G. Mannerheim, *op. cit.*, s. 39. Oceny Mannerheima w odniesieniu do stosunków polsko-rosyjskich przełomu XIX i XX mogą budzić zastrzeżenia. Zdania polskich historyków w odniesieniu do okresu 1864-1918 są podzielone. Interesującą tę kwestię ujmuje wspomniana praca A. Chwalby (przyp. 21).

własnym kraju ze zrozumieniem myślałem o uczuciach Polaków i ich poglądach na sprawy, które uznać można by za drażliwe. Nigdy więc nie rozmawiałem z nimi o polityce. Oni także nie łamali tego niepisanego prawa, tworzyliśmy więc rodzaj sprzysiężenia bez przysięgi”²⁷.

Tym, co utkwilo Mannerheimowi w pamięci po latach z pobytu na ziemiach polskich, były polowania. Były to nie tylko myśliwskie atrakcje, ale przede wszystkim imprezy o charakterze towarzyskim²⁸. W opinii osób mających z nim wówczas bezpośredni kontakt, utrwalił się jako wysoki i przystojny arystokrata, oficer w każdym calu i bożyszcze kobiet²⁹. Taki obraz Mannerheima utrwalony został przez Marię Lubomirską³⁰ (z domu Branicką), małżonkę Zdzisława Lubomirskiego, prezydenta Warszawy w czasie okupacji niemieckiej i członka Rady Regencyjnej³¹. Określając ich wzajemne stosunki w kategoriach bardzo bliskiej przyjaźni, oddajmy się lekturze fragmentów jej pamiętnika, które bezpośrednio wiążą się z postacią Mannnerheima.

Pod datą 29 stycznia 1915 r. czytamy: „Po południu wizyta Mannerheima, którego nie widziałam od początku wojny. Korespondowaliśmy ze sobą, ale nie postąpiliśmy na krok naprzód. Taki jest zawsze w swoim świetnym rynsztunku, dobrze dopasowanym, pod którym kryje się jednak człowiek z krwi i kości”³².

Wspomniana w przytoczonym fragmencie korespondencja zdominowała także jeden z kolejnych ustępów poświęconych Mannerheimowi.

Pod datą 24 października 1915 r. czytamy: „W tych dniach śliczny list odebrałam od generała Mannerheima, (...). Zrzucił zbroję na chwilę i stanął przede mną ludzki i potrzebujący. *Pani piękne listy* (pisze Mannerheim do Lubomir-

27. Tamże, s. 38.

28. Tamże, s. 41.

29. R. Pullat, *op. cit.*, s. 209.

30. „Pamiętnik Księżnej Marii Zdzisławowej Lubomirskiej 1914-1918”, do druku przygotował i słowem wstępnym opatrzył Janusz Pajewski, wyd. I, Poznań 1997.

31. R. Pullat, *op. cit.*, s. 104.

32. „Pamiętnik Księżnej Marii...,” s.124.

skiej – dop. M.B.) były podczas piętnastu miesięcy wojennych moją największą radością. Przynosiły mi przyjazny uśmiech kobiety, który oświeśla, ale nie ciąży, podtrzymywały mnie i dobrze na mnie wpływały w chwilach ciężkich i trudnych. Listy te ukazywały Pani duszę prawą i szlachetną, pomagały mi walczyć przeciwko atmosferze podłości i pospolitości, która idzie za pochodem wielkiej armii i tłumi wszystko, co słabe. Te słowa ucieszyły mnie i pokrzepiły, nawet przejęły dumą. Związały między nami drobną, złotą nić...”³³. Dzięki takim cytatom poznajemy Mannerheima także jako zwykłego człowieka. Osoba Marii Lubomirskiej musiała na długo i trwale zapaść w pamięci Mannerheima, skoro likwidując w 1948 r. znaczną część swego archiwum, zdecydował się zachować pochodzącą z okresu pierwszej wojny światowej obszerną korespondencję z autorką cytowanego pamiętnika³⁴.

Podczas I wojny światowej już w stopniu generała Mannerheim, dowodząc kolejno brygadą kawalerii, 12 dywizją kawalerii, a wreszcie 6 korpusem kawalerii, przez dwa lata operuje na terytorium dawnej Polski, przede wszystkim Galicji³⁵.

Okres dwudziestolecia międzywojennego otwiera zupełnie nowy rozdział w historii wzajemnych stosunków polsko-fińskich. Jak pisze znawca problematyki państw bałtyckich, profesor Piotr Łossowski: „Polska utrzymywała dobre stosunki z Finlandią. Nie była to jednak współpraca zbyt bliska, gdyż (...) – Finlandia – ciążąc geograficznie i cywilizacyjnie ku Skandynawii, nawiązywała ściślejsze stosunki z państwami tamtego regionu. (...) Hamulcem rozwoju bliższych stosunków polsko-fińskich było bezpośrednie sąsiedztwo z ZSSR i obawa Finlandii przed konfliktem z tym państwem. W fińskich kołach politycznych uznawano wschodnią politykę Polski za zbyt ryzykowną i uchylano się od współpracy z nią

33. Tamże, s. 258-259.

34. M. Kopczyński, Wstęp i przypisy, [w:] C.G. Mannerheim, *op.cit.*, s. 397.

35. „Pierwszy Marszałek Finlandii”, *Przegląd polsko-fińsko-estoński*, nr 5 z 6 XII 1937. Mannerheim w swoich wspomnieniach sporo miejsca poświęcił opisom kampanii, w których uczestniczył, przebiegowi walk na frontach I wojny światowej oraz kwestiom *stricte* politycznym, zob.: C.G. Mannerheim, *op. cit.*, s. 42-77.

na tych płaszczyznach i w tych dziedzinach, które mogły wzbudzać podejrzenia Moskwy – np. budowa Związku Bałtyckiego z udziałem Polski lub jawna współpraca wojskowa z Polską”³⁶. Trafnie określił ten system zależności Aleksander Bregman w swoim szkicu zatytułowanym „U sąsiadów imperium sowieckiego”, pisząc m.in.: „Nie jest przypadkiem, że wszyscy sojusznicy Rosji są od Kremla uzależnieni – wynika to z natury polityki sowieckiej, a także z dysproporcji sił między kolosem sowieckim a jego sąsiadami”³⁷. Wymienione czynniki miały także wpływ na postrzeganie Polski przez Mannerheima, jak i na opinie Polaków o bohaterze narodowym Finlandii.

Wzajemne relacje pomiędzy niekwestionowanymi przywódcami Polski i Finlandii, czyli Józefem Piłsudskim i Carlem G. E. Mannerheimem³⁸, stanowią kolejny ważny polski wątek w biografii fińskiego marszałka. W opinii niektórych badaczy polskich do pierwszego spotkania Piłsudskiego z Mannerheimem mogło dojść już w 1887 r. w Charkowie, gdzie obaj przebywali w tym samym czasie³⁹. Żaden z nich nie podaje jednak, że do takiego spotkania wówczas doszło. Z dostępnych opublikowanych pism Józefa Piłsudskiego możemy m.in. dowiedzieć się o jego późniejszym zainteresowaniu Finlandią w sposób szczególny w momencie, gdy, jak pisze w *Robotniku* z lipca 1899 r., stała się ona obiektem polityki rusyfikacyjnej, będąc wcześniej krajem konstytucyjnym⁴⁰. Zdaniem Piłsudskiego, Finowie winni wziąć udział w przyszłej rewolucji, ucząc się od Polaków, jak należy walczyć z Rosją. Na gruncie takiego stanowiska drogi Mannerheima i Piłsudskiego nie mogły się zejść⁴¹. W opinii Manner-

36. „Historia dyplomacji polskiej”, t. IV 1918-1939, pod red. Piotra Łossowskiego, Warszawa 1995, s. 379; A. Skrzypek, *op. cit.*; W. Materski, „Tarcza Europy. Stosunki polsko-sowieckie 1918-1939”, Warszawa 1994, s. 102-103, 114; M.K. Kamiński, M.J. Zacharias, „W cieniu zagrożenia. Polityka zagraniczna RP 1918-1939”, Warszawa 1993, s. 68-70; L. Wasilewski, *op. cit.*, s. 158-159; T. Cieślak, *op. cit.*, s. 245-246.

37. A. Bregman, *op. cit.*, s. 40.

38. R. Pullat, s. 101.

39. Tamże, s. 103.

40. J. Piłsudski, „Pisma zbiorowe”, Tom I, Warszawa 1937, s. 265-268.

41. Zob.: przypis 26.

heima, o czym wcześniej wspominałem: „Polska powinna w spokoju rozwiązywać swe problemy z Rosją, tylko w ten sposób mogła myśleć o lepszym bycie w przyszłości”⁴².

Do pierwszego spotkania Mannerheima z Piłsudskim doszło jednak dopiero w listopadzie 1919 roku, podczas jego wizyty w Polsce, która była jednym z etapów podróży byłego regenta Finlandii po całej Europie. W Polsce obok oficjalnych spotkań przyszło Mannerheimowi także wrócić wspomnieniami do wydarzeń przedwojennych, starych przyjaciół i domu, który był zmuszony zlikwidować przed wymarszem na front w 1914 roku⁴³. Interesujące nas najbardziej rozmowy Mannerheima z Piłsudskim dotyczyły spraw kluczowych dla obydwu państw i naturalnie koncentrowały się wokół problematyki wschodniej. Oddajmy więc głos Mannerheimowi, który po spotkaniu z Piłsudskim pozostawił bardzo ciekawą relację. Zwraca w niej uwagę szacunek, szczerość i wzajemnie uznanie, wyrażane pomimo różnic w poglądach i odmiennych celach polityki zagranicznej obydwu państw, jak miał pokazać już pierwszy okres ich pełnej suwerenności.

Mannerheim: „Złożyłem wizytę marszałkowi Piłsudskiemu, wielkiemu Polakowi, który w momencie wycofywania się Niemców, w połowie listopada 1918 roku stanął na czele młodej republiki. Jego siedzibą był Belweder, niewielki pałac koło Łazienek, na terenie których niegdyś mieściły się koszary Brygady Kawalerii Gwardii. Piłsudski zachowujący się bez pompy, prosto i naturalnie, przyjął mnie w swym skromnie urządzonym gabinecie. Prawie natychmiast zaczęliśmy rozmawiać o najbardziej aktualnym dla nas obu problemie rosyjskim. Uważał za absolutną konieczność skoordynowanie działań białych z akcjami krajów, które oderwały się od Rosji, podkreślając jednocześnie istotny problem:

«Co mam począć – rzekł Piłsudski – skoro przywódcy białych nie rozumieją, że w trakcie procesu, który obserwujemy, powstaje nowa Rosja, i że Polska, podobnie jak Finlandia, nie wejdzie w skład tego państwa! (...) Rokowania z przywódcami rosyjskimi wydają mi się beznadziejne, dopóki

42. R. Pullat, s. 103.

43. C.G. Mannerheim, *op.cit.*, s. 148.

panuje takie przekonanie i zasada niepodzielności Rosji stanowi punkt wyjścia dla dyskusji⁴⁴. W tej kwestii, jak stwierdził Mannerheim „motywy działania polskiego polityka były zrozumiałe”, a brak współpracy ze strony białych i błędna polityka Ententy, która nie potrafiła podjąć się mediacji pomiędzy siłami antybolszewickimi, zaowocował ugruntowaniem się i przejściem do ofensywy sił Rosji Sowieckiej⁴⁵. W ocenie ówczesnych obserwatorów „...po swej podróży Mannerheim w większym stopniu docenił wagę wzajemnej współpracy Finlandii i Polski oraz krajów bałtyckich”⁴⁶.

Potwierdzeniem tych dobrych relacji między Mannerheimem i Piłsudskim był podejmowany przez stronę fińską w ograniczonym z uwagi na ZSSR zakresie wysiłek na rzecz współpracy fińskich i polskich władz wojskowych. Należy przypomnieć w tym miejscu, że wpływ Mannerheima na armię fińską, nawet w okresie, gdy nie pełnił żadnej funkcji, był znaczący⁴⁷. Odpowiedzią Piłsudskiego wydaje się być podjęcie bardziej zdecydowanych kroków na rzecz politycznego zbliżenia bezpośrednio po przewrocie majowym⁴⁸. W 1932 r. podczas ostatniej wizyty Mannerheima w Polsce miało miejsce ich ostatnie spotkanie⁴⁹.

Dla lepszego zobrazowania polskich aspektów biografii Mannerheima warto zwrócić także uwagę na kształtowanie i odbiór jego wizerunku przez polską opinię publiczną. Zdaniem estońskiego historyka Raimo Pullata „Finów zawsze interesowało to, co myślą o nich inni”, obraz Finlandii i jej mieszkańców wyłaniający się z analizy niektórych tytułów prasowych daje wrażenie bardzo pozytywne. Tak postrzegane są fińskie miasta, z „perłą północy” Helsinkami, jak napisał cytowany już wcześniej Norbert Żaba. Na łamach *Gazety Polskiej i Polski Zbrojnej* czytamy m.in. o pięknej przyro-

44. Tamże.

45. Tamże, s. 149.

46. R. Pullat, *op. cit.*, s. 103.

47. Tamże, s. 102.

48. T. Cieślak, *op. cit.*, s. 268.

49. R. Pullat, *op. cit.*, s. 103. Por.: N. Żaba, *op. cit.*, s. 211. Zamknięciem tych rozważań niech będzie stwierdzenie, że: „W zbiorowej świadomości Finów kształtowała się prawdziwa heroizacja Mannerheima, porównywalna w Polsce do kultu Piłsudskiego”; cyt. za: B. Piotrowski, *op. cit.*, s. 218.

dzie krainy jezior, twardym i potrafiącym walczyć o własne państwo narodził się fiński, a także wysokim poziomie edukacji⁵⁰. Postaci marszałka Mannerheima na łamach polskiej prasy poświęcono sporo interesujących tekstów. I tak jedne z pierwszych artykułów w II Rzeczypospolitej, dotyczące jego osoby, ukazały się w związku z omawianą wizytą z listopada 1919 r. Korespondent krakowskiego *Czasu*, jeszcze przed jego przyjazdem do Warszawy, pisał w artykule pod jakże wymownym tytułem, „Bohater finlandzki”: „Pogromca bolszewików w Finlandii bohater narodowy, ex-regent, gen. Mannerheim przyjeżdża (...) do Warszawy prosto z Paryża i Londynu, oczekiwany przez fińskie organizacje i poselstwo znajdujące się w Warszawie”⁵¹. I tu w dalszej części następuje opis wojny domowej w Finlandii, a Mannerheim jawi się jako osoba opatrnościowa, ktoś wyjątkowy i niezwykły, potrafiący poderwać do walki, ale także ustąpić wówczas, gdy wymaga tego sytuacja. We wszystkich poświęconych mu artykułach podkreśla się jego bliskie związki z Polakami i pobyt na ziemiach polskich jeszcze w okresie zaborów. W latach trzydziestych, gdy Mannerheim powrócił do aktywnego udziału w życiu politycznym i wojskowym, polska prasa pisała m.in.: „Trzeba było zażartych zmagania i hartu patriotycznego, aby się przeciwstawić zakusom wschodniego sąsiada i uchronić kraj przed potężną przemocą olbrzymiego państwa ościennego. W tych bojach o wolność Finlandii przewodził patriotom fińskim gen. Mannerheim, pierwszy marszałek armii fińskiej, czczony bohater narodowy”⁵². Współpraca polsko-fińska zaowocowała wydaniem w przeciągu trzech lat kilku numerów bardzo interesującego periodyku pt. *Przegląd polsko-fińsko-estoński*, poświęconego zagadnieniom intelektualnym, kulturalnym i gospodarczym trzech krajów bałtyckich. Postać marszałka Mannerheima przewijała się na jego łamach wówczas, gdy ukazywał się numer okolicznościowy poświęcony Finlandii, a było to zawsze 6 grudnia, w dniu święta narodowego tego przepięknego kraju, co zawsze na ła-

50. Tamże, s. 179-180.

51. „Bohater finlandzki”, *Czas*, nr 286 z 4 XI 1919r.

52. Cyt. za R. Pullat, *op. cit.*, 180.

mach *Przeglądu* mocno podkreślano⁵³.

Odnotowania wymaga także fakt, że pomimo bardzo nielicznej Polonii w Finlandii⁵⁴ marszałek Mannerheim był częstym gościem na imprezach kulturalnych organizowanych przez ambasadę czy też instytucje zajmujące się promowaniem kultury polskiej w Finlandii. Odnotowano m.in. jego obecność na koncercie Artura Rubinsteina⁵⁵. O jego sympatii dla Polaków może świadczyć fakt, że ilekroć jakaś delegacja z Polski przebywała w Finlandii, Mannerheim bardzo chętnie ją podejmował, wypytując przy okazji o swoich przyjaciół i znajomych w Polsce⁵⁶.

Wojna sowiecko-fińska (zimowa) 1939-1940 miała również skutki w odniesieniu do polskich aspektów biografii marszałka Mannerheima. Kluczem do wyjaśnienia tej sytuacji niech będzie stwierdzenie, że właśnie Polsce i Finlandii w 1939 r., jako jedynym państwom europejskim, przyszło walczyć ze Związkiem Sowieckim. Gwoli prawdy historycznej trzeba przypomnieć, że w początkach września 1939 r. władze fińskie, jak i część opinii publicznej zajęły wobec Polski stanowisko niezbyt przychylne. Finowie sądzili bowiem, że Polacy mogliby otrzymać pomoc od ZSSR, co spowodowałoby, że te dwa państwa znalazłyby się w przeciwstawnych obozach. Wynika z tego, że tajny protokół do paktu Ribbentrop – Mołotow z 23 sierpnia 1939 r. był także tajemnicą dla Finów, mających bardzo dobre stosunki z Niemcami. Nastawienie Finów uległo zmianie, gdy okazało się, że 17 września zamiast ewentualnej pomocy ze wschodu wkroczył do Polski drugi, równie bezwzględny sowiecki okupant⁵⁷.

53. Zob.: *Rocznik* 1936, 1937.

54. Zagadnienie historii, liczebności i rozmieszczenia Polaków w Finlandii, zob.: E. Later-Chodyłowska, M. Zieliński, „Polonia w Finlandii. Dzieje i współczesność”, *Przegląd Zachodni*, nr 2 z 1979 r. Por. T. Cieślak, „Historia Finlandii”, *op. cit.*

55. R. Pullat, *op. cit.*, s. 168.

56. Tamże, s. 209-211.

57. Brak jednak było jakiegokolwiek oficjalnej reakcji rządu fińskiego. Zob.: B. Piotrowski, *op. cit.*, s. 62-63. Szeroko o tej kwestii pisze także: A. Suchcitz, „Polska a wojna fińsko-sowiecka 1939-1940”, *Niepodległość*, Tom XXI, Rok 1988; T. Cieślak, *op. cit.*, s. 257.

Problemem Finów było zachowanie neutralności, które determinowało ich działania tak w zakresie politycznym, jak i wojskowym. Pomimo nacisków wywieranych przez stronę niemiecką marszałek Mannerheim wystosował na ręce posła RP w Helsinkach, Henryka Sokolnickiego, w dniu 5 października 1939 r. list, w którym pisał m.in.: „Leży mi na sercu, aby wyrazić Panu mój gorący podziw, który wzbudza we mnie heroiczne prowadzenie waszej walecznej armii”⁵⁸. Czy mógł wówczas przewidzieć, że za niespełna dwa miesiące jego z kolei ojczyźnie, ambasador RP w Rumunii, Roger Raczyński, będzie składał – na ręce posła Finlandii w Rumunii Brunona Kivikoskiego – wyrazy sympatii rządu polskiego dla Finlandii, ofiary brutalnej i nie sprowokowanej agresji?⁵⁹. Wojna sowiecko-fińska była w centrum zainteresowań społeczeństwa polskiego, co wynikało głównie z poczucia wspólnoty losów obydwu narodów zagrożonych przez tego samego wroga⁶⁰. Ten dramatyczny okres w historii Finlandii był jednocześnie jednym z ostatnich momentów zejścia się dróg bohatera narodowego Finlandii Carla G.E. Mannerheima i Polaków. Wyrażona przez premiera rządu polskiego na emigracji, Władysława Sikorskiego, zgoda na pomoc wojskową, o którą zwracał się osobiście sam Mannerheim, była najlepszym dowodem polskich intencji i chęci udzielenia realnej pomocy bohatersko walczącym Finom⁶¹. Mannerheim kolejny raz udowodnił, że szacunek i zaszczyty, którymi obdarzyli go rodacy, jak i cudzoziemcy nie były przypadkiem.

58. Cyt. za: A. Suchcitz, *op. cit.*, s. 167; Raimo Pullat w swoim opracowaniu podaje za Henrykiem Sokolnickim datę 7 października 1939 r. jako dzień wystosowania listu przez Mannerheima, zob.: R. Pullat, *op. cit.*, s. 183.

59. „Polska współczuje Finlandii”, *Głos Polski*, nr 5 z 2 XII 1939 r., s. 1.

60. Na temat stosunku Polaków w kraju i na emigracji wobec wojny zimowej zob.: W. Długoborski, „Polska a wojna zimowa 1939-1940”, [w:] „Bałtowie...”, s. 203-221.

61. W. Długoborski, *op. cit.*, s. 209-210; R. Wapiński, „Władysław Sikorski”, Warszawa 1978, s. 263-264. Ostatecznie sprzeciw Anglików i Francuzów zniweczył polski plan pomocy dla walczącej Finlandii. Zob. również: Andrzej Bogusławski, „Pod Gwiazdą Polarną. Polacy w Finlandii 1939-1941”. Oficyna Wydawnicza „Typografika”, Warszawa-Paryż 1997.

Bohaterska postawa Finów, którym przewodził Mannerheim, w starciu ze zdecydowanie silniejszą Armią Czerwoną, zjednała im sympatię i podziw opinii publicznej. I tak jak przed 50 laty, gdy po raz pierwszy Carl Gustav Emil baron von Mannerheim zetknął się z Polską, przeciwnik był ten sam, zmienił tylko nazwę przechodząc od białego do czerwonego caratu.

Marek BIAŁOKUR

Piotr KOŁAKOWSKI

NKWD-NKGB A PODZIEMIE POLSKIE

KRESY WSCHODNIE 1944-1945

Decyzja o rozpracowaniu agenturalnym i zwalczaniu zbrojnym polskich organizacji podziemnych zapadła na najwyższym szczeblu partyjnym i wojskowym ZSSR. Było to efektem konfliktu polsko-sowieckiego spowodowanego imperialną polityką Związku Sowieckiego zmierzającego do zagarnięcia Kresów Wschodnich i podporządkowania sobie Polski. Od drugiej połowy 1942 r. stopniowo wzrastało zainteresowanie sowieckiego wywiadu strukturami Polski Podziemnej. Nasiliło się ono po zerwaniu stosunków dyplomatycznych pomiędzy ZSSR a rządem polskim w Londynie.

W 1943 r. zaczęto tworzyć specjalne grupy NKWD-NKGB, których zadaniem było przygotowanie nowych kadr aparatu bezpieczeństwa oraz agentury dla przyszłej pracy na terenach sowieckich znajdujących się pod okupacją niemiecką. Jako pierwsze utworzono grupy NKWD-NKGB dla republik: białoruskiej, litewskiej i ukraińskiej¹.

Od lata 1943 r. zaczęto tworzyć w każdym oddziale i

1. Centralne Archiwum Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Administracji (CA MSWiA), Kolekcja akt z archiwów radzieckich. L II/1/F, *Ob. operatiwno-czekistoskich gruppach NKWD Litowskoj, Latwinskoj i Eston-skoj SSR*, k. 142-148.

brygadzie sowieckiej partyzantki na Kresach Wschodnich Wydziały Specjalne NKGB. Głównym celem działalności komórek wywiadu politycznego, które *de facto* pełniły rolę policji politycznej, było przygotowanie terenu dla sowieckiego aparatu bezpieczeństwa mającego powrócić z Armią Czerwoną. Stanowiska kierownicze w Wydziałach Specjalnych oddziałów partyzanckich obsadzane były z reguły przez doświadczonych czekistów pracujących w latach 1939-1941 w strukturach NKWD-NKGB na ziemiach polskich².

Informacje o polskim ruchu oporu na Kresach Wschodnich zdobywane były także przez siatki wywiadu strategicznego NKGB i GRU oraz przez grupy wywiadowcze pionu politycznego i wojskowego.

Pod koniec 1943 r. nastąpił wzrost aktywności sowieckich organów wywiadowczych na Kresach Wschodnich. Było to związane głównie ze zbliżaniem się frontu do ziem polskich. Po wkroczeniu na nie Armii Czerwonej³ zastępca Ławrientija P. Berii, gen. Bogdan Kobułow, wydał 25 stycznia 1944 r. wytyczne do operacji agenturalnego rozpracowania podziemia polskiego noszącej kryptonim „Sejm”⁴. Skierowane one były do komisarzy ludowych bezpieczeństwa państwowego Białoruskiej, Ukraińskiej i Litewskiej SRS oraz naczelnika Głównego Zarządu Kontrwywiadu Ludowego Komisariatu Obrony „Smiersz”:

„Biorąc pod uwagę doświadczenia w walce z polskim podziemiem nacjonalistycznym w latach 1939-1941 – pisał Kobułow – a także antysowiecki charakter działalności polskich nacjonalistycznych organizacji w poprzednim okresie – NKWD ZSRS w pracy nad Polakami proponuje kierować się

2. Zob. szerzej Z. Boradyn, „Antyakowskie specjalne wydziały i wywiad baranowickiego zgrupowania partyzantki sowieckiej”, [w:] „Zbrodnie NKWD na obszarze województw wschodnich Rzeczypospolitej Polskiej. Materiały I Międzynarodowej Konferencji Naukowej”, Koszalin 14 grudnia 1995, red. nauk. B. Polak, s. 265-270.

3. Przekroczenie granicy polsko-sowieckiej przez Armię Czerwoną nastąpiło w nocy z 3 na 4 stycznia 1944 r. w okolicach Rokitna na Wołyniu.

4. Kryptonim operacji „Sejm” nie pochodził od nazwy polskiego parlamentu, lecz od rzeki Sejm płynącej przez południową Rosję i północną Ukrainę.

niziej przedłożonymi propozycjami:

1) Wykryć i zewidencjonować na oswobodzonym terytorium wszystkie działające nielegalnie polskie organizacje nacjonalistyczne i zorganizować ich aktywne rozpracowanie wywiadowcze. Założyć ewidencyjne formularze wszystkich kierowników organizacji, przebywających na nielegalnej stopie, emisariuszy i łączników oraz operacyjną ewidencję wszystkich uczestników wykrytych organizacji, a także otoczenia będącego ich bazą (duchowieństwo katolickie, oficerowie, członkowie byłych partii politycznych, bliscy krewni represjonowanych przez organa NKGB i inni).

2) W wykrytych organizacjach poddawać aresztowaniu w pierwszej kolejności kadrę kierowniczą i osoby, które prowadziły aktywną walkę z partyzantami; które przygotowują wystąpienia zbrojne przeciwko władzy sowieckiej, prowadzą aktywną antysowiecką pracę. Bezwzględnie wyłapywać wszystkich wykrytych emisariuszy i przebywających na stopie nielegalnej, wykorzystując tajne zdjęcia [skryte aresztowania] i przewerbowania tych, w stosunku do których jest gwarancja, że będą oni uczciwie pracować wypełniając nasze zadania.

3) W wypadku wykrycia zamierzeń tych lub innych polskich organizacji i grup zbrojnego wystąpienia, zapobiegać tym wystąpieniom, zdecydowanie tłumiąc wszelkie próby w tym kierunku.

4) We wszystkich wypadkach wykrycia organizacji nacjonalistycznych stosować środki w celu ustalenia ich centrów kierowniczych i kanałów łączności z Londynem. Szczególną uwagę zwrócić na wykrycie nielegalnych radiostacji, składów broni, drukarni, ustalenia łączników organizacji i kwater konspiracyjnych. W stosunku do wykrytych radiostacji rozpocząć przedsięwzięcia operacyjnego wykorzystania ich w naszych celach.

5) Zwerbować odpowiednią agenturę w celu wykrycia w pierwszej kolejności składu kierowniczego organizacji nacjonalistycznych, łączników i właścicieli mieszkań konspiracyjnych. Zabezpieczyć wykrycie wśród wszystkich uczestników organizacji niemieckiej i angielskiej agentury, przechwycić kanały łączności i wniknąć do organów kierujących tymi organizacjami na wyswobodzonych i jeszcze okupowanych

sowieckich terytoriach, a także na obszarze Polski, a szczególnie – Warszawy.

6) Odbudować łączność z wywiadem, pozostającym na terytorium czasowo okupowanym przez Niemców. Szczegółowo sprawdzić jego zachowanie się i łączność nawiązaną w czasie okupacji i możliwości jego przeniknięcia do nacjonalistycznego podziemia.

7) Biorąc pod uwagę to, że polska ludność zdolna jest do noszenia broni i będzie zaciągać się w skład polskich formacji w ZSRS, należy przedsięwziąć środki, aby nie dopuścić emisariuszy rządu londyńskiego i uczestników nacjonalistycznego podziemia w szeregi mobilizowanych”⁵.

Głównym zadaniem sowieckiego aparatu bezpieczeństwa, który realizował politykę Stalina wobec Polski, było zlikwidowanie wszelkich niezawisłych struktur Państwa Podziemnego. Wykorzystywano do tego celu przede wszystkim informacje ekspozytur wywiadu politycznego, a także grup operacyjnych aparatu bezpieczeństwa, których zrzuć zostały nasilone od początku 1944 r. Ich wyłącznym zadaniem było rozpracowanie podziemia i partyzantki polskiej. Niejednokrotnie informacje wywiadowcze zdobywane były przez grupy operacyjne NKGB pod pretekstem nawiązania współpracy z AK w celu podjęcia wspólnych działań przeciwko Niemcom. Grupy te posiadały odrębną łączność radiową z centralą wywiadu politycznego w Moskwie. Na Wileńszczyźnie działalność wywiadowczą skierowaną przeciwko polskiemu podziemiu prowadziły m.in. grupa specjalna NKGB majora bezpieczeństwa państwowego (b.p.) Jonasa Vildzunasa i grupa „Groznyj” kapitana b.p. Iwana Siczowa; na Nowogródczyźnie grupy „Za Rodinu” ppłk. b.p. Dmitrija Armianinowa i „Striemitielnyje” kapitana b.p. Aleksandra Stiepczenki, na Grodzieńszczyźnie i Białostocczyźnie grupa „Stojkije” majora b.p. Gruzdiewa i grupa A. Sliczewskiego, a na Polesiu grupa A. Nieskorumnowa⁶. Informacje zdobyte przez te grupy oraz

5. G. Mazur, „Operacja «Sejm»”, *Zeszyty Historyczne*, z. 104, 1993, s. 154-156.

6. Niektóre oddziały partyzantki sowieckiej były dowodzone przez

siatki wywiadu politycznego pozwoliły stworzyć bazę informacyjną, która stała się podstawą działalności represyjnej i operacyjnej NKWD-NKGB na ziemiach polskich.

Aparat NKGB-NKWD początkowo jednak miał nikłe rozeznanie w strukturach polityczno-wojskowych Polskiego Państwa Podziemnego na Kresach Wschodnich. Wynikało to ze słabego rozpracowania polskiego podziemia z okresu niemieckiej okupacji przez sowieckie oddziały partyzanckie oraz grupy rozpoznawczo-wywiadowcze pionu politycznego oraz wojskowego.

W lutym 1944 r. aparat bezpieczeństwa ZSSR, przygotowując się do likwidacji podziemia na ziemiach wschodnich Polski, podjął energiczne działania zmierzające do jego rozpoznania. Celem wywiadu politycznego było wprowadzenie agentury do „centrum kierowniczego nielegalnych polskich organizacji nacjonalistycznych”, ustalenie ich kierownictwa, zadań i struktur, a także wykrycie składów broni, drukarni, radiostacji i lokali konspiracyjnych. Już 10 lutego 1944 r. Grupa Operacyjna Litewskiej SRS utworzona w Pawło Posadzie otrzymała zadanie usystematyzowania i zewidencjonowania wszystkich polskich organizacji podziemnych oraz uporządkowania całego materiału archiwalnego dotyczącego spraw śledczych i polskiej agentury⁷.

W czerwcu 1944 r. na terytorium litewskiej SRS zrzucone zostały dwie grupy specjalne NKWD: „Szarunas” i „Kowa” w celu prowadzenia wywiadu polityczno-wojskowego. Do ich głównych zadań należało utworzenie aparatu wywiadowczego, zbieranie informacji o zachowaniu się starej agentury, ujawnienie składu polskiego i litewskiego „nacjonalistycznego podziemia oraz wprowadzenie tam własnych informatorów”. Do centrali przekazywać miano drogą radiową wiadomości o stosunku ludności miejscowej do Niemców oraz nastrojach wśród żołnierzy litewskich formacji wojskowych podporządkowanych władzom III Rzeszy. Grupy te

funkcjonariuszy NKWD-NKGB – na Podkarpaciu jednym z oddziałów dowodził mjr b.p. Iwan Złotar, a w Białostockiem mjr b.p. Konstanty Cwietyński „Orłow”. Ich głównym zadaniem było rozpracowanie polskiego podziemia.

7. G. Mazur, „Operacja...”, *op. cit.*, s. 157-161.

były bardzo dobrze uzbrojone i wyekwipowane. Uzbrojenie stanowiły pistolety Walther i Mauser 7,65 mm oraz Parabellum 9 mm, pistolety maszynowe PPS, granaty F-1, a także noże fińskie. Na wyposażeniu grup znajdowały się: radio-stacja D-4, aparaty fotograficzne, materiały wybuchowe i ubrania cywilne⁸.

Aresztowań żołnierzy Armii Krajowej i osób pracujących w Delegaturze Rządu dokonywały przede wszystkim oddziały zaplecza frontowego NKWD oraz „Smiersza” („Smert’ Szpionam!”, właściwa nazwa *Specjalnyje Metody Rozoblaczenija Szpionow*), które były organami kontrwywiadu wojskowego.

Po przejściu frontu władze sowieckie w najlepszym wypadku wcielały ujawnione polskie oddziały w ramach operacji „Burza” do całkowicie zależnej armii gen. Zygmunta Berlinga. Częściej jednak dochodziło do rozbrojenia i aresztowania żołnierzy AK przez oddziały NKWD i armijne jednostki kontrwywiadu. „W stosunku do AK występują zwykle następujące kolejne etapy: usuwanie elementu kierowniczego, presja w kierunku podporządkowania Berlingowi oddziałów AK, rozbrojenie oddziałów, areszty, deportacje, względnie internowanie najbardziej czynnego elementu, który odmawia współpracy (...). Bezkompromisowe niszczenie wszelkich powiązań z Rządem Polskim w Londynie, a więc likwidowanie przedstawicieli Rządu na Kraj i wprowadzanie własnej administracji”⁹.

Szczególnie ważną rolę w zwalczaniu AK oraz innych polskich organizacji podziemnych spełniały służby informacyjne NKGB. Sowiecki aparat bezpieczeństwa po zainstalowaniu się na terenach zajętych przez Armię Czerwoną od razu przystąpił do tworzenia sieci agenturalnej, której celem było przeniknięcie do „nacjonalistycznego podziemia”. NKWD odbudowywał łączność z agentami pozostawionymi na terenach okupowanych przez Niemców, a także przejmował

8. CA MSWiA, Kolekcja akt z archiwów wschodnich, L II/98/F, *Zadanie rieżidientu razwiediwatielno-diwersionnoj rieżidentury „Szarunas”*, k. 20-24.

9. CAW, Oddział VI, 1777/90/86. Syntetyczna ocena wiadomości otrzymywanych z terenów Polski pod Sowietami z 11 grudnia 1944 r., k. 51-52.

sieć konfidentów Gestapo, zmuszając ich do współpracy i gwarantując bezkarność. Według informacji wywiadu AK funkcjonariusze NKGB: „...Początkowo poza drobnymi aresztowaniami za współpracę z Niemcami (przeważnie usprawiedliwionymi) nie wykazują większej aktywności. Stopniowo jednak działalność ich staje się widoczna. W pierwszej kolejności zabierają się do tępienia członków AK oraz aresztowania ziemian i włościan za sprzyjanie AK...”¹⁰ Prowadzono również obserwację, poznając ludzi oraz panujące stosunki.

W walce z polskim podziemiem NKWD-NKGB stosowało wszelkie dostępne środki i metody, w tym pracę agenturalno-operacyjną, aresztowania i wymuszanie zeznań w trakcie śledztwa.

Głównym zadaniem sowieckiego aparatu bezpieczeństwa było poszukiwanie kadry dowódczej Armii Krajowej, broni, radiostacji, archiwów i drukarni. Ponadto NKWD-NKGB dążyło do wykrycia lokali konspiracyjnych i punktów kontaktowych. Agentów werbowano spośród żołnierzy AK, członków ich rodzin i osób związanych z konspiracją lub partyzantką. Zwerbowana przez NKGB-NKWD agentura była generalnie podzielona na dwie kategorie: pierwsza pracowała nad „wyłapywaniem” żołnierzy AK oraz członków różnych organizacji i oddziałów zbrojnych, natomiast druga rozpracowywała przestępców z czasów okupacji niemieckiej. Po zwerbowaniu agenta wywodzącego się z szeregów AK powierzano mu rozpracowanie środowiska akowskiego z jego miejsca zamieszkania, a więc tego, które znał najlepiej z czasów okupacji¹¹.

Paradoksem jest, że walkę z Armią Krajową ułatwiła sowieckiemu aparatowi bezpieczeństwa akcja „Burza”, która przyczyniła się do ujawnienia władz cywilnych oraz dekonspiracji tysięcy żołnierzy Polski Podziemnej. NKWD-NKGB oraz kontrwywiadowi wojskowemu „Smiersz” sprzyjało spotykane nader często naruszanie podstawowych zasad konspiracji zarówno przez członków AK, jak i przedstawicieli Delegatury Rządu.

10. Tamże, k. 101.

11. Z. Nawrocki, „Zamiast Wolności: UB na Rzeszowszczyźnie 1944-1949”, Rzeszów 1998, s. 95.

9 marca 1944 r. NKGB rozbiło placówkę Armii Krajowej w miejscowości Rożyszcze na Wołyniu. Trzy osoby wraz z komendantem rozstrzelano. Dwudziestu żołnierzy zatrzymano i wywieziono do Łucka. 15 marca aresztowano członków polskiego podziemia w Przebrażach, 12 kilometrów na północny wschód od Kiwerców¹². 29 marca został uwięziony wraz ze swoim sztabem inspektor łucki kpt. Leopold Świkła „Adam”, zmierzający w rejon koncentracji 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK¹³.

Likwidacją oddziałów AK wykonujących akcję „Burza” zajmował się Główny Zarząd Wojsk NKWD ds. Ochrony Tyłów Frontów. Powołany został 28 kwietnia 1942 r. rozkazem nr 00852 ludowego komisarza spraw wewnętrznych Ł. P. Berii i funkcjonował początkowo w strukturze Głównego Zarządu Wojsk Wewnętrznych NKWD. Jego naczelnikiem mianowano starszego mjr. b.p. A.M. Leontiewa. 4 maja 1943 r. Zarząd Wojsk NKWD ds. Ochrony Tyłów uzyskał samodzielność i zaczął pełnić bezpośredni nadzór nad wszystkimi wojskami NKWD osłaniającymi tyły frontów. Do jego zadań należało zapewnienie: „normalnego funkcjonowania zaplecza frontu i ustanowienia porządku państwowego na terenach wyzwolonych spod niemieckiej okupacji, przeprowadzanie – wspólnie z organami NKWD i NKGB, kontrwywiadem „Smiersz”, jednostkami i pododdziałami Armii Czerwonej – operacji czekistowsko-wojskowych w celu likwidacji zbrojnych grup przeciwnika pozostałych na tyłach, ujawnianie agentury przeciwnika i dywersantów, kontrola przestrzegania reżimu przyfrontowego przez miejscową ludność, konfiskowanie u ludności miejscowej broni i sprzętu wojskowego, zbiórka broni i sprzętu produkcji rodzimej i zdobycznego, walka z dezterami Armii Czerwonej, udzielanie pomocy lokalnym organom władzy sowieckiej, walka z

12. CAW, Oddział VI, 1777/90/285, Współpraca Armii Krajowej z Armią Sowiecką. Wyciągi z meldunków Dowódcy Armii Krajowej, k.1.

13. A. Chmielarz, „Władze sowieckie i PKWN wobec AK w 1944 r.”, *WPH* 1992, nr 2, s. 23. Kpt. L. Świkła został zatrzymany przez patrol NKWD w pobliżu stacji Hołaby wraz z kilkunastoma osobami. Zob. W. Filar, „«Burza» na Wołyniu. Z dziejów 27 Dywizji Piechoty Armii Krajowej. Studium historyczno-wojskowe”, Warszawa 1997, s. 88.

oddziałami UPA, OUN oraz polskim podziemiem”¹⁴.

W maju 1944 r. naczelnik wojsk NKWD ds. Ochrony Tyłów Armii Czerwonej gen. I. M. Gorbatiuk wydał dyrektywę, w której uprzedzał dowódców jednostek Wojsk Wewnętrznych oraz ochrony pogranicza, że na ziemiach polskich istnieje antysowieckie podziemie podporządkowane rządowi emigracyjnemu w Londynie. Zaliczono do niego wszystkie polskie organizacje zbrojne, które nie były związane z ruchem komunistycznym.

Do pierwszej poważnej konfrontacji jednostek Armii Czerwonej i Wojsk Wewnętrznych NKWD z Armią Krajową doszło w lipcu 1944 r. na Wileńszczyźnie. Po zdobyciu Wilna do miasta został skierowany Iwan Sierow, do którego dyspozycji oddano dwa bataliony wojsk NKWD i dziewiętnaście grup operacyjnych NKWD-NKGB. 14 lipca 1944 r. najwyższe władze wojskowe ZSSR podjęły decyzję o przeprowadzeniu operacji likwidacji oddziałów AK w rejonie Wilna (dyrektywa nr 220145) siłami jednostek 3 Frontu Białoruskiego i Wojsk Wewnętrznych NKWD. W meldunku z 17 lipca 1944 r. Berii do Stalina, opartym na raporcie Sierowa i gen. armii Iwana Czerniachowskiego, napisano: „Dzisiaj zaprosiliśmy tak zwanego generała-majora «Wilka» (Kulczyckiego). Oświadczyliśmy mu, że interesuje nas zdolność bojowa formacji polskich i byłoby pożądanе, żeby nasi oficerowie mogli je odwiedzić. «Wilk» wyraził zgodę i ujawnił nam 6 punktów dyslokacji jego pułków i brygad. Interesowała nas też jego kadra oficerska, więc zaproponowaliśmy spotkanie ze wszystkimi dowódcami pułków, brygad, ich zastępcami i szefami sztabów. Na to «Wilk» również się zgodził, po czym wydał odpowiednie rozkazy w tej sprawie oficerowi łącznikowemu, który niezwłocznie wyjechał do swojego sztabu. I wtedy «Wilka» rozbroiliśmy, zaś obecny wraz z nim kapitan, szef sztabu i przedstawiciel Rządu Emigracyjnego, próbował stawiać opór, wyciągając i odbezpieczając pistolet, ale został

14. N. Jelisiejewa, „Polskie podziemie w latach 1944-1947 w oczach oficerów NKWD (przegląd dokumentów z Rosyjskiego Państwowego Archiwum Wojskowego)”, [w:] „NKWD o Polsce i Polakach. Rekonesans archiwalny” pod red. A. Chmielarza, W. Materskiego, A. Paczkowskiego, Warszawa 1996, s. 44.

rozbrojony. Wykorzystując fakt, że udostępniono nam miejsca dyslokacji formacji polskich, opracowaliśmy (...) plan operacji”¹⁵. Operacja rozpoczęła się 18 lipca 1944 r. i trwała dwa dni. W wyniku działań podjętych przez Sierowa i gen. Czerniachowskiego podstępnie aresztowano kadry okręgów AK Wilno i Nowogródek oraz rozbrojono oddziały polskie skoncentrowane pod Wilnem, a następnie w Puszczy Rudnickiej. Łącznie w czasie trwania operacji rozbrojono 7924 oficerów i żołnierzy AK (4400 spośród nich odstawiono na miejsce zbiórki, około 2500 zostało wypuszczonych do domów przez dowódców oddziałów i konwoj)¹⁶. Oficerów skierowano do obozów NKWD na terenie ZSSR. Część z nich została przekazana w celach operacyjnych aparatowi NKWD-NKGB i kontrwywiadu „Smiersz”.

Podobny los spotkał formacje AK walczące o Lwów od 22 do 27 lipca 1944 r. Z komendantem Obszaru Południowo-Wschodniego płk. Władysławem Filipkowskim „Cisem” nie pertraktowano. Kiedy 27 lipca zjawił się wraz z delegatem okręgowym dr Adamem Ostrowskim „Tomaszem Niedziłą” w sztabie 1 Frontu Ukraińskiego, przedstawiono mu stanowisko Kwatery Głównej: „Obszar ten należy do państwa sowieckiego. Toteż należy broń złożyć w terminie do dwóch godzin i rozwiązać wszystkie oddziały. Zostanie przeprowadzona mobilizacja przez organy państwowe sow. Polacy będą mieli możliwość wyboru między oddziałami Berlinga a wojskiem sowieckim (...). Wobec tej sytuacji przymusowej wydałem rozkaz rozwiązujący oddziały”¹⁷. Następnie NKGB złożyło będącemu już pod nadzorem aparatu bezpieczeństwa płk. Filipkowskiemu propozycję przeprowadzenia w Żytomierzu rozmów z gen. Żymierskim w sprawie utworzenia dywizji przy Armii Polskiej w ZSSR. Podczas rozmów z funkcjonariuszami NKWD-NKGB przedstawiciele Armii Krajowej

15. „NKWD i polskie podpolje 1944-1945. Po «osobym papkam» J.W. Stalina”, pod red. A.F. Naskowej, Moskwa 1994, s. 34-35.

16. „Teczka specjalna J.W. Stalina. Raporty NKWD z Polski. 1944-1946”, oprac. T. Cariewskaja, A. Chmielarz, A. Paczkowski, E. Rosowska, S. Rudnicki, Warszawa 1998, s. 47.

17. CAW, Oddział VI, 1777/90/86, Postępowanie Sowietów w Polsce w 1944 r., k. 10.

byli „na wszystkie strony fotografowani i filmowani”¹⁸.

31 lipca 1944 r. odleciała ze Lwowa do Żytomierza delegacja oficerów polskich w składzie: Komendant Obszaru płk Filipkowski, jego adiutant ppor. Zygmunt Łanowski, Komendant Okręgu Tarnopol płk Franciszek Studziński, Komendant Okręgu Lwów ppłk Stefan Czerwiński i szef Oddziału II ppłk Henryk Pohoski jako szef Sztabu Obszaru. Po odmowie wcielenia oddziałów AK do Wojska Polskiego dowodzonego przez Żymierskiego oraz przekazania dokumentów i majątku organizacji, w nocy z 2 na 3 sierpnia oficerów polskich aresztowano i przewieziono do siedziby NKGB w Kijowie, a następnie do kwatery kontrwywiadu 1 Frontu Ukraińskiego w okolicach Lubaczowa i Trzebuski, na północ od Rzeszowa. Resztę kadry dowódczej aresztowano 31 lipca we Lwowie. Tego samego dnia w mieszkaniu przy ul. Supińskiego 6 zatrzymano delegata Rządu Adama Ostrowskiego, a także pracowników kontrwywiadu Komendy Obszaru zaproszonych do sztabu „Smiersza”, mieszczącego się w willi przy ulicy Ponińskiego. Po uwięzieniu dowódców i sztabów nastąpiły masowe aresztowania wśród szeregowych żołnierzy AK, „którzy z racji swej służby zdekonspirowali się i chodzili z biało-czerwonymi opaskami”¹⁹.

Przesłuchanie płk. W. Filipkowskiego w okolicach Lubczy koło Rawy Ruskiej trwało około 20 godzin i dotyczyło spraw politycznych oraz walk powstańczych w Warszawie. Zaskakująca dla niego była dobra orientacja oficerów sowieckiego kontrwywiadu w strukturze i obsadzie personalnej KG AK. Mieli oni informacje o gen. Tadeuszu Komorowskim, gen. Tadeuszu Pełczyńskim i płk. Janie Rzepeckim²⁰.

Od ppłk. Henryka Pohoskiego „Walerego” próbowano uzyskać wiadomości o magazynach broni, radiostacji, pienią-

18. CAW, Oddział VI, 1777/90/415, Relacja mjr. dypl. Walerego, szefa II Oddziału Obszaru Lwowskiego, k. 18.

19. CAW, Oddział VI, 1777/90/86, Postępowanie Sowietów w Polsce..., k. 17; St. Pempel, „ZWZ-AK we Lwowie 1939-1945”, Warszawa 1990, s. 124-125. Sowiecki aparat bezpieczeństwa polecił dozorcóm we Lwowie zgłaszać nazwiska żołnierzy AK ujawnionych w czasie akcji „Burza”.

20. CAW, Oddział VI, 1777/90/415, Relacja mjr dypl. Walerego..., k. 19.

dzach i archiwum, a także dane, które pozwoliłyby skompromitować rząd polski w Londynie. Dlatego większość tez, które zamierzano „udowodnić”, dotyczyła następujących spraw: „a) AK nie miała na celu walki z Niemcami (...) to była komedia, a jej zasadniczym celem było uchwycenie władzy; b) AK współpracowała z Niemcami; c) AK zorganizowała na terenach sowieckich wywiad przeznaczony do pozostania na przyszłość i skierowany przeciw ZSSR; d) AK posiadała rozkazy występowania przeciw partyzantom sowieckim, przeciw AL, przeciw komunistom i przeciw wojskom sowieckim oraz organom PKWN”²¹. Na podstawie stawianych pytań ppłk Pohoski zorientował się, że „Smiersz” miał szczegółowe informacje o działalności „Wachlarza” oraz wiedział, że AK po rozwiązaniu przekształci się w nową organizację konspiracyjną. Przesłuchania odbywały się nocą i prowadzone były przez ppłk. Kołomańca i ppłk. Piotrowskiego (pseudonim), który w przypiływie szczerości oświadczył: „Jakie z was dzieci. To wy myślicie, że my dopuścimy nie u was, ale w całej Europie i nie Rząd, ale choćby jednego człowieka, który nie byłby po naszej myśli? To się nigdy nie stanie”²². Ppłk. H. Pohoskiego wypytywano o oficerów AK służących w Gestapo i wywiadzie niemieckim (!). Złożono mu także propozycję pracy w sowieckim kontrwywiadzie. 8 sierpnia 1944 r. z Obszaru Lwowskiego AK donoszono do Centrali: „U nas niewola sroższa niż w 39 roku. Kontrole nocne, rewizje, aresztowania bez końca. Wywóz specjalistów techn. i ludzi do Rosji. Powszechny rabunek mienia ludności. Potwornymi środkami NKWD usiłuje wykryć i aresztować wszystkich, którzy pracowali w organizacji. Jeśli stan dotychczasowy potrwa dłużej, niewiele zostanie tu Polaków”²³. W tym czasie informowano także o powrocie do Lwowa funkcjonariuszy sowieckiego apa-

21. Tamże, k. 20-21.

22. Tamże, k. 22. Ppłk Pohoski przewieziony został z powrotem do Lwowa, gdzie był więziony w willi przy ul. Kosynierskiej, skąd zdołał zbiec 12 września 1944 r. i przedostać się do Jarosławia. Zob. G. Mazur, J. Węgierski, „Konspiracja lwowska 1939-1944. Słownik biograficzny”, Katowice 1997, s. 151.

23. CAW, Oddział VI, 1777/90/285, Współpraca Armii Krajowej z armią sowiecką. Wyciągi z meldunków Dowódcy Armii Krajowej, k. 15.

ratu bezpieczeństwa, którzy działali na tym terenie w latach 1939-1941²⁴.

Władze sowieckie, dążąc do osłabienia polskiej konspiracji na Kresach Wschodnich, zarządziły na zajętych terenach pobór do Armii Czerwonej i wojska gen. Berlinga. Pobór ten objął roczniki 1915-1920 i 1925, oficerów i podoficerów zawodowych do 60, a podoficerów rezerwy do 50 roku życia²⁵. Przeprowadzono także rejestrację ludności oraz wprowadzono ograniczenia w jej poruszaniu się. Ponadto w każdym rejonie zaczęto tworzyć grupy pościgowe (tzw. *istriebitielnyje bataliony*), liczące do 200 osób. Kierowały nimi wydziały wojskowe rejkomów partii oraz organa NKWD-NKGB. Grupy pościgowe były organizowane głównie ze „sprawdzonej i przygotowanej do walki ludności miejscowej”, dobrze zorientowanej w warunkach lokalnych. W ich skład wchodził przede wszystkim byli partyzanci. Przy każdej z takich grup pościgowych były tworzone grupy współdziałające (na wsiach, w urzędach, przedsiębiorstwach) oraz tzw. grupy konspiracyjne. Zadaniem ich było zapewnienie aparatowi bezpieczeństwa bieżących informacji²⁶.

Po zajęciu Kresów Wschodnich przez Armię Czerwoną likwidowaniem polskiego podziemia zajmowały się miejscowe placówki NKWD-NKGB, wspomagane przez wojska NKWD ZSSR. W strukturze NKWD Białoruskiej SRS i Ukraińskiej SRS utworzono zarządy do walki z bandytyzmem, a w wydziałach rejonowych NKWD – jego oddziały. Działaniami aparatu bezpieczeństwa oraz jednostek wojskowych NKWD w zwalczaniu antysowieckiego podziemia na terenie obwodów lwowskiego, stanisławowskiego, drohobyckiego i czerniowieckiego kierował narkom spraw wewnętrznych Ukraińskiej SRS, komisarz b.p. 3 rangi, Wasilij S. Riasin, natomiast zastępca

24. „Armia Krajowa w dokumentach 1939-1945”, Wrocław 1990, T. 4, s. 407.

25. Rejestracji podlegały także kobiety, które nie miały 30 lat. Zob. CAW, Oddział VI/1777/90/86, k. 52.

26. W. Gulenko, „Struktura i działalność aparatu NKWD-MWD ZSRR i Białoruskiej SRR w latach 1944-1947” [w:] „NKWD o polskim podziemiu 1944-1948. Konspiracja polska na Nowogródczyźnie i Grodzieńszczyźnie”, pod red. naukową T. Strzembosza, Warszawa 1997, s. 14.

narkoma spraw wewnętrznych USRS generał-lejtnant Tomofiej A. Strokacz w obwodach rówieńskim, wołyńskim i tarnopolskim. Na Białorusi, w obwodach baranowickim, mołodeczkańskim, grodzieńskim, pińskim i brzeskim prace organów bezpieczeństwa koordynował narkom spraw wewnętrznych Białoruskiej SRS Siergiej S. Bielczenko, a na wyzwolonych spod okupacji niemieckiej terenach Litwy narkom spraw wewnętrznych Litewskiej SRS Juozas Bartašiunas²⁷.

W lipcu i sierpniu 1944 r. siły NKWD-NKGB w zachodnich obwodach Białorusi zostały wzmocnione w wyniku przesunięcia zmotoryzowanych jednostek Wojsk Wewnętrznych NKWD ze wschodnich rejonów BSRS oraz przysłania kilkusetosobowej grupy pracowników NKGB. W sierpniu 1944 r. miejscowe organy bezpieczeństwa wsparło 311 funkcjonariuszami kadry operacyjnej, odkomenderowanej przez NKGB ZSSR. Oprócz tego utworzono czekistowsko-wojskowe grupy składające się z aktywu partyjnego.

W trakcie działań podjętych przeciwko polskiej konspiracji szczególny nacisk kładziono na utworzenie aparatu agenturalno-informacyjnego, którego zadaniem było staranne rozpoznanie struktur podziemnych i oddziałów zbrojnych. Siatki agenturalne składały się z rezydentów, agentów wewnętrznych i wędrownych oraz informatorów osobowych. Od 1 lipca 1944 r. do 1 stycznia 1945 r. na terenie BSRS zwierbowano do pracy wywiadowczej 4385 osób, w tym 724 agentów, 141 rezydentów i 3515 konfidentów²⁸. W 1945 r. na Kresach Wschodnich na każdy powiat przypadało 100-300 współpracowników sowieckiego aparatu bezpieczeństwa²⁹.

Zgodnie z planem zatwierdzonym przez Iwana Sierowa w sierpniu 1944 r. oddziały Zarządu Wojsk Wewnętrznych NKWD Okręgu Białoruskiego³⁰ przystąpiły do likwidacji

27. S. Kriwienko, „Teczka Stalina. Raporty z Polski”, *Karta* 1995, nr 15, s. 43.

28. „NKWD o polskim podziemiu 1944-1948...”, s. 34-35.

29. H. Piskunowicz, „Zwalczanie polskiego podziemia przez NKWD i NKGB na kresach północno-wschodnich II Rzeczypospolitej”, [w:] „Wojna domowa czy nowa okupacja? Polska po roku 1944”, red. nauk. A. Ajnenkiel, Wrocław 1998, s. 58.

30. Zarząd WW NKWD Okręgu Białoruskiego utworzono 30 kwietnia 1944 r. w Homlu.

polskiego podziemia. Siły okręgu składały się początkowo z 6 Dywizji Piechoty, 7 Dywizji Piechoty Zmotoryzowanej i 87 pułku piechoty. Kilka miesięcy później siły te zostały wzmocnione przez 10 Dywizję Piechoty Wojsk Wewnętrznych. Głównym zadaniem Okręgu była likwidacja działalności zbrojnego podziemia niepodległościowego (wg nazewnictwa NKWD – *bandformirowanija*) i agentury niemieckiej w zachodnich obwodach Białorusi.

Od 20 sierpnia do 8 września 1944 r. Zarząd Wojsk Wewnętrznych NKWD Okręgu Białoruskiego przeprowadził 10 lokalnych operacji, w wyniku których zlikwidowano 10 oddziałów partyzanckich AK liczących ogółem 325 żołnierzy. Spośród nich zabito 268 i zatrzymano 57 osób. Natomiast w rezultacie operacji czekistowsko-wojskowych przeprowadzonych od 8 do 25 września rozbito 17 „band białopolskich”³¹. W 1944 r. siły Okręgu przeprowadziły 253 operacje przeciwko podziemi. W ich wyniku zabito 935 osób, raniono 7, schwytano 3748. Łączne straty podziemia wynosiły 4690 osób. Straty Wojsk Wewnętrznych, według zamieszczonych danych NKWD, to 55 zabitych i 46 rannych – w sumie 101 żołnierzy³².

W 1944 r. został utworzony również Zarząd Wojsk Wewnętrznych Okręgu Ukraińskiego. Jego głównym zadaniem była walka z OUN-UPA na terytorium tzw. Zachodniej Ukrainy. Podziemie ukraińskie stanowiło tam największe zagrożenie, ponieważ jednostki 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK przeszły na zachodni brzeg Bugu, a pozostałe siły AK zostały rozbite przez wojska NKWD ds. Ochrony Tyłów po ujawnieniu się w ramach akcji „Burza”. Struktury OUN-UPA przetrwały w konspiracji przejście frontu i dopiero później podjęły walkę z okupantem sowieckim. W 1944 r. Wojska Wewnętrzne NKWD przeprowadziły na tzw. Zachodniej Ukrainie 4836 operacji przeciwko podziemi. W ich wyniku zabiły 27 587 członków podziemia, raniły 2359 i zatrzymały

31. N. Jelisiejewa, „Polskie podziemie...”, *op. cit.*, s. 46.

32. Z. Pałski, „NKWD wobec podziemia polskiego w latach 1944-1945”, mps.

37 193. Łącznie straty podziemia wynosiły 67 139 osób. Wojska Wewnętrzne straciły 683 żołnierzy, a 1039 zostało rannych³³.

26 lipca 1944 r. namierzona została przez służby goniometryczne NKWD radiostacja AK w Wilnie. 9 sierpnia funkcjonariusze NKWD Litewskiej SRS przejęli w momencie nadawania informacji do Londynu aparaturę nadawczo-odbiorczą, aresztując jednocześnie m.in. radiotelegrafistów Kazimierza Kroplę, Henryka Jasińskiego i właściciela mieszkania – Bronisława Łagódkę. W sumie podczas operacji zatrzymano siedem osób, które poddano intensywnemu śledztwu. W wyniku działań agenturalno-operacyjnych 13 sierpnia aresztowano kpt. Czernika, szefa oddziału łączności Komendy Okręgu Wileńskiego AK. Na skutek silnej penetracji sowieckiego aparatu bezpieczeństwa do listopada 1944 r. została całkowicie przerwana łączność radiowa podziemia polskiego na Wileńszczyźnie, gdzie w ręce NKWD-NKGB wpadły trzy radiostacje. W Wilnie znajdowała się stacja nasłuchowa sowieckiego radiowywiadu³⁴.

We wrześniu 1944 r. we wsi Zaleskie nad rzeką Dzitwą została zlikwidowana przez sowieckie służby bezpieczeństwa radiostacja „Wanda-20” Nowogródzkiego Okręgu AK. W wyniku akcji specjalnej grupy pracowników NKGB wspieranych przez 34 zmotoryzowany pułk strzelecki WW NKWD zdobyto radiostację oraz aresztowano 9 osób, w tym radiotelegrafistów i por. Józefa Orechwo „Juza”, dowodzącego plutonem łączności Oddziału V Komendy Okręgu. Po tym sukcesie NKWD-NKGB nie została już odbudowana bezpośrednia łączność radiowa dowództwa Okręgu Nowogródzkiego z Londynem. Wszystkie meldunki nadawane były do centrali przez radiostację Komendy Okręgu Białostockiego³⁵.

W wyniku działań operacyjnych oraz czekistowsko-wojs-

33. Tamże.

34. CA MSWiA, Kolekcja akt z archiwów radzieckich, L II/152/F, k. 25-27, 35, 44, 46; J. Wołkonowski, „Okręg Wileński Związku Walki Zbrojnej Armii Krajowej w latach 1939-1945”, Warszawa 1996, s. 311-312.

35. K. Krajewski, „Na ziemi nowogródzkiej. Nowogródzki Okręg Armii Krajowej”, Warszawa 1997, s. 593.

kowych w drugiej połowie 1944 r. „podziemiu AK, jego bandom i innym wrogim elementom zadano poważne straty”. Wojska NKWD rozbiły między innymi sztab Nowogródzkiego Okręgu AK; podczas walk zginął ppłk Maciej Kalenkiewicz „Kotwicz”³⁶. Rozbito też wiele innych zgrupowań i oddziałów, jak choćby Zgrupowanie Partyzanckie „Północ” oraz „Południe”, a także oddziały „białopolskie” ppor. Jagielskiego „Piona”, „Jaremy” (Czesława Dębickiego), „Tura” (Witolda Turonka), „Orlicza” (Władysława Kitowskiego) oraz wiele innych. W sumie do końca 1944 r. NKWD-NKGB rozbiło 259 grup zbrojnych, zabito 753 i aresztowano 2644 osoby³⁷. Tylko jeden 32 pułk 6 Dywizji Piechoty w 1944 r. zatrzymał 13 203 osoby, wśród których było 763 członków AK³⁸.

W drugiej połowie września 1944 r. NKGB aresztowało łączniczki Bronisławę Tupko i Izabelę Jasińską. Ich zeznania pozwoliły zatrzymać m.in. Stanisława Rybkę „Ikara”, zastępcę komendanta Okręgu Nowogródzkiego AK³⁹. W sumie od sierpnia do grudnia 1944 r. oddziały NKWD na terenie tzw. Zachodniej Białorusi zlikwidowały 201 oddziałów i grup, zabijając 818 i biorąc do niewoli 2179 osób. W większości wypadków byli to żołnierze polskich oddziałów partyzanckich.

12 października 1944 r. został wydany ogólny rozkaz NKWD-NKGB ZSSR, nr 001257/00388 podpisany przez Berię i Mierkułowa, „O likwidacji antysowieckiego podziemia i jego band uzbrojonych na terytorium litewskiej SRS”. Rozkaz ten zobowiązywał szefów NKWD J. Bartašunasa i NKGB

36. Archiwum Wschodnie (AW) Teczka Stalina, II/M/26/TS/1. Szczegółowa notatka ludowego komisarza spraw wewnętrznych BSRS S. Bielczenki o zwalczaniu polskich band powstańczych sformowanych w zachodnich obwodach Białoruskiej SRS z 28 sierpnia 1944 r.; E. Banasikowski, „Na zew ziemi wileńskiej”, Warszawa-Paryż 1990, s. 333-339; J. Erdman, „Droga do Ostrej Bramy”, Warszawa 1990; K. Krajewski, „Na ziemi nowogródzkiej...”; A. Wernic, „Pamięci ppłk. «Kotwicza» i jego żołnierzy”, *Polska Zbrojna* 1991, nr 183.

37. CAW, Kolekcja akt rosyjskich, t. 1452, Opis sytuacji operacyjnej wojsk NKWD Białoruskiego OW, k. 66-69; „NKWD o polskim podziemiu...”, s. 35.

38. CAW, Kolekcja akt rosyjskich, t. 1566, Przegląd działalności operacyjno-służbowej 32 p.p. za 1944 r. k. 2.

39. „NKWD o polskim podziemiu...”, s. 75-76.

A. Guzevičiusa do wzmożenia operacji agenturalno-czekistowskich na Litwie. Szczególny nacisk położono na infiltrację i likwidację kierownictwa „organizacji kontrrewolucyjnych”, w związku z czym przystąpiono do rozbudowy sieci agenturalnej. Do 15 listopada 1944 r. na Litwie zostało zwerbowanych 8 rezydentów, 189 agentów i 1579 informatorów⁴⁰. W tym okresie działalność agenturalno-czekistowską prowadziło tam 21 obwodowych i 32 rejonowe grupy operacyjne NKWD-NKGB.

W listopadzie 1944 r., ze względu na rosnący opór ze strony polskiego podziemia na Wileńszczyźnie i Nowogródzczyźnie, NKWD-NKGB postanowiły: a) wzmocnić obwodowe grupy operacyjne przy pomocy funkcjonariuszy NKWD ZSSR; b) przerzucić w rejony działalności polskich oddziałów partyzanckich większe siły Wojsk Wewnętrznych NKWD oraz Wojsk Ochrony Tyłów 3 Frontu Białoruskiego; c) zwerbować więcej wykwalifikowanych agentów, po czym wprowadzić ich do działających grup partyzanckich; d) skompletować wydziały NKWD do walki z bandytyzmem oraz oddziały obwodowe NKWD; e) uporządkować materiał operacyjny NKWD-NKGB⁴¹.

W celu likwidacji polskiego podziemia sowieckie organa bezpieczeństwa przez cały czas prowadziły operacje „czekistowsko-wojskowe”, które były z reguły poprzedzone rozpoznaniem agenturalnym, co dawało wysoką skuteczność operacyjną. Pod koniec 1944 r. NKGB wysłało do Puszczy Lipczańskiej liczący 120 osób specjalny oddział pod dowództwem Szychowa, który podawał się za partyzantkę antysowiecką. Jego zadaniem było rozpracowanie, a następnie rozbicie polskich oddziałów zbrojnych dowodzonych przez Antoniego Wasilewskiego i Jana Gierusa. Aby zdobyć zaufanie Polaków, oddział Szychowa dokonał w styczniu 1945 r. pozorowanego ataku na garnizon 267 pułku Wojsk Wewnętrznych NKWD, stacjonującego we wsi Łoski gm. Kozłowszczyzna. „W trakcie

40. A. Bubnys, „Walka NKGB-NKWD z polskim podziemiem na Litwie w drugiej połowie 1944 r. i na początku 1945 r.”, [w:] „Rok 1944 na Wileńszczyźnie. Sympozjum historyczne. Wilno 30 czerwca – 1 lipca 1994 r.”, red. J. Wołkonowski, Warszawa 1996, k. 195.

41. Tamże, s. 198-199.

napadu doszło do wymiany ognia z kaemów, peemów i karabinów. By uwiarygodnić starcie, rankiem następnego dnia szef garnizonu wysłał do Słonimia kilka furmanek z obandażowanymi żołnierzami, którzy zostali jakoby ranni podczas ataku bandy⁴².

Nawiązanie współpracy z polskimi oddziałami partyzanckimi pozwoliło na zlokalizowanie ich kwater oraz punktów kontaktowych. W lutym 1945 r. według starannie przygotowanego planu przeprowadzona została akcja, w wyniku której „obie bandy zostały całkowicie zlikwidowane”. W czasie operacji zabito 64 i zatrzymano 111 osób⁴³.

Działania czekistowsko-wojskowe prowadzone były w połączeniu z pracą agenturalną, metodami rozkładania polskich grup od wewnątrz poprzez zwerbowaną agenturę. W drugiej połowie 1944 r. na terenie obwodu grodzieńskiego działalność wywiadowczą prowadził agent „Bystry”, który na podstawie opracowanej przez sowiecki aparat bezpieczeństwa legendy wprowadzony został do polskiej konspiracji. Na podstawie jego informacji w listopadzie 1944 r. 273 pułk piechoty WW NKWD zatrzymał 12 osób w rejonie wsi Szejbaki. Wśród nich znajdował się ppor. Włodzimierz Citkowski „Mewa”, który przygotowywał przejście oddziałów por. Czesława Zajączkowskiego „Ragnera” do Puszczy Nackiej, a następnie za „linię Curzona”⁴⁴.

16 lutego 1945 r. grupa operacyjna lidzkiego NKGB w wyniku działań agenturalnych aresztowała podczas odprawy kadrę dowódczą ośrodka Iwje-Juraciszki, kryptonim „Cis”. Ujęto wówczas szefa BiP Komendy Okręgu Nowogródzkiego AK Jerzego Wrońskiego „Janosika”. W marcu 1945 r. sowiecki aparat bezpieczeństwa aresztował i zwerbował do

42. „NKWD o polskim podziemiu...”, s. 52-53.

43. Tamże, s. 54. W czerwcu 1945 r. w celu likwidacji polskiej partyzantki w rejonie Nowogródka i Lachowicz została wysłana grupa pozorowana pod kryptonimem „Turisty”. Dowodził nią ppor. Gorikow. Funkcjonariusze wchodzący w skład tej grupy władali językiem polskim, dzięki czemu mogła ona udawać oddział AK przybyły z Lidy.

44. Tamże, s. 73. Grupy wojskowo-operacyjne w celu rozpoznania miejsc stacjonowania polskich oddziałów partyzanckich poza działaniami agenturalnymi wykorzystywał zwiad lotniczy.

pracy agenturalnej dwie osoby z jego najbliższego otoczenia. Otrzymały one kryptonimy „Lisica” i „Róża”, a posłużono się nimi w celu rozpracowania struktur konspiracyjnych AK oraz ustalenia miejsc pobytu poszukiwanych członków polskiego podziemia. W wyniku działań obu agentek lidzka placówka NKGB zatrzymała liczną grupę żołnierzy AK⁴⁵.

W walce z polskim podziemiem na Kresach Wschodnich NKGB-NKWD miało wsparcie sowieckiej administracji terenowej oraz różnych urzędów i instytucji mających stały kontakt z miejscową ludnością. Jednocześnie celem masowego terroru było złamanie ludności cywilnej, stanowiącej oparcie dla polskiego podziemia. Z tego powodu NKWD dążyło również do repatriacji Polaków z ziem wschodnich. Tam, gdzie zawodziły działania „agenturalno-czekistowskie”, Sowieci decydowali się na przeprowadzenie amnestii, która miała ostatecznie doprowadzić do rozbitcia polskiej konspiracji. W rzeczywistości było to posunięcie taktyczne, mające na celu dekonspirację kadr.

W połowie grudnia 1944 r. na Białoruś przybył zastępca komisarza bezpieczeństwa państwowego Bogdana Kobułowa wraz z grupą pracowników operacyjnych w „celu organizacji działań w zakresie oczyszczania terytorium (...) z antysowieckich elementów i zbrojnych band”. Według posiadanych przez NKWD ZSSR danych, w zachodnich obwodach Białoruskiej SRS działało ponad 80 polskich oddziałów partyzanckich. W tym czasie do walki z nimi skierowano dodatkowo trzynaście pułków wojsk NKWD liczących 18 890 żołnierzy. Ponadto oddelegowano 200 doświadczonych pracowników operacyjnych z centralnego aparatu do dyspozycji NKWD-NKGB BSRs. Wzmocniono również aparat bezpieczeństwa na zajętych terenach Litwy, dokąd wysłano pięć pułków wojsk NKWD oraz grupę operacyjną, którą kierował zastępca ludowego komisarza spraw wewnętrznych ZSSR, generał płk Siergiej N. Krugłow⁴⁶. Od 25 grudnia 1944 r. do 1 stycznia 1945 r. aresztowano tam 614 osób, w

45. Tamże, s. 54-55; K. Krajewski, „Na ziemi nowogródzkiej...”, s. 648-649.

46. „Teczka specjalna J.W. Stalina. Raporty NKWD z Polski...”, s. 128.

tym 370 członków polskiego podziemia⁴⁷. W okresie od 5 do 10 stycznia organy NKWD-NKGB przeprowadziły aż 103 operacje czekistowsko-wojskowe, w rezultacie których rozbito 19 oddziałów partyzanckich⁴⁸.

Od końca sierpnia 1944 r. do pierwszej dekady stycznia 1945 r. NKGB nasilił aresztowania członków polskiej konspiracji w Wilnie. 30 sierpnia zatrzymany został Delegat Rządu dr Zygmunt Fedorowicz „Albin”. We wrześniu, na skutek nieprzestrzegania zasad konspiracji, sowiecki aparat bezpieczeństwa zatrzymał Janinę Imiel-Nowicką, która prowadziła kancelarię i archiwum Delegatury Rządu Okręgu Wileńskiego. W jej mieszkaniu funkcjonariusze NKGB znaleźli komplet materiałów zawierających szczegółowe dane personalne oraz informacje dotyczące organizacji i działalności cywilnej konspiracji na Wileńszczyźnie. „Dzięki temu – jak stwierdził Wacław Religioni – NKWD mogło nas wszystkich, członków Delegatury, wybrać jak raki z saka”⁴⁹.

Od września 1944 r. intensywnie poszukiwany był przez NKGB-NKWD dr Jerzy Dobrzański „Irwid”, pełniący funkcję Delegata Rządu po zatrzymanym Henryku Jackiewicz „Marianie”. W kwietniu 1945 r. płk Rudakow, zastępca szefa NKGB Litewskiej SRS, gen. Guzeviciusa, powiedział, że: „Sowiety nie chcą mieszać się do wewnętrznych spraw polskich, ale nie dopuszczają, by w Polsce rządziła taka swołocz jak Delegat Rządu Londyńskiego na Wilno, dr Dobrzański”⁵⁰.

Pod koniec 1944 r. płk Rudakow przygotował plan zlikwidowania polskiego podziemia na Litwie. Zakładał on przeprowadzenie mobilizacji Polaków w wieku 17-45 lat do armii Berlinga, powołania specjalnej grupy NKGB w celu poszukiwania i aresztowania kierownictwa polskiego podziemia, kontrolę wszystkich znanych mieszkań konspiracyjnych oraz

47. CA MSWiA, Kolekcja akt z archiwów radzieckich, L II/160/F, k. 16.

48. „Teczka specjalna J.W. Stalina. Raporty NKWD z Polski...”, s. 156. W rezultacie tych operacji zabito 482 i zatrzymano 554 osoby.

49. L. Tomaszewski, „Wileńszczyzna lat wojny i okupacji 1939-1945”, Warszawa 1999, s. 545-546.

50. E. Banasikowski, „Na zew ziemi...”, s. 396.

masowe sprawdzanie dokumentów u mężczyzn, aresztowanie i deportowanie w głąb ZSSR rodzin osób ukrywających się. Ponadto wszystkie sprawy śledcze przekazane zostały „specjaliście od spraw polskich” w litewskim NKGB płk. Kołmykowi⁵¹.

NKWD-NKGB w walce z polskim podziemiem na Wileńszczyźnie i Nowogródzczyźnie od lipca do grudnia 1944 r. zlikwidowało 84 polskie grupy i organizacje liczące 386 ludzi. Niezależnie od tego w innych operacjach i obławach zatrzymano 3427 działaczy polskiego podziemia⁵².

W pierwszych dniach grudnia 1944 r. sowiecki aparat bezpieczeństwa „wykrył i zlikwidował nacjonalistyczną organizację Koncentracja Demokratyczna”. Ustalono nazwiska 36 jej członków, z których 16 aresztowano, wśród nich Wacława Gajewskiego, Antoniego Lewińskiego, Bronisława Bielańskiego, Mariana Kołodzieja i Władysława Hajdukiewicza. W skład „Koncentracji Demokratycznej” wchodził wileński działacz PPS-WRN, SL, SD i związków zawodowych. W większości byli oni również pracownikami Delegatury Rządu⁵³.

W nocy z 3 na 4 lutego 1945 r. NKGB aresztowało w okolicach Wilna kierownika Wydziału Bezpieczeństwa Delegatury Rządu Leona Łomackiego „Hermana” i szefa Państwowego Korpusu Bezpieczeństwa (policji delegackiej) na miasto Wilno Michała Chorążaka. Zostali oni zatrzymani w wyniku informacji przekazanych przez agenta o kryptonimie „Rożok”, który wskazał miejsca ich pobytu⁵⁴.

Na przełomie roku 1944 i 1945 dotkliwe straty poniósł

51. A. Bubnys, *op. cit.*, s. 200.

52. H. Piskunowicz, „Zwalczanie polskiego podziemia...”, *op. cit.*, s. 61.

53. CA MSWiA, Kolekcja akt z archiwów radzieckich, L II/160/F, Informacja specjalna zastępcy ludowego komisarza bezpieczeństwa państwowego Litewskiej SRS płk. Rudakowa dla Mierkułowa i Fiedotowa o zwalczaniu polskiego podziemia na Wileńszczyźnie z 4 stycznia 1945 r., k. 1-4.

54. CA MSWiA, Kolekcja akt z archiwów radzieckich, L II/108/F, Informacja specjalna ludowego komisarza bezpieczeństwa państwowego Litewskiej SRS Guzevičiusa dla W. Mierkułowa, Kobułowa i Fiedotowa z lutego 1945 r., k. 167-168.

Kedyw Komendy Okręgu. 28 grudnia NKGB aresztowało jego szefa, kpt. Jana Polaka („Kostek”), który próbował uruchomić działalność dywersyjną. W styczniu zatrzymano Antoniego Adamkiewicza „Longisa”, będącego dowódcą grupy wykonawczej Oddziału Specjalnego. W wyniku tych aresztowań Kedyw zaprzestał organizowania dalszych akcji na Wileńszczyźnie, gdyż groziły one całkowitą dekonspiracją⁵⁵.

Tylko w dniach od 25 grudnia do 1 stycznia 1945 r. NKGB aresztowało 370 osób oskarżonych o przynależność do polskiego podziemia⁵⁶. 8 stycznia grupa operacyjna ludowego komisariatu bezpieczeństwa państwowego Litewskiej SRS zatrzymała komendanta okręgu Wileńsko-Nowogródzkiego ppłk. Juliana Kulikowskiego, ps. „Ryngraf”. Doszło do tego w następujących okolicznościach: „4 stycznia aresztowano redaktora podziemnego pisma polskiego *Bojowy Znak* – Pisa K.J., występującego jako Halny, urodzonego w 1919 roku, ukrywającego się! Pis zeznał, że łączniczką wileńskiej organizacji Armii Krajowej była Woźnicka J.E., urodzona w 1921 roku, Polka, pielęgniarka. Była ona przez nas aresztowana wcześniej i przetrzymywana w więzieniu wileńskim. Uporczywie zaprzeczała swojemu udziałowi i przynależności do Armii Krajowej. Po zdemaskowaniu na podstawie zeznań Pisa, Woźnicka potwierdziła swoją przynależność do Armii Krajowej i wskazała aktywnego członka organizacji Jachowicza A.A., księdza w kościele w Wilnie. Na podstawie tych danych, 7 stycznia aresztowano Jachowicza, a w jego mieszkaniu zorganizowano zasadzkę, w której (...) został aresztowany Kulikowski”⁵⁷. Podczas przesłuchania ppłk Kulikowski ujawnił strukturę sztabu Okręgu Wileńsko-Nowogródzkiego AK, a także podał nazwiska swoich współpracowników oraz adresy kilku lokali konspiracyjnych. W tym okresie NKGB zatrzymało również trzech inspektorów AK wraz ze swoimi sztabami w terenie oraz komendanta garnizonu konspiracyjnego miasta Wilna mjr. Władysława Zarzyckiego „Rojana” i wiele osób ze sztabów dzielnic i rejonów. Straty polskiego

55. L. Tomaszewski, „Wileńszczyzna lat wojny i okupacji...”, s. 528.

56. CA MSWiA, Kolekcja akt z archiwów radzieckich, L II/160/F/, k. 16.

57. „Teczka specjalna J.W. Stalina. Raporty NKWD z Polski...”, s. 157.

podziemia w Okręgu Wileńsko-Nowogródzkim oceniane były przez stronę polską na 50% stanów osobowych. W styczniu 1945 r., jak wynika z meldunków sowieckiego aparatu bezpieczeństwa, zatrzymano 938 osób będących członkami „polskich organizacji burżuazyjno-nacjonalistycznych”⁵⁸.

Dekonspiracja podziemia w wyniku składanych w śledztwie zeznań była ogromna. Zeznania ppłk. Aleksandra Krzyżanowskiego „Wilka” i ppłk. Lubośława Krzeszowskiego „Ludwika” dostarczyły informacji między innymi o Okręgowej Delegaturze Rządu w Wilnie. Aresztowany 8 stycznia komendant Okręgu Wileńsko-Nowogródzkiego ppłk Julian Kulikowski „Ryngraf” według raportu sowieckiego: „na przesłuchaniu wstępnym (...) przekazał struktury sztabu i pododdziałów, wymienił szefów wydziałów sztabu i szereg adresów mieszkań konspiracyjno-kontaktowych”⁵⁹.

Aresztowania dotknęły także duchowieństwo polskie. Pod koniec stycznia NKGB aresztowało arcybiskupa – metropolitę Romualda Jałbrzykowskiego oraz kanclerza wileńskiej kurii, kanonika Adama Sawickiego. Funkcjonariusze aparatu bezpieczeństwa ZSSR przeprowadzili rewizje w klasztorze Jezuitów, w klasztorze Franciszkanów oraz Salezjanów i w kościele św. Ducha, w którym odkryto lokale konspiracyjne. Znalezione w nich dokumenty AK oraz broń. Tam też podczas rewizji został zatrzymany S. Kiałka, zastępca szefa IV oddziału (kwaterymistrzostwo) Okręgu Wileńsko-Nowogródzkiego⁶⁰.

W pierwszej połowie lutego 1945 r. NKGB aresztowało 78 członków AK, działających we wschodniej części powiatu Brasławskiego. Podczas aresztowania zastrzelony został dowódca organizacji Bolesław Murawski „Popiel”. NKGB zdobyło 2 granatniki, 10 automatów, 5 rkm, 27 km, 105 granatów i 17 tys. naboji⁶¹. Od 1 do 5 lutego 1945 r. w wal-

58. J. Wołkonowski, „Okręg Wileński...”, s. 327.

59. A. Chmielarz, „Likwidacja podziemia polskiego na Nowogródzczyźnie i Wileńszczyźnie (lipiec 1944 lipiec 1945)”, [w:] „Z dziejów Armii Krajowej na Nowogródzczyźnie i Wileńszczyźnie 1941-1945”, oprac. Z. Boradyn, A. Chmielarz, H. Piskunowicz, Warszawa 1997, s. 177.

60. Tamże.

61. Tamże, s. 330.

kach z polskim i litewskim podziemiem zginęło 25 osób, a rannych zostało 6 funkcjonariuszy sowieckiego aparatu bezpieczeństwa⁶².

Przez cały czas na terenie województwa wileńskiego Wojska Wewnętrzne NKWD organizowały operacje czekistowsko-wojskowe, których celem było zlikwidowanie polskich oddziałów partyzanckich. Systematycznie rozbudowywano sieć informatorów i agentów. Podszuwając się pod własowców, 23 lutego 1945 r. grupa operacyjna NKWD rozbiła we wsi Łażwie koło Oszmiany oddział AK „Fakir”, dowodzony przez Włodzimierza Mikucia „Wisia”. W wyniku tej akcji zginęły 53 osoby, a oddział NKWD wymordował wszystkich cywilnych mieszkańców wioski⁶³.

Od sierpnia 1944 r. do 20 stycznia 1945 r. sowieckie organa bezpieczeństwa na Litwie, za działalność których odpowiedzialni byli ludowy komisarz spraw wewnętrznych Juozas Bartašiūnas i ludowy komisarz bezpieczeństwa państwowego Aleksandras Guzevičius, aresztowały 22 327 osób, w tym NKWD 10 870, a NKGB 11 457 osób⁶⁴.

Na początku stycznia 1945 r. miały miejsce masowe aresztowania we Lwowie. Ich ofiarą padło około 6 tys. Polaków, w tym 20 profesorów uniwersytetu, poza tym księża, studenci, pracownicy gazowni i elektrowni⁶⁵, a przede wszystkim członkowie polskiego podziemia.

Rozwiązanie Armii Krajowej rozkazem gen. L. Okulickiego „Niedźwiadka” 19 stycznia 1945 r. traktowane było przez władze sowieckie jako fikcja. Już w 1944 r. służby specjalne ZSSR posiadały informacje na temat planu utworzenia przez polskie podziemie nowej organizacji konspiracyjnej

62. CA MSWiA, Kolekcja akt z archiwów radzieckich, L II/108/F, k. 163.

63. J. Wołkonowski, „Okręg Wileński...”, *op. cit.*, s. 330.

64. CA MSWiA, Kolekcja akt z archiwów radzieckich, L II/160/F, *Dokładna zapiska o chodie likwidacyi banditizma i antisowieckiego podpolja na tierritorii Litowskoj SSR po sostajaniju na 20 janwarja 1945 goda*, k. 66.

65. „Armia Krajowa w dokumentach...”, T. 5, s. 231-232; J. Węgiński, „Członkowie Okręgowej delegatury Rządu i Organizacji «Nie» z Małopolski Wschodniej przed sądami sowieckimi w latach 1944-1946”, *Zeszyty Historyczne WiN* 1995, nr 6, s. 13-39.

Niepodległość („Nie”), zwróconej przeciwko Sowietom i PPR. W związku z jej przejściem w stan głębokiej konspiracji nastąpiło wzmożenie działań aparatu NKWD-NKGB w całej Polsce. Ponadto sytuacja wymagała od funkcjonariuszy sowieckich oraz polskich organów bezpieczeństwa znacznie większego zaangażowania i pomysłowości w prowadzeniu pracy agenturalnej.

Według sowieckiego aparatu bezpieczeństwa zadaniem polskiego podziemia na Kresach Wschodnich było: „gromadzenie kadr powstańczych, sabotaż i bojkot zarządzeń organów władzy sowieckiej, dokonywanie aktów dywersyjnych i terrorystycznych, rozpowszechnianie oszczerczych i prowokacyjnych wymysłów przeciwko ZSRS”⁶⁶.

Przez cały 1945 r. władze sowieckie dążyły za wszelką cenę z przyczyn politycznych i propagandowych do jak najszybszego rozprawienia się z polskim podziemiem na Kresach Wschodnich. Pomimo zastosowania wszelkich możliwych sił i środków NKWD-NKGB nie udało się wykonać powierzonego im zadania.

Na początku 1945 r. NKGB USRS rozpracowało i następnie rozbiło sztaby Obszaru Południowo-Wschodniego i Okręgu Stanisławowskiego AK, aresztując 15 osób, w tym komendantów: Obszaru Południowo-Wschodniego ppłk. Feliksa Jansona „Rajgraza” oraz Okręgu Stanisławowskiego kpt. Władysława Hermana „Globusa”. W sumie od sierpnia 1944 r. do początku 1945 r. w zachodnich obwodach Ukrainy zatrzymano 7064 osoby spośród „reakcyjnych polskich elementów”. Wśród aresztowanych było 21 członków kierownictwa AK⁶⁷.

Według danych sowieckich w Wilnie i powiecie wileńskim od końca sierpnia 1944 r. do 6 lutego 1945 r. NKWD-NKGB zatrzymało 8397 Polaków, w tym: „930 osób to członkowie AK, a 2866 podejrzani o członkostwo w AK”⁶⁸. Tylko od 10 do 15 marca sowieckie władze bezpieczeństwa

66. „Teczka specjalna J.W. Stalina. Raporty NKWD z Polski...”, s. 199-201.

67. Tamże.

68. A. Bubnys, *op. cit.*, s. 202.

aresztowały 64 członków podziemia polskiego. 27 marca 1945 r. NKGB zatrzymało komendanta Okręgu Wileńsko-Nowogródzkiego ppłk. S. Heilmana „Wileńczuka” w jego mieszkaniu na ulicy Kasztanowej 7 m. 5, gdzie był zameldowany pod nazwiskiem Zatorski.

Wiosną 1945 r. zmianie uległy metody zwalczania polskich oddziałów partyzanckich na Kresach Wschodnich. Do ich likwidacji zaczęto wykorzystywać małe, dobrze zorganizowane i uzbrojone grupy operacyjne oraz na szeroką skalę wywiad agenturalny. „NKWD (...) wysyła obecnie w teren pojedynczych agentów, najczęściej w przebraniach cywilnych. Lokują się oni w mieszkaniach polskich, udając wrogów bolszewizmu usiłują nawiązać kontakty z działaczami podziemia i opozycjonistami, przygotowując w ten sposób materiał do pacyfikacji i aresztowań”⁶⁹.

Grupy NKGB-NKWD składały się z 6-24 osób. Już w styczniu 1945 r. tylko organa do walki z partyzantami NKWD LSRS miały sieć agenturalną składającą się z 20 rezydentów, 335 agentów wewnętrznych, 145 agentów „wędrownych” i 2529 informatorów⁷⁰.

W okresie wiosny i lata 1945 r. organa sowieckiego aparatu bezpieczeństwa spotęgowały na Białorusi, Litwie i Ukrainie działania zmierzające do rozpracowania i likwidacji polskiego podziemia. Nieustannie trwały aresztowania i zatrzymania Polaków, głównie w Wilnie, Grodnie, we Lwowie i Stanisławowie. W terenie przeprowadzano operacje czekistowsko-wojskowe. W ciągu całego roku 1945 Wojska Wewnętrzne Okręgu Białoruskiego wykonały 3785 akcji, natomiast Wojska Wewnętrzne NKWD Okręgu Białoruskiego przeprowadziły łącznie 21 857 operacji przeciwko podziemiu „nacionalistycznemu”⁷¹.

Koniec wojny nie oznaczał zakończenia walki z polskim podziemiem niepodległościowym na Kresach Wschodnich. W dalszym ciągu sowiecki aparat bezpieczeństwa rozpracowywał i likwidował istniejące jeszcze struktury konspiracyjne. W

69. CAW, Oddział VI, 1777/90/360, K. 39.

70. A. Bubnys, *op. cit.*, s. 200.

71. Z. Palski, „NKWD wobec podziemia...”.

1945 r. przestała *de facto* funkcjonować w sposób zorganizowany centralnie dowodzona Armia Krajowa. Większe oddziały zostały rozbite, a struktura organizacyjna na szczeblu obwodów uległa zniszczeniu. W terenie pozostały jedynie pojedyncze ogniwa konspiracyjne i niewielkie oddziały partyzanckie, które prowadziły działalność głównie na ziemiach północno-wschodnich II Rzeczypospolitej do początków lat pięćdziesiątych.

Polskie podziemie niepodległościowe nie miało najmniejszych szans w konfrontacji z sowieckim aparatem bezpieczeństwa, który posługiwał się bezwzględными i nieszablónowymi metodami działania oraz posiadał zdecydowaną przewagę liczebną i techniczną. Jednak decydujący wpływ na rozbięcie polskiego podziemia miała akceptacja mocarstw zachodnich na ponowne włączenie Kresów Wschodnich do ZSSR.

Piotr KOŁAKOWSKI

DOKUMENTY

Marcin KWIECIEN, Grzegorz MAZUR

PRZYCZYNEK DO DZIEJÓW RUCHU PROMETEJSKIEGO W POLSCE

Ruch prometejski w polityce II Rzeczypospolitej – najogólniej rzecz biorąc – polegał na wspieraniu niepodległościowych dążeń narodów wchodzących w skład Związku Sowieckiego. Dużą wagę do niego przykładał sam marsz. Józef Piłsudski, zaangażowani w nim byli wybitni działacze polityczni i wojskowi, w ramach samego ruchu prometejskiego w Polsce – bowiem był on aktywny także w innych krajach – działało szereg instytucji, organizacji i czasopism. Utrzymywano ścisłe kontakty z emigracyjnymi rządami i politykami różnych narodów ówczesnego Związku Sowieckiego, przy czynnym współudziale Ministerstwa Spraw Zagranicznych (MSZ), Oddziału II Sztabu Generalnego (Głównego) – a więc wywiadu, i szeregu instytutów naukowo-badawczych.¹

1. Literatura na temat ruchu prometejskiego jest niewielka. Jedyna książka mu poświęcona ukazała się dawno temu (S. Mikulicz, „Prometeizm w polityce II Rzeczypospolitej”, Warszawa 1971). Szereg szczegółów zawiera praca I. Werschlera, „Z dziejów obozu belwederskiego. Tadeusz Hołówko – życie i działalność”, Warszawa 1984. Należy też zwrócić uwagę na opublikowane dokumenty dotyczące ruchu prometejskiego i teksty jego czołowych animatorów: E. Charaszkiewicz, „Przebudowa Wschodu Europy. Materiały do polityki wschodniej Józefa Piłsudskiego 1893-1921”, *Niepodległość* (Londyn – Nowy Jork), 1955 – t. V, s. 125-167; tenże, „Przebudowa Wschodu Europy. Fragmenty faktów z lat 1917-

W ramach ruchu prometejskiego utrzymywano ściśle kontakty także z działaczami ukraińskimi. Jednym z wybitniejszych działaczy ukraińskich był Roman Smal-Stocki. Pochodził z rodziny wybitnych działaczy ukraińskich; jego ojciec Stepan (1859-1938) był między innymi profesorem filologii ukraińskiej na uniwersytecie w Czerniowcach na Bukowinie, posłem do sejmu krajowego Bukowiny 1892-1911, członkiem Wiedeńskiej Rady Państwa 1911-1918. Po I wojnie światowej działał w strukturach Zachodnio-Ukraińskiej Republiki Ludowej, a od 1921 r. był profesorem na Uniwersytecie Ukraińskim w Pradze. Matka Romana Emilia była prezeską ukraińskiej organizacji „Żinocza hromada” w Czerniowcach, a siostra Irena żoną Ostapa Łuckiego, posła do Sejmu RP w latach 1928-1935 i senatora w latach 1935-1938, lidera czołowej partii ukraińskiej w międzywojennej Polsce – Ukraińskiego Narodowo-Demokratycznego Zjednoczenia (UNDO).

Roman Smal-Stocki urodził się 8 I 1893 r. w Czerniowcach i po ukończeniu tam gimnazjum studiował w Lipsku i Monachium, gdzie uzyskał w 1915 r. doktorat. Po zakończeniu I wojny światowej pracował najpierw w dyplomacji Zachodnio-Ukraińskiej Republiki Ludowej, a potem Ukraińskiej Republiki Ludowej (URL) w Niemczech. Od 1923 r. wykładał na Uniwersytecie Ukraińskim w Pradze, ale już w 1924 r. przeniósł się do Polski, gdzie został profesorem na Uniwersytecie Warszawskim. Pracował tam do wybuchu II wojny światowej. Po zamordowaniu w maju 1926 r. w Paryżu Symona Petlury, R. Smal-Stocki stał się jednym z najbliższych współpracowników jego następcy, Andrija Liwyckiego – najpierw był reprezentantem URL w Warszawie, potem ministrem kultury, kolejno zastępcą ministra spraw zagranicznych i ministrem oraz wicepremierem. Utrzymywał

-1921”, *Niepodległość* (Londyn – Nowy Jork), 1974 – t. IX, s. 229-285; „Zbiór dokumentów ppłk. Edmunda Charaszkiewicza”, oprac., wstęp i przypisy A. Grzywacz, M. Kwiecień, G. Mazur, Kraków 2000, s. 56-87; W. Bączkowski, „O wschodnich problemach Polski”, Kraków 2000; T. Schaetzel, „Racja Stanu Polski na Wschodzie”, *Niepodległość* (Londyn – Nowy Jork), 1972 – t. VIII, s. 225-249; W. T. Drymmer, „W służbie Polsce”, Warszawa 1998; A. Grzywacz, G. Mazur, „Ruch prometejski w Polsce”, *Zeszyty Historyczne*, z. 110, 1994, , s. 74-85.

bliskie kontakty z wieloma polskimi działaczami, w tym T. Hołówką, Henrykiem Józewskim, Walerym Sławkiem i Bolesławem Wieniawą-Długoszowskim, a także z dyplomatami państw zachodnich, akredytowanymi w Warszawie. Od 1926 r. działał w założonej w Paryżu organizacji „Prometeusz”, grupującej organizację emigracji politycznej narodów ZSSR, a w 1928 r. wybrano go prezesem warszawskiego Klubu Prometeusza. Został następnie prezydentem Prometejskiej Ligi Narodów Zniewolonych przez Moskwę. Był więc Roman Smal-Stocki jednym z czołowych działaczy ruchu prometejskiego w Polsce.

Po wybuchu II wojny światowej Roman Smal-Stocki wyjechał z Warszawy do Lwowa, skąd wobec agresji sowieckiej zbiegł do Krakowa. Tam z kolei został aresztowany przez gestapo, ale wkrótce potem zwolniono go, opuścił wówczas Generalną Gubernię i zamieszkał w Pradze. Organizował pomoc dla profesorów polskich osadzonych w niemieckich obozach koncentracyjnych. Po zakończeniu wojny osiadł w amerykańskiej strefie okupacyjnej Niemiec, gdzie rozwinął działalność w środowiskach ukraińskich. W kwietniu 1946 r. wspólnie z działaczami przedwojennego ruchu prometejskiego, w tym z gen. Pawłem Szandrukiem, założył Ligę Karty Atlantycznej i jako jej prezes wystosował list do konferencji pokojowej w Paryżu, zawierający krytykę Związku Sowieckiego. W 1947 r. przeniósł się do USA, gdzie prowadził aktywną działalność naukową i polityczną. Zmarł w Waszyngtonie 27 IV 1969 r.²

W 1932 r. Roman Smal-Stocki wygłosił w warszawskim klubie „Prometeusz” odczyt poświęcony walce narodów ZSSR ze zniewoleniem. Zarówno ze względu na osobę prelegenta, jak i temat, warto przypomnieć jego tekst. Jest on dobitnym potwierdzeniem dążeń emigracji narodów Związku Sowieckiego do uzyskania suwerenności, a zarazem najlepiej świadczy o tym, że częste było wśród działaczy ruchu prometejskiego „myślenie życzeniowe”. Nie liczono się, lub nie zda-

2. Obszerny życiorys R. Smal-Stockiego zob.: A. A. Zięba, „Smal-Stocki Roman”, „Polski Słownik Biograficzny”, t. XXXIX – 1999, z. 161, s. 180-184.

wano sobie sprawy z tego, jak dalece iluzoryczne w warunkach istniejącego wtedy w ZSSR terroru, były możliwości wyzyskania dążeń narodowych do osłabienia i rozpadu Związku Sowieckiego i uzyskania suwerenności. Teraz, z perspektywy dziesiątków lat, najdobitniej widać, ile czasu musiało upłynąć, zanim mogły spełnić się ambicje narodowościowe narodów zamieszkujących wtedy ZSSR. Przydaje to jednak dodatkowego, jakby aktualnego waloru tekstowi Romana Smal-Stockiego.

Tekst tego odczytu przechowywany jest w Centralnym Archiwum Wojskowym w Warszawie, sygn. 1774/89/230 (z koszulką) i 1774/89/204 (bez koszulki). Egzemplarz opracowany przez nas pochodzi ze zbiorów Andrzeja Grzywacza. Publikujemy go w całości, opatrzywszy niezbędnymi przypisami objaśniającymi.



Odczyt prof. Smal-Stockiego w „Prometeuszu” – pt. „Walka o niepodległość narodów ujarzmionych przez Rosję Sowiecką”.

L. dz. 834/II. Inf./2/II/32 z 23. 06. 1932 r.
Opracowałem [Józef Skarżyński³ 28. VI. 32]^A
Zezwalam [podpis nieczytelny 20. 08. 32 r.]^B
Porównał St. S.⁴

Przebieg sprawy

1) Dla ewidencji i jako materiał mogący służyć do rozpraw i memoriałów w kwestiach narodowościowych zrobione

3. Józef Skarżyński, radca (urzędnik kontraktowy), od 15 stycznia 1928 zatrudniony w Ekspozyturze 2 Oddziału II Sztabu Głównego, dalszych danych nie udało się ustalić.

A. Tekst w nawiasie kwadratowym napisany odręcznie.

B. Jak wyżej.

4. Najprawdopodobniej chodzi o Stanisława Siedleckiego (1877-1939), działacza PPS i BBWR, senatora RP w latach 1922-1927 i 1935-1938, jedną z czołowych postaci ruchu prometejskiego. Jego opracowanie dotyczące ruchu prometejskiego zob.: A. Grzywacz, G. Mazur, „Ruch prometejski w Polsce”, s. 74-85.

zostały odpisy odczytu prof. Smal-Stockiego, wygłoszonego w Klubie Warszawskim „Prometeusz” pt. „Walka o niepodległość narodów ujarzmionych przez Rosję Sowiecką”.

Maszynopis oryginalny dostarczył szefowi Ekspozytury 2 prelegent i temuż został po wykorzystaniu zwrócony [za pośrednictwem p. Kuźnickiego z M.S.Zagr.]^C. Odbito w trzech egzemplarzach.

2) Materiał zebrany w odczycie wykorzystał kpt. Charaszkiewicz⁵ do swego referatu [pt. „Rola Polski na Wschodzie”]^D

[3] 1 egz. odpisu przesłałem p. Kuźnickiemu – za pokwitowaniem w książce doręczeń dn. 23 czerwca 1932 – łącznie ze zwrotem oryginału Józef Skarżyński]^E

[1 egzempl. wyjęto z akt dla kpt. Charaszkiewicza przed wyjazdem na urlop w dniu 18. VIII. 32 r.]^F

WALKA O NIEPODLEGŁOŚĆ NARODÓW UJARZMIONYCH PRZEZ ROSJĘ SOWIECKĄ^G

Tematem mego drugiego odczytu jest walka ujarzmionych narodów w Związku Sowieckim o niepodległość.

Panie i Panowie! Wielka rewolucja na Wschodzie, która rozwalila to więzienie naszych narodów – carską Rosję, otworzyła drogę do wolności wszystkim tzw. „inorodcom”. Po-

C. Tekst w nawiasie kwadratowym dopisany ręcznie.

5. Edmund Charaszkiewicz (1895-1975), podpułkownik, członek Związku Strzeleckiego, żołnierz Legionów Polskich, uczestnik wojny polsko-bolszewickiej i III powstania śląskiego. Od 1922 w Oddziale II Sztabu Generalnego, w Ekspozyturze 2 tego Oddziału, najpierw jako referent, później zastępca szefa, a od sierpnia 1928 kierownik tej instytucji. Jeden z organizatorów akcji dywersyjnych na Zaozlu i Rusi Zakarpackiej. Podczas II wojny światowej w oddziałach polskich w Wielkiej Brytanii. Zmarł na emigracji.

D. Jak wyżej.

E. Jak wyżej, podpis odręczny, słabo czytelny.

F. Dopisane poniżej ręcznie i przekreślone czerwoną kredką. Cały powyższy fragment znajduje się na koszulce dokumentu.

G. Strona tytułowa dokumentu; w prawym górnym rogu widnieje odręczny napis: Zał. do L. dz. 834.

wstała wolna Finlandia, Estonia, Łotwa, Litwa, Polska, Ukraina, Kubań, Kaukaskie państwa, a w tym samym czasie cały Turkiestan i narodowości tatarskie były objęte wielkim ruchem narodowościowym. Wszystkie te narody sądziły, że oto już nadszedł złoty wiek twórczej pracy dla własnych narodów i ludzkości. Niestety, to była pomyłka. Na gruzach carskiej Rosji albowiem zagnieździła się w Moskwie władza – drugie wydanie carskiej Rosji, czerwony imperializm, który natychmiast wypowiedział wojnę ideom narodowościowym tych narodów i ich prawom do własnego bytu państwowego. I tak zawrzała wkrótce walka między tymi narodami a Moskwą od Finlandii aż do dalekiego Turkiestanu. W szczególności tej walki wchodzić nie będę. Streszczę tylko jej rezultat: z tej walki wyszli zwycięsko – Finlandia, Estonia, Łotwa, Litwa i Polska, inne zaś narody – Ukraina, Kubań, Kaukaz, Turkiestan i Tatarzy padli ofiarą.

Rządy tych narodów, wszystkie partie polityczne, wojsko i inteligencja poszły po tej klęsce tą starą polską drogą – na emigrację – państwa europejskie gościnnie przyjęły tych ludzi, którzy za ideały Zachodniej Europy walczyli przeciwko bolszewikom. Wielkie centra emigracji są teraz w Turcji, w Rumunii, w Bułgarii, Jugosławii, w Polsce, w państwach bałtyckich, we Francji, w Niemczech i po rozmaitych koloniach.

Powstaje pytanie, a co stało się w tych krajach? Czy rzeczywiście zostały tam zorganizowane niepodległe republiki sowieckie, w których imię bolszewicy wojowali i te kraje okupowali? Otóż komunizm rosyjski pokazał już w tych walkach, jak on rozumie słowa Lenina o prawie narodów do samostanowienia (*wpłot do otdielenja*). Z początku bolszewicy pozostawili te fikcyjne państwa sowieckie – Sowiecką Ukrainę, Białoruś, itd. Ale już w 1923 r. została w Moskwie podpisana umowa federacyjna z Ukrainą i Białorusią i tak powstał Związek Sowieckich Socjalistycznych Republik⁶. W

6. Umowa federacyjna między Ukrainą a RFSSR została zawarta nie w 1923 r., ale już 28 grudnia 1920 roku. Pierwszą umową, niejako wzorcową dla ułożenia stosunków między Rosją a pozostałymi republikami, było porozumienie między RFSSR a Azerbejdżanem zawarte 20 września 1920 r. Decyzja o utworzeniu ZSRR została uchwalona w grudniu 1922 przez I Ogólnozwiązkowy Zjazd Rad, w lipcu 1923 nową konstytucję

latach następnych to *wpłót do oddzielenia* staje się jeszcze wyraźniejszy i rozpoczyna się pełna unifikacja. Kasuje się oddzielne komisariaty spraw wewnętrznych, rolnictwa, sprawiedliwości. Kompetencje poszczególnych republik zostały ograniczone wyłącznie do spraw oświatowych i zdrowia publicznego. Teraz i oświata jest w likwidacji, i wyższe szkolnictwo zostaje częściowo zrusyfikowane.

Równobiegłe z tym zunifikowano z Moskwą wszystkie partie komunistyczne tych krajów i pozbawiono ich wszystkich cech samodzielnych politycznych organizacji. Stanowią one integralną część związkowej rosyjskiej partii komunistycznej i rządzone są starym prawem „mołczać i nie rozsądzać”.

A cóż się stało z resztą społeczeństwa poszczególnych narodów, które nie poszły na emigrację? Dla reszty inteligencji stała się na początku polityka unarodowienia języka momentem atrakcyjnym, przypuszczano bowiem, że na platformie lojalności wobec ustroju sowieckiego będzie istniała możliwość kulturalnej pracy. Ale kiedy na tym tle wzrósł ruch narodowościowy i rozpoczął walkę z dominującym rosyjskim wpływem w tych nowych formach sowieckiego ustroju, to rządzące czynniki zastosowały natychmiast cały szereg represji. Ruch ten stłumiono. Przypomnę tylko proces charkowski Sojuszu Wyzwolenia Ukrainy⁷, areszty wśród białoruskiej inteligencji, prześladowania Tatarów Kazańskich i Tatarów Krymskich, rozstrzelanie w Turkiestanie Kasimowa⁸, przepeł-

powołującą do życia ZSRR zaaprobował WCIK, a 31 stycznia 1924 zatwierdził II Zjazd Rad.

7. Proces Związku Wyzwolenia Ukrainy miał miejsce w 1930 roku w Charkowie. Jednym z głównych oskarżonych w tym procesie był Serhij Jefremow (1876-1939), polityk, publicysta i historyk literatury, jeden z przywódców Ukraińskiej Partii Radykalno-Demokratycznej, od czerwca do lipca 1917 stał na czele Sekretariatu Generalnego UCR, w latach 1922-1929 wiceprezydent Ukraińskiej Akademii Nauk w Kijowie. Od jego nazwiska proces często był nazywany procesem Jefremowa. Obok niego aktem oskarżenia objęto czterdzieści pięć osób, wobec których zapadły stosunkowo łagodne wyroki, od jednego do dziesięciu lat więzienia.

8. Sprawa Kasimowa, rozstrzelanego w 1930 r. w Turkiestanie za odchylenie nacjonalistyczne, była odległym echem tzw. „sułtan-galijewszczyzny”. Mirseid Sułtan-Galijew był członkiem partii bolszewickiej Tatarstanu jeszcze przed rewolucją październikową. W czasie rewolucji pełnił funkcję członka Ludowego Komisariatu do spraw Narodowości i

nione Sołówki działaczami narodowymi wszystkich narodów. Są to najlepsze dowody bezustannej walki ujarzmionych narodów z nowym imperiaлизmem moskiewskim.

Jak widzimy, ten stary zachłanny nacjonalizm rosyjski, odroczony pod pozorem internacjonalizmu, czyni rozpaczliwe wysiłki, aby opanować ruchy narodowościowe i utrzymać dominujące stanowisko Rosji na Wschodzie. I dla tego celu Stalin zmienił stare hasło *jedinaja i niedielimaja imperija russkaja* na *jedinoje i niedielimoje socialisticzeskoje otieczestwo*.

Jakaż obecna jest sytuacja tej walki narodów ujarzmionych? Wszystko, co powiedziałem, wybitnie dowodzi, że te narody ze swoim losem nie pogodziły się, że one walczą. Chcę teraz przedstawić, jakie są dążenia tych narodów, jaka jest ich ideologia, jak ich emigracje pracują i jakie polityczne konstrukcyjne myśli one rozbudowują.

Rozpocznę od krótkiego przedstawienia poszczególnych problemów narodów ujarzmionych w Związku Sowieckim i postaram się krótko i węzłowato podać główne daty z każdego zagadnienia.

Zacznę od dalekiej północy – od Karelii. 14 października 1920 r. bolszewicy zlikwidowali wojnę z Finlandią, zawierając pokój w Dorpacie. Specjalnymi paragrafami w traktacie dorpackim przyznali bolszewicy prawo dla samostanowienia dla autonomicznego terytorium karelskiego. Ogłoszono też pełną amnestię polityczną. Wszystkie te warunki nie pozostały wypełnione. Bolszewicy aresztowali i wysłali wszystkich działaczy. O autonomii i wspominać nie chcą. Dwa wielkie powstania podjął nieszczęśliwy lud, ale bez pomocy rządu fińskiego powstania nie mogły zwyciężyć. Rząd fiński trzy razy poruszał sprawę przez Radę Ligi Narodów, gdzie traktat

kierownika Centralnego Muzułmańskiego Kolegium Wojskowego, starając się pozyskać muzułmanów dla sprawy bolszewików. Dostrzegając możliwość realizacji dzięki rewolucji aspiracji narodowościowych Tatarów i zjednoczenia muzułmańskich narodów Rosji. W swych poglądach odwoływał się do solidarności narodów kolonialnych, które według niego winny zdominować industrialne społeczeństwa Zachodu, łączył islam z ideologią komunistyczną, tworząc osobliwy model „muzułmańskiego socjalizmu”. W 1923 roku aresztowany, wkrótce uwolniony. W roku 1928 ponownie aresztowany ginie prawdopodobnie na początku lat trzydziestych.

dorpacki jest zarejestrowany, ale oczywiście bez skutków. Karelczycy, którzy stanowią część finlandzkiego narodu, mają emigrację około 40.000 w Finlandii i swój komitet centralny, który kieruje polityczną walką. Ta walka ma pełne sympatie ze strony byłych aktywistów i lappowców⁹ i wspólnym ideałem jest wielka Finlandia. Wolna Karelia ma być połączona konfederacją z Finlandią. Liczba Karelczyków wynosi około 300.000. Zamieszkują oni olbrzymie i przebogate lasami terytorium. Te lasy bolszewicy niszczą i dumpingują cały eksport drzewny nie tylko Finlandii, a i Polski, Rumunii i Czechosłowacji.

Krótko teraz wspomnę o sprawie Ingermanlandii. W Hinterlandzie Petersburga zamieszkuje około 150.000 Ingermanlandczyków, fińskiego plemienia, którzy są autochtonami tego terytorium, w którego żywym ciele Piotr Wielki przebił okno do Europy. I ten naród, który kulturalnie stoi wysoko i był wspaniale zorganizowany przez protestanckich pastorów, walczył o swoje prawa. Ponieważ jednak jest małym narodem i na jego terytorium znajduje się Petersburg, to starał się dojść z Moskwą do jakiegoś kompromisu na podstawie autonomii. Ale w ciągu ostatnich dwóch lat działacze zrozumieli, że Moskwa dąży do zniszczenia tego małego narodu. Emigracja Ingermanlandii, która zamieszkuje Finlandię, a przede wszystkim ich młodzież, wysuwa teraz koncepcję niepodległej Ingrii, opartej o Finlandię i Estonię, w której Piotrogród miałby być wolnym miastem z neutralizowanymi kolejami dla rosyjskiego tranzytu.

Z kolei przychodzi teraz Białoruś. W czasie rewolucji rosyjskiej Białoruś ukonstytuowała swój rząd narodowy¹⁰, który wstąpił w bliskie stosunki z rządem Ukraińskiej

9. Lappowcy – ruch polityczny biorący nazwę od miejscowości Lapua w prowincji Pohjanmaa, gdzie prawicowa ludność rozpadła 23 XI 1929 roku demonstrację socjalistyczną. Przedstawiciele tego ruchu wysuwali hasła antykomunistyczne, domagali się konsolidacji sił prawicowych i rządów silnej ręki. Do głównych przywódców ruchu należał Vihtori Kosola.

10. Już w marcu 1917 roku miał miejsce w Mińsku zjazd, na którym wyłoniono Komitet Narodowy Białorusi. Na następnym zjeździe w kwietniu 1917 r. powołano Centralną Radę zrzeszeń i stronnictw białoruskich. Gdy Niemcy po traktacie brzeskim wkroczyli do Mińska powołano tam Radę Ministrów Ludowych Białoruskiej Republiki Ludowej.

Republiki Ludowej i był przez niego popierany. Ale dalszy przebieg wypadków i bolszewicka okupacja doprowadziła Białorusinów do bardzo szkodliwego kroku – do likwidacji rządu, kierującego centru^H. Część działaczy niepodległościowych wróciła do Bolszewii, część poszła na Litwę, część jest w Polsce, ale jakiejś pracy politycznej na międzynarodowym terenie nie można skonstatować i jakiegoś związku z innymi centrami drugich narodów ujarzmionych. A teraz przechodzę do sprawy ukraińskiej. Dla zrozumienia problematu ukraińskiego rozpocznę z r. 1920. Po wygnaniu niemieckiej okupacji pod kierownictwem generała carskiego Skoropadskiego¹¹, rząd Ukraińskiej Republiki Ludowej znalazł się w bardzo ciężkiej sytuacji. Młoda armia ukraińska wojowała na wszystkie strony: z monarchistami na wschodzie, z bolszewikami na północy, z Polakami na zachodzie. Z Rumunami stosunki były też naprężone. Nie tylko wojskowa konieczność pchała do likwidacji frontu zachodniego, ale także głęboko przemyślana koncepcja polityczna, której wyrazicielem był ś.p. naczelny ataman Petlura¹², a którą zrealizował jako minister spraw zagranicznych obecny prezydent Andrzej Liwiński¹³. Obserwujemy na Wschodzie walkę starej idei

H. Tak w oryginale, zapewne chodzi o kierujące centrum.

11. Pawło Skoropadskyj (1875-1945), ukraiński działacz polityczny i wojskowy, wywodzący się ze starego rodu ukraińskiej arystokracji, rosyjski generał-porucznik. Po rewolucji lutowej doprowadził do ukrainizacji 34 Korpusu Armijnego. Naczelny ataman Ukraińskiego Wolnego Kozactwa (od października 1917), w porozumieniu z Niemcami dokonał zamachu stanu i obalił Ukraińską Centralną Radę ogłaszając się hetmanem Ukrainy (kwiecień-grudzień 1918). Odsunięty od władzy przez Dyktatoriat wyemigrował do Niemiec, gdzie stanął na czele monarchistycznego obozu konserwatystów, tzw. hetmanców (SHD), od 1935 roku nie odgrywał większej roli politycznej.

12. Symon Petlura (1879-1926), ukraiński działacz polityczny i wojskowy, przywódca ukraiński w okresie 1917-1921. Członek Rewolucyjnej Ukraińskiej Partii (RUP) i Ukraińskiej Socjalistycznej Demokratyczno-Robotniczej Partii (USDRP). Naczelny wódz wojsk Ukraińskiej Republiki Ludowej (UNR) i prezes Dyktatoriatu. Zawarł sojusz militarny z Polską, 21 kwietnia 1921 roku. Po upadku UNR przebywał na emigracji, zamordowany w Paryżu przez agenta GPU.

13. Andrij Liwiński (1879-1954), adwokat, działacz polityczny, członek Ukraińskiej Partii Rewolucyjnej i Ukraińskiej Socjalistycznej Partii Demokratyczno-Robotniczej, bliski współpracownik Symona Petlury. Prowadził

wielkomocarstwowej Rosji w swoim drugim, czerwonym wydaniu z ideą narodowościową ujarzmionych narodów. W tej walce narodów ujarzmionych jest coś wspólnego, coś, co wszystkie narody łączy w jeden wspólny front – Ukrainę z Finlandią i bałtyckimi państwami, Ukrainę z Kaukazem, Turkiestanem i Tatarami, a przede wszystkim Ukrainę z Polską. Tym wspólnym łącznikiem jest niebezpieczeństwo, którym grozi wspólny wróg – Moskwa. Konsekwencją tego jest dążenie do porozumienia z Polską.

Jak Panie i Panowie widzą, w tym założeniu tkwi cały polityczny światopogląd, który ma zasadnicze znaczenie i który, pomimo różnych przykrości lokalnych, jak np. pacyfikacja – kierownicze koła polityczne Wielkiej Ukrainy zatrzymały ten światopogląd i do dziś dnia, bo polityka robi się chłodnym rozumem, a nie sentymentem.

Ale nie tylko te zasadnicze myśli obrachowane na daleką metę przemawiały za sojuszem z Polską. Był jeszcze jeden taktyczny moment. Pokój brzeski pomimo tego, że przy rządzie ukraińskim był akredytowany francuski generał Tabouis¹⁴ i Anglik Picton Bagge¹⁵, skompromitował Ukraińców przed Ententą i Ukraińcy nie mieli, tak jak Polacy, zabezpieczonych tyłów u zwycięskiej Ententy. Otóż dyplomacja ukraińska, przede wszystkim nieboszyk baron Wasylko¹⁶, chcieli przez oparcie się o Polskę i Rumunię zyskać adwokata dla swej sprawy, zyskać pośrednika do sfery interesów zwycięzców. Otóż przez Polskę i Rumunię wciągnąć Ententę w sferę ukraińskich nacjonalnych interesów – to był

rokowania z Polską, zakończone w kwietniu 1920 roku zawarciem przymerza. Na emigracji szef rządu UNR, po śmierci Petlury prezes Dyktoria, głowa państwa ukraińskiego na wychodźstwie. W 1945 roku jeden ze współorganizatorów Ukraińskiego Komitetu Narodowego.

14. Tabouis, generał, przedstawiciel francuskiej misji w Kijowie, od 29 grudnia 1917 roku komisarz Republiki Francuskiej na Ukrainę.

15. John Picton Bagge, dyplomata brytyjski, były konsul w Odessie, od grudnia 1917 roku „brytyjski przedstawiciel na Ukrainę”.

16. Mykoła Wasylko (1868-1924), ukraiński działacz polityczny i społeczny na Bukowinie, poseł na sejm i do wiedeńskiego parlamentu 1898-1918, następnie poseł Zachodnio-Ukraińskiej Republiki Ludowej w Austrii 1918-1920 i poseł Ukraińskiej Republiki Ludowej w Czechosłowacji i Niemczech 1920-1924.

drugi moment, który popierał ideę sojuszu z Polską.

Nie będę tutaj wchodzić w szczegóły. Zrealizowanie tej koncepcji wymagało długiego czasu, wielkich przygotowań wojskowych i dyplomatycznych, a tego czasu nie było i tylko z tego powodu i przede wszystkim z powodu aresztu ukraińskich funduszków w Austrii i Niemczech. Rezultatem tego był brak amunicji i broni. Ta koncepcja nie zwyciężyła. Rząd poszedł na emigrację, na czele [ze] ś.p. głównym atamanem Petlurą, którego bolszewicka kula zamordowała w Paryżu¹⁷ i na którego miejsce zgodnie z konstytucją wstąpił Andrzej Liwicki. Ten straszny bolszewicki mord zjednoczył około 90% całej emigracji w jeden obóz. Ten mord dał emigracji ukraińskiej legendę, aureolę i uchronił ją od moralnego rozkładu, w który popadła rosyjska emigracja. Nie tylko rząd nie przestał funkcjonować, ale we wszystkich państwach zatrzymane są kadry wojska. Emigracja żyje z pracy, a inteligencja dała w ciągu ostatnich dziesięciu lat podziwu godne prace kulturalne. Jest to Ukraiński Uniwersytet w Pradze, Podiebracka Akademia, Pedagogiczny Instytut, Szkoła Sztuk Pięknych, gimnazja, wydawnictwa naukowe i prasa. Około 4.000 młodzieży ukraińskiej na emigracji zakończyło wyższe szkoły i stanowią kadry gotowe na wszelki wypadek. Że ta polityczna praca rządu i społeczeństwa ma swoje rezultaty, pokazuje najlepiej wniosek senatora Copelanda [z] 1930 r. w senacie amerykańskim, domagający się uznania Ukraińskiej Republiki Ludowej.

Z kolei wspomnę paru słowami problem Donu. Don, który zamieszkały jest częściowo przez Ukraińców, a częściowo przez Rosjan, był za starej Rosji terenem Dońskich Kozaków. W tym Dońskim Kozactwie już w tych starych czasach były pewne prądy opozycyjne przeciwko Moskwie, ponieważ w swoim czasie Kozacy mieli pewne demokratyczne instytucje wyborcze. Teraz na emigracji między dońskimi Kozakami powstaje ruch, który dąży do wyodrębnienia się od Rosji w przyszłości. Kozacy chcą być panami swego losu i nie

17. 26 maja 1926 roku Schalom Schwartzbard, agent GPU zastrzelił w Paryżu atamaną Symona Petlurę. Schwarzbard w trakcie śledztwa i procesu utrzymywał, iż zabójstwo było odwetem za pogromy ludności żydowskiej dokonywane rzekomo przez oddziały Petlury na Ukrainie w czasie kampanii 1919 r.

chcą być więcej ślepych narzędziem imperializmu rosyjskiego. Oczywiście zdajemy sobie sprawę, że co do narodowości, to Kozacy Dońscy są w większości Rosjanami, ale nie jest wykluczone, że to jest zarodek dla jakiejś rosyjskiej Belgii, która by w interesach swoich własnych wstąpiła we front walki narodowości przeciwko Moskwie.

A teraz przychodzi Kubań. Jego historia jest związana z walkami ukraińskiego kozactwa zaporoskiego przeciwko Moskwie. Tam mianowicie po zburzeniu Siczy Zaporoskiej w 1775 roku potomkowie kozactwa po długich wędrówkach znaleźli nową ojczyznę, jak wojsko Kozaków Czarnomorskich. Około 1800 roku 20.000 Kozaków skolonizowało ten bogaty kraj, a koloniści zatrzymali wszystkie swoje tradycje. Mieli więc radę, obieralnego atamana, obieralną starszyznę wojskową, własne sądownictwo, własną szkołę, własne duchowieństwo, własny ustrój agrarny. Obok tej kozackiej ludności powstała tam i druga emigracja zwyczajnych włościan, która wytworzyła problem tzw. innogorodców. W 1917 roku rada ogłosiła Kubań republiką kubańską, która miała wchodzić, jak równouprawniony członek, do składu rosyjskiej republiki federacyjnej. Przewrót bolszewicki doprowadził jednak do skryształizowania własnych myśli politycznych. 16 lutego 1918 roku została proklamowana niepodległa kubańska republika. [W] 1920 r. podpisał Kubań sojusz dla wspólnej walki przeciwko Moskwie z Ukrainą i Kaukazem. Niestety, armia Denikina¹⁸ wkrótce zrobiła Kubań przy pomocy Anglii swoim terenem i wniosła wojnę domową, która doprowadziła do tego, że po katastrofie dobrovolców¹⁹ i rząd Kubania poszedł na emigrację. Tamtejszy ataman Kubania – Iwanis²⁰, razem ze

18. Anton Denikin (1872-1947), generał rosyjski, jeden z przywódców sił „białych” w czasie wojny domowej w Rosji. W roku 1917 zastępca szefa sztabu naczelnego dowództwa armii rosyjskiej, brał udział w lecie 1917 roku w przygotowaniach zamachu gen. Korniłowa. Po śmierci Korniłowa został mianowany głównodowodzącym Armii Ochotniczej. Po klęsce pod Orłem (1920), wycofał się na Krym, następnie na emigracji.

19. Armii Ochotniczej.

20. Wasilij Iwanis (ur. 1888), inżynier, rodem z Kubania. W 1920 był ministrem w rządzie Kubania, następnie przebywał na emigracji kolejno w Czechosłowacji, Polsce, Niemczech, a od 1948 w Kanadzie; autor wspomnień i prac naukowych.

swoim rządem przebywa w Czechosłowacji w Pradze czeskiej i stąd kierują kubańskim kozactwem rozmieszczonym przede wszystkim w Bułgarii i Jugosławii.

A teraz kolej na Kaukaz, który składa się z 4 problemów, mianowicie – Gruzji, Górali Kaukazu, Azerbejdżanu i Armenii. Rozpocznę z Gruzji. Ten kraj i naród o prastarej chrześcijańskiej cywilizacji był niepodległy jeszcze do niedawnego czasu. Król Iraki [w] 1783 r. podpisał traktat protektoratu z Rosją, na podstawie którego tylko wspólna zagraniczna polityka miała łączyć oba państwa. Ale już w r. 1801-szym Rosjanie okupowali wschód Gruzji, a [w] r. 1810 zachód. Zupełne zniszczenie samodzielności w poszczególnych księstwach: Mingrelia Górna, Abchazja, nastąpiło tylko w r. 1864-tym. Za caratu już od r. 1802-go organizowali Gruzini powstanie za powstaniem. W latach 1804-5-9-10 wybuchały powstania gruzińskie. Walka Gruzinów o niepodległość jest bogata w dramatyczne momenty. Królowa Maria zabiła generała – gubernatora Łazarewa. 1832-go roku wybuchł w Gruzji tzw. spisek poetów. Razem z całą szlachtą gruzińską 150 przywódców wysłano na Sybir, między nimi znalazł się tłumacz Mickiewicza – Eristawi²¹. To powstanie było ściśle związane z powstaniem polskim i jego kierownicy mieli ścisły kontakt z Polakami. Powstania w Gruzji nie ustają i dopiero w 60-tych latach Rosja właściwie opanowała Gruzję. Literatura gruzińska staje się ogniskiem patriotycznym życia gruzińskiego. W 1894-tym została zorganizowana socjaldemokratyczna partia, która staje na czele ruchu wyzwolenczego, i to nie tylko wyzwolenia politycznego, ale i socjalnego. W 1918 r. nastąpiła proklamacja niepodległości. Państwo gruzińskie zostało uznane *de facto* i *de iure* przez wszystkie państwa, a 13 lutego 1921 r. bez wypowiedzenia wojny Rosja napada i okupuje Gruzję. Powstanie 1924 r. wielkim echem rozniosło się po Europie. Legalny rząd Gruzji znajduje się w Paryżu. Prezydent[em] Gruzji jest Noe Dżordani²². Ubiegłe-

21. Giorgi Eristawi (1811-1864), gruziński poeta i dramaturg, założyciel pierwszego teatru w Tbilisi (1850), dla którego napisał szereg komedii obyczajowych. Tłumaczył na język gruziński utwory A. Mickiewicza.

22. Noe Dżordania (1870-1953), gruziński działacz polityczny, przywódca socjaldemokratów gruzińskich (mienszewików). Deputowany do I

go roku bolszewicy zabili prezydenta rady ministrów Ramiszwilego²³. Liczebność Gruzinów wynosi 3 i pół miliona.

A teraz w kilku słowach określe zagadnienie Górali Kaukazu. Łącznikiem Górali nie jest język, ponieważ plemiona te władają całym szeregiem różnych języków. Plemiona te łączą islam. W historii swojej tworzyli oni cały szereg feudalnych państw i Rosja rozpoczęła już za Piotra Wielkiego wysuwać swoje garnizony przeciwko góralom Kaukazu. Państewka między sobą wzajemnie wojowały. Moskale wmieszali się do tych walk, pomagając to jednemu, to drugiemu, a następnie nastąpiła próba okupacji, na którą naród dał odpowiedź krwawą walką w przeciągu całego stulecia pod przewodnictwem Szamila²⁴, który był głową wyznania muzułmańskiego i głową państwa. Przeszło 30 lat krwawej wojny, która zmusiła Rosję w latach [18]48-50 nawet do wycofania swych wojsk. Ale po zdobyciu i okupacji Gruzji Moskale zlikwidowali także niepodległość Górali Kaukazu. [W] 1917 r. od razu uwidoczniło się, że w narodzie żyją stare tradycje. 12 maja 1918 r. proklamowali Górale swoją niepodległość, rozpoczęli walkę z Denikinem, która młode państwo doprowadziła później do okupacji bolszewickiej. Rząd legalny jest w Paryżu na czele z Bammatem²⁵,

Dumy Państwowej. Po rewolucji lutowej w Rosji przewodniczący Rady Delegatów Robotniczych w Tyflisie. Podczas niepodległości premier, a później prezydent Gruzji. Współautor wielu reform społecznych. Po agresji bolszewickiej na emigracji.

23. Noe Ramiszwili (1881-1930), socjaldemokratyczny polityk gruziński. 26 maja 1918 roku utworzył rząd socjaldemokratyczny Gruzji. Po proklamacji niepodległości Gruzji piastował stanowisko ministra spraw wewnętrznych i wojny w rządzie Noe Żordanii. Był współautorem wielu reform społecznych: wprowadzenia powszechnego szkolnictwa, ubezpieczeń społecznych, wywłaszczenia majątków należących do rodziny carskiej na rzecz drobnych gospodarstw chłopskich. Organizował armię gruzińską, po bolszewickiej agresji na Gruzję (1 lutego 1921) na emigracji. Zastrzelony 7 grudnia 1930 roku w Paryżu przez Palmeni Czanukwadzego.

24. Szamil (1798-1871), imam, przywódca walk narodowowyzwoleńczych górali kaukaskich. W latach 1834-1859 przywódca świętej wojny przeciw Rosji. Zjednoczył górali Dagestanu, stworzył ponad 30-tys. armię. Stoczył liczne bitwy z wojskami rosyjskimi. Po zakończeniu wojny krymskiej powstanie Szamila zostało stopniowo stłumione, a on sam zesłany do Kaługi. Zmarł w roku 1871 w Mekce.

25. H. Bammata, polityk kaukaski, przeciwnik Konfederacji Kaukaskiej stworzonej przy współudziale „prometeuszy” polskich.

a ideologiem ruchu niepodległościowego Górali jest wnuk słynnego Szamila-Sahib Bey²⁶. Liczebność Górali wynosi około 3 i pół miliona.

Przechodzę do Azerbejdżanu. Historia tego kraju z 3 i pół milionami mieszkańców jest związana z jednej strony z Gruzją, a z drugiej strony z Persją. Ruch niepodległościowy opiera się na tradycjach całego szeregu kiedyś niepodległych państw, związanych między sobą etnicznie i religią. Dopiero w 1814 r. Rosja opanowała ten kraj. W 1917 r. Azerbejdżan razem z Armenią i Gruzją zwołały sejm zakaukaski w Tyflisie. Jest to pierwsza próba konfederacji. 28 maja 1918 r. ogłosili mieszkańcy Azerbejdżanu niepodległość. W 1920 r. przyszła bolszewicka okupacja. I ten rząd ma swój ośrodek w Paryżu na czele ze starym działaczem Topczy Pasza, a ideologiem narodowym jest przywódca partii Musafat Rasul Zade²⁷.

Wspomnę jeszcze o Armenii. O tym starożytnym i nie-szczęśliwym narodzie. Upadek tego państwa nastąpił w XIII-tym stuleciu. Naród ten opanowali kolejno Gruzini, Turcy, Persowie, ale zachował on swoją wiarę, język i wielkie zdolności komercyjne. Do 1890 r. część Armenii pod panowaniem tureckim odgrywała niewielką rolę. Dążenie do autonomii 6 ormiańskich wilajetów doprowadziło do znanych rzezi ormiańskich. W 1918 r. proklamowali Ormianie niepodległość, ale pobili ich w 1920 r. Rosjanie i Turcy.

Jakie są polityczne cele tych narodów, które zamieszkują Kaukaz? Wszystkie narody kaukaskie są teraz przekonane, że stały się ofiarami, ponieważ nie było między nimi jedności. Ideologia tych narodów idzie teraz w kierunku stworzenia konfederacji kaukaskiej, swego rodzaju Szwajcarii kaukaskiej. Jedynym ciężkim problemem w tej koncepcji jest Armenia, która stawia warunek włączenia ormiańskiej części Turcji do

26. Szamil Said Bey, polityk i działacz narodowy, przywódca górali kaukaskich, jeden z inicjatorów powstania Centrum Narodowego Górali Północnego Kaukazu.

27. Mehmed Emin Bey Resul Zade, polityk azerbejdżański, jeden z założycieli partii Müsavat (Równość), powstałej w Baku w roku 1911. Partia głosiła hasła jednakowych praw dla wszystkich wyznawców islamu zamieszkujących imperium rosyjskie, z czasem stała się Narodową Partią Azerbejdżanu.

tej konfederacji. Realizacja żądania ormiańskiego oznaczałaby likwidację idei niepodległości Kaukazu, ponieważ dla walki z Turcją trzeba by się oprzeć o Rosję. Z tego powodu Ormianie stoją razem z nami w szeregach narodów, które walczą o swoją niepodległość.

Przechodzę teraz do problemu tatarskiego. Tatarzy uważają siebie za potomków Złotej Ordy. Po upadku Złotej Ordy powstaje cały szereg niezależnych chanatów, przede wszystkim: a) chanat krymski, b) kazański, c) astrachański, d) sybirski.

Rozpocznę od Krymu. Krymski chanat był niepodległym do XV-go stulecia, następnie przeszedł pod protektorat Turcji, ponieważ kalif sułtan był religijną głową islamu. Ta turecka prowincja autonomiczna często prowadzi wojny z Moskwą, z Ukraińcami i z Kozakami. Katarzyna okupowała ten kraj do r. 1793. Rosjanie wywieźli chana i zaczęły się rzezie Tatarów. Tatarzy uciekali do Turcji i Rumunii, tak że teraz 1 milion Tatarów znajduje się w Turcji, a około 200 000 w Rumunii. Ruch narodowościowy rozpoczął się jeszcze za czasów starej Rosji, gdzie pod przewodnictwem Gasparyńskiego²⁸ rozpoczął się renaissance narodowy. [W] 1917 r. utworzyli oni swój parlament kurułtaj, ale eksperymenty Wrangla²⁹ zmusiły działaczy tatarskich do emigracji. Leaderem Tatarów krymskich jest Sejdamet³⁰ w Konstantynopolu.

28. Ismail Gasparyt, tatarski działacz społeczny i polityczny, założyciel czasopisma *Terdzuman* (1883).

29. Piotr Wrangel (1878-1928), baron, generał porucznik, podczas wojny domowej w Rosji jeden z przywódców sił „białych” na południu Rosji. W latach 1918-1919 dowódca korpusu konnego w armii gen. Antona Denikina, następnie w Armii Ochotniczej. W kwietniu 1920 r. powołany na dowódcę Sił Zbrojnych Południa Rosji. W lecie 1920 roku zajmuje tereny położone na północ od Krymu (Taurida Północna). Po porażkach z armiami bolszewickimi we wrześniu i październiku próbował bronić Krymu przed ofensywą „czerwonych”, ewakuował się wraz ze swoją armią do Turcji. Od 1920 roku na emigracji.

30. Džafer Seydahmet Kirimer, polityk, przedstawiciel Tatarów Krymskich. Po rewolucji październikowej przewodniczący Kurułtaju (Konstytuanty Krymskiej), później minister spraw zagranicznych i wojny Republiki Krymu. W 1919 roku delegowany za granicę jako przedstawiciel parlamentu Tatarów Krymskich. Wydalony w 1920 r. z Turcji przeniósł się do Szwajcarii. 17 maja 1920 wystąpił oficjalnie do Ligi Narodów z propozycją, by Polsce oddano mandat nad Krymem.

Tragiczną jest historia chanatu kazańskiego, zawojowanego w 1502 r. przez Iwana Groźnego, który zniszczył Kazań. Rozpoczęła się walka między chrześcijaństwem a islamem. W czasach Pugaczowa Tatarzy też powstałi i zdobyli Kazań. Proklamowano wówczas tatarskie chaństwo. Katarzyna dała wprowadzić Tatarom religijną autonomię, ale za Aleksandra III-go z tej autonomii już nic nie zostało. Jak silny był ruch narodowościowy Tatarów widzimy z tego, że w pierwszej Dumie frakcja tatarska liczyła 45 posłów. [W] 1917 r. zorganizowali Tatarzy swój komitet narodowy w Ufie, a w 1918 r. przystąpił tatarski kurułtaj do wypracowania konstytucji Idel-Uralskiej republiki. Bolszewizm wkrótce zbrojną ręką zlikwidował ruch narodowy Tatarów. Działacze idą na emigrację i mają swój komitet niepodległości Idel-Uralu, w który wchodzi wszystkie plemiona Powołża: Tatarzy, Biszkiiry, Miszczery, Nogajcy, Tiptery, Czuwasze i fińskie plemiona, jak: Mordwa, Muksza, Ary i Mary. Ideałem tej części Tatarów jest niepodległość i sojusz konfederacyjny z Turkiestanem.

Turkiestan. Do XIX stulecia na terenie Turkiestanu były niepodległe chanaty. Nawet po okupacji tego terenu, emir bucharski (3 miliony) i chaństwo chiwańskie (1.200.000) zostały niepodległymi. [W] 1917 r. Turkiestan był objęty ruchem niepodległościowym. W kraju rozpoczął się nacjonalny ruch demokratyczny przeciwko emirowi, który wykorzystali bolszewicy, żeby najpierw okupować kraj, a potem te narodowościowe tendencje zlikwidować. Bolszewicy chcą to terytorium, które jest zamieszkałe przez jeden i ten sam naród z liczebnością 15 milionów, poróżnić i tworzą cały szereg autonomicznych państw, jak Uzbekistan, Turkmenistan, Kirgistan, Kazachstan. Komitet niepodległości Turkiestanu jest w Paryżu, a na jego czele stoi wybitny działacz Czokajew³¹.

Teraz jeszcze parę słów o Syberii. Już za caratu były na Syberii ruchy separatystyczne, które szły w kierunku autonomii Syberii. My mamy teraz w Szanghaju „Dalniewos-

31. Mustafa Czokajew (Czokaj Ogły), turkiestański działacz polityczny, paryski przedstawiciel Turkiestańskiego Związku Narodowego (przywództwo rezydowało w Stambule), redaktor miesięcznika *Yach Turkiestan*.

tocznej Sowiet Grupy Sybirskich Ochotników”, który propaguje program już nie autonomii Syberii, a niepodległości. Z organizacją tą współpracują i Kozacy syberyjscy, przebywający na emigracji w Syberii.

Na czele tego ruchu stoi Morawski i Czerkow, a ten cały ruch jest właściwie przedłużeniem kierunku politycznego, stworzonego przez Potanina³².

Wśród Buriatów wyraźnie zaznacza się ruch niepodległościowy. Buriaci chcą oderwać cały kraj Zabajkalski od Rosji. W związku z tym zwalczają oni autonomistów syberyjskich. Po tej linii idzie też działalność Siemionowa³³, za którym stoi sztab japoński. W Mandżurii jest teraz dość wielka emigracja buriacka, która ujawnia dość żywą akcję antysowiecką oraz posiada własny komitet niepodległości z siedzibą w Chajlarze. Komitet ten utrzymuje stały kontakt z ludnością buriacką w ZSSR, gdzie wysyła swych emisariuszy i nielegalną literaturę.

Zakończę szkic ruchów niepodległościowych problemem Zielonego klinu, tj. całego Hinterlandu Władywostoku, który teraz na Wschodzie nazywa się Zieloną Ukrainą. Jeszcze za carskich czasów rząd rosyjski skierował ukraińską emigrację na Daleki Wschód. Mamy tam całe terytoria zasiedlone kompletnie przez Ukraińców, którzy zatrzymali swój język, zwyczaje i wiarę. 17-go roku wysłali Ukraińców do Centralnej Rady swoich delegatów i chcieli utworzyć swój własny państwowy organizm w związku z Ukraińską Republiką Ludową. W roku 1919 rząd japoński pertraktował z rządem ukraińskim i w Szwajcarii, i w Niemczech o tych sprawach,

32. Grigorij N. Potanin (1835-1920), podróżnik, geograf i etnograf, badał Azję Środkową. Uczestnik i kierownik szeregu wypraw do Mongolii, północnych Chin, Tybetu. Autor wielu cenionych publikacji etnograficznych i geograficznych.

33. Grigorij M. Siemionow (1890-1946), generał rosyjski, ataman kozacki. W lipcu 1917 roku pełnił funkcję komisarza Rządu Tymczasowego ds. formowania ochotniczych oddziałów kozackich. Po wybuchu rewolucji październikowej przywódca powstania na Zabajkale, w 1919 ogłosił się atamanem Zabajkalskiego Wojska Kozackiego. W 1920 roku po rozstrzelaniu Kołczaka przez bolszewików został jego następcą na wschodzie Rosji. Od 1921 na emigracji w Chinach i Japonii. W roku 1945 schwytany przez Armię Czerwoną w Mandżurii i skazany na karę śmierci, stracony.

które dla Japonii mają pierwszorzędne znaczenie. Przez utworzenie Zielonej Ukrainy, jako buforowego państwa, ekspansja i niebezpieczeństwo rosyjskie byłoby raz na zawsze wstrzymane. Zielona Ukraina posiada przeszło 1.000.000 Ukraińców, co stanowi więcej od 70% całej ludności tego kraju. W roku ubiegłym przybyło tam około 35.000 Ukraińców, tzw. liszeńców, zesłanych z Ukrainy Sowieckiej. Ten fakt należy traktować jako zjawisko dodatnie, ponieważ zesłańcy ci stanowią element uświadomiony narodowo i wrogo usposobiony do władzy sowieckiej. Na terenie Mandżurii jest liczna emigracja ukraińska z ośrodkiem w Charbinie. W samym mieście Charbinie jest kilkanaście tysięcy Ukraińców. Posiadali tam własny dok ukraiński, cerkiew ukraińską, towarzystwo „Proswity” i gimnazjum ukraińskie. Dom ukraiński i gimnazjum zostały zamknięte na żądanie bolszewików przez władze japońskie.

Kończę ten krótki szkic problemów narodowościowych i walk w ZSSR, które, jak Panie i Panowie widzą, szerokim pierścieniem okružają Związek Sowiećów, poczęwszy od Karelii i kończąc na Zielonej Ukrainie. Jak Panie i Panowie przekonali się, walka idzie w dwóch kierunkach, z jednej strony – na terenie wewnętrznym w samym ZSSR, jej dowodem są bezustanne represje przeciwko narodom ujarzmionym, z drugiej strony odbywa się walka na terenie zewnętrznym, którą prowadzi polityczna emigracja.

Walka na terenie zewnętrznym idzie w dwóch kierunkach; z jednej strony przebywają na emigracji legalne rządy narodowe Ukrainy, Kubania i kaukaskich państw, które to rządy były uznane *de iure* i *de facto* przez większość państw europejskich. Pod względem prawnym sytuacja tych rządów jest ta sama, co rządu serbskiego albo belgijskiego podczas wielkiej wojny. Te rządy nie rezygnują ze swych praw i wszędzie występują przed Ligą Narodów, czy przed mocarstwami z prawnymi zastrzeżeniami przy wszystkich pertraktacjach rządu bolszewickiego. Zniszczyć te rządy, stłumić żywe sumienie zgwałconych narodów – jest głównym celem bolszewickiej polityki wobec emigracji. Bolszewicy zabili Petlurę i Ramiszwilego. Dla demoralizacji politycznej emigracji

stworzyli „zmienowiechowców”³⁴. Często tworzą pod płaszczkiem nacjonalnych opozycji różne dywersje przeciwko tym rządóm, ażeby tylko zachwiać przedstawicieli legalnych praw i zniszczyć symbole niepodległości. Bolszewicy lepiej to czasem rozumieją niż pseudopatriotyczni nacjonaści, że tylko tam gdzie jest wódz, rząd, forma organizacji państwowej i dyscyplina w emigracji, tam tylko może być mowa o walce. Gdzie tego nie ma, tam emigracja rozprasza swe siły na drobny terror, który prowadzi do anarchii.

Równolegle z pracą, którą prowadzą rządy, idzie praca kierowana przez komitety narodowe okupowanych narodów. Komitety te, które nie mogą się powoływać na państwowo-legalne prawa, a mają tylko narodowe mandaty, złączyły się z przedstawicielami kierunków niepodległościowych tych narodów, które mają swe rządy, w wielką Ligę Narodów ujarzmionych, która wpływa na światową opinię publiczną i wychowuje swoje społeczeństwo. Liga ta została utworzona w roku 1925 pod nazwą „Prometeusza”. Do Ligi tej nie wchodzi tylko Białorusini. Siedzibą jej jest Paryż. Oddziały „Prometeusza” znajdują się we wszystkich centrach emigracji, w Konstantynopolu, Bukareszcie, Sofii, Pradze, Warszawie, Charbinie. Ideologia Ligi ujarzmionych narodów, czyli „Prometeusza”, jest następująca: „Prometeusz” wychodzi z założenia, że jak długo była carska Rosja, automatycznie istniał wspólny front wszystkich narodów ujarzmionych, czy to na terenie Dumy, czy w rewolucji 1905/6 roku. Ale, niestety, ta wspólnota została zatracona w roku 1918, gdy rozpoczęły się walki z Moskwą. Czemu ta wspólnota została zatracona? Poszczególne społeczeństwa nie były obzajomione już z

34. „Zmienowiechowcy” od „*Smiena wiech*” (zmiana drogowskazów) wydanego w Pradze zbioru artykułów. Prąd powstały wśród emigracji rosyjskiej w 1920 roku, głoszący hasła ugody z nowym porządkiem społecznym i ustrojowym. Podnoszono, iż obecnie bolszewicy bronią państwowych i narodowych interesów Rosji. Rewolucja miała charakter narodowy, a bolszewicy to w gruncie rzeczy „państwowcy”, zwolennicy silnego państwa i odbudowy rosyjskiego imperium, dlatego emigracja i część opozycyjnie nastawionej inteligencji w kraju winna się „nawrócić” i przystąpić do współpracy w budowie nowego porządku („czerwonymi rękami realizuje się sprawa Rosji”). Głównymi ideologami tego nurtu byli N. Ustiałow, J. Klucznikow, W. Szulgin i E. Jefimowski.

najbliższymi problemami sąsiadów i nie odczuwały, jak te wszystkie poszczególne problemy łączą się w jedną całość. W wojnie światowej tak długo Ententa przegrywała, póki nie zostało zorganizowane wspólne dowództwo. Tak też i narody ujarzmione z braku wspólnego dowództwa wojnę tę przeciwko Moskwie przegrały.

Przypomnijmy sobie chociażby ostatni akt walki z Moskwą, kiedy Polska i Ukraina walczyła z bolszewikami. I Kaukaz, i Finlandia zachowały się biernie. I tatarskie narody nie podjęły również walki.

Wspólny front jest to hasło „Prometeusza”. To hasło propaguje „Prometeusz” konspiracyjnie na całym terenie Związku, propaguje to hasło manifestacjami na zewnątrz i zadaje kłam twierdzeniom bolszewickim, jakoby udało im się rozwiązać zagadnienie narodowościowe.

„Prometeusz” solidaryzuje się z ideałami Ligi Narodów i z jej hasłami. „Prometeusz” ma i swoje zasadnicze poglądy na kwestię robotniczą i agrarną i jest przekonany, że narodowościowa rewolucja, którą na Wschodzie przygotowuje, zakończy się oddaniem ziemi na własność włościanom.

Praca rządów i społeczeństw narodów ujarzmionych ma swoje skutki i w wielkiej polityce światowej. Współpraca ta przygotowuje publiczną opinię w Europie, że bez podziału Rosji pokoju nie będzie. Podziału tego wymaga logika historii, która dała nam przykłady rozpadu Turcji i Austrii. Podział ten leży w interesie polityki angielskiej, polityki Włoch, a nawet Francji i tylko Niemcy chcą zatrzymać jedność nowej Rosji, żeby mieć tam swoją Ersatz-kolonie.

Czy te poglądy i oczekiwania są prawdopodobne? Jeżeli mam na zakończenie jeszcze i tę stronę przekonań narodów ujarzmionych przedstawić, to główni działacze tych narodów myślą, że Europa tak jak kiedyś nie doceniała bolszewików, tak teraz ich przecenia, mówią teraz bezustannie o kryzysie, ale ten kryzys, w jaki trafiła ideologia bolszewicka, jest mało dostrzegany. Z hasłem – pokój, chleb, wolność – bolszewicy objęli ster władzy. Cóż mamy po 10-ciu latach rządów? Nie pokój, lecz stałą wojnę, nie chleb, lecz głód, nie wolność, lecz niewola, pańszczyzna. Cały lud został obrócony literalnie w bydlę pańszczyźniane i upaństwowione niewolnictwo.

Zamiast zniszczenia kapitału światowego, bolszewicy żyją z tego, co kapitał światowy koncesyjkami im łaskawą dłonią rzuci. Cały tak wyolbrzymiony plan pięcioletni nie zadziwi żadnego ekonomisty, który wie, że rozmachu przemysłu carskiej Rosji z żadną pięciolatką porównać nie można. Bolszewicy zapowiadali, iż dyktatura proletariatu uszlachetni proletariatus. Tymczasem dyktatura proletariatus, eliminując wszelkie etyczne momenty, wywołała takie zdziwienie mas, o którym pojęcia nie mamy. Szaty z tego pseudoidealizmu, który idealizował najniższe instynkty gwałtu i brutalności, już opadły. Stoi on przed nami w przerażającej nagości. Despotyczna oligarchia zniszczyła wszelkie wolności obywatelskie, wolność słowa, prasy, stowarzyszeń, strajku, ruchu, nietykalności osobistej, nietykalności domów.

Wszystkie narody ujarzmione wierzą, że rzeczywisty postęp ludzki jest funkcją wolności. Z tego powodu bolszewizm przedstawia się dla nich ideologicznie jak czarna reakcja.

opracowali Marcin KWIECIEN, Grzegorz MAZUR

Grzegorz OSTASZ

UB KONTRA PSL W 1947 R. RZESZOWSKA INSTRUKCJA SPECJALNA

Walka bez pardonu, właściwie terror, jaki prosowiecki aparat bezpieczeństwa – „miecz rewolucji” – prowadził dwa lata (1945-1947) przeciwko Polskiemu Stronnictwu Ludowemu, ma ewidentną wymowę. Tym bardziej że komórki Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego stosowały chwyt niedozwolone podczas rzeczywistej demokracji. Mianowicie:

permanentną inwigilację, prowokacje, aresztowania prewencyjne, fizyczną likwidację wybranych działaczy. Zazwyczaj na terenie całego kraju takie akcje zlecała, kontrolowała, bądź nadzorowała warszawska centrala „resortu”. Przykładem: referendum „ludowe” i wybory do sejmu ustawodawczego. Nie lekceważąc ministerialnych nakazów terenowy szczebel komunistycznej „bezpieki” ujawniał własną inicjatywę i przedsiębiorczość. Taktykę dopasowywał do potrzeb chwili. Świadectwem „Instrukcja specjalna” dotycząca PSL rzeszowskiego Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego, opracowana latem 1947 przez jego szefa, płk. Teodora Dudę¹. Co prawda, również i w tym przypadku „góra” oznaczyła kierunek działań podwładnego jej aparatu². Wszakże obmyślenie szczegółów – zarówno roboty śledczej, jak i agenturalnej – pozostawiła komórkom wojewódzkim.

Instrukcja płk. Dudy oznaczała nie tyle nową taktykę postępowania UB wobec PSL – przecież od początku wyścig stronnictwa o władzę niósł fiasko wskutek miażdżenia przez komunistów – co po prostu inicjowała znane fakty. Pod koniec lata i jesienią 1947 rzeszowskie struktury UBP skupiły się na „dobijaniu” PSL. W aresztach i więzieniach osadzono dziesiątki działaczy stronnictwa. Pretekst do wzmożenia terroru ze strony UB stanowiła ucieczka za granicę – 21 października 1947 roku – Stanisława Mikołajczyka, lidera PSL, od dawna wyczuwającego osaczenie. W każdym razie 12 listopada 1947 roku płk Duda raportował do MBP, iż 7 i 8 listopada ujął 139 „peeselowców”³. Stan osobowy stronnictwa, które podczas referendum „ludowego” liczyło na Rzeszowszczyźnie 70000 członków, niebawem zmalał do 1500⁴.

Oryginał dokumentu – „Instrukcja specjalna dotycząca PSL” – napisany był jakim językiem, pełen błędów stylis-

1. 6 września 1947 r. dokument „wpłynął” do Departamentu V Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, którym kierowała Julia Brystygier.

2. Wynikał on z hasła „dobić reakcję peeselowską”. Zob. „Aparat bezpieczeństwa w latach 1944-1956. Taktyka, strategia, metody”. Część I, „Lata 1945-1947”, oprac. A. Paczkowski, Warszawa 1994, s. 156-162.

3. A. Daszkiewicz, „Polskie Stronnictwo Ludowe na Rzeszowszczyźnie 1945-1947. Lata walki”, Rzeszów 1993, s. 105.

4. *Ibidem*, s. 106-107.

tycznych i gramatycznych, nade wszystko rusycyzmów, znajduje się w archiwum Delegatury Urzędu Ochrony Państwa w Rzeszowie. Jego kopię w 1997 roku otrzymała Okręgowa Komisja Badania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu.



Wojew. Urząd Bezpieczeństwa Publicznego
w Rzeszowie
V. Wydział⁵
Nr 295/IIIs/1186/rw
Dnia 28.VIII.1947 r.

Do
Szefa Powiatowego Urzędu Bezp. Publicznego
Kierownika V Referatu⁶
*w 16 powiatach (oprócz Lesko)*⁷

INSTRUKCJA specjalna dotycząca PSL

W związku z toczącym się ostatnio procesem d-ztwa [dowództwa; powinno być: kierownictwa] WiN w Krakowie⁸, który to proces w całej swej dotychczasowej rozciągłości udowodnił ścisły kontakt i bezpośrednią, silną, niemożliwą do

5. Wydział V – społeczno-polityczny – rzeszowskiego WUBP zaistniał w październiku 1945 r. Prowadził nadzór – inwigilację – partii politycznych, organizacji społecznych oraz stowarzyszeń.

6. Odpowiednik V Wydziału w strukturze powiatowych urzędów bezpieczeństwa publicznego.

7. Co się tyczy kursywy, odpowiada adnotacjom ręcznym; pisownia oryginalna. Owe szesnaście powiatów to: Brzozów, Dębica, Gorlice, Jarosław, Jasło, Kolbuszowa, Krosno, Lubaczów, Łańcut, Mielec, Nisko, Przemyśl, Przeworsk, Rzeszów, Sanok, Tarnobrzeg. Instrukcja nie dotyczyła powiatu Lesko, ponieważ sieć PSL nie została tam nigdy zorganizowana.

8. Ów proces – przed Wojskowym Sądem Rejonowym w Krakowie – toczył się od 11 sierpnia do 10 września 1947 r.

rozgraniczenia współpracę PSL z WiN-em, czego dowodem ostatnim jest aresztowanie i wytoczony proces takim znanym, wybitnym działaczom PSL-u, jakimi byli: prezes Woj[ewódzkiego] Zarz[ądu] PSL w Krakowie Mierzwa⁹, sekretarz Woj[ewódzkiego] Zarz[ądu] PSL w Krakowie Kabat Mieczysław, naczelny redaktor dziennika PSL *Piast*¹⁰ w Krakowie Buczek Karol¹¹, prezes koła gromadzkiego PSL w Krakowie Stomach Karol¹² i inni¹³. Jest to również najlepszą rękojmią i dowodem niezbitym, że PSL nie tylko, że nie zaniechał swej pracy redakcyjnej, lecz że właśnie uaktywniło ją, zmieniając tylko charakter działalności swej na bardziej zakonspirowaną, ale za to silniej połączoną z podziemiem nielegalnych organizacji reakcyjnych.

Jest to jeszcze jednym dowodem dla nas, że PSL jest ciągle czynne, ciągle przygotowane do akcji, zdolne w każdej chwili do czynnego działania [w] jakiegokolwiek formie, aż do zbrojnego wystąpienia włącznie.

Świadczy to równocześnie, że PSL potrafiło na naszym terenie uspić naszą czujność i osłabić pracę naszą po tej¹⁴ linii [w tym zakresie], jeżeli dotychczas nie zdołaliśmy całkiem rozbić ich i zlikwidować jako organizacji.

Ponieważ ostatnie wypadki, udowadniają nam siłę, ukrytą przed naszym okiem, PSL, my z kolei musimy dołożyć starań wszelkich, aby walkę i likwidację PSL doprowadzić konsekwentnie i zwycięsko do końca¹⁵.

Wobec tego, że dotychczasowa taktyka nasza w stosunku do PSL była w praktyce niewystarczająca i nie dała oczeki-

9. 17 września 1946 r. – podczas aresztowania – Stanisław Mierzwa należał do Rady Naczelnej i Naczelnego Komitetu Wykonawczego PSL jako tak zwany drugi sekretarz generalny, nadto był wiceprezesem Wojewódzkiego Zarządu PSL w Krakowie.

10. Czasopismo *Piast*, wydawane w Krakowie od października 1945 r., to tygodnik „społeczno-polityczny poświęcony sprawom ludu polskiego”.

11. Karol Buczek prezesował również Zarządowi Gromadkiemu PSL w Krakowie.

12. Karol Stomach był prezesem Koła PSL Kraków-Śródmieście.

13. Ściśle rzecz biorąc, na ławie oskarżonych znalazł się jeszcze tylko jeden „peeselowiec”, Jerzy Kunce.

14. Słowo dopisane ręcznie; por. przypis 7.

15. To i wszystkie inne podkreślenia w obrębie dokumentu są zgodne z oryginałem.

wanych rezultatów, musimy przyjąć na powrót ostry system walki z PSL¹⁶.

Dlatego też naszym naczelnym zadaniem jest:

1. Skompromitowanie w jakiejkolwiek formie PSL-u poparte dowodami.

2. Zlikwidowanie aktywu PSL-u z terenu oraz wybitniejszych działaczy Zarz[ądu] PSL.

3. Całkowite rozbicie i upadek PSL od najwyższego do najniższego szczebla organizacyjnego w PSL, aż do całkowitego zlikwidowania PSL.

Aby zadanie stojące przed nami wykonać w pełni, musimy:

- I. 1. Wszczęć zarzucone sprawy rozpracowania p-ko [przeciwko] czł[onkom] PSL.

2. Zdobywać wszelkimi możliwymi środkami wszelkie materiały obciążające na PSL.

3. Oddawać pod sąd za popełnione przestępstwa czł[onków] PSL (specjalnie [za] szeptaną propagandę).

Ponieważ agenturalna sieć nasza po linii PSL okazała się albo bez wartości, albo praca z nią zanikła z winy pracownika obsługującego ją, należy przeto:

- II. 1. Nawiązać ścisły kontakt z dotychczas posiadaną agenturą po linii [w obrębie] PSL.

2. Zrobić konkretny plan pracy z agenturą po linii [w obrębie] PSL i na spotkaniach dawać agenturze konkretne celowe zadania i dopilnować ścisłego wykonywania tych zadań w terenie.

3. Zdobyć bezwzględnie nową agenturę po linii [w obrębie] PSL, która by mogła nas wszechstronnie i dostatecznie

16. Nic dziwnego, iż od zaistnienia PSL zdarzały się tajemne zgony ludzi stronnictwa. Co się tyczy 1945 r., na Rzeszowszczyźnie śmierć ponieśli: 7 września Wojciech Kaczmarczyk z Przeworska, 8 września Ernest Gargała z Handzlówki powiat Łańcut; 17 września Władysław Kojder, członek NKW i Rady Naczelnej PSL, zastępca Wincentego Witosa; 15 listopada Wojciech Klucz z Łańcuta; 20 grudnia Andrzej Winiarz, działacz z powiatu łańcuckiego. Natomiast łącznie w latach 1945-1947 „nieznani sprawcy” zamordowali w województwie rzeszowskim 19 peeselowców. Zob. „Słownik biograficzny ofiar terroru PRL”, zestawił F. Wilk, *Zeszyty Historyczne*, z. 6, 1964, s. 8-15; R. Turkowski, „Polskie Stronnictwo Ludowe w obronie demokracji 1945-1949”, Warszawa 1992, s. 333-338.

informować o działalności PSL w terenie.

4. Stworzyć sieć agentury interwencyjnej, która by – odpowiednio przez nas nastawiona – zależnie od potrzeb wynikających z naszych planów, udaremniała od samego zarania wszelkie próby wznowiania działalności bądź organizowania PSL od nowa.

5. Nie dopuścić do stwarzania możliwości przechodzenia czł[onków] PSL do innych partii, jak SL i PPS, którzy w obawie przed konsekwencjami za swoją dotychczasową działalność będą starali się ukryć pod opieką innych partii demokratycznych, bądź też na specjalny rozkaz organizacji, czy zwierzchnictwa PSL działającego w porozumieniu z organizacją nielegalną, w celu opanowania przez elementy PSL-owskie i WiN-owskie tej czy innej partii, czego mieliśmy już dowody.

6. Należy opracować ścisły plan rozpracowania PSL i członków indywidualnych tej partii, który musi być zatwierdzony przez Szefa Urzędu i ściśle wykonany.

Odpis planu na miesiąc wrzesień należy nadesłać do II Sekcji V Wydziału WUBP¹⁷ w Rzeszowie do dnia 31 VIII 47 r. najdalej, po czym my udzielimy Wam wskazówek odnośnie realizowania planu Waszego.

W związku z tym również, aby ostatecznie umocnić przekonanie wśród czł[onków] PSL o ścisłej współpracy PSL z podziemiem, należy natychmiast po otrzymaniu powyższej instrukcji przystąpić do systematycznego przesłuchiwania czł[onków] zarządu powiatowego i czł[onków] zarz[ądów] ogniw terenowych i wszystkich aktywistów PSL-owskich z terenu na temat toczącego się procesu WiN i PSL w Krakowie.

Załączamy plan przesłuchiwań czł[onków] PSL odnośnie procesu, który jednakże nie może być ściśle przestrzegany i w takich, [w] jakich jest opracowany, ramach wprowadzany w życie, lecz musi być, zależnie od warunków specyficznych, dostosowany, opracowany i zmieniony.

17. Według Z. Nawrockiego „Zamiast wolności. UB na Rzeszowszczyźnie 1944-1949”, Rzeszów 1998, s. 110) tak zwana „operacyjna obsługa PSL i SP oraz politycznych organizacji nielegalnych” była obowiązkiem I Sekcji V Wydziału. Tymczasem Sekcja II zajmowała się działaczami oświaty, kultury, wolnych zawodów.

Kierownik V Referatu w porozumieniu ścisłym z Szefem Urzędu opracuje plan przesłuchiwań czł[onków] PSL biorąc jedynie za podstawę przesłany przez nas plan.

W planie należy zwrócić specjalnie uwagę, aby:

1. Wyjaśnić sprawę siły i działalności PSL na Waszym terenie.

2. Wyjaśnić wszelkie dane personalne danego czł[onka] PSL (potrzebne dla Was).

3. Łączność danego czł[onka] PSL z osobami występującymi w procesie krakowskim, tak z WiN, jak PSL (w tym celu, aby stworzyć nastrój bojaźni [sic!] u czł[onków] PSL, że oni również są podejrzani).

5. Jaki jest system łączności władz zwierzchnich z ogniwami terenowymi i na odwrót.

6. Jakie instrukcje otrzymano ostatnio (treść, data, itp.).

7. Jakie cele i zadania miało PSL w okresach „referendum”¹⁸ i wyborów w dniu 19 stycznia 1947 r.¹⁹

8. Jakie dane przekazywano w związku z tymi sprawami, w jaki sposób, kiedy i komu.

9. Jakie i od kogo otrzymuje PSL fundusze na działalność swoją (jeżeli ze składek członkowskich nie są w stanie utrzymać się).

10. Jaki mieli nakaz w sprawie ustosunkowania się do działalności nielegalnej w Polsce itp.

Przesłuchiwać należy na piśmie [sporządzając z tego protokół], bez wyjątku, nawet ludzi zaufanych, aby nie wzbudzać podejrzeń u innych.

Odpisy protokołów wraz z własnym planem przesłuchania nadesłać do II Sekcji V Wydziału WUBP Rzeszów natychmiast po zakończeniu przesłuchiwań.

Należy równocześnie skrupulatnie zebrać wszelkie dane dotyczące procesu krakowskiego, co Wam wiele pomoże w opracowaniu planu przesłuchań i rozmowy na temat, z tym że należy dokładnie zapoznać się z przebiegiem procesu, tak z wszelkich danych z pracy, jak z wypowiedzi czł[onków] PSL, lub innych źródeł.

18. Tak zwane referendum „ludowe” z 30 czerwca 1946 r.

19. Wybory do sejmu ustawodawczego.

Przed przystąpieniem do przesłuchiwań należy ułożyć plan kolejności przesłuchiwań, który musi opracowany być w ten sposób, aby była ciągłość w przesłuchiowaniach, zaczawszy od najbardziej aktywnych i znanych działaczy PSL, a skończywszy na najmniej ważnych.

Należy przy tym stosować metodę przetrzymywania po kilka godzin wezwanych, tak jak w okresie wyborczym, z równoczesnym uwzględnieniem planowości rozmieszczenia wezwań, nie wykluczając możliwości kilkakrotnego wezwania przesłuchiowanych czł[onków] PSL na wypadek uzyskania jakichkolwiek kompromitujących, nawet błahych materiałów, lub gdy wynikłaby potrzeba tegoż z innych przyczyn.

Od przesłuchiwania nie powinni być wyłączeni nawet byli działacze PSL, którzy obecnie należą do innych partii politycznych, względnie uważają się za bezpartyjnych, należy jednak traktować ich inaczej jak czł[onków] PSL.

Uwaga: W miarę możliwości widoków na to, że któryś z członków PSL w czasie przesłuchiwania skłonny jest iść na koncepcję współpracy z nami, należy to wykorzystać i werbować, do sprawy tej należy jednak przystępować bardzo ostrożnie.

Na wypadek zaistnienia jakiegoś ważniejszego wydarzenia w związku z powyższą akcją, należy natychmiast o tym meldować najkrótszą drogą służbową, z zachowaniem środków konspiracji w pracy.

Za dostosowanie się i wykonanie powyższej instrukcji czyni się odpowiedzialnym Szefa PUBP i Kier[ownika] V Referatu.

Uprzedza się, że wszelkie sprawy związane z wykonaniem powyższych zarządzeń muszą być przeprowadzone ze specjalnym dopilnowaniem i zachowaniem wszelkich środków konspiracji w pracy i tajemnicy służbowej.

Uwaga nr 2: instrukcja do użytku tylko osób uprawnionych do tego, za co odpowiedzialnym się czyni Szefa Urzędu.

Naczelnik V Wydziału WUBP Szef Woj. Urz. Bezp. Publ. w Rzeszowie²⁰ w Rzeszowie

(-) DUDA płk

20. W dokumencie brak nazwiska. Naczelnikiem V Wydziału rzeszowskiego WUBP był wtedy por. Ludwik Szenborn.

WSPOMNIENIA

Andrzej KORASZEWSKI

ZAPISKI LONDYŃSKIE 1988-1989

Wstęp

Milowymi krokami zbliża się moment referendum w sprawie przystąpienia Polski do Unii Europejskiej. Dotychczas polscy politycy i dziennikarze nerwowo dopytywali się o datę przyjęcia Polski do Unii. Nikt na poważnie nie zastanawiał się nawet nad możliwością odrzucenia przez społeczeństwo w referendum propozycji wejścia do Unii Europejskiej. Tymczasem z roku na rok liczba zwolenników wejścia Polski do Unii spada, nie ma również wątpliwości, że o wynikach tego referendum rozstrzygną przede wszystkim głosy mieszkańców wsi i małych miasteczek, gdzie jest najwięcej eurosceptyków, gdzie informacja o Unii Europejskiej dociera naj słabiej i gdzie koszty transformacji ustrojowej okazały się najbardziej dolegliwe.

Na przekonanie ludności wsi i małych miasteczek do Unii pozostało już bardzo mało czasu. Na tym polu zwolennicy Unii Europejskiej ograniczają się do inwektyw pod adresem ruchu ludowego i ciemnych chłopów. Nie widać ich w wiejskiej szkole, nie docierają do wiejskiej prasy, nie próbują również zrozumieć przyczyn tego rosnącego eurosceptycyzmu w grupie stanowiącej ponad połowę społeczeństwa.

Według przedstawionej w maju 2001 roku informacji rządowej dochody rolników stanowią 30 procent dochodów

ludności miejskiej. Wieś nie wytrzymuje konkurencji z dotowaną żywnością z Unii, na wsi i w małych miasteczkach bezrobocie jest znacznie wyższe niż w dużych miastach, na wieś wreszcie pomoc Unii dociera w minimalnych ilościach. Wymarzone zmiany ustrojowe przyniosły pogorszenie sytuacji ekonomicznej, pogorszenie jakości oświaty i opieki zdrowotnej, gwałtowny spadek czytelnictwa, radykalny spadek młodzieży wiejskiej idącej na studia.

Jak doszło do tak poważnych i groźnych dla całej areny politycznej i gospodarczej zaniedbań? W latach osiemdziesiątych pracowałem w Szwecji w Instytucie Historii Gospodarczej i zajmowałem się historią reform gospodarczych w różnych krajach, a w szczególności związkiem między polityką rozwoju wsi a sukcesem bądź niepowodzeniem reform gospodarczych. W 1986 roku zacząłem pracę w Polskiej Sekcji BBC w Londynie. Jeden z punktów kontraktu zakazywał nam publikowania w jakichkolwiek środkach masowego przekazu poza korporacją. Pracowałem w miejscu stanowiącym znakomity punkt obserwacyjny, ale nie miałem możliwości wypowiadania się jako publicysta. Kiedy w 1988 roku upadek komunizmu stawał się coraz bardziej oczywisty, zacząłem prowadzić rodzaj dziennika. Mam wrażenie, że po trzynastu latach te zapiski mogą być małym przyczynkiem pozwalającym zrozumieć sytuację w chwili obecnej. Obejmują one okres od maja 1988 do września 1989.



3 maja 1988

Ileż to razy rocznica Konstytucji wywoływała refleksję na temat narodów, których zapóźniona struktura społeczna powodowała, iż kolejne zrywy i próby wydobycia się z zapaści stawały się motorem napędowym kolejnego obrotu błędnego koła?

Przed dwudziestu laty, na kilka dni przed ósmym marca, Jacek Kuroń mówił o mesjańskiej roli wielkoprzemysłowej klasy robotniczej. Dziś Adam Michnik mówił o ironii historii, zwracając uwagę na fakt, że dwa strajkujące kolosy –

stocznia w Gdańsku i huta pod Krakowem, noszą imię Włodzimierza Lenina. Kuroń zapewne nadal wierzy w mesjańską rolę wielkoprzemysłowej klasy robotniczej, może dziś, po doświadczeniach 1976 i 80 roku, bardziej niż dwadzieścia lat temu, Michnik zaś, dostrzegając ten paradoks historii, albo nie zastanawia się, albo nie odważa się mówić o istocie tego paradoksu – o osobliwym sojuszu robotników sztucznie stworzonych, wielkoprzemysłowych poczwara z tymi, którzy je stworzyli i którzy nimi kierują – jednym i drugim zależy na ich przetrwaniu. Jeszcze wczoraj pisano o oporach wobec reform ze strony „grupy nacisku przemysłu ciężkiego”. Dziś nikt nie odważa się powiedzieć, że robotnicy tego przemysłu są tragicznym instrumentem najbardziej wstecznych sił.

Międzynarodowa konfiguracja jest ciekawa, ciekawsza niż dwieście lat temu, ale Polska nie ma Staszica, Kołłątaja, Lubbeckiego, zaś układ sił społecznych jest dziś bodaj jeszcze bardziej tragiczny niż wtedy. Nie można wykluczyć cudu. Przewidzieć go nie sposób. Proletariusze zbędnych zakładów pracy łączą się dziś pod wodzą dziennikarzy i literatów, a pijana strachem władza jest nieobliczalna. Siły zdolne wywierać presję, to siły blokujące rozwój, czy raczej budowę zrębów gospodarki opartej na rzeczywistym społecznym podziale pracy. Jest to społeczeństwo–Frankenstein.

Słuchając krajowych komentarzy – ludzi powtarzających, że potrzebne są „reformy, czyli pluralizm”, nie umiejących wyjść poza tanie hasła wyrażające brak zaufania do Generała; obracając się wśród oczekujących cudu emigrantów, patrząc na pełne przerażenia reakcje Zachodu, mam wrażenie, że to dom wariatów. Kiedy rozglądam się dokoła i mówię „dom wariatów”, chcę powiedzieć, że mimo wszystko zachowałem jakąś normalność. Nic z tego. Wszyscy tak mówimy.

Podczas obiadu w kantinie zażartowałem, że teraz rolnicy w ramach solidarności z robotnikami huty imienia Lenina odmówią prac w polu, póki władze nie zgodzą się na postawione przez robotników warunki. Siedzący obok mnie dziennikarz odpowiedział z powagą i smutkiem w głosie: rolnicy się nie ruszą.

– Tym to dobrze, nie muszą się przejmować – dorzuciła maszynistka rozdarta między uczuciem sympatii dla straj-

kujących robotników i obawą, że niepokoje mogą jej pokrzyżować plany urlopu w Polsce.

Sami robotnicy Huty rzucili solidaryistyczne hasło zwiększenia dochodów nauczycieli i pielęgniarek. Jak głęboko sięga w tym społeczeństwie nieświadomość, niewiedza o mechanizmach gospodarczych, przekonanie, że państwo może coś dać, przekonanie, że państwo trzeba zmusić, żeby oddało ten ciężko zapracowany szmal?

Optymistyczna wersja rozwoju sytuacji zakłada bankructwo systemu bez ingerencji zewnętrznej. Bankructwo systemu, a więc i bankructwo setek zakładów pracy, miliony bezrobotnych, dla których nie będzie zasiłków, którzy będą przymierać głodem. RKW „Mazowsze” wystosowało dziś apel do zachodnich związków zawodowych z prośbą o pieniądze dla strajkujących. W wyobrazeniach Polaków istnieje szansa przetrwania na żebrach. A swoją drogą ciekawe, ileż to grosza wyżebrali Polacy na Zachodzie przez te dwieście lat od Sejmu Czteroletniego? Wkrótce po uchwaleniu Konstytucji 3 Maja londyńska społeczność zebrała na rzecz Polaków grubo ponad 100 tysięcy funtów. W owych czasach były to bajońskie pieniądze. Zanim je przekazano, okazało się, że król przystąpił do Targowicy. Dziś znów wołamy o pomoc. (Wołaliśmy o nią niemal bez przerwy.) Jak trudno uwierzyć, że nie pomoże tu najhojniejsza pomoc. Co dalej? Jak potoczy się gra w tym chorym społeczeństwie? Adam Michnik mówił dziś, że przecież protesty zaczynają się zawsze od partykularnych interesów i żądań, które później przeradzają się w żądania ogólnonarodowe. Co miało znaczyć to zdanie prócz pobożnych życzeń? Historyk nie pamiętający ani niedawnej, ani dawniejszej historii, po udzieleniu tego wywiadu zabrany został do więzienia, ponieważ władza obawia się, że robotnicy mogliby posłuchać jego podszeptów. Groźba była realna.

Urban powiedział dziś, że strajki nie zagrażają ustrojowi, ale mogą zagrozić reformom. Te dwie w równym stopniu nieprzylegające do rzeczywistości mądrości zamykają dzień. Suma głupoty, tragedii i absurdu jest nieprzewidywalna. Prawdopodobieństwo cudu jest niewiele większe od zera, ale jest.

O samej Konstytucji w londyńskim „Annual Register” w roku 1795 znajdujemy niezwykle wręcz pozytywną opinię.

Konstytucja ta – czytamy – „wydaje się być najszcześniejszym jaki dotąd został znaleziony, złotym środkiem pomiędzy monarchią a rządami ludowymi (...) jest ona przeciwieństwem pośpieszności, gwałtowności i niepraktycznego skomplikowania rewolucji francuskiej. W pierwszym przypadku fundamenty ustroju zostały te same: prawa i przywileje wszystkich warstw społecznych uszanowane. (...) We Francji jako wstęp do reform wszystko zostało poruszone i porzucone w stanie chaosu i zamieszania.”

Nie ma właściwie wątpliwości, że słowa te pisał ojciec brytyjskiego konserwatyizmu, Edmund Burke. Jego pochwała polskiej konstytucji była zdecydowanie przesadna. Sama Konstytucja nie była bynajmniej głosem większości szlacheckiego narodu, a bardzo małej grupki oświeconych polityków. Autorzy, czy to w lęku przed elektoratem, czy z własnej nieprzymuszonej woli pilnowali starannie by, mówiąc dzisiejszym językiem, nie naruszyć „przewodniej roli szlachty”. Szanse reform gospodarczych i społecznych sugerowanych w tej konstytucji, nawet bez rosyjskiej interwencji, były mniej więcej takie, jak dziś szanse reform reklamowanych przez Urbana. Z drugiej strony Burke wiedział, co mówi, lękając się niszczących sił rewolucji. Czy jest w dzisiejszej Polsce szansa na konserwatyzm Burke’a, na zmianę bez rzezi, bez niszczenia wszystkiego co istnieje? Trudno to sobie wyobrazić.

Z każdym rokiem pęcznieje we mnie ta moja poznańskość, zapewne z wiekiem mitologizuję ją, próbując zapomnieć o poznańskiej endeckości. A jednak, mam wrażenie, że jeśli w Polsce wyłonią się jakieś zręby konserwatyizmu na wzór angielski, to taki ruch będzie miał swoje korzenie właśnie w poznańskiej mentalności, najdalszej od romantyzmu, najbliższej księgowości.

4 maja 1988

Od świtu telefon ze Szwecji. Grupa byłych działaczy „Solidarności” chce wracać do kraju. Przede wszystkim chcieliby przekazać światu obwieszczenie o swojej heroicznej decyzji.

Polska na pierwszych stronach gazet. Sądząc z poświęconego Polsce miejsca na łamach londyńskiego *Timesa*, Za-

chód znów ma rozkoszne poczucie niepewności, czy jest w ruskim cyrku, czy ogląda katastrofę kolejową. W komentarzach na pierwszym miejscu niepokój o Gorbaczowa i jego pierestrojkę. Który to raz z rzędu Polacy zakłócają z trudem wypracowaną, kruchą stabilność na międzynarodowej arenie? Nawiasem mówiąc, moi rodacy niesłychanie często powtarzają twierdzenie o swoim nieszczęśliwym położeniu geograficznym. Zdaje się, że na Zachodzie nikt jeszcze nie wpadł na pomysł utyskiwania na nieszczęśliwe położenie geograficzne Polski, a w końcu Europa mogłaby odetchnąć z ulgą, gdyby któregoś dnia Polska znalazła się między Argentyną i Brazylią. Europa ma bodaj jeszcze większe powody niż sami Polacy do narzekania na nieszczęśliwe położenie Polski. Wałęszizm byłby fascynującym problemem Ameryki Łacińskiej. Tu w Europie jeży włos na głowie.

A w samej Polsce – jak trwoga to do Boga. W trzecimajowe święto Biuro Polityczne obradowało i wedle wszelkich znaków na niebie i ziemi uchwalono, iżby się partia biskupom nisko do ziemi pokłoniła. Jeszcze niczego pewnego nie wiadomo, ale dziś bladym świtem pięciu świątłych świeczek ruszyło ze stolicy na północ i południe do zakładów imienia Lenina, z partyjnym i biskupim błogosławieństwem. W Gdańsku kordony milicji ustąpiły spod stoczni, by otworzyć drogę dwuosobowej delegacji z Tadeuszem Mazowieckim na czele. Zaczęły się negocjacje, o których jeszcze nie wiadomo wiele więcej nad to, że po kilku godzinach się załamały. Po raz pierwszy jednak przy stole obrad siedział Lech Wałęsa.

Atmosfera napięcia wzrasta. W ciągu dnia zastrajkowała w Gdańsku Stocznia Remontowa, coś dzieje się w Polkowicach, strajkują studenci na uniwersytetach.

Władze, ustami swojego rzecznika, mówią o możliwości bankructwa strajkujących zakładów. Brzmi to niepoważnie. W kraju takim jak Polska nikt w taką możliwość nie wierzy. Partyjny folwark – Stocznia imienia Lenina, zbankrutuje! Równocześnie stare przyzwyczajenia i stare frustracje. Znowu pojawiają się pod adresem strajkujących zarzuty, że za żądaniami ekonomicznymi kryją się żądania polityczne. Swego czasu w Szczecinie robotnicy stoczni wywiesili transparent –

„strajk ekonomiczny, a nie polityczny”. Magia słów. Władza nie wie, czego się bardziej bać – tego, że robotnicy leninowskich folwarków chcą podwyżek, czy też tego, że będą się domagać wolnych związków i wyborów do Sejmu. Boją się starych działaczy „Solidarności”, zdaje się, że już zaczynają się zastanawiać, jak daleko pójdzie radykalizm nowych.

Zastanawiając się w tym rosnącym zamieszaniu nad możliwymi scenariuszami odnoszę wrażenie, że ostatnia szansa wyjścia Polski z błędnego koła była bezpośrednio po wojnie. Przeprowadzona reforma rolna, silna partia chłopska, rozbity przemysł, rozbite struktury polityczne. Korzystając z planu Marshalla mogła się Polska zmienić w samej swej istocie. Później „Solidarność” nie niosła żadnej szansy – był to ruch rewindykacyjny społeczeństwa stworzonego przez socjalistyczną gospodarkę. Wałęsa, Kuroń, Jurczyk i Rulewski byli w równym stopniu twórcami bazy stworzonej w oparciu o marksistowską doktrynę. Na ile sytuacja się zmieniła? Jakie propozycje mediacyjne wniesie Kościół i na jakie ustępstwa gotowa jest władza? Odpowiedź na to pytanie przyniosą kolejne miesiące. Kościół może proponować stawkę na rolnictwo i drobny przemysł, może na to wskazywać obecność Stelmachowskiego w Nowej Hucie. Przeciw takim koncepcjom oponować będą w równym stopniu władcy i pracownicy leninowskich folwarków. Co zrobi Wałęsa? Jak się zachowają szacowni doradcy „Solidarności”? Wszystkie te pytania są na razie otwarte.

5 maja 1988

Pierwsza poranna wiadomość z radia to informacja o aresztowaniu komitetu strajkowego w Nowej Hucie. A więc wczorajsze negocjacje niczego nie dały. Zdecydowano się na użycie siły, milicja weszła na teren Huty. Ten krok wydaje się dolewaniem oliwy do ognia. Właściwie nie ma wątpliwości, że wywoła to reakcje wściekłości i to zarówno w Hucie, jak i w innych zakładach pracy.

Mało kto zwraca uwagę na stały absurd w polskim piśmiennictwie – na przeciwstawianie społeczeństwa i władzy. W innych językach brzmi to idiotycznie, ponieważ władza i

jej aparat jest zawsze częścią podzielonego społeczeństwa. Jest przeciwstawienie między władzą a ludem, między władzą a szarym człowiekiem. W Polsce tradycja językowa z czasu zaborów sugeruje jakiś absurdalny podział między władzą a społeczeństwem. Mam czasem wrażenie, że ten podział na władzę i społeczeństwo jest niesłychanie charakterystyczny dla sposobu myślenia Polaków. Obecna ekipa próbuje sugerować, że nie wszystko musi być załatwiane na szczeblu centralnym. Ponownie gotowa jest na ustępstwa w dziedzinie płac, żeby uniknąć żądań politycznych. Efekt jest odwrotny do zamierzzonego – lokalne ustępstwa płacowe są zachętą do nowych żądań. Powtarza się wzór postępowania z czasów legalnego działania „Solidarności”. Oczywiście obydwie strony dobrze pamiętają tamto doświadczenie. Sytuacja jest inna, gra będzie się toczyć inaczej. Tylko rezultat zapewne będzie ten sam – dalsze pogłębienie degrengolady. Po raz drugi poparte znaczącymi naciskami społecznymi żądania polityczne połączone są z partykularnymi żądaniami grup, które powinny w znacznym stopniu ulec rozpadowi. Tymczasem powtarza się stary wzór – w kolejnych państwowych przedsiębiorstwach wybuchają strajki płacowe, strajkujący żądają rozmów z przedstawicielem rządu, z premierem, wicepremierem lub ministrem. W charakterze straży pożarnej pojawia się wojewoda i grzecznie obiecuje podwyżki. Niewiele mogą tu pomóc zapewnienia Urbana, że sprawy płacowe nie leżą już w gestii rządu. Jedyną próbą wiarygodności słów pana Urbana może być tylko ogłoszenie bankructwa szeregu zakładów pracy. Władza i społeczeństwo, oni – władza, my – społeczeństwo. Czy ktoś usłyszy absurdalność tego podziału, czy płacić za tę czystą i wygodną dychotomię będziemy znowu poniewczasie?

W ciągu dnia nadchodzą sprzeczne wiadomości z Nowej Huty. Podobno milicja pobiła strajkujących, podobno kilka osób jest w szpitalach. Stelmachowski zarzuca kłam Urbanowi, który twierdzi, że podczas aresztowania komitetu strajkowego nikogo nie pobito.

Coraz większe zaniepokojenie na Zachodzie. Reagan wyraził ubolewanie, że jego rzecznik prasowy poinformował prasę, że wydarzenia w Polsce nie wpłyną na przygotowania i porządek spotkania na szczycie w Moskwie. Tymczasem w

samej Moskwie całkiem rzeczowo stwierdza się, że płacowe żądania polskich robotników są nierealistyczne, oraz powtarza się stare formuły o tym, że wichrzyciele w Polsce, przy poparciu Zachodu, próbują wykorzystać niezadowolenie społeczeństwa dla własnych celów politycznych. Jak na razie jednak Moskwa w żaden sposób nie próbuje potrząsać szabelką. Ma pełne zaufanie do Jaruzelskiego i ufa, że jakoś sobie poradzi. Tymczasem przywódcy „Solidarności” żądają reform. Nie wiadomo, jak silny jest w rzeczywistości ich autorytet. Na ile i jaka część społeczeństwa jest gotowa zrezygnować z żądań płacowych w zamian za ustępstwa polityczne? Jakiego rodzaju miałyby to być ustępstwa? Legalizacja „Solidarności” wywoła natychmiastowe żądania legalizacji niezależnych partii politycznych, wolnych wyborów – słowem koniec systemu. Tak więc koncesje polityczne mogą być tylko pośrednie – odmowa, terror i dopiero potem jakieś ustępstwa, które nie przyniosą oczekiwanego skutku w postaci gotowości przynajmniej części społeczeństwa do rezygnacji z żądań płacowych.

Ktoś rzucił pomysł, że powinno się zaprosić Wałęsę do rządu. Wspaniały doprawdy pomysł. W jakim charakterze? Na miejsce Urbana czy ministra pracy i płacy? Poważnie mówiąc, Wałęsa to jeszcze jedna tragedia i groteska tego kraju. Urodzony działacz związkowy, zapewne z niezłym instynktem politycznym, który urósł do rangi narodowego symbolu, któremu wmówiono genialność, któremu przypisano jakieś uczonne bzdury, bo symbol nie może się kompromitować.

W warunkach braku normalnej areny politycznej naród poszukuje duchowego przywódcy. Zamiast tego ma Wałęsę i Papieża – człowieka, który jest symbolem walki, ale nie jest zdolny do przewodzenia, i drugiego człowieka, który może się wypowiadać tylko alegorycznie, z wysokości papieskiego tronu.

W Europie i w Ameryce Łacińskiej panuje przekonanie, że najpierw musi być demokracja, a dopiero potem możliwe są racjonalne reformy ekonomiczne. Kraje Dalekiego Wschodu, Tajwan, Korea Południowa, robią pierwsze kroki w kierunku jakiejś demokracji, po przeprowadzeniu pod osłoną dyktatury skutecznych reform gospodarczych. Tą samą drogą poszedł komunistyczny rząd w Chinach. TEN rząd komu-

nistyczny w Polsce nie będzie mógł nawet rozpocząć tego typu reform. Czy obecny wstrząs doprowadzi znów do upadku ekipy rządzącej i do podjęcia jednak takiej próby?

6 maja 1988

Sprzeczne doniesienia. Władze twierdzą, że strajk w Nowej Hucie jest złamany i że huta pracuje. Źródła opozycyjne mówią, że strajk trwa. Podobno pięciu członków komitetu strajkowego jest nadal na wolności. Mimo bardzo ostrych wypowiedzi Stelmachowskiego wydaje się, że próba mediacji za pośrednictwem przedstawicieli środowisk katolickich i Kościoła jeszcze się niezupełnie załamała. W Gdańsku, Mazowiecki jest nadal na terenie Stoczni. W samej Stoczni próbują sprawę załatwić przez odcięcie żywności. Wałęsa zapowiedział, że jeśli milicja wejdzie, strajkujący nie będą się bronić.

Czy władze zdążą to złamać, zanim ruszy się cały kraj? Tak czy inaczej prawdopodobnie przełamana została bariera strachu. Dziś podobno wniesiono propozycję zawieszenia prawa do strajku. Wywoła to zapewne ostre reakcje również nowych związków.

7 maja 1988

Nie wywołało. Co więcej, nie załamały się jeszcze próby rozmów w Stoczni. Zapewne dziś w nocy wejdą do Stoczni. Kraj najwyraźniej przygląda się temu, co się dzieje w Stoczni z zapartym tchem. Reakcje są jednak słabe, strajkują tylko studenci. Możliwe, że nie wszystkie informacje docierają. Czuje się jednak, że kraj jest sparalizowany.

Same władze kręcą się w kółko, powtarzając, że sprawy płacowe nie leżą już w gestii rządu i że nie pozwolą robotnikom na stawianie żadnych żądań politycznych. Parodia dyktatury proletariatu osiąga swój szczyt.

8 maja 1988

Niedziela. W Stoczni nadal jest jeszcze około 1500 robotników. Zlekceważono kolejne ultimatum władz. Wałęsa

powtarza, że ostatni wyjdzie ze Stoczni. Tymczasem czas pracuje przeciwko Jaruzelskiemu. Reakcje Zachodu są bardzo ostrożne. Wszyscy najwyraźniej boją się o szczyt w Moskwie, o gorbaczowowską pierestrojkę, o załamanie się porozumienia w sprawie Afganistanu. Świat nie chce nowego cyrku w Polsce. Sami Polacy rozdarci są lękiem, poczuciem bezsensu, poczuciem upokorzenia i gniewu. Czy wiedzą ludzie gotowi na walkę, czego chcą? Żądania płacowe traktowane są przez część przywódców „Solidarności” z mieszanymi uczuciami. Pozostaje żądanie legalizacji „Solidarności”, które dla ekipy Jaruzelskiego jest niemożliwe. Trzeba by znowu delegalizację „Solidarności” uznać za błąd i wypaczenie. Strajkującym nie przychodzi do głowy rzucenie hasła, że związkowcy będą tylko związkowcami, jeśli uzna się prawo do zakładania partii politycznych. Nie jest prawdą, że w tym strajku żądania polityczne górują nad żądaniami ekonomicznymi. Socjalistyczna klasa robotnicza socjalistycznego przemysłu domaga się, żeby było, jak obiecywali komunistyczni władcy. Wierzy i chce wierzyć, że jest przodującą siłą, tworzącą jakieś dobra i zasługującą na wysokie wynagrodzenie. Ciekawe, na ile gra tu jeszcze doświadczenie 1970 roku, kiedy Gierek wycofał się z podwyżek cen, „dał” ludziom więcej pieniędzy i z dnia na dzień gospodarka zaczęła lepiej funkcjonować? „Cud gospodarczy Edwarda Gierka” istnieje prawdopodobnie w społecznej pamięci równie silnie, lub silniej, aniżeli „Solidarność”.

Stocznia jest nadal otoczona. Poparcie miasta dla strajkujących ogranicza się do patrzenia z zapartym tchem. Był jakiś wiec, ale przedsiębiorstwa funkcjonują normalnie. W południe doszło do kolejnych negocjacji. Jak wyglądały te rozmowy? Właściwie można to sobie wyobrazić. Przedstawiciele dyrekcji targują się o żądania płacowe (i tu mamy obraz jak podczas normalnego konfliktu płacowego na Zachodzie) równocześnie jest głuchy telefon, jeśli chodzi o żądania polityczne. Przedstawiciele dyrekcji odpowiadają zapewne, że nie mają żadnych kompetencji do rozmawiania na te tematy i nie widzą powodu, dla którego miano by o nich rozmawiać. Komuniści najwyraźniej marzą, żeby w tej sytuacji strajk był tylko strajkiem płacowym. No, to w warunkach polskich nie ma oczywiście żadnych szans. O racjonalności nie ma mowy. Gry

polityczne to nie szachy. Jak zatem rozwinie się sytuacja?

Po załamaniu się rozmów postawiono strajkującym ultimatum. Zapewne dziś w nocy cała sprawa się skończy. Ostatnia reduta „Solidarności” zostanie złamana, pozostanie mit pokutujący przez lata.

Są sygnały, że ludzie rzeczywiście obawiają się zlikwidowania Stoczni. Czy zaczynają również wierzyć w to, że istnienie tej stoczni jest ekonomicznie nieuzasadnione? Nie. Komunistyczna baza stworzyła nadbudowę dużo solidniejszą od samej bazy.

9 maja 1988

Minęła noc. Nie weszli. Czy oznacza to, że konflikt wszedł w nową fazę? Decyzja o użyciu siły w stosunku do strajkujących w Nowej Hucie i ta lękliwość wobec Stoczni wskazuje na głęboką frustrację. Czego się boją – światowej opinii, czy własnego społeczeństwa? Użycie siły w Stoczni odbiłoby się znacznie większym echem w świecie aniżeli interwencja w Hucie. Równocześnie z pewnością zdają sobie sprawę z tego, że świat odetchnąłby z ulgą. A jednak boją się, grają na zwłokę, wiedząc, że czas działa przeciwko nim. Rząd w sobie, klasa robotnicza dla siebie, kawiarniana opozycja sobie a muzom. Trudno się nie śmiać. Władze obiecują podwyżki i proponują w stoczni komitetowi strajkowemu udział w dyskusjach nad przyszłością istnienia przedsiębiorstwa. Telewizja daje do zrozumienia, że to ludzie z „Solidarności” będą odpowiedzialni za utratę pracy całej załogi. Powtarza się, że od lat Stocznia jest deficytowa. W całej tej argumentacji nikt nie podejmuje analizy wewnętrznej niespójności argumentów. Kolejna decyzja psychiatryczna, a nie ekonomiczna. Jeśli stocznia jest deficytowa, to należy ją zamknąć tak i tak. Tymczasem strajkującym obiecuje się podwyżki. W całym kraju ta sama historia. Jeszcze kilka dni, a niedawne podwyżki cen będą już tylko obciążały rolników i inne słabsze grupy zawodowe. Mechanizm błędnego koła jest najsprawniejszym urządzeniem przemysłowym Polaków. Wielki apel czy też oświadczenie czołowych intelektualistów, wśród których jest nie tylko Kuroń i Czaputowicz, ale również z jednej strony

Turowicz i Stelmachowski, a z drugiej ekonomieści, tacy jak Bugaj czy Józefiak. Nie wspominają nawet o prawdziwym dylemacie – władze w lęku przed strajkującymi wzmacniają na żądanie społeczeństwa starą strukturę gospodarczą i nakręcają spiralę inflacyjną. Robotnicy ciężkiego przemysłu uzyskują podwyżki. Oświadczenie intelektualistów zawiera jeden słabiutki punkt wskazujący, że być może chcieliby przez te strajki uzyskać coś innego, niż to, o czym mówią robotnicy i ich doradcy – intelektualiści domagają się również prawa swobody zakładania stowarzyszeń gospodarczych.

Między strachem i głupotą władzy a gniewem ludu, żądającego od państwa pieniędzy, nie ma nic.

10 maja 1988

Przez kilka dni byłem przekonany, że czas działa przeciwko władzom. Okazało się jednak, że niezupełnie. Strajk w Ursusie skończył się po kilku godzinach. Dziś rano było już wiadomo, że to poparcie dla stoczni było tylko gestem. Wiadomości w ciągu dnia sugerowały, że w samej Stoczni topnieje liczba strajkujących. Wieczorem dowiedzieliśmy się, że strajk ostatecznie się skończył. Korespondenci podawali liczbę ostatnich pięciuset robotników, którzy opuścili Stocznice.

Przeglądając te strony widzę, jak absurdalne są wszelkie próby odgadnięcia wyników tego rodzaju gry. Ostatecznie, jak zwykle, wszystko jest inaczej. Obecnie pozostaje pytanie, czy niniejszym ten cały konflikt się zakończył, jaki będzie efekt tej historii w Polsce i poza Polską? Bilans w Polsce to wytargowane przez robotników podwyżki płac i chyba ostateczny krach mitu „Solidarności”. Równocześnie moje wcześniejsze odczucie, że cała ta sprawa wzmocni Jaruzelskiego, wydaje mi się być pod znakiem zapytania.

Kręcąc się w kółko Polska posunęła się o krok dalej.

Wszyscy nadal powtarzają, że chcą reform. Nikt nie umie powiedzieć, jak właściwie wyobraża sobie te reformy. Chora struktura społeczna przeniosła oś konfliktu na spory między dwiema grupami pasożytów, między partią a robotników stworzonego przez tę partię pseudoprzemysłu. Aspiracje naro-

du wyrażane są przez ten konflikt i przez wyobrażenia o wolności intelektualistów. Od dziś problem bankructwa Stoczni przestanie istnieć, władze zapomną o swoich stwierdzeniach, że Stocznia od lat jest deficytowa. Działacze „Solidarności” będą twierdzić, że odnieśli kolejne zwycięstwo, bo przypomnieli światu o swoim istnieniu. Życie w Polsce powraca do swojej polskiej normy. Walka między władzą i społeczeństwem trwa – cudu nie będzie.

16 maja 1988

Po wycieczce do Yorku, Stanford i Lincoln sympatyczna wiadomość, że w międzyczasie Gorbaczow poszedł po rozum do głowy i zapowiedział zwrot reform w kierunku rolnictwa. Opozycyjni intelektualiści skrzywią się i zmartwią, kto wie, może nawet krzykną, że to odwrót od zapowiadanych kroków w kierunku liberalizacji.

Od dziesiątego nie pisałem tych notatek. Napięcie w Polsce zmalało, obie strony konfliktu (jeśli można mówić, że były tu dwie strony) twierdzą, że odniosły zwycięstwo. Zdaniem władz skończył się mit „Solidarności”, co może być prawdą. Mity w Polsce mają twardy żywot, więc nie byłbym tego taki pewien, ale ta ostatnia fala protestów była kolejnym dowodem, że masy są równie głuche na wezwania „Solidarności”, jak i na wezwania rządu. Ogłaszając koniec mitu „Solidarności” Urban chciał zapewne powiedzieć – no widzicie, wasz mandat nie jest lepszy od naszego. Tymczasem przedstawiciele „Solidarności” powtarzają, że był to wstrząs tektoniczny, uświadamiający władzy, że społeczeństwo opowiada się za pluralizmem. Co to znaczy? Wykładnia tych wspaniałych stwierdzeń u wróżki. Biedny Wałęsa powtarza te brednie za swoimi uczonymi doradcami. Po wywiadzie z Mazowieckim na temat planu tych protestów, zapytałem go już na wyłączonym mikrofonie, czy nie oznacza to, że zwolennicy „Solidarności” będą najpotężniejszym oparciem wielkich budów socjalizmu i istniejącej struktury gospodarczej? Jeden z najbliższych doradców Lecha Wałęsy był zaskoczony pytaniem – o takim problemie nie myślał, najwyraźniej nigdy również o nim nie słyszał.

Co oznacza zwrot Gorbaczowa? Informacja w *Timesie* żałosna. Niewiele można z tego wywnioskować. Jakieś przemówienie Gorbaczowa do działaczy partyjnych, przekazane przez radziecką telewizję podczas weekendu. Zobaczymy, czy w pracy zdołam wyciągnąć jakieś bardziej szczegółowe informacje. Tymczasem wiadomość z *Timesa* pozwala tylko na spekulacje. Jeśli jednak sprawa jest poważna, jeżeli oznacza to zwrot w strategii reform gospodarczych w ZSRR, to może to pociągać również za sobą istotne konsekwencje w innych krajach radzieckiego bloku. Czy w kraju takim, jak Polska istnieje grupa ludzi gotowych podchwycić ten wiatr w żagle? Jest trochę takich ludzi, pytanie, jak wielu, jaki zakres mogą mieć ich wpływy, na ile wzmocni ich wiatr z Moskwy? Gdyby zmiana w Moskwie pociągnęła za sobą zmianę strategii w Warszawie, opór będzie ze wszystkich stron. Zobaczymy. Nie wydaje mi się jednak, aby zwolennicy tego rodzaju posunięcia mogli uzyskać dostateczną przewagę w aparacie. Jeśli uzyskają – zmiecie ich kolejna fala robotniczych protestów.

W samej Rosji wielowiekowa tradycja pogardy dla wsi zaćmi wszystkich, twardogłowych i okcydentalistów. Tradycję mają dobrą, jeszcze lepszą nią my. Rosyjscy myśliciele, którzy aż do rewolucji 1917 roku w znakomitej większości wywodzili się z warstwy szlacheckiej, niewiele uwagi poświęcali kwestiom pieniądza, minimalne znaczenie odegrała tu myśl liberalna, natomiast szczególne miejsce zajęły w rosyjskiej myśli społecznej marzenia o bezpośrednim przejściu od feudalizmu do socjalizmu. Wcześniej pierwsze działania na rzecz przybliżenia Rosji do Europy zaczynają się od reform Piotra Wielkiego. Przez 35 lat jego rządów podejmowano wysiłki na rzecz upodobnienia gospodarki rosyjskiej do gospodarki takich krajów, jak Niemcy, Holandia, Francja czy Anglia. Piotr Wielki zdawał sobie doskonale sprawę ze znaczenia transportu wodnego, kładł ogromny nacisk na rozwój kopalnictwa i metalurgii, rozumiał znaczenie tkactwa. W wysiłkach reformatorskich nie naruszył uprawnień szlachty, nie zwiększył możliwości edukacyjnych dla ludu. W efekcie stworzył podstawy pańszczyźnianego kapitalizmu, z minimalnymi szansami rozwoju siły roboczej i z minimalnymi szansami rozwoju masowego rynku wewnętrznego – pieniądź w Rosji pełnił

tylko ograniczoną rolę, a struktura ziemiańskiego rolnictwa pozostała niezmieniona. Mimo że prawa ludu w zasadzie się nie zmieniły, obrońcy szlacheckich wolności poczuli się zagrożeni. Książę Szczerbatow w 1784 pisał, że w idealnym państwie gwarancją wolności powinna być ustawa zakazująca chłopom skarżenia się na swoich panów. To jego marzenie było od dawna rzeczywistością, gdyż jeszcze w 1765 roku Katarzyna wydała tego rodzaju dekret. Oczywiście wśród rosyjskich myślicieli nie brakowało i chłopomanów, zakochanych w sielance, w prostej, ciemnej, pozbawionej dostępu do oświaty ludowości. (Są u nas tacy też na Mazowieckiej – powiedziałby Gałczyński).

W czasach kiedy Zachód przeżywał swoją rewolucję przemysłową, problem chłopski powracał oczywiście w pismach politycznych tak w Rosji, jak i w Polsce. Dekabryści godzili się znieść pańszczyznę, ale ziemia miała oczywiście pozostać w rękach szlachty. Taka koncepcja zrealizowana została w kilkadziesiąt lat później, z ukazu cara, w Rosji i w Polsce w rosyjskim zaborze, nie dając żadnych szans na stworzenie silnego wewnętrznego rynku. Dzisiejsze kraje komunistyczne miały chorą strukturę gospodarczą na długo przed pojawieniem się komunizmu. Inteligencja tych krajów nie jest w stanie zrozumieć tego problemu ani zanalizować dzisiejszych konsekwencji tego stanu rzeczy.

W pracy, w *The Daily Telegraph*, znalazłem doniesienie ich korespondenta z Moskwy. Gorbaczow na konferencji partyjnej stwierdził, że sytuacja żywnościowa jest tragiczna, i nakreślił trzyletni plan radykalnych reform w rolnictwie. Jak się wydaje, nie ukrywał, że aparatczycy z kołchozów i sowchozów sabotują wszelkie próby reform, uniemożliwiając zaopatrzenie prywatnych rolników w narzędzia i nasiona. Gorbaczow stwierdził, że reformy rolnictwa są na najbliższy okres absolutnym priorytetem, i zaapelował, żeby cała partia poparła te innowacje. Umrzeć można ze śmiechu. Brytyjski dziennikarz zauważa, że w Rosji nie chodzi o zwiększenie ilości pieniędzy na rolnictwo, a o generalną zmianę podejścia do wsi i ludności wiejskiej. System zaopatrzenia wsi i dystrybucja żywności w dzisiejszej Rosji to, mówiąc leninowskim językiem, korupcja plus nieudolność.

20 maja 1988

Obłądny tydzień, bez szans na pisanie. Czy byłem tak zmęczony, czy tak zniechęcony? Ostatnie dwa dni zajęło mi robienie programu na temat pokłosa. Wywiady z Kuroniem i z Kwiatkowskim (dyrektorem OBOP) uzupełnione wywiadami ze Staniszkis i z Alikiem Smolarem. Kuroń i Smolar przerażający w swojej solidarnościowej demagogii. Zapytałem Kuronia o dylemat wielkoprzemysłowej klasy robotniczej jako jedynej grupy poważnego nacisku na władze komunistyczne. Obraził się. Zaczął krzyczeć, że pytanie jest nieuczciwe. Ku mojemu największemu ogłupieniu Kwiatkowski zaczął o tym sam mówić. PZPR chętnie pozbyłaby się wielkoprzemysłowej klasy robotniczej. Nie dziwię się. Po takich doświadczeniach! Na tym tle bardziej interesujący wywiad z Jadwigą Staniszkis. Powtarza to, co kilka miesięcy temu mówił Jacek Tarkowski¹ – w partii istnieją poważne siły dążące do utworzenia prywatnego kapitału. Instruktorzy KC, sędziowie, prokuratorzy, a zapewne i pułkownicy, wchodzący do rad nadzorczych prywatnych spółek, nowe eldorado korupcji, tworzenie nowego systemu własności bez gwarancji prawnych, bez rynku w całym tego słowa znaczeniu – kolejna faza grabienia. Nie analizując struktury społecznej, która określa charakter żądań, Staniszkis ma pretensje do „Solidarności”, że ogranicza się do żądania przywrócenia legalnego statusu związku i pluralizmu. Używa określenia „Solidarność”, ale wiadomo, że ma pretensje do doradców. Słuchając jej zirytowanego głosu uświadomiłem sobie własny błąd. Trudno mieć pretensje do Scargilla² o to, że reprezentuje aspiracje brytyjskich górników. Na polskiej arenie politycznej musi być jakiś Scargill.

Jacek Kuroń cieszy się, że „Solidarność” pokonała międzypokoleniową sztafetę, twierdzi, że nowe pokolenie robotników utożsamiało się z „Solidarnością”, ma nadzieję, że jest wojsko do kolejnej bitwy. Staniszkis i Kwiatkowski mówią,

1. Jacek Tarkowski – zmarły w 1993 roku warszawski socjolog.

2. Arthur Scargill – ultraradykalny związkowy przywódca brytyjskich górników w latach 80-tych.

że poparcie było mizerne. Zdaniem Kwiatkowskiego, robotnicy bolszewickich folwarków (tak tego nie nazwał, ale podejrzewam, że prywatnie skwitowałby takie określenie cynicznym uśmiechem) żądali podwyżek płac i tylko podwyżek płac. Zdaniem Jadwigi Staniszkis, daliby się porwać do walki, gdyby był racjonalny program. Racje są rozłożone, najbliższy prawdy wydaje mi się być Kwiatkowski. To, czego Kwiatkowski nie mówi, to że jest Scargill, ale nie ma pani Thatcher, zamiast pani Thatcher jest Jaruzelski. Staniszkis mówi o potrzebie racjonalnego programu, o potrzebie alternatywnych propozycji, o potrzebie dialogu z władzą, niezależnie czy się ta władza na to zgadza, czy nie. Jej propozycja, niezbyt wyraźnie sformułowana, to propozycja gabinetu cieni, analizującego wszystkie posunięcia władzy i kontrującego tę władzę na każdym kroku. Gabinetu formułującego własne propozycje reform. Konstrukcja interesująca. Spróbujmy to sobie wyobrazić – kilku intelektualistów zakłada gabinet woskowych cieni. Co mógłby taki gabinet wyprodukować? Obawiam się, że niewiele, ale gra warta świeczki.

W wypracowaniach intelektualistów powtarza się często różne wypowiedzi na temat aspiracji społeczeństwa polskiego lub aspiracji Polaków. Znająca marksizm jak zły grosz, Staniszkis powinna pamiętać, że te aspiracje społeczeństwa polskiego to formułowane przez intelektualistów aspiracje socjalistycznej klasy robotniczej plus prywatne aspiracje samych intelektualistów. Ten sojusz naukowo-robotniczy jest odbiciem istniejącej struktury, jest konsekwencją tego, że robotnicy żądając chleba, wywalczyli intelektualistom swobodę słowa, a w zamian za to intelektualiści powtarzają z wdzięcznością, że robotnicy mają pełne prawo do żądania chleba. O samej produkcji chleba głucho, o potrzebie wyprodukowania czegoś w zamian za chleb takż. Wyrażane przez intelektualistów aspiracje narodowe Polaków to pluralizm. Jadwiga Staniszkis brutalnie nazwała to miauczeniem kota. To prawda, ale nie powiedziała wszystkiego do końca. Nie powiedziała, że przy tej strukturze, że przy tym układzie sił, w warunkach wolności niewiele by się zmieniło. Dyktaturę partii zastąpiłaby dyktatura proletariatu z bolszewickich folwarków. Można za Kurokiem powiedzieć, że ci ludzie nie

są temu winni, że ich w to wszystko ubrano. To prawda. Z pewnością nie należy tego rozważać w kategoriach winy, ale być może rozważać warto? Przygotowując program, przeglądając dziś rano warszawską *Politykę*, miałem niemiłe wrażenie, że w cynicznych argumentach przedstawicieli aparatu władzy jest stosunkowo więcej racjonalności aniżeli w argumentach opozycjonistów. Ich groźby na temat zamknięcia Stocznii, ich argumenty, że podwyżek domagają się grupy najlepiej uposażone, że nie czas teraz na politykierstwo, bo się wali dom – wszystko to prawda. Chciałoby się jednak na to odpowiedzieć, żeby Jaruzelski sam sobie oddawał długi Gierka, że ten dom się wali, bo budowano go na lotnych piaskach marzeń półgłówków, zmuszających innych do szaleństwa przemocą, że wreszcie, kiedy zaczął się walić na ich własne łby, z krzykiem „ratuj się, kto może” ograniczają akcję ratunkową do ratowania własnej skóry. W warszawskiej *Polityce* pozostało jeszcze motto z bolszewickiego „Ojciec nasz” – „proletariusze wszystkich krajów łączcie się”, ale resztę pisma wypełniają już same inwektywy przeciwko buntującym się proletariuszom.

Czy mam rację, że jedyną alternatywą jest racjonalizacja pieniądza płaconego przez miasto za chleb? Dlaczego parytet chleba, a nie żaden inny? Taką rację wydaje się podsuwać najnowsza historia Zachodniej Europy, taką rację podsuwa analiza sukcesów krajów Dalekiego Wschodu. Lewis³ nazywa to eliminacją obszarów niskiej wydajności. Argument ważny, ale nie jedyny. Parytet chleba wyznacza racjonalność podziału pracy opartego nie na chciejstwie i przemoc, a na sukcesyw-

3. Arthur W. Lewis – laureat nagrody Nobla z 1978 roku, od lat 50-tych zajmuje się analizą skuteczności reform w krajach rozwijających się. Stwierdza on między innymi, że jednym z głównych powodów niepowodzeń tych reform są złe formy urbanizacji i industrializacji, bazujące na stałym zasilaniu przemysłu przez prymitywną siłę roboczą ze wsi. Uważa on, że sukces rewolucji przemysłowej na Zachodzie polegał na tym, że rewolucję tę poprzedziła rewolucja agrarna, rewolucja, która zmieniła struktury własności, oparła rolnictwo na gospodarstwie rodzinnym, tworząc podstawy chłonnego rynku na masowo produkowane artykuły przemysłowe, a równocześnie stając się podstawą racjonalnej wymiany pieniądza. Jego zdaniem, kraje rozwijające się zafascynowane są industrializacją, tymczasem główne przyczyny ich zacofania ukrywają się nieodmiennie na wsi i systematycznie są przenoszone do tworzonego przemysłu.

nych nadwyżkach. Pieniądz oparty na parytecie chleba pozwalała na stworzenie gospodarki stojącej na ziemi. Mam wrażenie, że w sierpniu osiemdziesiątego roku robotnicy spontanicznie szli w tym kierunku, intuicyjnie, czy raczej na chłopski rozum, pojmowali samą istotę nieszczęścia, że praca, którą wykonują, nie tworzy pieniądza, którym można płacić za chleb. Pojawiły się wówczas spontaniczne inicjatywy podjęcia produkcji dla rolników. Te inicjatywy storpedowane zostały przez bujających w obłokach profesorskich doradców, przez słabość chłopskich partnerów, a wreszcie przez manewry bandyckiej władzy, która bodaj więcej wysiłku włożyła w rozbięcie załążka chłopskiego ruchu aniżeli owych robotniczych związków. Po 13 grudnia sierpniowe inicjatywy robotników przejął Kościół. Nie uzyskał poparcia ani władzy, ani opozycji. Opozycję dominowali już intelektualiści, dla których inicjatywa Kościoła była zdradą, a rozpaczliwa próba ratowania kraju nie mieściła się w ich kategoriach moralnych. Nie mająca żadnego poparcia społecznego inicjatywa Kościoła, nie stanowiła żadnego problemu dla Generała i jego towarzyszy. Dziś problem parytetu chleba nie istnieje. Pełen szczęścia Kuroń opowiada, jak to najmłodsza generacja robotników domaga się nie tylko legalizacji „Solidarności”, ale również legalizacji NZS-u. Wśród najmłodszego pokolenia odtworza się wspaniały sojusz naukowo-robotniczy.

Pieniądz oparty na parytecie chleba to droga żywność i starania zwolnionych z rolnictwa sił produkcyjnych o odzyskanie kapitału trafiającego do rolnictwa. Rolnictwo jest pierwszym i najważniejszym klientem przemysłu i wszystko, co się zamarzy głupiemu chłopu, przemysł produkuje na wyścigi, konkurując między sobą o jego łaski. (Chłopskość znika bez edyktów, przez wzrost wydajności, przez wyrównanie przepaści cywilizacyjnej, przez stworzenie wygodnego mostu, pozwalającego na sprawny proces transformacji zawodowej wsi). Pieniądz oparty na parytecie chleba to pieniądz maksymalnej wydajności i maksymalnej racjonalności relacji cenowych.

Polscy ekonomiści opozycyjni zupełnie nie umieją samodzielnie przeanalizować historii gospodarczej Zachodu. Dzisiejsze dylematy Zachodu z zachodnim rolnictwem doskonale

zlewają im się z ich własną, odwieczną pogardą i niechęcią do chłopów. Jedyna część Polski, gdzie przemysł wyrastał na obsłudze rodzinnego gospodarstwa to Wielkopolska, z natury rzeczy (lub raczej z powodu objęcia tej części Polski niemieckim ustawodawstwem) namiastką warstwy politycznej byli w zaborze niemieckim działacze gospodarczy, a nie kawiarniani literaci. No cóż, żeby wielkopolskie obyczaje zaczęły przyjmować się w reszcie Polski, musiałaby Polska zostać poddana dyktatowi praw EWG. Nie ma strachu, w obecnej sytuacji należy się spodziewać, że mentalność Kongresówki zdominuje również Wielkopolskę.

W ostatnim *Aneksie* interesujący artykuł Zbigniewa Brzezińskiego. Wyraża w nim swoje pobożne życzenia na temat Stanów Zjednoczonych Europy Środkowej. Brzeziński uważa, że integracja Europy Środkowej z Europą Zachodnią jest mało prawdopodobna, ale marzy mu się, żeby kraje takie, jak Czechosłowacja, Polska i Węgry pozbyły się zależności od Rosji i dążyły do własnej wspólnoty. Te marzenia amerykańskiego polityka są zupełnie zrozumiałe. Pomijając historyczne antagonizmy między tymi społeczeństwami i niewielkie prawdopodobieństwo umiejętności współpracy politycznej, wydaje się, że trend jest akurat odwrotny. Względne powodzenie polityki Gorbaczowa doprowadzi raczej do integracji gospodarczej Europy Wschodniej. Jadwiga Staniszkis podkreśla w swoich artykułach zmierzające w tym kierunku zabiegi, zmiany prawne, nowe typy wspólnych przedsiębiorstw. O ile pamiętam, w swojej analizie pomija zewnętrzne okoliczności tego procesu – ustawiczny spadek wymiany handlowej z Zachodem, zbyt powoli docierająca świadomość, że z zachodnimi kredytami należy się pożegnać, że EWG nie jest tak nieudanym tworem, jak się to chciało widzieć na podstawie zachodniej prasy, że po nadziejach na dogonienie i przegonienie trzeba się nauczyć żyć z myślą, że Wschód i Zachód to dwa różne organizmy gospodarcze na różnych poziomach rozwoju, między którymi kontakty gospodarcze będą się ograniczać do pertraktacji o odroczenie spłaty długów i małego strumyka wymiany towarów.

Jeśli przeznaczeniem Europy Środkowej jest być Europą Wschodnią, należy dążyć do uzyskania maksymalnie dobrego

miejsca w tej wspólnotcie. W artykule Brzezińskiego zwraca uwagę jedno zdanie – po stwierdzeniu, że Rosja uważana jest przez narody podbite za naród kulturalnie niższy, Brzeziński pisze: „Jest pewną ironią losu, że polski chłop uważa naród, który wydał Tołstoja i Dostojewskiego, za kulturalnie niższy, ale to tutaj jest nieistotne.” Zapewne amerykańskiemu politykowi nie przyszłoby do głowy zwracanie uwagi na dziwaczność faktu, że amerykański farmer uważa za kulturalnie niższy naród, który wydał Gabriela Garcíę Marqueza. To, że Polska wydała Kopernika, nie przysparza jej w oczach angielskiego farmera szacunku, Polska kultura jest niższa, bo nie jeździ się polskimi samochodami, bo polski pieniądz nie ma wartości, bo jeśli Polska pojawia się na łamach gazet, to znaczy, że znowu się tam coś złego dzieje, a wreszcie dlatego, że kiedy żywy Polak pojawia się na horyzoncie, to jest to zawsze ktoś, kto ma do mnie interes, a nie ja do niego. Jeśli dla Polaka kultura rosyjska jest niższa, to dlatego, że jedni i drudzy aspirują do kultury zachodniej (powiedzmy raczej, marzą o zachodnim dobrobycie), a Polakowi bliżej, bo częściej na Zachodzie bywa. W angielskim oryginale Brzeziński użył zapewne słowa *peasant*, słowa, które w amerykańskiej kulturze ma znaczenie szczególne. Amerykański rolnik zawsze był gospodarzem na swoim. Dla Amerykanina słowo *peasant* kojarzy się z poddaństwem, ciemnotą i brakiem jakiejkolwiek kultury, amerykański rolnik od zarania dyktował warunki przemysłowi, który w latach trzydziestych ubiegłego stulecia umiał dostarczyć osadnikowi pompę, żeby miał wodę bieżącą w kuchni na swoim najdzikszym zachodzie. Polski rolnik do dziś czerpie wodę wiaderkiem ze studni, za to elity mamy znacznie bardziej wyrobione niż elity amerykańskie. Dziewięćdziesiąt procent amerykańskich farmerów nic nie wie o żadnym Tołstoj czy Dostojewskim. Nikt się temu nie dziwi, nikt nie robi z tego problemu. Wypowiadając cytowane zdanie amerykański polityk ujawniał swoje polskie korzenie, mentalność polskiego inteligenta. Czytając to miałem wreszcie poczucie, że to nie jest żaden Amerykanin, ale nasz Brzeziński, który w tej chłopskiej Ameryce, opartej na chłopskiej demokracji, czuje się jednak trochę obco.

Koncepcja parytetu chleba nie ma w Polsce szans. Jawi

się polskiemu inteligentowi jak herezja, jak zaprzeczenie wszystkich narodowych wartości. Oparcie pieniądza na parytecie chleba jest sprzeczne z polską mentalnością, mentalnością tkwiącą korzeniami w demokracji szlacheckiej, stworzoną przez demokrację socjalistyczną i żywiącą się marzeniem o amerykańskich dobrach. Prawdziwy inteligent przekonany jest, że się chłopom we łbach przewraca, że pora chamstwo nauczyć rozumu i batem nauczyć moresu. Parytet chleba? Kto to słyszał. Nasze inteligenty najchętniej oparłyby swój wolny pieniądz na parytecie wolnego słowa. Byle skryba myśli, że ma wielkie kwalifikacje, jest przekonany, że tworzy wartości i ma mieć się dobrze. Wczoraj, dziś, jutro. W tym względzie inteligentów z czerwonymi legitymacjami i bez dzieli tak mało, że stać ich na cichy ekumenizm.

Moi koledzy w redakcji jeden przez drugiego kwilą, jak bardzo są niedopłaćeni. Przecież są tak wysoko kwalifikowani, robią taką ważną robotę. Nikomu do głowy nie przychodzi, że jak na to, co robimy, to nam tyłki miodem smarują. Z tą mentalnością rodaków domaganie się oparcia pieniądza na parytecie chleba ma niewielkie szanse. Czy istnieje szansa na to, że polski robotnik wyrzuci doradców za drzwi i zacznie myśleć sam? Niewielka. Czy istnieje nadzieja na to, że owi doradcy zaczną coś rozumieć? Nadzieja jest mniej więcej taka sama jak to, że w polskich komunistycznych władzach pojawi się Deng Xiao Ping.

22 maja 1988

Od dwóch dni w gazetach nie ma żadnej wiadomości z Polski. Na moskiewskim froncie Afganistan i obserwacje areny politycznej przed wszechzwiązkową konferencją partyjną. Po 16 maja nie widziałem niczego więcej na temat ewentualnej zmiany strategii reform. Próbną balon, czy rzeczywiście coś tam się dzieje? Zagranicznych korespondentów nie bardzo to interesuje. Jeżeli sprawa jest poważna, tak czy inaczej wróci na tapetę. Nie ma co się podniecać.

M. pyta, jak taki zwrot mógłby wyglądać w Polsce. Dwa scenariusze. Pierwszy, bardziej prawdopodobny – zmiana strategii w Moskwie powoduje reorientację w Warszawie. Wprowadzone niedawno nadzwyczajne uprawnienia dla rządu po-

zwalają na zamrożenie cen i płac państwowych przedsiębiorstw przemysłowych, pokazowe bankructwo kilku zakładów, być może również właśnie Stoczni, wzmocnienie autonomii przedsiębiorstw, drakońskie ograniczenie inwestycji, wzmocnienie banku rolnego z prawem udzielania kredytów dla przemysłu na uruchamianie produkcji dla rolnictwa, dostosowanej do istniejącej struktury indywidualnych gospodarstw. Generalny przegląd przepisów, usunięcie wszystkich przepisów krępujących rzemiosło, przemysł wiejski oraz przemysł przetwórczy. Prywatyzacja handlu. Rozwiązanie Gminnych Spółdzielni „Samopomoc Chłopska”, sprzedaż wszystkich sklepów GS. Likwidacja Punktów Skupu. Mienie przejmuje Państwowe Przedsiębiorstwo Nadwyżek Rolnych. Całe zaopatrzenie rolnictwa przechodzi w ręce prywatne i spółdzielcze. Ustawa antymonopolowa uniemożliwia przechwycenie zaopatrzenia rolników przez jedną firmę. Grupy przedsiębiorstw zajmujących się zaopatrzeniem rolnictwa mogą tworzyć wspólne kasy lub banki i składać zbiorowe oferty pod adresem przedsiębiorstw przemysłowych. Wszystkie dotychczasowe spółdzielnie rolnicze, które mają monopolistyczny charakter, na mocy ustawy antymonopolowej tracą swój dotychczasowy charakter. Pełna swoboda zakładania nowych spółdzielni oraz rewidowania przez członków statutów spółdzielni istniejących. Umożliwienie ludności wiejskiej zakładania sklepów z żywnością w miastach. Rewizja systemu podatkowego, szeroki system ulg podatkowych na wszelkie inwestycje w sektorze prywatnym. Z chwilą, gdy wielkie budowy socjalizmu zaczęłyby odczuwać niedobór rąk do pracy, przejście do drugiego etapu reformy w przemyśle – najpierw przemysł okrętowy, hutniczy i maszynowy, stopniowo kolejne branże, na samym końcu sektor energetyczny, gdzie błędne decyzje mają łańcuchowy charakter i przed rozpoczęciem reform w tym sektorze trzeba już stać na pewniejszych nogach. Jeśli żywności będzie pod dostatkiem, a jej wzrost cen niezbyt duży, istniałaby pewna szansa na względną akceptację reform przez sporą część społeczeństwa.

Jadwiga Staniszkis twierdzi, że nie chodzi o reformy zmieniające sytuację stoiska z pietruszką. Potworny błąd w rozumowaniu – przez owe symboliczne stoisko z pietruszką

przechodzi połowa dochodów ludności. Sześćdziesiąt procent funduszu EWG to fundusz rolny, osiemdziesiąt procent dyskusji w owej wspólnocie to spory o ceny śledzi i jaj. Efekt po niespełna dwudziestu pięciu latach – ból głowy od nadmiaru produktów rolnych przy ciągle spadającym zatrudnieniu w rolnictwie i przy sztucznie dziś już ograniczanej produkcji. Drugim efektem wspólnej polityki rolnej EWG jest tak daleko posunięta integracja gospodarcza, że dziś dyskusje o integracji politycznej przestały być mrzonką wzbudzającą ironiczne uśmiechy. Trzecim i najważniejszym – nawet regiony wiejskie katolickich krajów zachodnich przestały wyrzucać na rynek pracy masy jednostek odstających o dwa stulecia od cywilizacji przemysłowej. Poziom cywilizacyjny miast i wsi się wyrównał, co oznacza, że napływający ze wsi pracownicy mogli natychmiast włączyć się w skomplikowaną, nowoczesną produkcję. Tak więc pierwsza możliwość to oświecony absolutyzm komunistycznej władzy, decydującej się na przestudiowanie Traktatu Rzymskiego i zastosowanie jego wskazań do dzisiejszych polskich warunków.

Drugi wariant, to parytet chleba jako program opozycji. Działacze „Solidarności” stawiających na taki program jeszcze trudniej sobie wyobrazić aniżeli zmianę polityki rządu. Załóżmy jednak, że ktoś wpadnie na pomysł odwrócenia porządku słów w haśle „nie ma chleba bez wolności” i że wbrew wszelkiej logice znajdują się ludzie gotowi maszerować pod tym sztandarem. W takiej sytuacji „Solidarność” rzuca hasło – chcemy pracować na chleb. Prasa solidarnościowa rozpoczyna kampanię uświadamiającą, jak komuniści zniszczyli powiązania towarowe między miastem i wsią, i proponuje powrót do wytwarzania uczciwego towaru przemysłowego za żywność. Organizowanie akcji solidarności z rolnikami. Być może rzucenie hasła – sami zapłacimy za nasz chleb.

Dopiero w tym miejscu pojawia się program Jadwigi Staniszkis – program systematycznej analizy wszystkich kroków władzy, szczegółowej analizy rządowego programu reform z punktu widzenia uruchomienia racjonalnego obrotu towarowego między miastem a wsią. Uświadomienie, że to nie struktura rolna jest zła, a struktura przemysłu. Struktura rolna będzie się zmieniać w miarę, jak będzie wzrastać

wydajność. Mieszkańcy miast nie mają powodu do martwienia się strukturą rolną, wychodząc z istniejącej struktury rolnej należy odpowiedzieć na potrzeby rolnika. Podstawowe żądanie „Solidarności” to legalizacja „Solidarności” Rolników Indywidualnych w sferze politycznej, swoboda dla sektora prywatnego na wsi, priorytet dla produkcji na potrzeby wsi. Domaganie się przebudowy systemu bankowego i podatkowego z punktu widzenia wymiany towarowej między dwoma podstawowymi działami gospodarki, domaganie się utworzenia giełdy pozwalającej na rynkową regulację cen. Domaganie się utworzenia rynku surowców i zwiększenia autonomii przedsiębiorstw państwowych, tak aby mogły się one zorientować na znajdujący się u klienta pieniądź. Po rzeczywistym zlikwidowaniu dotacji, przedsiębiorstwa przemysłowe nie będą miały innej rady, jak pokłonić się do tego pieniądza, który jest na rynku.

Są to wszystko oczywiście luźne pomysły. Przygotowanie rzetelnego programu wymagałoby studiów nad istniejącą w Polsce rzeczywistością, którą ja znam tylko z gazet. Jest wiele rzeczy, których nie rozumiem. Powstał Bank Rozwoju – działający na zasadzie akcyjnej bank kredytowy. Co to znaczy? Jak się ta inicjatywa ma do istniejących przepisów prawnych? *Polityka* zamieszcza notkę o pertraktacjach Krajowego Związku Rolników z ministrem finansów w sprawie dochodów rolników. I znów nie wiem, co to znaczy. Co więcej, nie wiem co to znaczy Krajowy Związek Rolników, kogo reprezentuje, jak wygląda. Na ten temat najwyraźniej nie zdobędę informacji ani w *Tygodniku Mazowsze*, ani w *Polityce*. Prawdziwe propozycje powinny wychodzić od konkretów, od już istniejących przepisów prawnych, od istniejących struktur. Wszystkie propozycje programów budowane przy biurku mają jedną zaletę – nie trzeba ich daleko nosić, żeby je wyrzucić do kosza na śmieci. Przy biurku można jedynie szkicować kierunek poszukiwań. Szukać należy jednak w polu.

23 maja 1988

Times nadal bez Polski, za to dużo Gorbaczowa. Czy głośność będzie powozem dla pierestrojki? Cała władza w ręce

rad i inne pomysły wzbudzające zachwyt Zachodu.

Szlachecka genealogia socjalistycznej demokracji. Komunizm to dziedzictwo szlacheckiej demokracji plus nowe, socjalistyczne struktury społeczne. Wielce patriotyczna warstwa szlachecka nie mogła pojąć tylko jednego, że jest kamieniem u szyi ojczyzny. Wielce patriotyczna inteligencka opozycja uporczywie próbuje przełożyć informacje z dzisiejszego *Le Monde* i *Timesa* na program dla Generała. Jedyne rzeczywistość, która się liczy, to piekący ból po uderzeniu pałką. Cierpienie uszlachetnia, ale nie pomaga myśleć. Demokracja szlachecka oparta była na gospodarce pańszczyźnianej i świadomości, że ojczyzna jest w potrzebie. Demokracja socjalistyczna oparta jest na bolszewickim folwarku i poczuciu, że ojczyzna jest w jeszcze większej potrzebie. Głębokość pozwoli ujawnić zbrodnie Stalina, a nawet Żdanowa, ale głośność pierestrojki nie pociągnie. Paplanina żadnych wartości nie tworzy i nikogo nie nakarmi. Głębokość to najlepszy sposób na to, żeby kroczenie ku demokracji urwało się w pół drogi, to otworzenie puszek Pandory żądań w oparciu o wcześniejszą propagandę sukcesu i chorą strukturę społeczną. Tradycja reform w Rosji od Piotra Wielkiego do dziś to tradycja donowocześniania. Kiedy wszystko się wali, pozwala się okcydentalistom na głośność, na mówienie, że jest niedobrze, i na powtarzanie tego, co wczoraj pisał *Times* i *Le Monde*. Ewolucja polskiej szlachty, przez zrujnowane majątki i socjalizm do doktoratów z socjologii, czyni tę warstwę niekłamana przewodniczką narodu.

24 maja 1988

Lektura artykułu Krzysztofa Dorosza w ostatnim *Aneksie*. Tytuł: „Wiara i pewność”. Prawie piętnaście lat temu paryska *Kultura* opublikowała mój artykuł, w którym pisałem o braku kultury mieszczańskiej w Polsce. Wkrótce potem poznałem Dorosza. Rozmawialiśmy jak gęś z prosięciem. Dopiero teraz, czytając jego ostatni artykuł, zrozumiałem istotę tamtej rozmowy. Dla niego filozofia mieszczańska to osiemnastowieczna koncepcja racjonalności, to zastąpienie wiary w Boga, wiarą w naukę. Po lekturze „Ziemi Ulro” Miłosza Dorosz powrócił do

Biblii, a ja do lektury „Lalki”. Jakże odmienne wnioski wyciągnęliśmy z odrzucenia koncepcji naukowego socjalizmu. Pamiętam, pisałem wówczas o socjalistycznej kulturze przemysłowej, opartej na poddaństwie. Wiara w naukę kojarzyła mi się również z wiarą religijną, ale nie zamierzałem wędrować między jedną a drugą. W stosunku do obydwu próbuję zachować sceptyczny szacunek.

Stwierdzenie, że w Polsce nie powstała filozofia mieszczańska, może prowadzić do nieporozumień. Chodzi raczej o miasta bez mieszczaństwa, o sklepy bez kupców, o przejście do opartego na wymianie towarowej społecznego podziału pracy bez etyki kupieckiej, bez finansowej rzetelności, bez dumy z powodu uczciwie zarobionych pieniędzy. W stulecie wydania „Lalki”, w sytuacji gdy ponad sześćdziesiąt procent polskiego społeczeństwa mieszka w miastach, polska kultura mieszczańska to kultura dworska, kultura socjalistycznej inteligencji, to salony opozycji, na które nie wpuszcza się Wokulskiego, to skorumpowany rzemieślnik i wyśmiewany badylarz, to cynizm i cwaniactwo miejskiego ludu, któremu po klęsce naukowego socjalizmu proponuje się powrót do kościoła. Równie słabe jak sto lat temu grupy mieszczańskie pukają do drzwi, dopominają się o uznanie etyki mieszczańskiej. „Lalka” jest dziś obowiązkową lekturą w szkołach, ale nie jest to lektura, do której powracają nasi opozycyjni pisarze.

Pewien typ myślenia salonów opozycyjnych wspólny jest dla wszystkich państw radzieckiego bloku. Zbudowany na kłamstwie ustrój ograniczył opozycję intelektualną do hasła: „życie bez kłamstwa”. Jest to temat programowych esejów Sołżenicyna, Havla, Michnika, Konrada. Totalitaryzm chciał kłamać, póki kłamstwo nie stanie się prawdą. Mówienie, że król jest nagi, stało się programem, po nim przyszło żądanie pluralizmu, żądanie, aby społeczeństwo mogło samo decydować o swoim losie. No dobrze, ale co się stanie, kiedy zniknie zapora, kiedy wolno będzie mówić głośno i okaże się, że żądanie prawa do głośnego mówienia było również całą jego treścią?

25 maja 1988

Wczoraj pracowałem do późnej nocy. Przez cały dzień

powtarzająca się w dzienniku wiadomość o toczącej się w Radzie Najwyższej ZSRR debacie na temat spółdzielni rolnych, które będą mogły dzierżawić ziemię od kołchozów i sowchozów. Dziennikarze najwyraźniej mają kłopoty z opisaniem tego dziwoląga. W dzisiejszym *Timesie* prezentacja nieco wyraźniejsza. A więc skrzyżowanie pomysłów chińskich i gomułkowskich. Parcelacja ziemi między jakieś tam kolektywy. W rękach kołchozów i sowchozów pozostaje ciężki sprzęt, magazyny, przetwórnictwo itp. Równocześnie zapewnienia, że rolnictwo nie utraci swego socjalistycznego charakteru. Przypomina to do złudzenia gomułkowskie idee i gomułkowskie boje z aparatem. Jednakże czasy są inne, rzecz dzieje się w Związku Radzieckim, a nie w samotnej Polsce. Nawet jeśli cała sprawa się wykolei, jak gomułkowskie kółka rolnicze, mają szanse uzyskania znacznego przyrostu produkcji. Potem zapewne dojdzie do walki o zachowanie socjalistycznego charakteru rolnictwa i do ponownej stagnacji. To, co jest najbardziej znamienne, to fakt, że atakuje się biurokrację, a nawet formy własności, ale panuje głucho milczenie na temat związków między rolnictwem a przemysłem, na temat samego obrotu pieniądza. Jest to jednak pierwszy krok w kierunku prawdziwej rewolucji. Jak na to zareagują kochani rodacy? Czy stwierdzeniem, że myśmy już byli na tym filmie, że dla nas to nie nowina i że nie ma się czym podniecać, czy też łapaniem tego wiatru w żagle? Jest to okazja do stworzenia prawdziwego dwupartyjnego systemu z silnym ZSL. Kiedy wreszcie w Polsce przyjdzie komuś do głowy pomysł rehabilitacji Mikołajczyka? Obserwacja Polski przez *Politykę*, *Tygodnik Powszechny*, *Kulturę*, *Aneks* i *Tygodnik Mazowsze* jest dziś prawdopodobnie nieporozumieniem. Nie wykluczam, że ważne rzeczy umykają uwadze. Tak czy inaczej, wyłania się kolejna poważna szansa. Czy znajdą się grupy dość silne, żeby przynajmniej uświadomić reszcie jej istnienie? W kraju z pewnością nie będzie to *Polityka*, a na emigracji nie będzie to *Aneks*.

26 maja 1988

Wiadomość z Moskwy, że Gorbaczow zamierza tym razem przepchnąć sprawę rotacji kadr partyjnych, i wiadomość

z Polski, że rzecznik praw człowieka, pani Łętowska, stwierdziła, iż prawo nie zakazuje zakładania partii politycznych. Wyzwanie, które Gorbaczow rzuca partii, jest już drugim podejściem. Pamiętam opowiadanie Jacka T. o tym, jak ograniczenie liczby kadencji na stanowisku partyjnym zmieniło charakter partyjnych działaczy. Teraz sprawując funkcje partyjne pamiętają, że z czasem będą musieli wrócić do swojego wcześniejszego zawodu, stają się w większym stopniu politykami, równocześnie w Polsce zmienił się charakter władz terenowych. Rozpad partii w okresie legalnego działania „Solidarności” i późniejsza administracyjna władza wojska, zmieniły charakter funkcjonowania partii w terenie. Jak twierdzi Jacek, rządy partyjnych komitetów w Polsce się skończyły i partia z trudem szuka sobie nowej roli. Zdaje się, że w pewnym stopniu podobna sytuacja jest na Węgrzech. Nie było tam jednak tak dramatycznego rozpadu partii, jak w Polsce, więc i sam proces jest mniej widoczny. W samych sowietach i w innych krajach demoludów partyjne komitety nadal są władzą na co dzień. Przetawienie w tych krajach aparaczków na funkcje polityków będzie tam natrafiało na znacznie większy opór.

Nie umiem z odległości ocenić, jak to właściwie jest w Polsce. Mam wrażenie, że dziś w terenie wojewoda jest konkurentem i partnerem sekretarza partii, że niemal z reguły jest silniejszym partnerem w tym układzie, że sekretarzom coraz trudniej robić politykę w województwie. Tak przynajmniej wygląda to z prasy, w której wojewoda jest widoczny, a sekretarza coraz mniej. Jak to wygląda na poziomie gminy, zakładu pracy, dzielnicy? Czy wyłaniają się załączki jakiejś areny politycznej? ZSL, a nawet SD są podobno coraz bardziej aktywne i coraz bardziej autentyczne. W terenie obserwuje się proces stopniowej zmiany układu sił. Tu i ówdzie słyszy się, że stronnictwa tracą swój marionetkowy charakter. Oczywiście nie zwraca się na to uwagi, obserwacje z tego pola są znikome. Może to i dobrze. Może lepiej, że ten proces odbywa się bez hałasu. Nie wiem. Zobaczymy.

Tymczasem pani rzeczniczka zauważyła, że zakładanie partii politycznych nie jest z punktu widzenia istniejącego prawa nielegalne. Jakie konsekwencje może mieć taka wypo-

wiedź? Zapewne rząd zaproponuje zmianę prawa. Ma do wyboru kilka możliwości – pierwsza – brutalny zakaz zakładania nowych partii politycznych, druga – stworzenie komplikacji proceduralnych umożliwiających sądom odrzucanie podań o rejestrację, trzecia, najbardziej prawdopodobna – puszczenie sprawy w niepamięć. Na tę wypowiedź zareagują z pewnością KPN i PPS. Dwie partie opozycyjne programowo zmierzające do obalenia PZPR. Partia zapewne może sobie pozwolić na poważne koncesje wobec katolików, na wzrost wpływów ZSL, ale nie może sobie w żadnym przypadku pozwolić na legalne istnienie tego rodzaju partii, co KPN czy PPS. Sytuacja jest ciekawa, zobaczymy, jak z tego wybrną. Nawiasem mówiąc, kiedy powstała PPS, zapytałem Lipskiego, czy w sytuacji powrotu do wielopartyjności powinno się utworzyć wysoki próg chroniący Sejm przed zalewem posłów z drobnych partyjek. Lipskiemu to pytanie wydało się pytaniem z księżycy. Odnoszę wrażenie, że cały problem mechaniki systemu parlamentarnego jest dla Polaków niesłychanie abstrakcyjny. Na wszystkie poważne pytania odpowiemy sobie, kiedy już będziemy mieli kochaną wolność.

Wydaje się, że dziś w całym bloku komunistycznym to, co się dzieje w sferze oficjalnej, jest znacznie ważniejsze od tego, co robi opozycja. Opozycja tkwi intelektualnie w przeszłości. Na Węgrzech jest to antykadarowska opozycja bez Kadara, w Polsce całe myślenie opozycji zdominowane jest przez traumę stanu wojennego, w Związku Radzieckim jest to ciągle ruch obrony praw człowieka. Ta opozycja jest zapewne w większym stopniu hamulcem dokonujących się procesów aniżeli ich uczestnikiem i siłą współsprawczą.

Co się stanie z Gorbaczowem? Świat z pewną obawą patrzy pod nogi Gorbaczowa, czekając na skórkę od banana. Na prawo i na lewo przypomina się los Chruszczowa. Przypuszczam, że istnieje znacznie większe prawdopodobieństwo, że Gorbaczow podzieli los Gomułki, że w pewnym momencie zostanie więźniem aparatu, że zostanie utemperowany. Jego kartą atutową jest biologia, generacja w średnim wieku czeka na stołki, ma poczucie, że życie przecieka jej przez palce. Równocześnie Gorbaczow nie jest tej klasy graczem, co Deng. Prawdopodobnie zresztą właśnie Chiny podnoszą gorączkę na

Kremlu w stopniu znacznie większym, niż to sobie uświadamiamy. Perspektywa utraty pozycji drugiego w świecie supermocarstwa jest zupełnie realna. W efekcie Gorbaczow próbuje ukręcić siedem głów hydry równocześnie. Po demonstracjach studenckich w Pekinie i w Szanghaju, Deng musiał spuścić z tonu. Potrzebował ponad roku na odzyskanie równowagi. Chińskie reformy mają już dziesięć lat i przez dziesięć lat wzrasta stopa życiowa ludności. Dziś baza społeczna chińskich reform to nie garstka intelektualistów, ale znaczna część społeczeństwa, któremu lepiej się powodzi, poważnie zmieniona została struktura gospodarcza i stopniowo, ale systematycznie zmieniana jest struktura polityczna. Obecnie śmierć Denga prawdopodobnie nie zmieni już kursu. Za dziesięć lat Chiny będą poważnym konkurentem Rosji. Polska opozycja dotychczas wyśmiewała chińskie reformy mamrocząc, że to się musi skończyć tak, jak wszystkie wcześniejsze komunistyczne reformy. Dopiero teraz pojawiają się pierwsze nieśmiałe artykuły, traktujące chińskie reformy z nieco większą powagą. Nieśmiałe to jeszcze i połączone z dziecinną ochotą ugryzienia czerwonego w łydkę. Fakt, że nie lubię komunizmu, nie powinien mnie czynić ślepym. Nawiasem mówiąc, nieustannie powraca pytanie o tajemnicę powodzenia reform w krajach Dalekiego Wschodu. To, co wiem na temat Japonii, Tajwanu, Korei Południowej, wydaje się potwierdzać zasadę parytetu chleba, czy jak chce Lewis – rozprawy z regionami najniższej wydajności. Zapewne nie jest to czynnik jedyny, religia, tradycja mrówczej pracowitości, Bóg wie co jeszcze. M. zwraca uwagę na ich sztukę, zastygłą w starych formach, podnoszącą naśladownictwo do najwyższej godności. Arcydzieła wierności dawnym mistrzom, uniemożliwiające często odróżnienie dzieł nowych od starych. Naśladownictwo jest również cnotą w rzemiośle. Japończykom opłaciło się to stokrotnie, kiedy zdecydowali się na zapożyczenie technicznych wzorów europejskich i amerykańskich. Zapewne te wartości pozwalały łatwiej zaakceptować produkcję masową. Jak się owe podniesienie naśladownictwa do wartości cnoty łączyło ze zdolnością do innowacji technicznych i rozpowszechnienia tych innowacji, to więcej, niż potrafię pojąć. Faktem jest, że japońska wersja hasła: „dogonić i prze-

gonić”, oznaczała zrobienie idealnej kopii, a następnie próbę jej ulepszenia. Kultura polska jest kulturą artystycznej oryginalności. Pogoń za oryginalnością prześladowa każdego. Szewca denerwuje, kiedy lewy but podobny jest do prawego. Od dzieciństwa słyszałem opowieści o wspaniałej wyobraźni i wszechstronności Polaków. Przedmiotem naszych nieustannych kpin są nasi zachodni sąsiedzi z ich skłonnością do specjalizacji. Osobliwa pogarda Polaków do wszelkiej specjalizacji, do tego, że może istnieć coś, czego nie umiem, szczególnie daje o sobie znać w podejściu do wszelkiego rodzaju instrukcji. Pamiętam, jak po przyjeździe do Szwecji z właściwą mojej nacji pogardą oglądałem tasiemcowe instrukcje obsługi najprostszych urządzeń technicznych. Podobnie jak większość moich rodaków zapoznawanie się z nową techniką rozpoczynałem od naciskania guzików, a nie od lektury. Z czasem zacząłem zmieniać stanowisko. Nie przeszkadzało to jednak nadal szydzić ze szwedzkiej pani domu, która rozpoczyna prasowanie nowym żelazkiem od czytania instrukcji jego obsługi.

Jak się mają do siebie dwa, mocno tkwiące w polskim języku porzekadła – „Polak potrafi” i „gównu chłopu nie zegarek”? Gównu chłopu nie zegarek to przekaz zrozumiały. Przez stulecia inteligent kupował (i psuł) zegarki za wyprodukowane przez chłopą towary. Skąd mu jednak przyszło do głowy, że potrafi? Skąd ta głęboka i powszechna pogarda do wszelkiej instrukcji?

27 maja 1988

Robiłem dziś program wokół listu Łętowskiej. Oddałem taśmę z uczuciem niesmaku. Cały program oparty na wywiadach z Lipskim i Falkowską. Po rozmowie z Lipskim byłem na siebie wściekły. Dlaczego nie zadałem mu pytań, które mnie interesowały naprawdę, pytań o sprawy czysto techniczne? List Łętowskiej był odpowiedzią na odpis skargi skierowanej do Przewodniczącego Rady Państwa. Chciałem zapytać, dlaczego skargę kierowano do Rady Państwa, a nie do Sądu Administracyjnego? Dlaczego do Urzędu Rzecznika Praw Obywatelskich posłano odpis, a nie odrębne pismo? Nie

znam dzisiejszego polskiego prawa administracyjnego. Nie sądzę, aby właściwą instancją zaskarżania decyzji administracyjnej był Przewodniczący Rady Państwa. Jeśli intelektualiści nie wiedzą, do kogo należy się zwrócić z jakąś sprawą, dlaczego mamy mieć pretensje do pracowników browaru, że domagają się przyjazdu premiera, bo znaleziono karaluchy w stołówce? Mam również wrażenie, że mając w ręku stanowisko Rzecznika Praw Obywatelskich warto pójść za ciosem i podroczyć się z Sądem Administracyjnym. Tymczasem Lipski powiedział mi, że zamierzają to ogłosić drukiem i spocząć na laurach. Nie chcąc niczego sugerować, oczekiwałem, że przynajmniej Falkowska pójdzie w tym kierunku. Rozczarowanie. Ta doskonała dziennikarka sprawiała wrażenie człowieka, który utracił resztki jakiejkolwiek nadziei i inicjatywy – ta wypowiedź niczego nie zmienia, sytuacja w Polsce nie ma właściwie nic wspólnego z sytuacją w Moskwie. Beznadzieja, beznadzieja, beznadzieja. Władze nie zamierzają uznać pluralizmu związkowego, nie zamierzają zmienić ustawy o stowarzyszeniach... co z tego, że pani rzecznik powtórzyła, że król jest nagi. To wszyscy od dawna wiedzą. Zagadnąłem ją o możliwość przekształcenia się ZSL w prawdziwą partię. Zdumiała się pytaniem. Odpowiedziała, że nigdy się na tym nie zastanawiała.

Polskim władzom potrzebne nowe społeczeństwo, polskiej opozycji nowa rzeczywistość. Obawiam się, że dorosłe pokolenie Polaków nie jest dziś w stanie dostrzec żadnej szansy. Co z młodymi? Co z tymi urodzonymi w końcu lat sześćdziesiątych? Jak każde pokolenie, będą podzieleni. Część aktywnego elementu przejmie prywatna inicjatywa. Czy zacznie się wreszcie rodzić klasa średnia z własną ideologią i własną etyką? Mało prawdopodobne. Socjalistyczny sektor prywatny będzie uzupełnieniem socjalistycznego folwarku. Cwaniacka klasa średnia nie będzie widziała żadnych powodów do tego, żeby chociażby udawać, że ma jakąś etykę zawodową.

Andrzej KORASZEWSKI

WSPOMNIENIA Z WOJNY 1918-1920*

Wielka ofensywa wiosenna ruszyła gdzieś na Wielkanoc 1919 roku. Przelecieliśmy jednym zamachem z Chyrowa przez Stary Sambor, Drohobycz, Stryj, Dolinę, Kałusz, Stanisławów, Tyśmienicę, Niżnów nad Dniestrem, gdzie natrafiliśmy na opór przy przeprawie przez rzekę, zatrzymaliśmy się na parę dni. Trasa ta wynosiła ok. 300 km.

Po przeforsowaniu Dniestru przerzucono moją baterię (częściowo kolejną) do Brodów. Cały ten długi rajd zlewa mi się dziś w pamięci w jedną całość, jak szybko puszczony film.

Krótkie utarczki z uciekającym nieprzyjacielem i znowu gonitwy, tak dzień w dzień bez wytchnienia. Por. Zaniewski oczywiście szalał, był w swoim żywiole! Pędziliśmy naszą baterię – już prawidłowo konną – na prawo i lewo; gdzie tylko usłyszeliśmy gęstszą harataninę, już tam pruliśmy, bez rozkazu, bez wzywania. Kilkanaście nieraz pocisków wystarczyło, aby piechocie ułatwić posunięcie się znowu o parę kilometrów naprzód. Pozostawionej przez uciekających Ukraińców amunicji do rosyjskich dział miała nasza bateria w bród.

Większość ruchów odbywała się na rekwirowanych podwodach, których nieraz brakło, gdyż cofający się nieprzyjaciół pobierał już dla siebie chłopskie wozy. Żołnierze, mając dobre wyżywienie, byli w dobrej kondycji, a animusz pogoni dodawał temperamentu.

Przypomina mi to nieco psychologię psa, który broniąc swego podwórza atakuje intruza ze zdwojoną energią, gdy ten odchodząc, zbliża się do furtki wyjściowej. A nie daj Boże, gdy niemiły mu gość zacznie uciekać! Pies wtedy wpada w szal. Podobnie w wojsku. Nie ma takich trudów i wysiłków, których by żołnierz nie zniósł w czasie ofensywy, gdy wróg

* Dokończenie fragmentów „Wspomnień z wojny 1918-1920” Romana Jacka Czartoryskiego (1898-1958) publikowanych w *Zeszytach Historycznych* nr 135.

ucieka, a on goni! To samo z szybkością ognia artyleryjskiego: gdy sytuacja jest krytyczna i konieczny jest jak najszybszy ogień, gdy oficer przy baterii ze skóry wychodzi, aby działa biły jak najszybciej, nawet przy bardzo zgranej i sprawnej obsłudze nigdy nie wyciągnie się takiego tempa odpalów, jak gdy oficer zawoła: „Uciekają, walić!” Tak też działaliśmy wiosną 1919 roku.

Entuzjazm ludności cywilnej czasami był wprost graniczący z jakimś szaleństwem! Szczególnie w miastach i miasteczkach. Ten entuzjazm udzielał się nawet często i Rusinom. Przyjmowano po kwaterach żołnierzy najlepszymi frykasami, tak, że nieraz nie dojeżdżone kotły z kuchni polowej szły dla cywilów. Przypominam sobie, w Nowej Soli, staruszek księdza, który na widok naszej baterii szlochał i dostał z radości czegoś w rodzaju tańca św. Wita: biegał, skakał, gestykułował i rzucał się pod konie kanonierów. Za jego przykładem poszli jego parafianie. W innym miasteczku, gdy bateria stanęła na rynku czekając na dalsze rozkazy, ludność nie chciała nam pozwolić ruszyć. Gdy komenderowałem: „Do koni”, „do wsiadania na koń” i „stępem marsz” rozentuzjasmowana ludność nie chciała „dać drogi”.

Sądzę, że to przyjęcie działało na żołnierza podobnie, jak na aktora „niemiłknąca burza” oklasków z widowni. Ale nie zawsze była taka idylla między wojskiem a cywilami.

Widziałem też taką scenę: siwiutki gen. Zieliński przejeżdżał swym otwartym powozem na gumach tzw. koczem; stał wzburzony w pojeździe, a przed nim na ławeczce siedziała czternastoletnia dziewczynka zalana łzami i przerażona tym, co się z nią dzieje. Generał woła donośnie: „Ja nie chcę być hersztem bandy zbójeckiej! Ja jestem generałem wojska polskiego!” Okazało się, że jakiś oddział uprowadził bezprawnie jałówkę z obory rodziców tej „pastuszki”. Generał szukał krowiny, no i sprawców rabunku. Znalazł przy pomocy chętnych i jedno, i drugie. (...)

Pułkownik Berbecki był słynnym oficerem legionowym. Brał jeszcze udział w wojnie rosyjsko-japońskiej w 1905 roku. Był podobno siedem czy dziewięć razy ranny, czym lubił się chwalić. Posiadał wiele orderów, postawny i bardzo groźny. Gdy wpadał w złość, co mu się często zdarzało, wyciągał

szaблей i płażował delikwenta, a że pałasz miał lichey, przeto po takim wyczynie nie mógł go wsunąć do pochwy, bo był zgięty. To doprowadzało go już do szału, prostował szablę na kolanie i parokrotnie atakował nim pochwę. Tak przynajmniej o nim mówiono, a legend o nim było sporo, bo stary i ponoć bardzo dzielny dowódca. On też był jednym z współtwórców tzw. „Wehrmachtu”, formacji, którą stworzyli Niemcy pod koniec wojny z odłamu legionistów. (...)

Któregoś dnia powstał spór między podoficerami a kono wodnymi zamykającymi pochód za pułkownikiem. Okazało się, że przy niedawnym ekscesie żołnierskim z cywilami pewien oficer pobił żołnierza. W podnieceniu dyskusji mój wachmistrz wygarnął, że takie świństwo mógł zrobić tylko oficer Wehrmachtu! Skóra mi ścierpła – przecież sam Berbecki dowodził tymże Wehrmachtem! A na pewno słyszy, co ten szaleniec gada! I Rzeczywiście! Pułkownik zwinął się jak kot, roztrącił swój sztab i rzucił się w stronę mego wachmistrza. Wyrwał już z pochwy do połowy swą szablę i zbliża się doń purpurowy ze złości, sycząc: „A gdzieś ty był, smarkaczu, gdy polski Werhrmacht rozbrajał Niemców?!” Na to mój wachmistrz: „W Wehrmachcie, panie pułkowniku!” Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, podoficer mówił prawdę. Z jego postawy, sposobu salutowania, trzymania głowy i stóp każdy by poznał, że to specyficzne wyszkolenie właściwe tresurze wehrmachtowców. Tym bardziej musiał to poznać jego dowódca. Stali tak przez chwilę bez ruchu, wreszcie Berbecki z trzaskiem wsunął szablę do pochwy i bez słowa wrócił na czoło pochodu. Scena była kapitalna! (...)

Poszczególnych walk czy spotkań opowiadać nie będę, gdyż w opisie wyglądają tak podobnie do siebie, że mogą stać się nużące. Lecz w rzeczywistości jakżeż są różne! Różny jest teren, pogoda, od których dużo zależy, jak w teatrze – kulisy (raczej dekoracje, oświetlenie, stroje). Różne jest rozmieszczenie i natężenie sił nieprzyjaciela i własnych. Jakże odmieniny bywa nastrój w oddziale, który daje odmienny charakter bitwy. W opisie to wszystko się zlewa, słabnie, a przecież starcie na linii, to – można by powiedzieć „być albo nie być”, tak dla poszczególnego żołnierza, oddziału i udanej akcji na całym odcinku. Nerwy grają, wrażenia silne, instynkt samo-

zachowawczy miesza się z ambicją, odwagą, honorem. Myśl, spryt, rutyna bojowa pracują intensywnie, wysiłek fizyczny nieraz napięty do ostatecznych granic.

Aż dziwno, jak człowiek, ten „homo sapiens” wtłoczony w mundur, wcielony w szare szeregi wojska, tak często łaknie bitwy, pali się do niej, entuzjazmuje?

I taka bitwa, pomimo całej swej ohydy i potworności – ma swój urok, porywa, powiedziałbym nawet: gra na szlachetnych instynktach człowieka – żołnierza! To może jakiś wielki paradoks czy sofizm – ale tak jest! Niech Erich Maria Remarque gada, co chce, i przedstawia (zresztą świetnie) ohydę wojska i frontu, jakżeż prawdziwie. Lecz jest i druga strona medalu, ta lepsza! Śmiem mu się z tej drugiej strony sprzeciwić twierdząc, że wojna i walki, szczególnie w wojnie ruchomej, potrafi uszlachetniać żołnierza – człowieka! Daje mu umiejętność panowania nad sobą samym, wyrabia „dyscyplinę wewnętrzną”, bez której człowiek traci prawo do nazywania się człowiekiem. Przenosi go ze zwykłego „zjadacza chleba” w inny świat – nie wiem czy lepszy – ale inny. W świat ofiarności, wysiłku, poczucia miejsca jednostki w całości, w zbiorowości. Otwiera oczy – nieraz podświadomie – że jest coś, poza miską stawy i poza pełnym brzuchem! Jakże potęgują się te wszystkie cnoty osobiste i obywatelskie, gdy żołnierz wierzy – ba, jest tego pewny, że słuszność sprawy jest po jego stronie. (...)



W drobnych potyczkach zajęliśmy Stanisławów dość łatwo, bez zniszczeń tego czystego i schludnego miasta. (...)

W pochodzie między Dniestrem a Karpatami musieliśmy przechodzić często przez rzeki i potoki, które ze stoków Karpat płyną na północ od Dniestru. Są one w tym terenie bardzo liczne, nieraz o charakterze górskim, pełne głazów i rwącej wody. Mosty i przejazdy cofający się nieprzyjacieli często niszczył i trzeba było przechodzić w bród, a że Zaniewski lubił się pchać naprzód nieraz równo z pierwszymi patrolami piechoty – forsowaliśmy te rzeki.

Pamiętam taki przejazd, gdzie z powodu rwącego nurtu,

głazów na dnie i głębokiej wody, bałem się zaprzęgi puszczać w rzekę. Jezdni przejechali normalnie, konie od dział szły luzem, prowadzone w rękę i to bez uprzęży, w którą mogłyby się zaplatać. Natomiast działa i jaszczce były przeciągane przez rzekę na długiej linie, za którą ciągnęły konie będące już po drugiej stronie, na suchym lądzie. Woda przelewała się górą tak, że działa znikwały pod pieniącą się falą. Można sobie wyobrazić, ile było potem roboty z czyszczeniem dział i ich przyrządów pomiarowych. Uprzęże i siodła trzeba było suszyć i smarować. Z mundurów, kocy, czapraków lała się wprost woda – jak łatwo po tym konie odparzyć!

Niektórzy żołnierze, przejeżdżając przez wzburzony nurt, dostawali zawrotu głowy i po prostu zsuwali się z siodeł bezwładnie w wodę. Również kilku koniom coś podobnego się zdarzyło – nagle w połowie potoku kładły się na dnie bezwładnie. Wiadomo, że gdy koń leżąc w wodzie, choćby nie sięgającej kolan, umoczy głowę, nie unosi jej w górę – nie broni się wcale przed utopieniem. Trzeba wejść do wody i trzymać mu łeb nad powierzchnią, a on jest taki jakiś apatyczny, że trudno go zmusić, aby wstał. Po dwu stronach rzeki stały ekipy ratownicze, które wyciągały topielców. Ja sam doznałem jakiegoś zawrotu głowy i czułem, że już zjeżdżam z Aidy. Zamknąłem oczy, puściłem wodze i położyłem się szybko na karku konia, obejmując go rękami; ocknąłem się dopiero na suchym gruncie.

Ale tempo było, front szedł szparko naprzód!

Kiedyś Konewka, telefonista, włączył się telefonem do sieci międzymiastowej, na której właśnie – jak twierdził – toczyła się wojskowa, ukraińska rozmowa. Znając dobrze ten język, pojął od razu, że chodzi w niej o jakieś ruchy wojsk. Zgłosił się jakoby z polecenia jakiegoś oddziału, który był wzywany, i nablagował o jego pozycjach. Później, za każdym razem, i to przez dłuższy czas, gdyśmy osiągnęli sukcesy, chwalił się niby to poważnie, że to jego zasługa, gdyż pokrzyżował plany wroga.

W Niżniowie (klasztor Sióstr Niepokalanek) przed przeprawą przez Dniestr zostaliśmy zatrzymani. Tam spotkaliśmy się z 14 pułkiem ułanów. Dziwny przedstawiał on widok.

Mundury z rosyjskiej armii, lubowali się w jakichś licznych pasach i rzemieniach skrzyżowanych na piersiach i plecach, za nimi zatknięte 2-3 rewolwery. Szable na siodłach, nie u pasa, i to pod tybinką na ukos przymocowane. Poza tym jakieś torby i worki na amunicję przewieszane przez ramię. Kabury i tył siodła wypchane wielką ilością wszelakiego dobra. Wielu z nich nie umiało po polsku, wciąż słyszało się pośród nich mowę rosyjską. Konie mieli fantastyczne! Wielu prostych ułanów siedziało na pysznych „folblutach”, których nie powstydziałaby się niejedna stajnia wyścigowa.

Pułk ten był tworzony w czasie wielkiej rewolucji, przeszedł bardzo ciężkie czasy w walkach z bolszewikami, wreszcie przedarł się hen na północ aż pod Murmańsk. Szalenie bitne było to towarzystwo, ale i coś dzikiego miało w sobie – powiedziałbym nawet: coś ponurego. Pułkiem dowodził pułkownik Plisowski.

Z tym pułkiem kręciliśmy się gdzieś w okolicy Niżniowa po Koropiec, próbując się przeprawić przez Dniestr, co się nam nie udawało. Wreszcie, dalej na północ, koło Jezupola nastąpiła przeprawa umożliwiona przez sąsiednie oddziały, względnie te, które szły lewym brzegiem rzeki. Tam na moście kolejowym ułożono między szynami deski, po których przeszły konie, trzymane po obu stronach przy pysku. Z niektórymi był kłopot, gdyż widząc przepaść między progami aż do wody, nie chciały wchodzić na most. Działa i wozy przetoczono ręcznie.

W tej okolicy zdarzył się „casus”, który podobno był w historii wojen raz jeden zastosowany i to przez Napoleona! Mianowicie szarża konnej baterii na piechotę.

Bateria nasza dostała rozkaz przesunięcia się do pewnej wsi, leżącej w szerokiej dolinie. Oczywiście wieś ta miała być zajęta przez nasze wojsko. Bateria pojawiła się na wzgórku, aby prostą drogą zjechać do wsi odległej o 2-3 km. Jadąc spokojnie w kolumnie marszowej dostała ogień piechoty wprost z osiedla! Porucznik Zaniewski z początku nie reagował sądząc, że to jakaś pomyłka i „nasi” zaraz zorientują się i przerywają strzelanie. Gdy to nie nastąpiło, zarządził rozjechanie się w jedną linię po obu stronach drogi. Ognia nie przerywano. Przeciwnie – wzmoógł się! Przeto bateria przeszła w szyk „rozwinęty”, tj. działa w odległości 30 m jedno od drugiego,

też w jednej linii, i ruszyła kłusem ku wsi. I to nie pomogło. Bateria przeszła w galop, coraz szybszy, wreszcie pełnym tempem waliła z góry wprost na obsadzoną przez nieprzyjaciela, umocnioną wieś! Huk pędzących czterech dział i czterech jaszczy, w tumanie kurzu spod kół i kopyt około 120 koni, oraz ich pęd wprost na piechotę – wywarł tak potężne wrażenie na Ukraińcach, umocnionych we wsi, że nie wytrzymali nerwowo tego widoku! Gdy bateria była na jakieś 300-400 m. od nich – zamilkli i zwiali w popłochu. Bateria przed domami zawróciła każdym z dział z osobna małym łukiem, stanęła, odprzodkowała i wystrzeliła parę szrapneli poprzez wieś na drogę wylotową. Wszystko to razem musiało wyglądać jak jakiś pokaz wojskowy przed naczelnym wodzem i pełnych trybunach oklaskującej publiczności.

Co myślał dowódca baterii w trakcie całego tego manewru – trudno odgadnąć. Powiedział tylko, że rozkaz, jaki dostał – udania się do tej wsi – wykonał, a że rozkaz był wydany na podstawie widocznie złych informacji – to jego nic nie obchodzi. Miał chłop niebywałe szczęście, gdyż nie stracił ani jednego człowieka, ani jednego konia!

A czyn był szaleńczy! Jeden spokojny celowniczy przy karabinie maszynowym mógł położyć prawie całą baterię, nie mówiąc już o karabinach ręcznych. Gdyby nawet piechota wytrzymała szarżę do odległości 200-100 m w czasie manewru zawracania i odprzodkowania – mogłaby spokojnie wybić znaczną część obsługi, nie mówiąc już o tych 120 koniach, które w zbitej masie sterczały jakieś 50 metrów za działami. (...)

Te wszystkie okoliczności Zaniewski znał, bo był dobrym, bojowym oficerem. Mimo to ryzykował! Widocznie ufał sile i moralnemu wrażeniu, jakie taka szarża przedstawia. No i znał wytrzymałość psychiczną żołnierza ukraińskiego. Dość że impreza udała się!

Niedługo po przekroczeniu Dniestru pod Jezupolem, przerzucono nas na północny wschód do Brodów. Tam front rozciągał się ku południowi wzdłuż dawnej granicy austriacko-rosyjskiej.

Z wieży kościelnej klasztoru oo. Dominikanów w Podkamieniu widziałem wyraźnie w oddali świecącą kopułę słynnej ławy w Poczajowie, po tamtej stronie granicy.

Na froncie był spokój, gdyż doszedłszy do granicy, nie mieliśmy już przed sobą wojsk ukraińskich, przeszliśmy i zdobyli już bez reszty ten kraj, który utworzył sześciomiesięczne państwo!

Bateria zasłużenie odpoczywała po przebytych trudach. Z wysokiego pasma wzgórz obserwowaliśmy pojedyncze patrole bolszewickie, przesuujące się po równinie z tamtej strony granicy. Na naszym odcinku był zupełny spokój. Porucznik Zaniewski wyjechał na urlop, przekazując mi dowództwo baterii. Kazia Dzieduszyckiego umieściłem jako I-szego oficera na baterii. Na punkcie obserwacyjnym wieży oo. Dominikanów Wiluś uczył mnie grać „w oczko” – stale przegrywałem, ku jego radości.

Przesunięto nas nieco na północ bliżej Brodów. Tam stała się dla nas rzecz dziwna – bolszewicy ruszyli!



Kwaterny baterii znajdowały się we wsi dość oddalonej od granicy, pozycję baterii zająłem nieco bliżej w jednej z dwu dolinek, punkt obserwacyjny miałem na skraju wzniesienia z widokiem na ciągnącą się na wschód nizinę o całkiem płaskim terenie. Kilometr od granicy leżała wioska, do której miałem z góry dobry wgląd.

Pewnego dnia rano zauważyłem, hen! w oddali, w odległości może 15 km, na tej bezkresnej równinie jakiś skoncentrowany ruch bolszewickiego wojska. Zaraz zameldowałem o tym dowódcy odcinka. Kazano mi pilnie obserwować i co pewien czas przysyłać meldunki, wstrzymać się od jakiegokolwiek agresji. *Nota bene* bateria nie była wstrzelana na żadne punkty, gdyż nie wolno było puszczać pocisków poza granicę.

Ruch ten wzmagał się z każdą godziną, wreszcie ujrzałem w oddali wyraźną tyralierę na bardzo szerokim odcinku, podążającą w naszą stronę. Zaniepokojony pułkownik, dowódca odcinka, zjawił się na moim punkcie obserwacyjnym. Nakazał spokój, lecz na wszelki wypadek kazał przygotować baterię do akcji.

Piechota przed nami była uplasowana jedynie w małych grupkach wzdłuż granicy. Miała ona raczej charakter „ochro-

ny granicznej”, nie żadnego frontu. Kazałem do dział podciągnąć większą ilość amunicji, znajdującej się w taborze baterii. Upewniłem się również w magazynach w Brodach, że do mych dział rosyjskich mają amunicję. Prosiłem o ewentualne przygotowanie jej dla mnie.

Tymczasem za pierwszą tyralierą pojawiła się na przedpolu druga i trzecia. Takiej ilości wojska jeszcze przed sobą nie widziałem! Nie ulegało najmniejszej wątpliwości: było to wyjście natarcia, i to bardzo silnego, na nasze pozycje.

Gdy te tyraliery zbliżyły się nieco, zobaczyłem baterię bolszewicką, która podjechała i zajęła pozycję na otwartym terenie i poczęła wstrzeliwać się na naszą stronę! Agresja z ich strony rozpoczęła się! Dostałem wobec tego pozwolenie na wstrzelanie się baterii na poszczególne punkty, które mogły być pomocne w czasie akcji.

Bateria bolszewicka, nie mogąc sięgnąć w głąb naszego terenu, podsunęła się bliżej i kontynuowała wstrzeliwanie się. Chciała między innymi wymacać moją baterię. Jak wspominałem, swoją baterię ustawiłem w drugim, dalszym zagłębieniu. Nieprzyjaciel, kierując ogniem widocznie z mapy, wymacał pierwsze zagłębienie. Przeto uchwyciłem się podstępu, gdy nieprzyjaciel grzał w to pierwsze zagłębienie, ja milkłem – gdy pociski padały w drugie, gdzie stała moja bateria, nie przerywałem ognia. Tym manewrem starałem się przekonać bolszewików, że stoję w pierwszej dolince i przerywam ogień, gdy ich granaty siedzą na mojej pozycji. Dalszy bieg wydarzeń wykazał, że ryba chwyciła haczyk!

Zaczął się w ten sposób pojedynek artyleryjski. Moje działa na najwyższym celowniku ledwo mogły sięgnąć nieprzyjacielskiej baterii, przy ogromnym już rozrzucie.

Przeniosłem już ogień na nieprzyjacielską piechotę – szrapnelami. Było ich takie mrowie, szli na tak szerokim froncie, że o zatrzymaniu ich jedną baterią – mowy nie było. Dla dodania sobie znaczenia markowałem baterię sześciodziałową, strzelając po sześć razy w równych odstępach, po czym krótka przerwa i znowu sześć wystrzałów.

Bateria moja grzała już bez przerwy od paru godzin, gdy zjawił się znowu dowódca odcinka. Przeraził się ilością piechoty nieprzyjaciela. Wyjawił mi, że ma jedynie szczupłe patrole

porozrzucane wzdłuż granicy, że mowy nie ma, aby mógł wstrzymać choć na krótki czas natarcie. Jedyne nadzieje, że nasza bateria, zresztą jedyna na tym odcinku, zatrzyma nieprzyjaciela. Było mało prawdopodobne, aby jedna bateria mogła coś zdziałać przeciw kilkukilometrowej, potrójnej linii tyralieri! Pułkownik zaznaczył, że jeśli bateria zdoła atak odeprzeć, to on, dowódcę baterii, to znaczy mnie, poda do „Virtuti Militari”, przyśle kilka Krzyży Walecznych, a mego wachmistrza (o dobrej prezencji, Wehrmachtowca, który w moim zastępstwie kierował czasem ogniem) poda do awansu na oficera! (...)

W tym czasie w tyralierze coś się zmieniło. Bolszewicy doszli na wysokość wspomnianej wsi, poczęli się zbierać i schodzić do jej centrum, obszernego majdanu. Tam zajęchało kilka kuchni polowych i poczęto wydawać obiad.

Widziałem to wszystko z góry – jak na dłoni. Nawet dalsze oddziały poczęły ściągać do wsi. Podziwiałem ich głupotę i niewyrobienie wojskowe! Pomyślałem, że pewnie ich dowództwo jest, ich sposobem, wybrane z awansu społecznego.

Wsi na razie nie ruszałem, pomimo że na ten majdan byłem poprzednio wstrzelany. Popuszczałem trochę szrapneli po polach korzystając, że działa okładane mokrymi szmatami mogą trochę przestygnąć. Przywołałem do telefonu oficera na baterii, któremu przedłożyłem sytuację, i poleciłem przygotować najdogodniej dużą ilość amunicji przy każdym dziale, a lufy skierować na wspomniany majdan. Musi on wycisnąć z baterii możliwie największą ilość pocisków w najkrótszym czasie. Jedyne „huraganowy ogień” (jeśli można tak nazwać ogień jednej tylko i to lekkiej baterii) może uratować od wiania się tak potężnej masy nieprzyjaciela na nasz teren. Osobiście w ten sukces nie wierzyłem! Przeto kazałem konie i zaprzęgi podciągnąć bliżej pozycji dział i przygotować baterię do rozkazu odmarszu.

Odczekałem jeszcze chwilę, gdy to mrowie, bo tak z oddali bolszewicy wyglądali, poczęło się od kuchni oddalać – i jeden rozkaz do telefonu: „Bateria szybki ogień!”

Nie upłynęło pięć minut, gdy cały plac w środku wsi zasnuł się gęstym dymem! Już nie można było dostrzec pojedynczych eksplozji. Dym wzbijał się coraz wyżej i rzędząc przesunął się z wiatrem nieco w prawo. W kilku miejscach

wytryskał ponad wszystko obłok pożaru – a działa huczały bez przerwy.

Z tego rumowiska, ognia i dymu poczęły się wyłaniać na zewnątrz jakieś zaprzęgi, wozy, konie i ludzie pierzchający w te pędy, byle dalej i byle prędzej!

Działa wciąż biły w centrum skupiska. Dopiero gdy dał się zauważyć słabnący ruch odśrodkowy, pociski przechodziły również w odśrodkowy układ, znacząc chmurkami swe miejsca po rozległych polach, na których widniały bezładnie porozrzucane hordy nieprzyjacielskie. Przeszliśmy na tym otwartym polu na szrapnele, które dość wysoko się rozrywały, aby swym rozrzutem popędzać uciekających, nie dając im ochłonać z psychozy panicznej ucieczki. Jak już wspominałem, najszybszy ogień z baterii można wycisnąć, gdy się zawoła do kanonierów, że nieprzyjaciel ucieka. Wtedy, w jakimś szale, ruchy ich stają się jeszcze szybsze. Ten moment psychologiczny wykorzystałem.

Z baterii meldował mi Kazio Dzieduszycki, że działa już tak rozgrzane, że boi się o ich całość. Nie zwracałem na to uwagi, gdyż ważniejszym było odparcie wroga niż ryzyko rozsadzenia, choćby wszystkich dział, z konsekwencją pokaleczenia obsługi.

Obserwowałem pilnie nieszczęsną wioskę, czy nie przywarowały tam jakieś siły nieprzyjaciela, które mogłyby jeszcze, ochłoniwszy z wrażenia, ruszyć naprzód, na słabe siły naszej piechoty. Lecz miałem wrażenie, że chyba żaden ze zdrowych nieprzyjaciół tam nie pozostał. Przeto przerwałem ogień. Podczas tej akcji artyleria nieprzyjaciela grzała w tę pierwszą dolinkę. Mój fortel udał się wyśmienicie, na naszą baterię nie padł ani jeden strzał nieprzyjacielski.

Wreszcie na całej widocznej równinie, aż po daleki horyzont, zapanował spokój. Tak to jedna polowa bateria, o składzie czterech dział, zatrzymała natarcie stosunkowo dużych sił nieprzyjacielskich. Piechota nasza nie oddała chyba ani jednego strzału. (...)

Zaraz po tej bitwie, bodajże nazajutrz, dostałem rozkaz udania się do Brodów, gdzie baterię miałem załadować na kolej. Jak mnie poinformowano, bateria miała zostać przerwana daleko na północ, na front białoruski.

Przed odjazdem wstąpiłem do pułkownika, dowódcy odcinka, aby mu się odmeldować. Przyjął mnie, szelma, zimno, służbowo. Żadnego nawet cienia podziękowania czy uznania dla baterii, która niewątpliwie uratowała co najmniej jeden jego odcinek. Pozwoliłem sobie przypomnieć daną mu obietnicę, gdy był na moim punkcie obserwacyjnym. Nie wspomniałem już o przyrzeczonym mi „Virtuti Militari”, lecz tylko o mym wachmistrzu, który miał być podany do awansu na oficera. Jakoś nie mógł sobie przypomnieć danej obietnicy. Gdy zwróciłem się do jego adjutanta, który był świadkiem tej rozmowy, ten spuścił zawstydzony wzrok, lecz milczał.

Wyszedłem nie ukrywając objawów niezadowolenia i pogardy. Łaskawie wyciągniętej dłoni pułkownika nie zauważyłem.

Jak się w Brodach dowiedziałem, w tym dniu, gdyśmy mieli tę strzelaninę, na odcinku Brody-Radziwiłłów toczył się krwawy bój z bolszewikami, którzy i w tym miejscu chcieli się wdrzeć w nasze granice. Natarcie z wielkim trudem i ze stratami odparto.

Transport kolejowy jest dla wojska przyjemnym urozmaicheniem. Po sześć koni w krytych wagonach, dudniąc kopyta donośnie o podłogę, łby wyglądają z zainteresowaniem przez uchylone drzwi.

Karmienie odbywa się z worków, uwiązanych przy pysku. Siano leży na podłodze, skąd chrupią sobie szkapiny prawie przez cały dzień. Jezdni poumieszczani między łbami swoich podopiecznych na słomie, odpoczywają, gaworzą, a hałas pociągu pobudza jakoś do śpiewania. Zwykle jeden wagon osobowy dla oficerów i starszych podoficerów gromadzi śmietankę transportu. Kuchnia polowa na platformie dymi; działa, jeszcze i wozy z wysuniętymi wysoko dyszlami są jakby centrum i duszą oddziału. Nastrój beztroski, pogodny, zajęć bardzo mało. A i na stacjach jest na co się pogapić. Cywile zagadują, oglądają, pytają. Jest komu co naopowiadać o wojaczce, nablagować, bo oni przeważnie nic nie wiedzą, naiwni, i chętnie słuchają.

Tak jechaliśmy w nastroju raczej wycieczkowym niż wojennym, dość daleko, bo do Baranowicz. W transportach często aprowizacja szwankuje, gdyż oddział nie jest

przydzielony do jakiejś stałej intendenty, lecz przechodzi z rąk do rąk. Nam brakło tylko siana dla koni, którego mimo starań nie mogłem dostać. Obiecywano nam je dostarczyć gdzieś na następnej większej stacji, ale wszystko bez skutku. Gdy przejeżdżaliśmy przez niziny podlaskie czy poleskie, obszerne łąki ze stogami siana – nęciły. Nie było innej rady, trzeba było postarać się samemu o siano, jak później w czasie okupacji mówiono: „zorganizować”.

Tak też zrobiłem. Do parowozu poszedł jeden z podoficerów, który zatrzymał pociąg gdzieś między stacjami, na łąkach, gdy ujrzelśmy w pobliżu toru spory stóg siana. Zafasowaliśmy pachnące sianko na parę dobrych dni i ruszyli dalej, ku radości jezdnych, no i przede wszystkim koni.

Bodajże w czasie tej podróży wyskoczył nam koń z jadącego pociągu! Widocznie nie był ten mały, krępy hucuł dobrze zabezpieczony, gdyż przed stacją, gdy wagonem rzucało na zwrotnicach, znalazł się „za burtą” – na torach. Podobno wyskakując z tej znacznej wysokości nawet nie upadł na kolana i, co dziwniejsze, linka, którą był za uźdę przywiązany, nie zerwała się, a pociągnięty przez nią, galopkiem biegł po szynach i zwrotnicach tuż koło swego wagonu! Gdy pociąg się zatrzymał, poszedłem zobaczyć to *curiosum*. Aby zbiega z powrotem wprowadzić do wagonu, trzeba by cały pociąg przemanewrować, wagon przetoczyć na rampę i tak go wprowadzić po mostku. Dużo czasu by to zajęło. Ktoś zaproponował, że wsadzą konia tak, prosto z ziemi. Zebrało się kilkunastu chłopaków, uchwycili hucuła za nogi, brzuch, głowę i ogon, i na komendę: „hoo-ruk!”, unieśli zwierzę i położyli na podłodze wagonu. Sportowiec nie bronił się wcale, widocznie uważał to wszystko za dobrą zabawę!

Ciekawe, jak wówczas, od początku kampanii, tj. od marszu z Przemyśla, sprawy natury ogólnej, krajowej, polityczne i organizacyjne, dotyczące budującego się na nowo państwa – przestały nas interesować. Jakoś nie dochodziły do świadomości. Inaczej było w okresie od Kamieńca Podolskiego po Kraków i w czasie, który tam spędziłem. Wtedy żyło się tylko tym wszystkim, co dotyczyło tworzącej się państwowości polskiej. Przeżywało się tragicznie lub z entuzjaz-

mem wszelkie przejawy natury ogólnonarodowej. Snuło się plany i projekty, dyskutowało gorąco ważne problemy socjalne czy ustrojowe. Badało nastroje i stosunek innych państw i sąsiadów do nowego tworu na mapie Europy, jakim była Polska. To zaciekawienie minęło. Wcieleni byliśmy ciałem i duszą do tej małej baterii na froncie, cały wysiłek i zainteresowanie nasze nie wykraczały właściwie poza okrąg potrzeb i życia baterii. Bo nawet związek z pułkiem i jego dowództwem był dla mnie tylko jakiś teoretyczny, bardzo luźny, tym bardziej że nasza bateria była wydzielona z pułku i działała z dala od innych baterii i ich dowództwa.

Można by rzec, że cały świat nic mnie nie obchodził, poza naszymi ludźmi, końmi i działami. Może było to i dodatnim objawem, gdyż skuteczność czynu polega niewątpliwie na koncentracji sił, zainteresowań i umiłowania na tym, co jest pierwszym obowiązkiem. I gdy się go wykonuje całą duszą, nie pozostaje już nic na zainteresowania uboczne. Może był to u mnie objaw pewnej szczupłej pojemności umysłowej – w każdym razie tak było. Sądzę jednak, że to pospolity objaw u żołnierza, na wszystkich wojnach i we wszystkich czasach. Tego dobrego żołnierza!

Każda wojna, każdy front, każda akcja ma swój specyficzny, odmienny charakter, choć żołnierz ten sam, te same działa i pociski, te same obowiązki, tym samym głosem wyją pociski artyleryjskie czy gwizdzą kule karabinów nieprzyjacielskich – wszystko jednak ma odmienny smak. Tam w Rumunii było inaczej, Przemyśl czy Gródek Jagielloński był odmienny, marsz znad Sanu po Zbrucz, te 300 km, był różny od ofensywy z Baranowicz po Berezynę do Bobrujska – 250 km.

Tam w Małopolsce Wschodniej wszystko było skondensowane w czasie i przestrzeni – tu rozciągnięte na tej równinie. Tam wieś od wsi blisko siebie – tu w pochodzie spotykało się przez dzień jedną lub dwie miejscowości, i to z dala od prostej szosy. Tam drogi wąskie, kręte, ze wzniesieniami – tu szosa tak prosta, że hipnotyzowała w pochodzie, żadnego życia ludzkiego nie spotykałem na przestrzeni dziesiątków kilometrów. Monotonia pustej równiny – wprost bezkresnej! Tam bez mała na każdym zakręcie, na każdym

wzniesieniu, w każdej chacie czał się wróg – tutaj zakrętów nie było, pagórka przez najlepszą lunetę nie dojrzałeś, chałupy nie spotkałeś. Tu, gdy przerwało się opór nieprzyjaciela, wiadomo było, że iść można naprzód dzień, dwa, trzy spokojnie, nie spotykając żywego ducha – chyba łosia, żubra lub wilka!

Łosia ani żubra nie widziałem, ale wilki! Jechałem na Aidzie, na czole baterii tą szeroką, pustą szosą, gdy nagle pomału, na jakie 100 kroków przede mną wyszły na trakt trzy wilki, przystały na środku i patrzyły zdziwione na nas spode łba. Zaraz poznałem, że to wilki, zresztą skąd by się na tym bezludziu psy znalazły? Momentalnie uchwyciwszy rewolwery pchnęliśmy się galopem w lewo, jakąś polaną, aby im przeciąć drogę. One na ten nasz manewr ruszyły w las i znikły jak kamfora.

Przechodząc przez Sieniawkę miałem ochotę pojechać do Nieświeża, gdzieś niedaleko leżącego, niestety nie było na to czasu. Por. Zaniewski z urlopu jeszcze nie wrócił i nie spodziewałem się, aby mógł nas odnaleźć na całkiem innym odcinku i dogonić. Mogło potrwać całe tygodnie, zanimby się dowiedział, dokąd bateria poszła. Tak też się stało, więcej go nie widziałem. Dopiero w 12 lat później, w 1932 roku, gdy odbywałem ćwiczenia w 7 DAK-u i byłem na ostrym strzelaniu na Pohulance za Wilnem, miałem zdawać egzamin na kapitana – jakież było moje zdziwienie, gdy za zielonym stołem prezydialnym, w charakterze przewodniczącego komisji poznałem pułkownika Zaniewskiego! Wyskoczył zza stołu – sprężysty jak dawniej – i wyściskał mnie – niezbyt służbowo. Egzamin na kapitana i dowódcę baterii zdałem.

Przykrą historię miał na tej wyprawie Kazio Dzieduszycki, która mogła się dla niego łatwo skończyć niezbyt piękną śmiercią – utopieniem się w poleskim bagnie. W czasie akcji był na punkcie obserwacyjnym. Zawsze się tam wyrывał, pomimo że było to moim zadaniem, jako dowódcy baterii. Ale czasem ustępowałem mu tego miejsca. Wysunął się z telefonem daleko, wzdłuż toru kolejowego, na którym grasował nieprzyjacielski pociąg pancerny. Kazio polował na niego, siedząc w budce kolejowej, przy torze. Już nie wiem dokładnie, jak tam było, dość że mimo naszego ognia pan-

cerka dojechała do budki, a nawet ją minęła. Kazio wraz z telefonistami, nie czekając aż go z tej budki wyłuskają, zameldował, że zwija swój punkt i cofa się. Szurnął w las, bo tor był mocno ostrzeliwany. Ale las lasowi nierówny. Tam były poleskie bagna i rojsty! Skakał biedak z kępy na kępę kryjąc się za karłowate brzoźki i cherlawe sosenki. Wpadał w bagno po kolana, po pas, czołgał się po bagnie na brzuchu, aby się nie zagłębić, aby dalej od toru. Gdy się ściemniło, nie miał najmniejszej możliwości w tym terenie posuwać się po omacku, groziłoby to oczywiście utopieniem się w bagnie. Dopiero rano, gdy mógł dojrzeć kępy i wykroty, zaczął po mału podsuwać się do toru. Inny kierunek, gdzieś do jakiejś drogi, nie wchodził w rachubę z powodu odległości. Okazało się, że tor jest wolny od nieprzyjaciela i mógł powrócić do swoich. Jak biedak wyglądał – można sobie wyobrazić. (...)

W rejonie Słucka natrafiłszy na większy opór; tam szarżę wziął miasto, zdaje się, że 3 pułk ułanów. Między Słuckiem, sławnym z czasów polskich, a Głuskiem, stojąc na małym folwarku (zdaje się, że Osipowicze), dowiedziałem się, że w pobliżu znajduje się zaścianek drobnej szlachty zagrodowej, tzw. „okolica”. Pojechaliśmy tam z Kaziem linijką, aby zobaczyć nie znane nam życie szlachty. Bardzo nas to zainteresowało.

Wieś umieszczona na obszernej polanie uprawnej, wśród lasów, była ogrodzona płotem z bramą wjazdową. Wjeżdżając linijką w bramę „okolicy” zaczepiłem o słupkę urywając jakiś rzemień. Wyszedł do nas z pierwszej zagrody gospodarz odziany w płótno. Chce nam pomóc. Zanim wziął się do roboty, zwrócił się do nas przedstawiając się. My oczywiście wymieniliśmy nasze nazwiska. W odpowiednim momencie ów szlachcic odciągnął mnie na bok, aby Kazio naszej rozmowy nie słyszał, i oświadczył, że moje nazwisko słyszał i zna je z historii, natomiast „godności” kolegi nie dosłyszał. Dzieduszycki – powtórzyłem. – „Co to za rodzina, bo on takiej nie zna, czy to herbowa rodzina, bo to przyjemnie wiedzieć, z kim się ma do czynienia”. Gdy mu powiedziałem, że to bardzo znana i zasłużona rodzina z Małopolski, herbu Sas, był zadowolony, ale to, że ma tytuł hrabiowski go nie wzrusza, gdyż Polska nie ma takich tytułów, są to przeważnie wyróżnienia państw

zaborczych. Zaprosił nas do domu, zwołał sąsiadów z żonami i w ich gronie spędziliśmy bardzo miło kilka godzin. Podziwiałem ich znajomość historii polskiej, niesłychaną kulturę, uprzejmość, wyrobienie towarzyskie, przy wielkiej prostocie obyczajów – godne wielkiego pana. Posługiwali się czystą polską mową, nieco archaiczną. To wszystko w dającym się zauważyć ubóstwie, na tej marnej ziemi, i z dala od komunikacji. Duma zaś, że są Polakami, z innej ziemi ulepieni niż Białoruscy, a przy tym szlachta... ma w sobie coś naiwnego, ale nie pozbawionego uroku. Zasadę *noblesse oblige* stosują w najwyższym stopniu i w swój specyficzny sposób. (...)

Wreszcie dotarliśmy do Bobrujska nad Berezyną, przebywszy z Baranowicz te 250-300 km. Stojąc nad szeroką rzeką wyobrażałem sobie przejście i powrót wojsk napoleońskich w 1812 roku. Szliśmy przecież cały czas tym samym traktem, tzw. napoleońskim. Na pamiątkę bytności na tej ongiś rubieży Rzeczypospolitej pochyliłem się nad Berezyną i umoczyłem w niej swoją prawicę.

Po drugiej stronie Berezyny był nasz przyczółek mostowy.

W Bobrujsku zastaliśmy już przed nami przybyłe pułki wojsk wielkopolskich z płk. Konarzewskim na czele. Te same oddziały, które pierwsze przyszły z odsieczą dla Lwowa i przechyliły szalę zwycięstwa na naszą stronę. Przy sztabie zastałem rotmistrza Pawła Żółtowskiego.

Zakwaterowano moją baterię we wsi na tyłach, w rezerwie, parę kilometrów od Bobrujska. Widocznie nie potrzebowano nas. Nie pamiętam, jak długo tam staliśmy, tydzień czy może dwa, w nudzie i bezczynności. Tymczasem wśród żołnierzy, którzy zawsze pierwsi mają nowe wiadomości, zaczęły krążyć pogłoski, że zwalniamy z wojska starsze roczniki. Naciskali na oficerów, aby co do tego zasięgnęli informacji. Tych starych było w baterii dość dużo, którzy odbywali służbę wojskową jeszcze przed 1914 rokiem i na froncie znajdowali się od początku wojny. W sztabie płk. Konarzewskiego nic o tym nie wiadano, zdaje się, że Wielkopolanie mieli wówczas jakiś odrębne przepisy.

Bodajże najtrudniejsza jest sytuacja oficerów przy oddziale stojącym na tyłach w bezczynności. Toteż czułem,

że tak sprawnie dotychczas działająca w moich cuglach bateria zaczyna funkcjonować nie tak, jak być powinno. Teraz zdawałem sobie sprawę z mojego młodego wieku w stosunku do tych starych wásali i weteranów, którymi kierowałem.

Żołnierz w bezczynności to bardzo skomplikowany twór! Regulamin nakazuje w takiej sytuacji przeprowadzać ćwiczenia. Uważałem za bezsens tych wyjadaczy frontowych zmuszać do jakiś paradnych marszów czy wprawek w obsłudze dział. Zarządzałem spacery plutonami, dla ruchu koni lub zaprzęgów. Potem trzeba było czyścić działa i uprzęż – zajęcie już jakieś celowe. Ale to wszystko nie wypełniało czasu i umysłów kanonierów. Byłem niezadowolony i czułem, jak ta sprawna bateria rozłazi się. Prosiłem płk. Konarzewskiego, aby mnie dał z rezerwy na linię, ale on nie potrzebował na razie tej baterii. (...)

Chciałem koniecznie opuścić nasze miejsce postoj. Szturmy do sztabu nie pomagały. Wziąłem się więc na sposób: wytłumaczyłem płk. Konarzewskiemu, jakoby zarządzenie demobilizacji obejmuje znaczną część moich żołnierzy, powinienem przeto wrócić do pułku i tam baterię zreorganizować. Dowództwo pułku przebywa w Wilnie. Pułkownik nie miał nic przeciw temu i doradzał, abym poczekał, aż uruchomią połączenia kolejowe między Mińskiem a Bobrujcem, wtedy wyruszę transportem do Wilna. Lecz kiedy to nastąpi – nie wiadomo. Proponuję iść pocho-dem do Mińska te około 160 km. Pułkownik wyraża wątpliwość, czy mi tam przydzielą wagony, bo składów kolejowych na szeroki tor jest bardzo mało. „No to z Mińska pójdę dalej do Wilna, wprawdzie to jeszcze dalsze 200 km, ale mam czas i wolę być w pochodzie, niż tu gnić bezczynnie. Niech mi tylko pułkownik każe wydać prowiant na jakie pięć dni, a ja sobie dam radę. Kraj spokojny, nie mam się czego obawiać”. Pułkownik, widząc mój upór, zgodził się. Dostałem prowiant – wyruszyłem!

Dobrze zrobiłem, bo na froncie zaczęło być gorąco. Bolszewicy rozpoczęli natarcie, tak że po jakimś czasie przerwali linię Berezyny i rozpoczął się wielki odwrót, aż po Warszawę. Gdybym pozostał w Bobrujsku, starsze roczniki nie byłyby zwolnione, jak to miało miejsce po przybyciu do Wilna.

Te 160 km z Bobrujska do Mińska przeszliśmy chyba w cztery czy pięć dni. Oddział poczułem znów pod moją wodzą. (...)

W Mińsku przykrość – wagonów wolnych brak! Wprawdzie pociągi z dostawami dla wojska dochodzą, ale w małych ilościach, i wywożą z powrotem coś tam innego i nie mogą ich zająć. Stała przeto przed baterią alternatywa dalszego marszu 200 km do Wilna. Czy i kto mi da prowiant na te nowe sześć do siedmiu dni? Wątpliwe, gdyż w Mińsku nie mają podstaw do wydania go przechodzącemu oddziałowi. Dojechałem na dworzec. Tam stał właśnie na rampie dość krótki pociąg obładowany po brzegi cywilami. Stoły, szafy, kufry, różnego rodzaju bety i piernaty piętrzyły się w górę na platformach. Kryte wagony pełne kobiet z dziećmi, jakichś gratów, kuchenek itp. sprzętu domowego. Byli to głównie uciekinierzy z linii frontowej, którzy starali się dostać na zachód, w lepsze warunki.

Przechodziłem wśród tego całego bałaganu, bijąc się ze sprzecznymi myślami i obliczając, czy da się to wszystko ścisnąć. Do Wilna muszę baterię doprowadzić. Lokomotywa już sapie na przodzie pociągu, gotowa ruszyć.

Bateria wjechała na rampę roztrącając cywilów. Kanonierzy zwalili wszystkie bambetle z wagonów na rampę i załadowali (zresztą bardzo ciasno) baterię do pociągu. Potem rzeczy cywilów i ich samych z powrotem na działa, wozy, jaszczce. Wagony z końmi pomieszane z żołnierzami i cywilami, z dziećmi. Widok fantastyczny!

Operacja ta miała pozory brutalności i bezwzględności wobec cywilów. Nie obyło się bez lamentów, narzekań, łez i pomstowania. Zapowiedziałem surowo podoficerom i szeregowym, aby byli dla cywilów uprzedzająco grzeczni i usłużni. Nie śmiał się złamać żaden stołek ani rozpruć żadna pierzyna. Nastroj w tym – bądź co bądź brutalnym poczynaniu – miał być pogodny i życzliwy. Nad tym czuwali oficerowie i podoficerowie. (...)

Wiedziałem, że najdalej za jakieś dwa lub trzy dni będziemy w Wilnie, przeto nie potrzebowałem oszczędzać prowiantu. Kazałem więc kucharzom warzyć pełne kotły stawy, aby starczyło i dla cywilów. Ten gest zjednał nam życzliwość,

ponieważ niektórzy naprawdę mało mieli zapasów, a i gotowanie w wagonach było dla nich bardzo kłopotliwe. Ciepłą kawę nasza kuchnia wydawała przez cały czas podróży.

Do Wilna dziwaczny transport dojechał w koleżeńskim nastroju. Zaraz pchnąłem jednego z oficerów do dowódcy pułku, który kwaterował w koszarach za Wilią. Na rampie pomogliśmy cywilom wynieść graty, pożegnali się czule. Zaprzęganie koni i wyładowanie baterii poszło bardzo sprawnie.

W Wilnie byłem poprzednio raz, za dziecinnych lat z wycieczką szkolną. Jadąc na czele baterii po niemiłosiernych „kocich łbach” ulic wileńskich, wjechałem nagle na gładki, drewniany bruk. Podniosłem oczy i zobaczyłem znany i sławny na całą Polskę łuk budynku tworzący na wysokości pierwszego piętra jakby przejście – Ostra Brama. Co tu robić? Przecież bateria, która tak szczęśliwie wojowała przez prawie rok na frontach, nie może tak, jakby nigdy nic, przejechać pod cudownym obrazem Matki Bożej! Zejść z koni? Uklęknąć? Przejść pieszo? Prezentować broń?... wszystko niedobrze, źle wypadnie.

Wyjąłem szablę (chyba pierwszy raz), dałem nią znak i gromkim głosem zakomenderowałem: „Bateria baaczność! Czapki zdjąć!” Dwu podoficerów umieściłem po obu stronach ulicy, na chodnikach, aby mój rozkaz podawali do tyłu, mieli żołnierzom objaśniać, że przejeżdżamy pod Ostrą Bramą, i pilnować, aby wszystkie głowy były odkryte. Tak w podniosłym nastroju I-sza konna Bateria I-szego pułku artylerii polowej przejechała pod cudownym obrazem Tej „co w Ostrej świeci Bramie”!

Nazajutrz miły zbieg okoliczności: siedziałem u fryzjera strzygąc me wyrośnięte „pelechy”, gadaliśmy; właściciel firmy bawił mnie rozmową i z entuzjazmem opowiadał, jak to wczoraj widział jakąś baterię, która przejeżdżała pod Ostrą Bramą. Młodziutki oficer ją prowadził, na ślicznym siwym koniu z długim ogonem. Zarządził, aby wszyscy żołnierze odkryli głowy. Piękny to był widok i zauważył takie skupienie na twarzach kanonierów. Przechodzący ulicą ludzie byli zbudowani.

Dowódca pułku, major Knoll, przyjął nas jak „marnotrawnego syna”. Nie widział baterii z pół roku. Zrobił przegląd, powiedział parę ciepłych słów. Konie zostały umiesz-

czone w przestronnych stajniach, żołnierze w koszarach, oficerowie na mieście, w prywatnych domach. Wszystko jak w czasach pokojowych. Jakoś trudno było się do tego przyzwyczaić.

Dowiedziałem się o reorganizacji wojska, które miało przejść z prowizorium na stałą i normalną organizację. Związane z tym zarządzenie, że nasza bateria przestaje być „konna” i przemienia się w zwykłą polową. Konna tworzy „dywizjony artylerii konnej” w składzie trzech baterii przydzielanych do brygad kawalerii (po trzy pułki). Dalej – starsze roczniki idą do cywila! Czyli koniec z naszą baterią w tym składzie i z końmi.

Zmartwiła nas z Kaziem ta wiadomość. Zbuntowaliśmy się i postanowili, że w pieszym oddziale nie będziemy służyli, i napisaliśmy podanie do ministerstwa z prośbą o przydział do D-onu Konnej Artylerii. Mjr Knoll był z tego bardzo niezadowolony, wezwał mnie i próbował nakłonić, abym w jego pułku pozostał. Gdy to nie wpłynęło na naszą decyzję, zaszantażował mnie, że gdy u niego pozostanę, to poda mnie do „Virtuti Militari”. Czułem się tym dotknięty, bo albo zasłużyłem na odznaczenie, albo nie – ale wiązać nagrodę z takim warunkiem uważałem za niesłuszne. Zresztą nie można się dziwić dowódcy, którego ambicją jest, aby w swym oddziale mieć więcej odznaczonych podwładnych. To tylko Krechowiacy byli tacy nobliwi, że chętnie odznaczała oficerów z współpracujących z nimi oddziałów. Tak też i ja dostałem od nich Krzyż Walecznych za akcję koło Nowego Miasta.

Zaczął się zwalnianie z mej baterii starych roczników. Przydzielono jakichś młodych, nieraz rekrutów. Żał było się rozstawać z tymi zuchami Lwowiakami, z którymi tyle się przeszło i ciężkich, i tych dobrych dla żołnierza chwil. Byliśmy zgrani i rzec by można – zaprzyjaźnieni. Większość koni nam zabrano, a tak się je dobrze znało. Bateria stała się jakaś niemrawa, obca!

Wreszcie przyszła pozytywna odpowiedź z Ministerstwa Spraw Wojskowych na nasze podania. Obydwaj dostaliśmy przydział do baterii zapasowej I-szego D-yw. Art. Konnej, do Góry Kalwarii pod Warszawą. Pożegnaliśmy się z resztkami naszych żołnierzy, odmeldowaliśmy mjr. Knollowi, załadowa-

liśmy Aidę i Kaśkę Kazia Dzieduszyckiego, wzięliśmy dokumenty podróży i w drogę, w nieznane, nowe warunki, do nowego oddziału.

W tym też mniej więcej czasie załamał się nasz północno-wschodni front. Był to początek wielkiej ofensywy bolszewickiej, która doszła aż do Wisły.



Na tej drobnej placówce zakończyłem okres mojej służby na froncie i na tym zakończył się mój udział w formowaniu państwowości Polski.

Wojna ze wschodnim, groźnym najeźdźcą trwała jeszcze wciąż i poważnie zagroziła istnieniu niepodległej Polski. Wierzcie mi, czułem się fatalnie w baterii zapasowej, chciałem koniecznie dostać się na front, uważałem, że moje właściwe miejsce jest w pierwszych, walczących szeregach. Tam byłbym przydatniejszy, poznałem chyba dość dobrze służbę na linii. Być na tyłach w czasie wojny jest jakoś upokarzającą sytuacją dla młodego i zdrowego oficera.

Stawałem parokrotnie do raportu z prośbą o wysłanie mnie z formowanymi przeze mnie oddziałami uzupełniającymi na front. Nadaremnie! Składałem po trzykroć podania do wyższych władz, żądając przydziału do liniowych baterii – zawsze z odmową!

Pułkownik Dunin-Wolski, tzw. ojciec konnej artylerii, perswadował mi, że potrzebują do wyszkolenia uzupełnień właśnie frontowych oficerów, znających dobrze służbę na linii. Widocznie tę służbę pełniłem dobrze.

Pełni emocji przyjechaliśmy do Góry Kalwarii. Wiedzieliśmy dobrze, że I-szy DAK jest formacją złożoną prawie wyłącznie z oficerów byłej armii carskiej. Tam obyczaj, wyszkolenie i sposób bycia jakże był odmienny od austriackiego! Trzeba się doń dostosować. Poczucie pewnych praw kawalerskich, które obowiązywały i konną artylerię i tzw. „katolików” (w odróżnieniu od prawosławnych Rosjan) było specjalnie respektowane. Trzeba je było poznać i wcielić w życie. Poszło nam to dość łatwo. Jedyne mniej miłym obyczajem było używanie w dużych ilościach gorzały. Prawie

co dzień w kasynie po kolacji odbywała się gęsta popijawa. Ten obyczaj był – *à la longue* – nużący.

Zostaliśmy przyjęci życzliwie przez nowych kolegów oficerów. Coś już o nas wiedzieli, może od por. Kopańskiego – Sarneckiego i Józefowicza, z którymi spotykaliśmy się w Małkowicach. Oni przyjechali do Góry Kalwarii, aby uzupełnić swój pluton na baterii i otrzymać normalne wyposażenie.

Ta moja nowa jednostka była tzw. baterią zapasową, mającą na celu uzupełnienie braków w ludziach, koniach i sprzęcie aż trzech DAK-ów. I-szego, i o ile pamiętam, II-giego i IV-tego. Zasadniczą funkcją oficerów było szkolenie żołnierzy, przeważnie rekrutów, ujeżdżanie koni pod wierzch i w zaprzęgach (szóstkach) przy działach i przy jaszczach. Poza tym cała ewidencja zaplecza koncentrowała się w baterii zapasowej. Ruch przeto był duży. Obszerne koszary i stajnie były zazwyczaj pełne, gdyż jeden oddział zwarty lub grupowe uzupełnienie odchodziło na front, na to miejsce napływały nowe z poboru. Pełno też było oficerów, nie tylko etatowych, ale i tych, którzy zmieniali swe przydziały – zazwyczaj bowiem zjeżdżali do Góry Kalwarii.

Życie towarzyskie kwitło, koncentrując się wieczorami przy kieliszkach i kartach; ciągłe relacje i opowiadania nie miały końca. Zawsze ktoś miał czas wyprysnąć do pobliskiej Warszawy tą beznadziejną kolejką wąskotorową, przejeżdżając te 30-40 km w bardzo zwolnionym tempie. (...)

Roman Jacek CZARTORYSKI

OKRUCHY HISTORII

Anna STROŃSKA

U PRUSÓW

W prastarej litewskiej legendzie szekspirowska jatka: bardzo już północą wieje z opowieści o Litwinie zakochanej w wężu, którego z dużym okrucieństwem uśmierca jej bracia. Przed czym się tu przestrzega: przed zaufaniem? Miłością? Blejtram pod taki obraz przygotowali Germanie po swoich wieloznacznych drogach do Walhalli. Myślałam o tym płynąc przez zimowy Bałtyk nie za daleko stąd, z Zelandii na Funlandię. Prom chrząścił o talerze kry i rozwierał mgłę. Mozolna, przewlekła i ospała podróż w kolorze baranicy, w przekładańcu z mysich chmur, siwej wody, białosinej kry. Zupełnie jak na odległej lekcji geografii znowu się zdziwiłam, że Skat i Skagerrak istnieją nawet dla dorosłych.

Do takich pejzaży pasuje nordycka mitologia, chyba jedna, która przewiduje unicestwienie totalne, po niebo. I zmierzch bogów.

Mitologia grecka jest krwawa (a która nie jest), lecz i rabalaisowska, tam zanim człowiek czy bóg źle skończy, ma czas na uciechy życia, bogaci się, ucztuje, kocha, zdradza i zaznaje zdrady. Bóstwa Grecji i Rzymu zasadniczo funkcjonują w świetle dnia. Co by im nie obciążało sumień – w swoim rozpasaniu, okrucieństwie nie odbiegają od nas. Są nieludzkie – po ludzku.

Na śródziemnomorską Europę napierał las. Inny świat wynurzył się z wyobraźni plemion nie kształtowanej na

otwartej przestrzeni. Pamiętajmy, gdzie była Walhalla. Germańska paraczeczywistość podnosiła się spod korzeni drzew, z wilgoci rzecznej, między nieporuszonymi głazami. Bogom żyło się właściwie ciężko. Potęga Walhalli była obwarowana taką świadomością zagrożenia, że nie zostawiała sił na prostą radość.

To u Skandynawów pływał po ciemnym morzu okręt zbudowany z paznokci, które urosły nieboszczykom. Motyw wraca na Litwie. Czytam w „Podaniach, legendach polskich, ruskich i litewskich” w dziewiętnastym stuleciu zebranych przez Lucjana Siemieńskiego: „Krąży powieść na Żmudzi około Kretyngi, iż jest jakaś góra stroma i niedostępna, na którą cienie umarłych wdzierać się muszą. Dlatego paznokcie długie, pazury zwierząt (...) potrzebne są dla prędszego dostania się na nią”.

Szczególna wyobraźnia budowała taką legendarność. Niepokojący jest motyw katastroficznej miłości Egle i węża, którego bez określonych przyczyn zakatują bracia księżniczki. Dla ścisłości: było ich dwunastu. Znajdzie się i szekspirowska kropka nad i, wąż umiera wydany przez własną córkę. Jatka była staranna, Bałtyk zarumienił się od krwi. O co poszło? O porządek w naturze? Jeśli tak, to czy nie po to, by go wydrwić, wdowa zamienia się w kukułkę?

Litwa, strona romansowych węży i płaczliwych diabłów. Tutejszy kusy nie jest naszym wrogiem, już raczej naszym cieniem, łązi po chałupach i próbuje psocić. Tak mu do złego ducha jak kawce do kolibra. Chude to i paskudnie krzywdzone przez człowieka. Jaki tam książę ciemności, w najlepszym razie jego skromny krewny z dalekiego końca stołu. Skąd się w ogóle wziął, któż wie... No tak, diabli wiedzą.

Żal mi litewskiego diabła.

Stale oszukiwany. To nie fair. Gramy z nim w znaczone karty, porządny velnias nie ma z nami szans. Jeśli na scenie bajki pojawia się cwaniaczek, zgrywus, mały kombinator, z pewnością nie będzie to diabeł, tylko człowiek.

Idą za nami jak psy, odstraszone, bite, nadal wierne. Nie polują na nasze dusze, chcą odrobiny ciepła. Poczciwe i niepoczciwie traktowane umieją wybaczać. Nawet nasze bez-

czelne oszustwo nie skłania ich do nieufności. Obejdiesz się z takim źle – spuści rogatą główkę, skuli się gdzieś w kącie, odczeka. Tak, w szarym litewskim diable jest coś z determinacji psa, który jakby go nie skopać, trzyma się swojego pana.

W tej osobliwej poetyce jeśli już kogoś stać na przywiązanie i lojalność, to z zasady diabła. Biedni księża. Chyba niełatwo było rozpaść strach przed piekłem w Litwinach, którzy udomowili kusego jak zaskrońca. Podług Hieronima z Pragi „najznacniejsi obywatele w Litwie czcili węże. Najstarszy z rodziny miał w rogu domu węża swego, leżącego na sianie, któremu czynił ofiary i pokarm dawał...” Od tej relacji, czyli od przełomu czternastego stulecia z piętnastym, przez cztery kolejne mało się zmieniło. Jeszcze za Stanisława Augusta kler biadał nad litewskim węzowiskiem. Kronikarz potwierdza, iż „Litwin-wszechwalca, z wielką pracą i staraniem nawrócony na wiarę katolicką, dopiero z wielkimi oporami dał się namówić na zabicie swego obrzydliwego węża, którego za Boga chwalił”.

Dziwny to widok. Nie tylko wzgórze, ale i spory szmat otaczającej go równiny jakby w płaszczu z krzyży. Pozbierane z nieistniejących miedz, z martwych folwarków, nietknięte przez złodziei, jeszcze nie – w Polsce to nie do pomyślenia – krzyże, krzyże, krzyże. Uderza ich niebываły wiek. Niektóre mogą być rówieśnikami pogaństwa. Brzmi niewiarygodnie, ale cóż to wreszcie jest dla Litwy odległość od pogaństwa, mówimy zaledwie o dwustu, trzystu latach. Proboszczowie jeszcze za Stanisława Augusta uganiaли się za owieczkami po dębowych uroczyskach.

Upór, z jakim Litwini bronili dawnej wiary, przenieśli na nową. Skoro już przekonali się do krzyża, nie odstąpili go w najgorszych latach. W Związku Sowieckim chyba tylko na Litwie można było znaleźć nietknięty krzyż przy polnym trakcie.

Początki Kriżu Kalmas są ciche, pewnie żadna ze stron nie spodziewała się, co nastąpi. Kiedy z przypominającego kurhan wzgórza nieopodal Kowna milicja usunęła osadzone tam nocą pierwszy krzyż, pojawiły się inne. Stawiano je pod osłoną ciemności, wywożono w świetle dnia. Do zamieszek nie doszło. Próba sił przetaczała się bez użycia siły. Z jakichś powodów władze nie zdecydowały się na otwarty konflikt.

Znowu jedna z tych ciemnych sowieckich ciekawostek, pokrzywionych znaków zapytania, niemożności odkrycia, co w łagrze na jedną szóstą świata było intencją, a co bałaganem.

Zatem Kriżu Kalmas. Krzyże przeważnie ubrane w różańce też stare, pociemniałe od człowieczego potu, spracowane od rąk, które się na nich zaciskały w sztafecie pokoleń. Różańce z drewna, z ziarna. Domowe. Niegdyś wszystko było domowe, narzędzia pracy, i pomoce wiary. Krzyże, sochy, koszule, stępory, łyżki, skrzynie, wszystko co z gliny, chrustu, lnu, żelaza, drewna, co do wymyślenia, osiągnięcia staraniem własnym; uprząże i fartuchy, kołyski i trumny.

Kriżu Kalmas. Niektóre krzyże wspaniałe, bezpieczniejszym miejscem dla nich byłoby muzeum. Litwini chyba jeszcze nie zorientowali się, do czego prowadzi nagromadzenie tylu dzieł sztuki na bezludziu. Byłam tam przez dobrą godzinę, mogłam nakraść się do upojenia, nikt by nie zauważył. Czy handlarze i szmuglerzy przegapią okazję?

Jeszcze się nie rozwieliżmożniła wśród archaicznych kalwaryjek, ale już naciera plastikowa i gipsowa tandeta, zwożona przez Polaków. Niestety, tego baracha przez najbliższe pięćdziesiąt lat żaden złodziej nie ruszy.

Napór bezguścia dopiero się rozpoczął, kicz na razie w cieniu, stare krzyże jeszcze stoją przy sobie tak gęsto, że nie wpuszczają intruza. Mimo kramów i straganów z pamiątkarskim chłamem Kriżu Kalmas pozostaje onieśmielająco czysta, niezwykła i niezależna od hałasów świata. Jest w tych krzyżach coś bardzo specyficznego dla Litwy, zbitka żaru z chłodem. Oto pole walki skrytej i cierpliwej; uroczysko nowej wiary. Watykan – późno bo późno – ma pociechę z najmłodszych chrześcijan Europy, Litwa słusznie uchodzi za kraj katolicki, chociaż kto mi zaręczy, że zaskroniec, który diamentowym czołkiem zamigotał w trawie u stareńkich, spróchniałych stóp Frasobliwego, to tylko *herpens vulgaris*, pierwsze lepsze wężyisko, nawet nie poczuwające się do powinowactwa z wdową po swym przodku.



Zapis w przedwojennej encyklopedii Trzaski i Everta

(„Kiedy Litwini osiedlili się na swych historycznych ziemiach, nie umie do dziś dnia nauka historyczna nic pewnego powiedzieć”) zasadniczo nie stracił na aktualności.

Stary naród. I wytrwał w pogaństwie. Najdłużej wzbraniający się przed krzyżem. Ile plemion poszło pod miecz na Litwie? Jeszcze w XIII wieku żyli tu Kurowie, Letgalowie, Zemgalowie, Selowie... no i najdłużej, Prusowie, wybici dopiero po Jadźwingach. Jak utrzymuje historyk, sto siedemdziesiąt tysięcy Prusów przetrwało do zagarnięcia przez Krzyżaków ziemi chełmskiej. W Polsce, ale i na Litwie, nadal sądzi się, że ostatni ślad po nich zagał w XVII wieku. Czyli zadziwiająco późno, jak na raczej staranny proces eksterminacyjny. Nie rozgłaszano jej, toteż bez wrażenia przeszła sensacyjna wiadomość, że na Mierzei Kurońskiej jednak uchowali się Prusowie. Poinformował o tym wileński kwartalnik socjologiczny w nawiązaniu do badań, prowadzonych dopiero w 1956 r. Późno. Kto wie, jaki byłby obraz sprawy na przedwojennej Litwie. Przecież w tych stronach doszło do gruntownej wymiany ludności. Jeszcze w latach międzywojennych za chlebem wyemigrowało blisko sto tysięcy Litwinów. W następnym dwudziestoleciu, jeśli polegać na tutejszych źródłach, mały kraj utracił milion ludzi. Tylko w jednym, 1941 roku blisko sześćdziesiąt tysięcy Litwinów uciekło do Niemiec, pierwszych trzydzieści tysięcy wywieziono na Syberię. W holocauście ginie ćwierć miliona mieszkańców, głównie Żydów. U schyłku wojny, już trzykrotnie więcej, niż przy poprzednich ucieczkach, bo aż sto osiemdziesiąt tysięcy Litwinów szuka schronienia w hitlerowskich Niemczech, a zmasowane sowieckie deportacje zgarniają już nie trzydzieści, tylko trzysta tysięcy mieszkańców. Zaczyna się dramat Wileńszczyzny, wyjazdy dwustu osiemnastu tysięcy Polaków. Na Litwę spada gwałtowna, „uderzeniowa” imigracja z wszystkich sowieckich stron. Po militarnej inwazji – etniczna. Wiosną 1951 w rezultacie intensywnego rozwoju rybołówstwa i przetwórstwa potężna fala osadnictwa dociera na wybrzeże. Mierzeją zawładnęli ludzie młodzi, przybysze z Dalekiego Wschodu i Mołdawii, z Ukrainy i Kamczatki. Żeby zrozumieć, jaki tajfun demograficzny spadł na Kursiu Marios, wystarczy sprawdzić, kto i od kiedy zamiesz-

kuje rybackie osady. W Preili pośród stu dziewięćdziesięciu mieszkańców uchowało się trzydziestu sześciu rdzennie miejscowych. W pobliskim Juodkrante, pośród pięciuset czterdziestu – już tylko trzydziestu.

Stali się mniejszością w kraju swoich przodków, konstatuje socjolog. I to dużą mniejszością. Dokumentację przechował w dziale etnografii Litewski Instytut Historyczny.

Ci z Komi i z Nadwołża, z Sachalina, Astrachania i Witebska, a w pierwszym rzędzie – jednak – ze wszystkich kątów Litwy mieli jedną istotną wspólną cechę: młodość. A to bardzo pomaga w dominacji.

Nowi drastycznie odmienili rytm i porządki życia na mierzei. Do wstrząsu demograficznego doszedł kulturowy. Tu się nie spotykało niepiśmiennych, a większość przybyszów nie ukończyła żadnej szkoły, przywlekli dokuczliwość od lat obcą zdominowanej przez Niemców mierzei: analfabetyzm względnie półanalfabetyzm.

Badania prowadzono w okresie, kiedy system jeszcze daleki był od ułaskawienia socjologii oraz demografii, toteż „etnograficzna ekspedycja”, której rezultaty dopiero po czterdziestu kilku latach opublikuje periodyk zajmujący się codziennością w trzech państwach bałtyckich, z konieczności dość pobieżnie sprawdzała społeczno-demograficzną sytuację na mierzei. W tamtych latach demografowie, jak i etnografowie w miarę warunków wyręczali socjologów. Sprawa Prusów wyłoniła się chyba przez przypadek. Arune Liucija Arbusauskaite z kłajpedzkiego uniwersytetu przyznaje, że w sondażu ominięto takie osady, jak Alsnyne, Smiltyne, Kopagalis, zatem obraz z pewnością pełny nie jest. Spis objął 393 rodziny, 1412 osób w Nerindze, Juodkrante, Preili i Pervalce. Było czym pociekawić się, że to ujmę z wileńska.

Mierzeja Kurońska to niespełna stukilometrowy, półkoliście odchylony, cienki język lądu. Miejscami bez lornetki widzi się stąd i zatokę, i otwarte morze. W puszczy łosie. Jeden wyszedł na szosę, którą wracaliśmy z Neringi do Kłajpedy, obejrzał sobie autokar i przepuścił nas. Sowietkie władze były mniej tolerancyjne, przez szereg lat nawet Litwinów nie wpuszczano tutaj bez przepustki. „Kurskaja Kasse” miała swoje zalety dla supermocarstwa, toteż ludność zażyła różnych

dotychczasowych restrykcji, przede wszystkim izolacji od własnego kraju. Enklawę zaanektowało wojsko. I właśnie tam, na ziemi spustoszonej ucieczkami, wywózkami, najazdem silniejszych, w miasteczkach i osadach, w których rdzennie tutejsi są już zanikającą mniejszością, niespodziewanie okazało się, że przynajmniej część uważa się za Prusów. Szokujące, a jednak.

Cicha Litwa, ziemia niespodzianek. W szkicu „Litwo, ojczyzna wasza” (*Zeszyty Historyczne* 132/2000) wspominałam o mieszkańcach mierzei, w kręgu rodzinnym nadal porozumiewających się językiem, jak sądzono, dobitym w siedemnastym wieku. Nie wykluczam, że dla ostatnich Prusów Kursiu Marios okazała się azyłem dzięki protestantyzmowi, który był tu silniejszy niż w środkowej, a już zwłaszcza wschodniej, tej „przypolskiej” Litwie.

Jeszcze przed czterdziestu laty jedni poczuli się do narodowości prusko-litewskiej, drudzy, znacznie zresztą liczniejsi, wspominali tylko o kursiai jako języku ojczystym. Pokomplikowane sytuacje, łatwo się w nich zgubić. Być kursiai wcale jeszcze nie oznacza: być Prusem. Ci „kurońscy”, którzy dzisiaj nie stanowią już nawet półtora procent miejscowej ludności, nie zawsze mają chęć na taką identyfikację. Przypisując sobie narodowość kursiai, w domu posługując się kurońskim, ten czy ów bynajmniej nie uważa się za Prusa. Za Litwina czy Niemca też nie. On jest tylko tutejszy.

W domu rozmawia się – jak w rodzinie Plionisów – po litewsku, po prusku, po niemiecku. I jeszcze po rosyjsku. Radmacherowie określają swoją narodowość jako litewską („jesteśmy kłajpedzkimi Litwinami), język ojczysty – jako kursiai. Od nazwy mierzei. Po „kurońsku” (po prusku?) mówią między sobą w kręgu bliskich Jakaiciusowie i Kukiaiciusowie z Preili, Peleikiausowie z Perwalki.

W Nidzie wśród „old-timersów” Niemcami czuło się siedemdziesięciu siedmiu, Litwinami – dziewięciu, kursiai (kurońskimi, od mierzei) – aż dwudziestu. Proste? Niekoniecznie. Bo dla tych dziewięciu językiem dzieciństwa był niemiecki, natomiast pośród Niemców kilku porozumiewało się z rodzicami po kurońsku i litewsku, kilkudziesięciu – tylko po kurońsku.

Wprawdzie w Juodkrante znalazło się już tylko pięciu Litwinów znających mowę przodków, ale to właśnie oni – wszystkich pięciu – zaznaczali, że są „Pruso-Litwinami” posługującymi się językiem k u r s i a i.

W Nerindze trzystu czterdziestu dwu mieszkańców podało narodowość litewską, stu trzydziestu sześciu – rosyjską, pięćdziesięciu dwu – niemiecką, dwudziestu sześciu – ukraińską, a siedemnastu – k u r s i a i. Można sobie wyobrazić, jak kształtowały się proporcje przed zaborami sowieckimi: pierwszym, zaraz po wybuchu wojny, i drugim, po jej zakończeniu.

Ostatni Mohikanie. Tylko czy to wierny rachunek? Zwłaszcza w Związku Sowieckim, a jeszcze w tamtych latach, ludzie mieli powody, by wypierać się pochodzenia i nie przyznawać się do rodziny za granicą, ukrywać czyjąś ucieczkę i własną narodowość. Tak było w wypadku Ernsta Radmachera z Nidy (Niemca, a podług paszportu – Litwina) czy Jakaitisów z Prevalki.

Ciekawe, że do pruskości chętniej przyznawały się kobiety. Mniejsze poczucie zagrożenia?

Czas mija i coraz ciężiej z doszukiwaniem się spraw przeszłych. Starte ślady po dawnych mieszkańcach, po rodzinach związanych z mierzeją od stuleci. Jak tu dochodzić, kto jest kim, jeśli dzieci Any Biliusis z Juodkrante na pytanie o narodowość odpowiadają, że litewska, na pytanie o swój codzienny język – że rosyjski.

Zadziwia nieuwaga, z jaką Litwini traktują tę arcyciekawą przecież sytuację. Dlaczego nie bada się dzisiejszego stanu rzeczy? Od rewelacyjnego odkrycia upłynęło pół wieku. Dużo. Korci mnie, żeby jeszcze pojechać, pobyć, przyjrzeć się zdumiewającej sprawie... tyle że nie ma *Kultury*, której Redaktor pewnie zaaprobowałby ten pomysł.



Od granicy łotewskiej przez tyszkiewiczowską Połągę nieopodal Kretyngi, i dla nas już niedostrzegalnej góry Anafielas, gdzie Żmudzini zdzierali paznokcie po drodze do wieczności, otwarty Bałtyk.

Połąga to już zachodni brzeg Żmudzi, sąsiadki Prus Wschodnich i dawnej Kurlandii.

W przewodniku po kurorcie, w rubryce „ważne adresy” na pierwszym miejscu, nawet przed wymianą walut, przychodzi AIDS. Powiało duchem czasu. Od razu widać, że w uzdrowisku już się zwiedza nie tylko ogród botaniczny i muzeum bursztynu.

Po drodze do Nidy niezwykle krajobraz. Za Połągą zaczyna się pogórze. Okolice, dla mnie, zdumiewająco podobna do sądeckiej. Pod lesistymi stokami, w dole, targane wiatrem, płowe rumowisko, kilometry piasku w pustynnych garbach. Bokiem Bałtyk.

Dziwnie tutaj. Zagadkowy pejzaż. Kilometrami wydmy, podobne do skamieniałego morza. Piaskowe pogórze. Wspinają się te diuny na wysokość sześćdziesięciu, siedemdziesięciu metrów. Jakoś wyżyły na nich sosny z dwu szkół trwania: krzywo przy ziemi, kręto, krępo, lub po rzykancku. Pionem wiatr. Wyniośle.

Bezludzie. Wsie tylko przy mierzei, od wewnętrznej strony. Brzeg nad otwartym morzem nie chce lokatorów. Jeszcze na przełomie osiemnastego i dziewiętnastego wieku z piaskiem poszło czternaście wsi. Jak było dawniej – nie wiadomo. Dokładniejsze obliczenia strat mają Duńczycy, którzy też zmagali się z diunami.

Piasek jak makbetowski las: cichy, nie spieszący się, nieznaczny i nie do zatrzymania. Oczywiście to nie szło jak powódź czy lawina, ludzie zawsze mieli dużo czasu na ucieczkę. Żadnych hałasów, dramatów; śmierć przychodziła po wieś, ale nie po ludzi. Możliwe, że i zagrody nie zbutwiały w swoich płytkich grobach. Brzeg jest wysoki, suchy, a piasek konserwuje.

Przez stulecia piaski skutecznie radziły sobie z ludźmi. Roczny przybór diun sięgał dwudziestu metrów. Broniono się, budując drzwi tak zwane holenderskie, otwierane i pionowo, i poziomo. Czytam w bedekerze: „Jeśli piasek zasypał dolne wejście, zawsze można było się wyczołgać tym drugim”.

Ludzie są cierpliwi. Do niektórych osad wracano po kilkanaście razy, zanim diuny nie okazały się silniejsze. Zdumiewająco późno, dokładnie w 1768 r., zaczęto się bronić, sadząc pierwsze drzewa.

Jedna z litewskich bajek zaczyna się od słów „Gdy wytrzebiono na pole pierwszy las, pełny niegdyś smoków...”

Zdaje się bardziej o te smoki poszło niż o pole. To, co dzisiaj nazywamy rabunkową gospodarką leśną, zaczęło się na Litwie – tyle że z odmiennych pobudek – pod koniec XIV wieku, staraniem eks-spowiednika Jagiełły, Hieronima z Pra-gi, potem misjonarza, opisującego, jak to znalazł „lud, który gaje diabłom poświęcone chwalił, osobliwie zaś las jeden w szczególnym poszanowaniu mieli (...) Było na Litwie wiele podobnych lasów...”

Zatem wziął się za ich unicestwienie. Tak gorliwie niszczył puszcze, aż doprowadził do zamieszek w kraju i wielki książe wyprosił go z Litwy. Hieronim Hieronimem, ale i sam król nie był tu bez winy, bo wspomagał misjonarza, posyłał mu drwali.

W swoich bardzo interesujących szkicach „Litwa i Litwini”, wydanych z inicjatywy Ogólnopolskiego Klubu Miłośników Litwy, Henryk Wisner odwołuje się do Wyspiańskiego. „Czarty przejdą, a będzie las litewski szumiął”. Otóż nie jest to już pewne. Las litewski niknie, tartaków przybywa. Szybkie elektryczne piły kruszą i ścierają pejzaż starej wiary. Litwini nie po chłopsku, po szlachecku trwonią swoje bogactwo. A zdawałoby się, że to praktyczny naród. Są tak dobrze z Finami, a jeszcze nie podpatrzyli tamtejszej ostrożności i ekonomicznej, i ekologicznej. Alarmy w prasie nie skutkują. Tylko w bedekerach liryka o „pradawnych puszczech, nie zniszczonych jeszcze ręką człowieka”. Złe wróży słówko jeszcze.

Więc jak to było z obławą na diabły?

Pierwszego króla Litwy Rzym zaaprobował na warunkach zupełnie innych niż – o ponad dwa wieki wcześniej – naszego Piasta. Mieszko I za koronę wypłacił się chrztem Polski, Mindog dostał ją na sto trzydzieści cztery lata przed chrztem Litwy. Oficjalną rezygnację z pogaństwa łączy się dopiero z czternastym stuleciem, z rokiem 1387, ale historycy mają wątpliwości. Wraca spór, czy aby wcześniej Litwa nie przyjęła prawosławia.

Mindoga poza wątpliwością uznał papież Innocenty IX, ale co dalej? Czy korona dotarła? Gdzie i kiedy święcono uroczystość? Data wydaje się problematyczna, skoro dopiero

po dwu latach – w marcu 1255 – kolejny papież, Aleksander IV, zgadza się na koronację syna Mindaugasa.

Zanim Litwin poślubił Węgierkę, żeby dać początek najlepszym, jak dotąd, czasom dla polskiego państwa, Piastowi dostała się córka Gedymina. Królewicz Kazimierz miał wielkiego teścia. Dziesięć lat (1331-40) starczyło Gedyminowi na zagarnięcie Kijowa, Smoleńska i dalszych terenów. Jest to okres ciekawy jeszcze z innego powodu. „Zwycięzcy przyjmowali wiarę pokonanych” – konstatuje historyk. Przechodzili na prawosławie. Karijotas (pisze Wisner) staje się Michałem, Ciubartas Dymitrem, Jaunutis Iwanem, Narimantas Glebem. Fakt pomijany w naszych szkołach. Długo pojęcia nie miałam, że nawet Witold przyjął chrzest prawosławny zanim – w drugiej kolejności – zdecydował się na katolicki. Takie to były zawężenia dominacji Litwy nad słowiańskim wschodem.

Gedymin w 1324, metodą rasowego polityka, wyparł się zapewnienia, dwa lata wcześniej listownie złożonego papieżowi. Teraz szydził: *Sed si unquam habui in proposito, dyabolus me baptisaret.*

U nas przez cały bieg historii Kościół był obecny na dobre i na złe, chrzest Polski przesądził o jej państwowości. Zaistnieliśmy przy pomocy Watykanu: była to wzajemna przysługa, ale była. Inaczej sprawy miały się na Litwie. Dlaczego Gedymin wycofał się z rzekomej chęci chrztu? I kiedy tak naprawdę odbył się chrzest Litwy?

Jedno pewne. Tak u nich, jak i u nas gra szła nie o liczbę bogów, tylko o siłę państwa.

Jogaila na tron polski wstąpił w 1386, jeszcze przed nawróceniem swej ojczyzny, największego wtedy, choć już słabnącego państwa w Europie, którego gwiazda do reszty zgaśnie w dziesięć lat później, pod Worsklą. Podobno Jogaila – bo wtedy jeszcze nie nazywał się Jagiełło – najpierw zamierzał przejść na prawosławie, poślubić córkę Dymitra Dońskiego. Ciekawie, prawda? A jeszcze ciekawsze, jakby wtedy potoczyły się wypadki.

„...w 1422 Krzyżacy zrzekli się ostatecznie pretensji do schrystianizowanego już kraju...” – zapewnia encyklopedysta.

Daj Boże zdrowia z tą chrystianizacją. Jeszcze na dobre dwa stulecia można ją między litewskie bajki włożyć.

O wierzeniach Prusów wiemy mało, najwcześniejsze i w miarę wiarygodne są przekazy niemieckie. Długa lista bogów i demonów (kto był kim, nawet wtedy okazało się nie do rozstrzygnięcia) figuruje w dokumencie z roku 1249 dołączonym do traktatu z Dzierzgoniowa. Krzyżacy zażądali od pokonanych oficjalnego przyrzeczenia, że odżegnują się od bałwochwalstwa. Ten szczególny dokument uchodzi za pierwsze miarodajne źródło o pruskim pogaństwie.

Z siedemnastowiecznych kronik jezuickich:

„Dziwili się wpierw Żmudzini, dlaczego my tak prześladujemy prosty ich zwyczaj chwalenia bogów po gajach, lecz później pouczeni uznali błąd swój, cieszyli się z nowej wiary i nam za oświecenie dziękowali...” Ejże? Bliższa prawdy wydaje się następna konstatacja „Na innych miejscach wypadało nam wywracać jeszcze ołtarze bałwochwalcze...”

Przegrali, musieli przegrać. Niestety inaczej to się rozegrało niż w baśni o Żmudzinie, który „sam jeden krocie Krzyżaków swoją żelazną maczugą wybijał”.

Chryścianizacja Litwy, jeden z przemilczanych dramatów późnego średniowiecza. Za najdłużej, najżarliwiej pogańską uchodziła Żmudź. Podpowiedziany przez etnografów termin „pogaństwo uchrześcijanione” jest niezgrabny, ale trafny.

Zastanawiająco długo utrzymywała się podwójna wiara. Litwini zakładali, że nowy Bóg jakoś uładzi się z poprzednikami. Przystając na krzyż, widzieli go na uroczysku. Skarga autora wydanych w szesnastowiecznym Królewcu prostych słów katechizmu („Są, którzy składają ofiary perkunowi”) unaocznia trwałość pogaństwa, które, jak się okaże, przetrwa co najmniej do rozbiorów Rzeczypospolitej. Oczywiście już incydentalne, mieszające kulty i wyzbyte dramatyzmu, bezpieczne, a to zawsze przepowiada wygasanie wiary.

Mateczniki opustoszały w osiemnastym wieku, a niewiele później, w połowie następnego pogaństwem – jako formułą narodowej tożsamości – zaczynają się interesować studenci. Znamienne, że na międzywojennej, zatem przez dwadzieścia lat niepodległej, Litwie, neopogaństwo zanika. Wróci w okupowanym kraju. Dzisiejszy litewski Związek Świętych Gajów istnieje od roku 1967, kiedy to skupiał przede wszystkim – znowu – studentów, szukających jakiegoś antidotum na so-

wieckość. Ciekawe, że przez kilka lat nie doceniała go policja. Może szło o wzbogacenie kartotek? Tak czy inaczej, dopiero w 1972 – niebywale późno, jak na arcyważne KGB – zaczęły się represje.

Współczesnym Europejczykom zdarzają się nawrócenia na pogaństwo. Nie ma fikcji, która sprostaby rzeczywistości, zawsze to powtarzam. W czasie znów nie tak odległym od rzezi nad Niemnem i Pregolą, od eksterminacji Prusów, od skąpanego w krwi sukcesu chrześcijaństwa, prasa bez emocji, tak *en passant* wspomni, że w Wilnie „zorganizowano Światową Konferencję Religii Naturalnej «Jedność w różnorodności». Przyjechali poganie z Belgii, Czech, Ukrainy, Francji, Polski...”

Ruch nikły, zdominowany przez inteligencję. Nie sądzę, żeby motywacje Francuzów czy Norwegów akceptujących „religię naturalną” były analogiczne do litewskich. W genetyczną pamięć wschodnich Europejczyków – w tym Bałtów, w tym Polaków – wrósł kompleks zagrożenia. Nie ma cudzych doświadczeń. To obolałe, żmudne, ich i nasze jesteśmy, trwa my, nie zdeptano nas – nie będzie zrozumiałe dla Zachodu.

Ruch neopogański,omalże niezauważalny w przedwojennej Polsce (specjalność zapomnianego Stachniuka) ożył w późnych latach czterdziestych, odezwała się jedna czy nawet dwie organizacje stronników – bo nie wyznawców przecież – Światowida. Prawa do Rugii nam się przypomniały i Serbowie Łużyccy, o których miejsce wśród Słowian, czyli przy nas, z lekka próbowaliśmy się upominać. Sprawa szybko ścichła.

To, co u nas w gruncie rzeczy było zabiegiem o poważną, więc tym bardziej nierealną, korektę granicy, na Litwie nie wiązało się z jakimikolwiek roszczeniami terytorialnymi. Kącik dla pogaństwa w litewskim sercu: żadne powielanie mody, w tym jest pewna uzasadniona przekora kulturowa, a nawet nacjonalna. To wskazuje na osobność – i na osobliwość – niedużego narodu, który najdłużej trwał przy swoim. Szczególnie dla Litwy z jej wyróżniająco późną zmianą wiary, z jej długą tradycją obrony pogaństwa, renesans dawnych bogów może mieć patriotyczny podtekst. Jeśli się o tym pamięta, mniej egzotycznie zabrzmiałby wiadomostka, że twórca

czy raczej odtwórca ruchu pogańskiego na dzisiejszej Litwie był przewodniczącym sejmiku. Inicjatywa, zupełnie marginalna w życiu kraju, rozmiijająca się z uwagą społeczeństwa, hermetyczna, coś przecież mówi o litewskich aspiracjach.

Prof. Bronius Ganzelis, przypominając, iż najbardziej odizolowana z kultur – pogańska – w Europie nieporównywalnie najdłużej zachowała się na Litwie i że dopiero renesans zrównał kulturę litewską z zachodnioeuropejską, podnosi sprawę, której my raczej nie eksponujemy. „Narodowego ruchu litewskiego nie mogło zadowolić chrześcijaństwo, jako że w naszym kraju odegrało ono rolę inną niż, powiedzmy, w Niemczech lub w Polsce. Tam konsolidowało ono narody, u nas – niwelowało uczucia narodowe. Kościół protestancki zaszczerpiał niemieckość, kościół katolicki – polskość”.

Czyniono starania, by pogaństwo znalazło się w projektowanej ustawie o religiach, uwzględniającej dziewięć innych występujących w kraju wyznań. Sejm zaś nie wyraził zgody.

Anna STROŃSKA

Jan VENULET

SPÓR O EKSHUMACJĘ ZWŁOK PREZYDENTA IGNACEGO MOŚCICKIEGO

W czerwcu 2000 roku minęło dziesięć lat od wszczęcia, u władz szwajcarskich, ponownych kroków celem sprowadzenia do Polski trumny ze zwłokami Prezydenta RP, Ignacego Mościckiego, zmarłego w Versoix pod Genewą 2 października 1946. Starania te zostały zakończone uroczystym pożegnaniem trumny Prezydenta w Szwajcarii i przewiezieniem jej do Polski w dniu 10 września 1993.

Pierwsze próby w tym kierunku, które tutaj krótko przy-

pomnę, podjął z początkiem roku 1984 p. Bolesław Nawrocki, który swego czasu pracował w Genewie w jednej z agencji technicznych systemu ONZ. Przyjechał on z Warszawy i powołując się na pełnomocnictwa wnuka Prezydenta, prof. J. Zwistockiego, oraz Episkopatu polskiego podjął kroki celem ekshumacji zwłok Prezydenta i jego małżonki i przewiezienia ich do Polski. Tam sprawa była już tak dalece uważana za załatwioną, że prasa podawała nawet szczegóły planowanej ceremonii...

Informacje dotyczące planowanej ekshumacji przedostały się do wiadomości publicznej w Szwajcarii, gdy prace przy otwieraniu grobu były już w toku. Społeczeństwo polonijne, poprzez liczne organizacje, tak w samej Szwajcarii, jak i poza nią, zmobilizowało się niezwykle szybko i podjęło energiczne działania u władz genewskich kompetentnych w tej kwestii, w następstwie których p. Guy Fontanet, Radca Stanu i szef Departamentu Sprawiedliwości i Policji, decyzją z 8 marca 1984 nie wyraził zgody na ekshumację zwłok i przewiezienie ich do Polski. W uzasadnieniu swej decyzji p. Guy Fontanet powołał się na brak w testamencie Prezydenta jakichkolwiek wskazówek odnośnie wyboru miejsca ostatecznego spoczynku oraz na stwierdzenia trzech świadków, że Zmarły głęboko cierpiał widząc Polskę pod panowaniem komunistów. Jeden ze świadków dodał, że Prezydent wyznał mu, iż woli być pochowanym w Szwajcarii niż w komunistycznej Polsce (wg konferencji prasowej radcy Guy Fontaneta w dniu 8 marca 1984, patrz też: Janusz Rakowski, „Grobowiec Rodziny Mościckich”, *Zeszyty Historyczne*, zeszyt 106, str. 231-234, 1993). Wydaje się, że pewien wpływ na decyzję wywarł konflikt wewnętrzny w samej Szwajcarii – władze federalne wydały zgodę na ekshumację wkraczając w kompetencje władz kantonalnych, którym się to bardzo nie podobało!

Sprawa odżyła w czerwcu 1990, co niewątpliwie pozostawało w związku ze zmianami politycznymi zachodzącymi w Polsce. Było to już po wyborach czerwcowych, z Sejmem trzydziestopięcioprocentowym i prezydenturą gen. Jaruzelskiego, ale ze stale jeszcze licznymi wątpliwościami odnośnie dalszego rozwoju wydarzeń.

W tej sytuacji Stowarzyszenie Polskie w Genewie, pismem z 25 czerwca 1990 (podpisanym przez wiceprezesa p. P. Turskiego i Sekretarza p. A. Cabaj) zwróciło się do p. Bernarda Zieglera, Rady Stanu i szefa Departamentu Sprawiedliwości i Policji o pomoc w tej sprawie. Stowarzyszenie zajęło stanowisko, że wobec życzenia Prezydenta Mościckiego bycia pochowanym jedynie w całkowicie wolnej Polsce, repatriacja trumny

Prezydenta przed planowanymi na wiosnę 1991 naprawdę już wolnymi wyborami do Sejmu, Senatu oraz prezydenckimi nie powinna mieć miejsca. I jak na razie sprawa się na tym zatrzymała.

Po wyborach 1991 kroki zostały wznowione. Wobec nowej sytuacji politycznej władze szwajcarskie chciały znać stanowisko Stowarzyszenia Polskiego w Genewie, które już przy pierwszej próbie zabrania trumien bardzo energicznie interweniowało. Ambasador RP w Bernie, p. Marek Łatyński, prosił Stowarzyszenie o przekazanie swego stanowiska stronie szwajcarskiej. Listem z 15 sierpnia 1991 (podpisanym przez prezesa p. J. Venuleta i wiceprezesa p. Krystynę Wasung) Stowarzyszenie stwierdziło, że wobec zasłanych w Polsce zmian politycznych, przyczyny, dla których poprzednio przeciwstawiano się przewiezieniu trumny do Polski, przestały istnieć.

Na zakończenie listu dorzucono jednak kilka zdań, które rozpętały burzę mogącą postawić powódzenie całej sprawy pod znakiem zapytania. W wersji polskiej te kilka zdań brzmi:

„Chcielibyśmy jednak podkreślić, że Grób Prezydenta Mościckiego w Szwajcarii jest symbolem dla całej polskiej emigracji politycznej. Symbolem dla tych licznych osób, które, podobnie jak Prezydent Mościcki, znalazły azyl na gościnnej ziemi szwajcarskiej, a nie doczekawszy Polski niepodległej, nie chciały być pochowane w swojej ziemi ojczyznej rządzonej przez Moskwę.”

Przy formułowaniu tych uwag braliśmy pod uwagę: znaczenie grobu Prezydenta jako ważnego symbolu, pozostanie pośród współemigrantów, których trumien nikt nie będzie repatriował (generał Anders pozostaje na Monte Cassino), przynależność osoby Ignacego Mościckiego tak do dziedzictwa polskiego, jak i szwajcarskiego, i wreszcie może brak przekonania, że przewożenie trumien wybitnych Polaków ma zawsze sens. Przecież opatrzony stosownym napisem grób na obczyźnie przez lata całe mógłby całemu światu przypominać ich polskie losy i dawać do myślenia.

List Stowarzyszenia spotkał się z natychmiastowym oddźwiękiem. 27 sierpnia 1991 radca Bernard Ziegler napisał m.in.:

„Jak Państwo sami bardzo słusznie podkreślacie, grób Prezydenta Mościckiego w Szwajcarii jest symbolem dla całej emigracji polskiej. A zatem interes rządu polskiego nie jest jedynym elementem, który należy brać pod uwagę przy podejmowaniu decyzji.”

Po zapoznaniu się ze stanowiskiem Stowarzyszenia p. Benedict Fontanet, adwokat reprezentujący stronę polską, pismem z 28 sierpnia 1992 prosił radcę Zieglera o wyrażenie jednak zgody na repatriację trumien, na co ten ostatni powołując się na „co najmniej niejasne” stanowisko Stowarzyszenia prosił mec. Fontaneta o zwrócenie się do Stowarzyszenia w celu zajęcia „bardziej jednoznacznego” stanowiska w sprawie ekshumacji. Jednocześnie, 21 września 1992, w liście do ambasadora Łatyńskiego w Bernie mec. Fontanet pisze, że gdyby tylko udało się uzyskać od Stowarzyszenia Polskiego w Genewie „bardziej wyraźną deklarację w sprawie przewiezienia szczątków Prezydenta i jego małżonki”, władze genewskie wycofałyby się ze swoich zastrzeżeń i udzieliłyby swej zgody.

W liście do radcy Bernarda Zieglera z 13 października 1992, podpisanym przez prezesa Jana Venuleta i wiceprezesa Przemysława Turskiego Stowarzyszenie jednoznacznie wyraziło swą zgodę na ekshumację i przewiezienie do Polski trumien Prezydenta Mościckiego i jego żony. Kilka dni później ambasador RP, p. Marek Łatyński, w liście do Stowarzyszenia z dnia 22.10.92 dziękuje za tę decyzję, a 10 listopada 1992 radca Bernard Ziegler w liście do mec. Benedict Fontaneta pisze, że „w związku z nowym i niedwuznacznym stanowiskiem Stowarzyszenia Polskiego w Genewie” jest on skłonny ponownie rozpatrzyć stosowny wniosek władz polskich.

Za zakończenie sprawy można uznać list radcy Zieglera do Stowarzyszenia Polskiego w Genewie z dnia 8 lutego 1993, w którym zawiadamia on Stowarzyszenie o swojej pozytywnej decyzji i załącza kopię formalnego postanowienia Departamentu Sprawiedliwości i Policji.

W wyżej wymienionym liście radcy Zieglera jest zdanie:

„Jestem przeświadczony, że ta decyzja odpowiada uzasadnionym życzeniom rządu polskiego oraz narodu polskiego, nawet jeżeli małżonkowie Mościccy, którzy przeżyli wiele lat we Fryburgu, a potem w Versoix stali się również częścią historii Szwajcarii.”

W dniu 8 września 1993, przy okazji ceremonii ekshumacji szczątków doczesnych prezydenta Mościckiego, jego żony oraz czterech członków ich rodziny, Radca Stanu p. Bernard Ziegler wygłosił piękne i długie przemówienie na temat, uosabianych m.in. przez prezydenta Mościckiego, odwiecznych więzów pomiędzy Polską i Szwajcarią, a sięgających bitwy pod Sempach w 1386 roku.

Tak wówczas, jak i dziś po tylu latach nie mogę oprzeć się

wrażeniu, że burza rozpętana uwagami w cytowanym wyżej liście Stowarzyszenia Polskiego w Genewie z dnia 15 sierpnia 1991 była na rękę i po myśli władz genewskich, które z wielką tylko niechęcią przystały na ekshumację. Osobiście jestem przekonany, że nieco silniejsze podkreślenie przez Stowarzyszenie symbolicznej roli grobu Prezydenta Mościckiego w Szwajcarii zakończyłoby się inną decyzją władz genewskich. Dobrze pamiętam Zamek i osobę prezydenta Mościckiego, ale nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że kiedyś będę miał istotny wpływ na wybór miejsca jego ostatecznego spoczynku.

Na cmentarzu w Versoix pozostaje oryginalna płyta grobowa z napisem, z którego wynika, że jest to grób symboliczny, a doczesne szczątki małżonków Mościckich przewiezione zostały do Polski, gdzie trumna Prezydenta Mościckiego została złożona w krypcie katedry św. Jana w Warszawie. Ponadto Stowarzyszenie Polskie w Genewie umieściło na płycie tablicę w języku francuskim o następującej treści:

„Tu spoczywał Ignacy Mościcki, ostatni prezydent Rzeczypospolitej Polskiej przed wybuchem wojny w roku 1939. Po znalezieniu schronienia w Szwajcarii wyraził on pragnienie bycia pochowanym w Polsce wolnej i demokratycznej. Zmarł w r. 1946, a 10 września 1993 jego szczątki doczesne zostały przeniesione do Polski”.

Jan VENULET

Mieczysław PRUSZYŃSKI

CZY KLIMKOWSKI BYŁ AGENTEM?

Nim spotkałem rotmistrza Jerzego Klimkowskiego – wiele o nim słyszałem, przede wszystkim, że jest ulubionym adiutantem generała Andersa, że przed wojną i w czasie kampanii wrześniowej był oficerem dowodzonej przez niego brygady kawalerii, że ostatnio jeździł z nim do Londynu i brał tam udział w konferencjach z Sikorskim, a nawet z Churchillem, i że jest

bardzo popularny wśród młodych oficerów II Korpusu. Spotkałem go przelotnie w grudniu 1939 roku, w Paryżu, dokąd przyjechał w tajnej misji z kraju, a następnie w listopadzie 1942 roku w sanatorium w Palestynie w czasie wizyty generała Andersa u ministra Kota. Wydał mi się bardzo pewny siebie i nie zrobił na mnie zbyt dobrego wrażenia. Może dlatego, że Ksawery kiedyś mi wspominał, że nie miał do niego zaufania.

Wiele informacji na temat Klimkowskiego, z którym się przyjaźnił Józef Czapski (wówczas szef propagandy II Korpusu) znajduje się w jego książce „Tumult i widma” (wydanej w 1981 roku, w Paryżu).

Czapski wyjaśnia – między innymi – dlaczego generał Anders brał go na serio, dlaczego „człowiek o tak świetnej inteligencji i wyjątkowo wysokim poziomie moralnym jak Adolf Bocheński” rozmawiał z nim po parę godzin przyznając mu wielkie zalety, dlaczego „podchorążacy i młodzi oficerowie, naprawdę wspaniali żołnierze składali na jego ręce tajne przysięgi, gotowi byli na jego rozkaz strzelać czy dać się zastrzelić”.

Mianowicie – zdaniem Czapskiego – „Klimkowski miał fenomenalną dynamikę. Umysłowo był to zupełny prymityw, brał nie myślami, których w ogóle nie posiadał, zapożyczał je od pierwszego z brzegu i gotów był w każdej chwili, i zawsze, nawet z dobrą wiarą, zmieniać je o 180 stopni”. Zdobywał sobie wyznawców szerząc ideę Wielkiej Polski, „do której należało iść przebojem (...) z Andersem czy bez Andersa, z Sikorskim czy bez Sikorskiego, z Sowietami czy przeciw Sowietom na czele wiernego mu zastępu młodych. Ta Wielka Polska była to lewicowa, socjalistyczna lub nawet federacyjna, to – o wiele częściej – endecka, oenerowska, skrajnie nacjonalistyczna, zależnie od rozmówcy, którego chciał wciągnąć do takiej czy innej akcji”.

Jednym słowem był to wielki blagier, a podchorąży i młodzi oficerowie bardzo naiwni.

Czapski opowiada o najprzedziwniejszych planach Klimkowskiego. Między innymi w marcu 1942 roku przedstawił on Czapskiemu plan następujący: „Niemcy prą na Kaukaz i ku Wołdze, za parę tygodni Wołga będzie przecięta, wówczas dla dowozu kaukaskiej ropy naftowej do armii sowieckiej zostanie jedna tylko droga – linia kolejowa, prowadząca na wschód od Morza Kaspijskiego przez Taszkient. Trzeba zdobyć Taszkient, przeciąć tę jedyną arterię kolejową i dostawy nafty. Taszkient jest prawie ogołocony z wojsk sowieckich i wystarczy do tego szwadron przyboczny, którym on, Klimkowski, dowodzi, i baon

specjalny Kiedacza, jego przyjaciela. Wtedy my, Polacy, będziemy panami sytuacji, dyktujemy warunki Sowiетom, oni się nam podporządkowują i my decydujemy prawie że o losach świata!” Na argumentację Czapskiego, „że to może być tylko przyjęte jako akcja dywersyjna na korzyść Hitlera, Klimkowski nie zwraca uwagi, tłumacząc, że wszystko zależy od takiego czy innego rozegrania tej sprawy”. Gdy Czapski starał mu się wytłumaczyć, że Anders na tego rodzaju plan nie wyrazi zgody – Klimkowski zgadza się z nim „i dlatego proponuje wykonanie planu przez zaskoczenie, bez porozumienia z Andersem, do zmuszenia go *post factum*, by wziął na siebie odpowiedzialność za tę akcję”. Plan ten wydał się Czapskiemu groźny i sobie przypisuje częściowo zasługę, że go w zarodku zlikwidował.

„Ale cóż, kiedy już znowu zimą 1942 roku na 1943 Klimkowski występuje z propozycją, by mu dano ośmiu ludzi, dynamit, środki pieniężne – a on zobowiązuje się powysadzać tunele na jedynej linii kolejowej, po której alianci przewożą sprzęt bojowy dla Sowiетów z Basry przez Persję. Alianci zwlekają z bronią dla nas, wówczas broń przeznaczona dla Sowiетów trafi do nas i my będziemy górą!”.

Czapski uważał Klimkowskiego za zażartego przeciwnika Sikorskiego i jego polityki. „Jeżeli czemu zawdzięczał, że miał posłuch i nawet popularność wśród właśnie najbardziej dynamicznych młodych oficerów na Bliskim Wschodzie, to właśnie temu, że występując jako zupełnie oddany Andersowi podwładny najzjadlej krytykował politykę Londynu i właśnie politykę Sikorskiego”.

Czapski wspomina, że Klimkowski organizował „jakieś junty”, „tajemne przysięgi” młodych oficerów. W obecności Czapskiego przyznał się do tego Adolfowi Bocheńskiemu.

„Zimą 1943 roku narastają tarcia między Londynem a armią na Wschodzie. Klimkowski dwoi się i troi, rozjeżdżając nieustannie po oddziałach, alarmując i planując, zbierając młodych na tajne konferencje”. „Narastają żale i gorycze Armii przeciw Sikorskiemu i jego polityce. Najbardziej popularny i chwytający zarzut to zagrażająca przyszłości Kresów miękkość generała Sikorskiego wobec Sowiетów. W masie żołnierskiej i oficerskiej, która Rosję tylko co opuściła z nieustannym niepokojem o tych, którzy tam pozostali, namiętności antysowieckie są nagminne i ten zarzut gra zawsze”. „Ta krytyka szeptana w wojsku nabierała form coraz brutalniej upraszczalnych i naiwnych. W pustyni, dokąd sprzęt jeszcze nadchodził skąpo, gdzie armia tkwiła w półbezczynności, plotki i krytyki, słuszne czy nie, stwarzały ferment”.

Ile było prawdy w groźbach zamachu na Sikorskiego, jakie niebezpieczeństwa naczelnemu wodzowi w Armii groziły? – zapytuje Czapski i odpowiada: „Dziś przypominam sobie te ówczesne plotki i pogłoski. Powtarzano słowa Klimkowskiego o zastraszeniu Sikorskiego, że gotów jest Sikorskiego przed wojskiem publicznie znieważyć (słowa były o wiele bardziej dosadne), bo on, Klimkowski, taki ma autorytet i władzę nad swoimi żołnierzami. Słowa te doszły do Adolfa Bocheńskiego, który przekazał Klimkowskiemu, że jeżeli włos z głowy spadnie Sikorskiemu, który reprezentuje «majestat Rzeczypospolitej», to on sam własnoręcznie zastrzeli Klimkowskiego. Bocheńskiego znali wszyscy jako konserwatywnego przeciwnika polityki Sikorskiego, ale przede wszystkim jako człowieka o głębokim poczuciu państwowym i wyjątkowej odwadze, nie tylko fizycznej, ale i moralnej. Nie wątpiono, że wykonałby tę groźbę”.

Klimkowski usunięty ze sztabu – skutek interwencji Sikorskiego, a przede wszystkim Anglików – traci możliwości działania w znaczeniu politycznej agitacji i jednocześnie – jak zapisał Czapski – zdaje się tracić resztę zimnej krwi. „Widząc, jak dobrze Sikorski jest w Armii przyjęty, Klimkowski zmienia postawę, jak zwykle o 180 stopni, i proponuje zorganizowanie wielkiego przyjęcia dla Sikorskiego w swoim pułku, gwarantując, że on jeden potrafi to tak urządzić, że Naczelnego Wodza jego żołnierze na rękach wyniosą z auta. Propozycja nie zostaje przyjęta”.

Przyjazd generała Sikorskiego na Bliski Wschód w końcu maja 1943 roku to błyskawiczny koniec kariery Klimkowskiego.

Po wyjeździe i po śmierci Sikorskiego zostaje aresztowany za przechowywanie dokumentów sztabowych i skazany na cztery lata więzienia.

Kończąc swe wspomnienia o Klimkowskim, Czapski wyraził przekonanie, że nie był prowokatorem ani agentem.

Jerzy Giedroyc w swojej „Autobiografii na cztery ręce” wspomina:

„Mafia założona w Iraku przez Klimkowskiego pod hasłem *salus rei publicae* była to impreza niepoważna, z wizją Polski sięgającej pod Smoleńsk; wydano nawet specjalną mapę z tymi granicami, którą później bolszewicy wykorzystali propagandowo. Klimkowski przejawiał niezwykły dynamizm, wydawał się człowiekiem bardzo zdecydowanym i twardym. Było w nim coś z watażki. I choć był bardzo prymitywny – a może właśnie dlatego – fascynował intelektualistów. Pod jego ogromnym wpływem byli Józio Czapski, Ulatowski, Adzio Bocheński. Poznałem go jeszcze w Bukareszcie, gdyż był pierwszym człowie-

kiem, który przyszedł z Kraju jako wysłannik Andersa: opowiadał o Andersie, o sytuacji w Polsce, i zrobił wielkie wrażenie. Wysłano go natychmiast do Paryża, skąd wrócił do Kraju. Odbił tę drogę jeszcze kilkakrotnie. Ale po którymś z jego pobytów przyszło polecenie z Paryża, by zerwać z nim wszystkie stosunki i zatrzymać go w Rumunii, gdyż ciążył na nim jakieś podejrzenia. Klimkowski znikł, nim dotyczące go polecenie do nas doszło; widocznie znanymi sobie drogami wrócił do Kraju”.

Przyjaciele Giedroycia namawiali go, aby wstąpił do mafii Klimkowskiego. Giedroyc odmówił. I wtedy przyjechał Klimkowski. „Nasza rozmowa była bardzo krótka – wspomina Giedroyc. Powiedziałem mu, że nie mam zaufania do niego i do jego organizacji, co on przyjął z dziwnym spokojem: nie awanturował się, nie próbował mnie przekonywać”.



A oto tłumaczenie urywka raportu Berii do Stalina z 24 lipca 1942 roku zawierającego informacje o rozmowie generała Żukowa (przedstawiciela rządu sowieckiego przy sztabie Armii polskiej w ZSSR) z Klimkowskim.

„19 lipca z Żukowem skontaktował się adiutant Andersa, rotmistrz Klimkowski; prosząc o zachowanie w tajemnicy przed Polakami treści rozmowy, oznajmił rzecz następującą:

Wojsko polskie w ZSSR to bałagan, a nie wojsko. Anders niewiele uczynił w tym kierunku, aby przygotować oddziały zdolne do walki. Te okoliczności spowodowały niezadowolenie ze strony młodych oficerów, którzy uważają za jedyne zadanie wojsk polskich jak najszybsze podjęcie walki na froncie, i tylko na wschodnim. Będąc w Anglii Anders znajdował się pod dużym wpływem zarówno Sikorskiego, jak również Anglików, którzy żądali od Polaków zgody na ewakuację wojsk na arenę bliskowschodnią.

Klimkowski oznajmił, że zwróci się do Żukowa (dalej nieczytelne) organizacja młodych oficerów, która zamierza wyjednać zmianę decyzji o ewakuacji „wygnać z wojska wszystkie baby i wszelki chłam”, zwrócić się z prośbą do rządu radzieckiego o szybkie zaopatrzenie w broń i skierowanie na front.

Wobec tego Klimkowski chciałby wiedzieć, jak rząd radziecki zapatruje się na ewakuację oddziałów polskich z ZSSR, jako że „jeśli nie jest on tym zainteresowany i uważa decyzję o ewakuacji za sprawę wewnętrzną samych Polaków” – organizacja

młodych oficerów zamierza aresztować Andersa, Szyszko-Bohusza i dowódcę 5-ej dywizji polskiej generała Rakowskiego, zwołać naradę dowódców oddziałów, przekazać drogą radiową do Londynu, że wojsko polskie odmawia wyjazdu z ZSSR, zażądać od Londynu wyznaczenia nowego dowódcy i zwrócić się do rządu radzieckiego z prośbą o uzbrojenie polskich oddziałów i jak najszybsze skierowanie na front wschodni.

Na pytanie Żukowa, czym jest organizacja młodych oficerów i kogo ona dotyczy, Klimkowski z pewną niechęcią wymieniał pułkownika Okulickiego, zastępcę naczelnika sztabu wojska podpułkownika Wieśnkowskiego, naczelnika centrum kształcenia pułkownika Sulik-Sornowskiego i naczelnika oddziału kontrwywiadowczego wojska podpułkownika Bąkiewicza. Z opinią młodych oficerów, według słów Klimkowskiego, całkowicie zgadza się niedawno przybyły z Londynu biskup wojska polskiego Gawlina. Pod wpływem wymienionych osób, jak twierdzi Klimkowski, jest połowa korpusu oficerskiego.

Żukow odpowiedział Klimkowskiemu, że wszystko to uważa za niepoważne przedsięwzięcie, i polecił mu poczekać na decyzję dowództwa.

*Ludowy Komisarz Spraw Wewnętrznych ZSSR
L. Beria*

Przekazano: tow. Stalinowi, tow. Mołotowowi

Kopia tego dokumentu znajdującego się w archiwum prezydenta Rosji wraz z kopiami 58 kopii innych dokumentów została przekazana przez doradcę Jelcyna ministra Siergieja Stankiewicza w listopadzie 1992 roku w Moskwie delegacji archiwistów polskich z prof. Marianem Wojciechowskim na czele.



1. Z raportu Berii wynika, że Klimkowski za plecami swych przełożonych złożył Sowietom określone propozycje m.in. aresztowania generałów Andersa, Szyszko-Bohusza i Rakowskiego.

2. Sowietci docenili wagę propozycji Klimkowskiego, czego dowodem jest, że a) przedstawili jego propozycje najwyższym władzom: Stalinowi i premierowi Mołotowowi; b) przechowali dokument przez pół wieku; dopiero z polecenia prezydenta Jelcyna przekazali go polskim archiwistom.

3. Nie znana jest mi decyzja Stalina odnośnie współpracy z Klimkowskim. Znamy jednak działalność Klimkowskiego w ciągu następnych 12 m-cy (od raportu Berii do aresztowania), a mianowicie:

- projektował przerwać dostawy kaukaskiej ropy i uzbrojenia sprzymierzonych dla Armii Czerwonej oraz zorganizować na Kaukazie powstanie antyrosyjskie; te prowokacje skompromitowałyby armię polską w oczach Zachodu;

- polecił wydrukować mapę powojennej Polski w granicach sięgających Kaukazu, którą Stalin pokazał Churchillowi, aby ośmieszyć Polaków;

- zawzięcie krytykował polski rząd i naczelnego wodza;

- utworzył tajną organizację młodych oficerów zapewne, aby móc w stosownej chwili zrealizować swój projekt z lipca 1942 roku, tj. zaaresztować gen. Andersa i innych generałów II Korpusu;

- starał się powiększać rozdziewki między Andersem i Sikorskim.

Cała ta działalność Klimkowskiego odpowiadała interesom Sowietów, a godziła w polski rząd i polską armię.

4. Nie sądzę, aby Klimkowski był agentem rosyjskim w ścisłym znaczeniu tego słowa, tzn., że za przekazane informacje i wykonane zadania otrzymywał wynagrodzenie w dolarach. Na to był zbyt ambitny. Chciał współpracować z Sowietami na zasadzie partnerstwa, tak jak np. wojujący ze swym legalnym rządem de Gaulle – współpracował z Wielką Brytanią. Tę megalomanię Sowietów tolerowali, bo współpraca z zaufanym adiutantem gen. Andersa była dla nich bardzo korzystna.

5. Nasuwa się pytanie, dlaczego gen. Anders i szef kontrwywiadu II Korpusu płk Bąkiewicz tolerowali tę działalność Klimkowskiego i nie informowali o niej polskiego naczelnego dowództwa w Londynie? (Dopiero Anglicy, aby nie dopuścić do zniszczenia II Korpusu, zaalarmowali Sikorskiego, aby pojechał przywrócić porządek, i spowodowali uwięzienie Klimkowskiego).

Znalezienie odpowiedzi na to pytanie to piękne zadanie dla historyków.

Mieczysław PRUSZYŃSKI

PLAGI SZARAŃCZY W DAWNEJ RZECZYPOSPOLITEJ

Rzeczpospolitą, a zwłaszcza jej południowo-wschodnie kresy regularnie nawiedzały klęski szarańczy. Bano się jej na równi z wojnami, epidemiami i głodem. Ślady tego strachu odnaleźć można w wielu staropolskich tekstach począwszy od kronik Długosza, gdzie mowa o szarańczy, która na Rusi zniszczyła całą żywność. Strach przed plagą tych owadów przetrwał wieki. Na ziemiach dawnej Rzeczypospolitej bano się szarańczy aż do końca dziewiętnastego wieku.

Francuski słownik przyrodniczy z 1821 roku pod hasłem szarańcza informuje m.in. iż „pustynie arabskie i tatarskie wydają się być miejscami, gdzie najliczniej rozmnaża się szarańcza. W pewnych okresach roku wznosi się ona na znaczną wysokość i korzystając z wiatru niesiona jest prądami powietrznymi w kierunku Europy. Widać więc ją w postaci niezliczonych legionów przypominających chmury i zakrywających słońce. Skrzydła drganiem poruszają powietrze i wydają dźwięki sięjące przerażenie mieszkańców okolic, do których zbliża się ta klęska. Albowiem wkrótce szarańcza spadnie niczym deszcz burzy. Drzewa zostaną ogołocone z liści i ich gałęzie załamią się pod ciężarem tych owadów. Wszystkie rośliny zostaną wkrótce rozszarpane i zniszczone. Aby dopełnić nieszczęścia i cierpień, ciała tych owadów, zmęczonych długą wędrówką, ścielą się warstwami na ziemi. Z martwej i rozkładającej się szarańczy unosi się obrzydliwy fetor. Jest on przyczyną chorób, straszliwych epidemii i innych nieszczęść, albowiem często «deszcze szarańczy» są prawdziwą przyczyną głodu i dzumy. Nieszczęścia owe często zdarzają się w Rosji i Polsce, a nawet na Węgrzech”.

Jak widać, kraj nasz uchodził za szczególnie narażony na klęskę szarańczy. W kilku słownikach powtarzana jest informacja, że „gdy lata są suche i bardzo ciepłe w krainie kozaków i na Ukrainie jest tyle szarańczy, że niesiona wschodnim lub południowo-wschodnim wiatrem zaciemnia niebo w najpogodniejsze dni i pożera uprawy zboża”.

Zachodnioeuropejscy przyrodnicy znali klęski związane z

masowym pojawem tego owada nie tylko z podróźniczych relacji ze wschodniej części naszego kontynentu. Trwała pamięć rzadkich wprawdzie, ale katastrofalnych nalotów chmur szarańczy w zachodniej i południowo-zachodniej Europie jak choćby w Arles we Francji w 1663 roku, gdy w osiem godzin zboże wraz z korzeniami zniknęło z pól. Wierzano, że masowe pojawy tego owada powodują nie tylko głód, ale także ściągają inne nieszczęścia. Jeszcze w osiemnastym wieku wiązano na przykład pojaw szarańczy w 1755 roku w Portugalii z trzęsieniem ziemi, które częściowo zniszczyło Lizbonę. Najlepsi przyrodnicy dyskutowali w Niemczech „pruską klęskę szarańczy”. Gleditsch poświęcił jej rozprawę opublikowaną przez berlińską Akademię Nauk.

Wędrowni szarańczy śledzili także wojskowi stratedzy. Głód spowodowany tymi plagami uznawano za przyczynę buntów chłopskich, m.in. wojen kozackich w Rzeczypospolitej. Powszechnie znana była także, opisana przez osiemnastowiecznych historyków, historia armii Karola XII, króla Szwecji. Pojaw szarańczy uniemożliwił marsz wojsk szwedzkich w Besarabii.

Motyw bożej kary często powraca w relacjach o plagach szarańczy. Ciemne plamy na owadach próbowali „odczytać” duchowni katoliccy, unicy i prawosławni diakoni, rabini i protestanci. Każda religia widziała w nich litery układające się w słowa lub znaki obwieszczające gniew lub karę. Wiązało się to także z częstym przypominaniem biblijnych opisów szarańczy zarówno w Starym Testamencie, jak i w Apokalipsie. Grozą napawało także owo wszechobecne poczucie bezradności. Najwięksi przyrodnicy renesansu, jak Ulisses Aldrowandi, twierdzili, że człowiek nie dysponuje żadnym środkiem obrony przeciwko owej pladze. Owe „interpretacje” nie ograniczały się oczywiście do Rzeczypospolitej. Jeszcze w drugiej połowie osiemnastego wieku w popularnej i tłumaczonej na wiele języków „Teologii owadów”¹ przeczytać można: „Doświadczenie pokazuje, że niewiele jest istot tak karzących, z których Bóg mógłby utworzyć armię przewyższającą wszelkie ludzkie wojska i ukarać grzeszników w najstraszliwszy sposób, albowiem ludzie mogą oprzeć się ludzkiej armii, lecz nic nie mogą przeciwko zastępom owadów”.

Informacje o szarańczy przywożone z Rzeczypospolitej stanowiły bez wątpienia najlepsze i najbardziej wiarygodne

1. Friedrich Lesser, „Théologie des insectes, ou Démonstration des perfections de Dieu dans tout ce qui concerne les insectes”. Paryskie wydanie H. D. Chaubert w tłumaczeniu P. Lyonnet’a jest datowane 1745.

świadećtwo „klęski szarańczy”. Zapewne stąd Polska znajduje się w opisach większości autorów francuskich piszących o plagach związanych z pojawem tego owada, i to przynajmniej do czasu, gdy w dziewiętnastym wieku podbój Algierii zetknął francuskich przyrodników z tym problemem „u siebie”, tzn. w bliskiej kolonii. Francuskie świadectwa pojawów szarańczy w Rzeczypospolitej są bardzo ciekawym źródłem wiedzy o historii naszego kraju. Źródłem, do którego często powracają stare francuskie słowniki przyrodnicze, jest korespondencja księdza de Saint-Ussans², a zwłaszcza dwa listy napisane w siedemnastym wieku. Słownik Valmont-Bomare³ podaje „według dwóch listów napisanych w 1690 roku do księdza de Saint-Ussans, pierwszego napisanego z Jaworowa w Polsce i drugiego z Białej na Litwie tego samego roku szarańcza dotarła (...) naraz z trzech różnych kierunków, pierwszy na armię polską, drugi na prawo od Lwowa pochodził z Wołynia i trzeci ze strony węgierskich gór. Owady te rozprzestrzeniły się w tak ogromnej ilości, że niebo całe było zaciemnione, a ziemia jakby pokryta czarnym prześcieradłem. W miejscach, w których owady te umierały, ich rozkładające się ciała tworzyły warstwę o czterech stopach grubości. Te, które były żywe, siadając na gałęziach, zginały je aż do ziemi, tak wielka była ich liczba. Lud wierzył, że na ich skrzydłach plamy układały się w hebrajskie litery. Jeden z rabinów twierdził, że odczytał z nich słowa «gniew boży». Plaga ta była zaiste wyniszczająca, albowiem deszcze zabiły owady i bydło, a także inne zwierzęta zdychały po zjedzeniu rozkładającej się szarańczy. Można zauważyć, że po podobnej pladze w 1648 roku kozacy zbuntowali się”.

Niewątpliwie najlepszą i najpełniejszą francuską relacją klęski szarańczy w Rzeczypospolitej jest opis sporządzony i opublikowany przez Guillaume'a Beauplan, inżyniera i kartografa, który w latach 1630-1648 przebywał w Rzeczypospolitej. Pracując dla hetmana Koniecpolskiego i polskiego króla Beauplan budował i umacniał twierdzę oraz sporządzał mapy. W Rouen wydał w 1640 roku opis wschodnich rubieży Rzeczypospolitej „Description d'Ukraine et des provinces adjacentes”⁴.

2. Autor trzeciego tomu „Supplément ou troisième volume du Grand Dictionnaire Historique ou mélange curieux de l'histoire sacrée et profane” wydanego w Paryżu w 1689 roku.

3. Valmont de Bomare, „Dictionnaire raisonné universel d'Histoire Naturelle”. Ed. Bruyset Aîné et Cie, 1800.

4. Beauplan, Guillaume le Vasseur, „Description d'Ukraine, qui sont

Praca ta doczekała się kilku wydań i stała się na długi okres ważnym źródłem wiedzy dla zachodnioeuropejskich przyrodników i geografów. Cytowali ją m.in. Georges Cuvier i Karol Linneusz. Opisowi plagi szarańczy poświęcił francuski inżynier aż pięć stron swojej książki:

„Szarańcza jest tak liczna, że przywodzi na myśl plagę, jaką Bóg niegdyś zesłał na Egipt, gdy chciał ukarać Faraona. Plaga ta nawiedzała kraj przez kolejne lata 1645 i 1646. Szarańcza nadchodziła nie stadami, a wręcz chmurami, które miały długości pięć do sześciu mili i dwie do trzech mil szerokości. Zazwyczaj przychodzą one ze strony Tatarii. Zdarza się to, gdy wiosna jest sucha. Tataria i jej wschód (...) w rzadkich jedynie latach oszczędzone są przez tę plagę. Potem to plugastwo w końcu porwane przez wschodni lub południowo-wschodni wiatr zostaje przyniesione do tego kraju. Powoduje klęskę zżerając całość ziarna i zasiewów, gdy te jeszcze są zielone. W mniej niż dwie godziny plaga ta niszczy całe pola i powoduje ogromną drożyznę żywności (...).

W czerwcu 1646 pozostawałem przez dwa tygodnie w Nowogrodzie, gdzie budowałem twierdzę. Byłem doprawdy zdumiony ilością szarańczy. To rzecz niesłychana, jak jej było wiele. W tej okolicy pozostaje ona, zanim może latać. Ziemia była w całości pokryta owadami, a niebo tak wypełnione, że ciemność panowała taka, że w izbie nie mogłem jeść bez świecy. Wszystkie domy, a nawet stajnie, obory, spichlerze pełne były tego biegającego plugastwa. Trzeba było palić proch strzelniczy z siarką, aby się go pozbyć. Na nic to się jednak zdawało. Za każdym razem gdy otwierałem drzwi, ogromna ich liczba wlatywała, a inne nadal latały oczekując, aby wlecieć do izby. Za każdym razem gdy wychodziłem na zewnątrz, zwierzęta te uderzały mnie raz to w policzek, raz to w nos, raz to w oczy. Nie sposób było otworzyć ust, aby kilka natychmiast nie wleciało.

Gdy chciałem jeść, szarańcza nie dawała mi ani chwili spokoju. Myśląc, że na talerzu kroję kawałek mięsa, kroilem jednocześnie owada. Gdy otwierałem usta, aby jeść, natychmiast musiałem wypłukać owada, albowiem szarańcza wlatywała mi do ust. Ogromu tej ilości owadów nie sposób opisać, trzeba to przeżyć tak, jak ja przeżyłem przez dwa tygodnie, aby móc sobie

plusieurs provinces du Royaume de Pologne, contenues depuis les confins de la Moscovie, jusques aux limites de la Transilvanie, ensemble leurs moeurs, façons de vivre, et de faire la guerre”. Wyd. Jacques Cailloué, Rouen 1660.

wyobrazić. W końcu gdy szarańcza stała się wystarczająco silna aby móc latać, wiatr porwał ją i zaniósł w inne strony, by tam czyniła podobne spustoszenie. Widziałem ją tego wieczora, gdy obsiadła ziemię, aby przygotować się do drogi. Ziemia pokryta była kilkoma warstwami szarańczy o łącznej grubości przeszło czterech kciuków. Konie nie chciały chodzić i trzeba było batem je zmuszać do marszu. Stapały po tej szarańczy z wielką niechęcią. Uszy trzymały wyprostowane i ciągle parskały. Koła naszych wozów i kopyta naszych zwierząt miażdżyły szarańczę. Rozgniecione owady wydzielają straszliwy fetor, tak przenikliwy, że zdawałoby się, że dociera do samego mózgu. Nie byłem w stanie znieść tego straszliwego smrodu bez przytykania do nosa chustki zamoczonej w occie.

Prosiaki zjadają szarańczę z wielkim apetytem i tuczą się. Nikt jednak nie chce jeść szarańczy, a to jedynie z powodu, że to plugastwo tyle zła czyni i wszystkich napawa obrzydzeniem.”

Dalej Beauplan, bardzo przenikliwy obserwator, opisuje sposób rozmnażania się szarańczy. „Owady te zostają do października, ogonem robią dziurę w ziemi i składają każdy 300 jaj, zagrzebują je i umierają, albowiem to plugastwo nie żyje dłużej niż sześć i pół miesiąca, i to jeśli nie przyjdą deszcze ani zbytnie zimno. W kwietniu gdy słońce ogrzeje ziemię, z jaj wykluwają się młode i przemieszczają się skacząc, albowiem przez sześć tygodni nie potrafią jeszcze latać. Wznoszą się, gdy tylko staną się silniejsze i potrafią latać. Jeśli w początkach gdy zaczynają latać północno-zachodni wiatr porwie je, to zginą w Morzu Czarnym. Lecz jeśli wiatr wieje z innego kierunku, to zanosi je w okolice, gdzie czynią spustoszenia. Jeśli deszcze spadną w okresie, gdy wykluwają się i trwają choćby osiem do dziesięciu dni, to także zginą zarówno jaja, jak i młoda Nielotna jeszcze szarańcza, i mieszkańcy są uratowani od klęski. Lecz jeśli, i tak jest zazwyczaj, wiatr jest wschodni i suchy, są one klęską aż do października, kiedy giną złożwszy jaja. To zaobserwowałem, dotykając tę szarańczę grubą jak palec i długą na trzy do czterech kciuków, w tym kraju przez liczne lata dotkniętym klęską szarańczy. Mówiono mi, i mówiły to osoby znające języki, że na ich skrzydłach napisane jest w chaldejskich literach «Boże Gnion», co po francusku znaczy kara boska, i mówili mi to ci, co znają ten język”.

Piotr DASZKIEWICZ

Tadeusz WYRWA

EPOKA POWSTANIA LISTOPADOWEGO W NOWYM OPRACOWANIU

Problematyka powstań polskich jest ciągle jednym z głównych tematów, do których powracają różni autorzy. Stale się do niej nawiązuje, mimo bardzo już bogatej literatury, bo niestety wciąż powtarzane są te same błędy, ze zbliżonymi później skutkami: od powstania listopadowego począwszy i kończąc na warszawskim. Potwierdza to książka prof. Tadeusza Edwarda Domańskiego¹. Na wstępie kilka słów o Autorze. Prof. Domański, urodzony w 1922 r., absolwent KUL-u, jeden z uczniów prof. Juliusza Kleinera, od 1948 r. mieszka we Francji. Na Université de Paris VIII prowadził wykłady z historii literatury polskiej. Publikował artykuły głównie z dziedziny stosunków polsko-francuskich.

Celem moim nie jest omówienie tej tematycznie nieustannie aktualnej książki. Ograniczam się jedynie do zasygnalizowania, że taka praca ukazała się, i do zwrócenia uwagi na kilka dowolnie wybranych fragmentów, pobudzających do refleksji nad naszymi dziejami. Przede wszystkim trzeba podkreślić, że Autor oparł się na ciekawym materiale, przytacza fakty i na ich podstawie wyciąga wnioski i daje własne komentarze. Liczna bibliografia, w tym prac autorów francuskich, ułatwia pogłębienie analizy powstania i jego epoki nie tylko z polskiego, ale i cudzoziemskiego punktu widzenia.

1. Tadeusz Edward Domański, „Epoka Powstania Listopadowego”, Norbertinum, Lublin 2000, s. 404.

We wstępie prof. Domański pisze: „Epoka Powstania Listopadowego zawiera olbrzymią galerię postaci. Są w niej wysocy rangą oficerowie, politycy, dyplomaci, mężowie stanu różnych krajów, królowie, carowie. Napotykamy na nieustraszone bohaterstwo, na nikczemne tchórzostwo, uległość, egoizm, czasami – zdradę”. Autor starał się dać możliwie jak najbogatszą, często przeładowaną (zwłaszcza opisem staczanych bitew) galerię wybranych postaci o przeciwstawnych charakterach i dokonanych czynach, jakże podobnych do tych, które ciążą dzisiaj nad najnowszą naszą historią.

Książka składa się z trzydziestu rozdziałów: „Spadek po Legionach Dąbrowskiego. Księstwo Warszawskie”. „Walki armii Księstwa Warszawskiego. Książę Józef Poniatowski”. „Polska Kongresu Wiedeńskiego”. „Konstytucja, sejm i senat. Reforma administracji Kościoła”. „Sprawy ekonomiczne i oświata”. „Waleczność i serwilizm”. „Wileńska tragedia. Książę Adam Czartoryski”. „Walerian Łukasiński”. „Święte przymierze”. „Rosyjska tyrania”. „Zbrodnie Romanowów. Genocido”. „Rewolucja Lipcowa we Francji”. „Niepodległość Belgii”. „Wybuch powstania w Warszawie”. „Manifest Ludu Polskiego. Gen. Dwernicki pod Stoczkiem”. „Rząd, dyplomacja, politycy. Państwo pruskie”. „Walki od lutego do kwietnia 1831 r. Generał Prądzyński”. „Ziemia lubelska i Wołyń”. „Powstanie na Litwie. Emilia Plater”. „Walki partyzanckie. Józef Zaliwski. Szymon Konarski”. „Plany natarcia na carską gwardię. Ostrołęka”. „Ostatnie miesiące Powstania. Maurycy Mochnacki”. „Nieprzyjaciół u bram stolicy”. „Obrona Warszawy”. „Losy rozbitków. Generał de La Fayette”. „Emigracja”. „Moskiewskie żniwo”. „Hôtel Lambert. Instytucje Wielkiej Emigracji”. „Powstanie Listopadowe w sztuce i legendzie”. „Francuzi i Polacy”. Nadto książka ta, starannie wydana, zawiera „Rozważania końcowe”, obszerną bibliografię i liczne ilustracje.

Same tytuły rozdziałów potwierdzają już szeroki wachlarz problemów opracowanych w tej książce. Prof. Domański kładzie nacisk na popełnione błędy, należące zresztą do polskiej tradycji, błędy, które przywódcy powstania listopadowego powtarzali i – jak udowadnia – dodawali nowe. Autor pisze, iż Jerzy Łojek w swojej książce „Szanse powstania listopadowego” słusznie twierdzi, że było ono historycznie nieuniknione, lecz nie podziela jego zdania, że „większość społeczeństwa” była do powstania gotowa. Prof. Domański jest jednak przekonany, że pomimo braku przygotowania wojny 1830-1831 nie musieliśmy przegrać. Znanym powszechnie faktem jest, że wybuch powstania nie był

przemysłany, a jego przebieg nie został strategicznie rozpracowany. Autor obrazowo pisze, że „wybuch powstania był podobny do reakcji człowieka, który cierpi i dłużej bólu znieść nie jest w stanie”.

Wychodząc z tego założenia, można byłoby chyba przeprowadzić tutaj pewną analogię wybuchu powstań: listopadowego w 1830 i warszawskiego w 1944. Na obydwu zrywach powstańczych w dużym stopniu zaciążyła gorączkowa atmosfera, jaka zapanała w stolicy, atmosfera rozniecona przez garstkę zapaleńców „Sprzysiężenia” Wysockiego w 1830 r. i zastępy młodzieży akowskiej w 1944. Tak w jednym, jak i w drugim wypadku nie miano żadnej wizji. Nie przewidywano w ogóle, co się stanie, jeżeli nie uda się uderzenie na Belweder. Podobnie też i przeszło wiek później nie brano pod uwagę tego, że front sowiecki może się zatrzymać na Wiśle i Armia Czerwona żadnej pomocy powstańcom warszawskim nie udzieli, skazując Stolicę na zagładę.

Zbliżona też była samotność, z jaką rozpoczęła się walka w 1830 i w 1944. W podobnej samotności nastąpił również koniec obydwu tych walk. Trudno zgodzić się z prof. Domańskim, kiedy pisze, że gdy wybuchło powstanie, Mickiewicz, przebywający wówczas w Rzymie, powinien natychmiast przyjechać do Warszawy, gdzie jego obecność miałaby ogromne znaczenie. Jego płomienny patriotyzm i poezja filomacka czyniły „Mickiewicza człowiekiem niezbędnym polskiemu powstaniu. Insurekcji listopadowej potrzebna była wielkość, jaką tchnęła «Oda do młodości», «Grażyna», «Konrad Wallenrod»”. Potrzebne jednak było przede wszystkim odpowiednie dowództwo, co Autor wielokrotnie zresztą podkreśla. Przyjazd Mickiewicza do Warszawy, a później jego tam może śmierć, byłaby przecież niepowetowaną stratą. Mimo zmiennych kolei losu i nastrojów społeczeństwa, nawet „ostatnie walki obrońców Warszawy – przypomina Autor – charakteryzowały się dzielnością i bohaterstwem mimo braku jakiegokolwiek nadziei na zwycięstwo”. Tak też było w 1944 roku, z podobnym skutkiem, o czym trzeba zawsze pamiętać. Warto również tutaj przypomnieć powiedzenie Bismarcka: „Polacy są poetami w polityce, a politykami w poezji”. W ostatnim rozdziale Autor przytacza opinie Francuzów o naszych dziejach. Dalej pisze, że oba kraje przejawiały w historii wspólne cechy i mają – jak gdyby – wspólne dziedzictwo, gdyż oba „czerpały obficie ze źródeł cywilizacji grecko-rzymskiej”. Przypomina więzy łączące Polskę z gen. de Gaulle’em. Następnie sądzi, że słowa Jacques’a Chiraca, prezydenta Francji, niedawno wypowiedziane, „są najlepszym wyrazem temperatury przyjaźni:

«Notre soeur la Pologne» – nasza siostra Polska (...). Bliskość nasza, moc naszej przyjaźni sprawiają, że razem, wspólnie myśleć będziemy o naszym dziejowym powołaniu”. Niestety ciągle zbyt dużą przywiązujemy wagę do słów nie mających pokrycia w rzeczywistości, jak to ma miejsce z zacytowaną wyżej wypowiedzią Chiraca, którego polityka w stosunku do Polski i w ogóle Europy Środkowo-Wschodniej zbyt przychylna nie była i nie jest.

W zakończeniu prof. Domański stwierdza: „Z prawdziwą dumą wspominać możemy działalność polskiej Solidarności, której pokojowa, syndykalna akcja prowadziła do ekonomicznego i politycznego wyzwolenia Polski, dając wzór innym «zsatelizowanym» krajom”. Obserwując jednak to, co dzieje się w Polsce, nie wydaje się, żeby wzór ten mógł napawać nas dumą. Autor stawia następnie bardzo na czasie pytania: czy „...nauczyliśmy się nareszcie zdolności przewidywania? *Historia est magistra vitae*. Czy potrafimy korzystać z tej nauki?” Jedno jest pewne, a mianowicie to, że historia winna być mistrzynią życia. Problem polega jednak na tym, jaka historia i jakiego życia? Wiadomo przecież, że w Polsce historia zbyt często rehabilitowała politykę, usprawiedliwiała to, co też różni spekulanci potrafili bez żadnych skrupułów wykorzystać. Pod tym względem niewiele się do dzisiaj zmieniło. Książka prof. Domańskiego, przystępnie napisana, jest wartościowym przyczynkiem do poznania przysłówiowych blasków i cieni naszych, ciągle kontrowersyjnych dziejów, nadal w dużym stopniu odtwarzanych w zależności od panującej koniunktury i osobistych powiązań różnych ośrodków.

Tadeusz WYRWA

Emilian WISZKA

NIEUDANA PRÓBA

Po latach przemilczania walki Ukraińców o niepodległość, jej deprecjonowania i falsyfikacji, każde pojawienie się opracowania rzucającego nowe światło na to zagadnienie należałoby witać z zadowoleniem. Takim opracowaniem wydawała się być książka Roberta Potockiego dotycząca ukraińskiej emigracji

politycznej, wynikłej wskutek niepowodzenia w walce o niepodległe państwo w latach dwudziestych XX wieku*. Po jej lekturze pojawia się jednak uczucie zupełnego rozczarowania. Rozczarowania, bo autor nie sprostął postawionemu sobie zadaniu, nie udźwignął ciężaru wynikającego z podjęcia się napisania historii emigracji ukraińskiej z lat 1920-1939, która to historia, jak sam pisze (s. 9) „jest pierwszą wszechstronną próbą przedstawienia całego dorobku tej orientacji ukraińskiej, która w 1920 roku podjęła decyzję o podpisaniu sojuszu z Polską”. Próba to może pierwsza i w jego mniemaniu wszechstronna, ale niestety, zupełnie nieudana. Na dodatek autor z pewną dozą megalomanii pisze, że „monografia dotyczy w zasadzie całkowicie nieznananych bądź ignorowanych aspektów stosunków polsko-ukraińskich w XX wieku” (s. 10). W tym miejscu nasuwa się pytanie: komu nie znanych i przez kogo ignorowanych? Nie wszystkie elementy stosunków polsko-ukraińskich z tego okresu są poznane i zinterpretowane, ale nie jest tak, że R. Potocki wkracza na obszar całkowicie historykom nie znany.

Zebrana przez R. Potockiego, zapewne przy sporym nakładzie pracy, znaczna ilość materiału, w tym archiwalnego, nie przełożyła się na jakość, nie została powiązana w logiczną całość. Autor najwyraźniej nie zapanował nad zebraniem twórczym – porusza się w nim niekiedy po omacku, błądzi po niedokładnie rozpoznanym terenie, zachowuje się jak wrzucony do głębokiej wody człowiek, który nie umie dobrze pływać, który tej sztuki nie opanował, a nie utonął tylko dlatego, że ktoś go z niej wyciągnął. Wszystko, co zebrał, wrzucił on do jednego „kotła”, nie zważając przy tym, czy każdy zgromadzony „produkt” nadaje się do tej historycznej „potrawy”. W rezultacie powstał twór z konsekwentnie przemieszanymi zdarzeniami, datami, nazwami i sądami prawdziwymi i takimiż nieprawdziwymi, twór trudny do strawienia, bo nawet te jadalne części nabrały złego smaku. Tak więc „pogłębienie znajomości tego kraju” [Ukrainy – E. W.; patrz notka na okładce] najwyraźniej się Potockiemu nie udało.

Wiele niedomogów książki wynika z faktu, że autor opracowania o Ukraińcach nie zna choćby w dostatecznym stopniu języka ukraińskiego, na przykład transkrypcję tekstów ukraińskich opiera na znajomości, niestety też niewystarczającej, języka rosyjskiego. Mimo iż pisze, że starał się uniknąć nadania

* R. Potocki, „Idea restytucji Ukraińskiej Republiki Ludowej (1920-1939)”, Lublin 1999.

ukraińskim nazwom brzmienia rosyjskiego – to czyni właśnie odwrotnie. Nie wystarczy, jak widać, wstawić do spisu literatury słownika polsko-ukraińskiego i ukraińsko-polskiego (! s. 351). Sporo uchybień można by wyeliminować przy uważniejszej korekcie tekstu. Niestety – książka R. Potockiego jest przykładem niechlujstwa redakcyjnego. W rezultacie błędy różnego rodzaju są tak liczne, że trudno jest znaleźć wolną od nich stronę.

Przegląd błędów zaczniemy od przykładów mylenia przez autora faktów i zdarzeń. Wiele z nich dotyczy organizacji ukraińskich jednostek wojskowych i ich udziału w wojnie z bolszewikami w 1920 r. Otóż grupa M. Omelanowycz-Pawłenki wyszła nie na przełomie lat 1919/1920, a na początku grudnia 1919 r., i nie na zaplecze Armii Ochotniczej, lecz Armii Czerwonej – ta dopiero wypierała wojska Denikina na południe – i nie było to wojsko zreorganizowane i uzupełnione (s. 84). Reorganizacja i uzupełnienie nastąpiło już za frontem – ze zdekompletowanych korpusów utworzono dywizje – 1 Zaporoską, 2 Wołyńską i 4 Kijowską. Nie były one zatem, jak sugeruje Potocki (s. 86), tworzone po powrocie z Zimowego Pochodu. Grupa Omelanowycz-Pawłenki uważana była za uchronioną przed całkowitym rozbiciem armię URL, tak więc sytuowanie jej przed wyprawą kijowską na prawym skrzydle wojsk polskich jest nieprawdą (s. 72). W miejscu wskazanym przez Potockiego znajdowała się tylko kompletowana wówczas dywizja O. Udowyczienki. Ponieważ Omelanowycz-Pawłenko podszedł do sojusznicznych polsko-ukraińskich pozycji dopiero w maju 1920 r., przypisywanie mu przez Potockiego jakichś czynności związanych z przygotowaniem kwietniowej ofensywy (s. 86) jest pomyłką.

6 Dywizję Siczową tworzą w Łańcucie i następnie w Brześciu oddzielnie od pozostałych jednostek, a 5 Chersońską utworzono w maju 1920 r. także po tej stronie frontu i nie z wojsk, które wyszły z bolszewickiego zaplecza (s. 86). To do tej ostatniej dywizji skierowano Haliczan z rozbrojonych niedawno jednostek byłej Ukraińskiej Halickiej Armii, nie zaś do 6 Dywizji, jak pisze autor (s. 134). Nie było w wojsku Ukraińskiej Republiki Ludowej 7 Dywizji Karabinów Maszynowych (s. 89) – była tylko jedna taka dywizja, którą tylko w spisach wymieniano na siódmym miejscu i nie powstała ona z 6 Dywizji Siczowej. Nieprawdziwe dane o ukraińskim wojsku dotyczą też okresu internowania. Zadanie zachowania struktur państwa i wojska władze URL postawiły sobie jeszcze przed internowaniem, a nie już na emigracji (s. 183). Wbrew twierdzeniu Potockiego Łuniniec nie był jednym z obozów internowania

petlurowców (s. 183; internowano tam żołnierzy S. Bułak-Bałachowicza). Dywizja M. Bezruczki (6 Siczowa) w 1920 r. nie przebywała, jak pisze autor (s. 227), w Kaliszu, lecz trafiła do obozu w Aleksandrowie Kujawskim. W tym ostatnim przebywała nie całość, a tylko część 3 Dywizji Żelaznej. Nieuzasadnione jest twierdzenie, że „rdzeń i mózg” sił zbrojnych [URL] umieszczono w Łańcucie niedaleko Tarnowa, siedziby rządu emigracyjnego (s. 227). Po pierwsze – nie wiadomo, na jakiej podstawie wyróżniono tych z Łańcuta, po drugie – na takie, a nie inne rozmieszczenie wojska rząd URL nie miał wpływu.

Nieprawdą jest, jak pisze autor (s. 135), że w 1921 r. powstańcze grupy – Wołyńska i Podolska – miały się połączyć w okolicach Kamieńca. Spotkanie miało nastąpić między Żytomierzem i Kijowem. Dekonspiracja większości miejscowych organizacji podziemnych, wbrew temu co twierdzi R. Potocki (s. 229), nastąpiła jeszcze przed II Pochodem Zimowym.

Nie orientuje się R. Potocki w wyglądzie zewnętrznym ukraińskiego wojska. Rysunki mające jego zdaniem przedstawiać wzory mundurów i oznaczeń stopni przewidziane dla oddziałów armii URL, które zamierzano formować na terytorium Polski w okresie międzywojennym (aneks 6, s. 365-367), w rzeczywistości przedstawiają wzory zaprojektowane dla Brygady Normañskiej – jednostki ochotniczej, którą władze wojskowe URL planowały wynająć w sierpniu 1920 r. Potocki, jak widać, nie zadał sobie trudu przeczytania dotyczących tego projektu dokumentów znajdujących się w CAW w tej samej teczce, co oryginały zamieszczonych w jego książce rysunków.

Wiele nieścisłości znaleźć można w podrozdziale dotyczącym oficerów kontraktowych Wojska Polskiego. Nieprawdą jest, że w 1936 r. w armii polskiej służyło na kontraktach 57 oficerów ukraińskich (s. 259). W rzeczywistości w tym roku było ich 39 – wyższa liczba wzięta się stąd, że do oficerów kontraktowych Potocki zaliczył podchorążych i kadetów (! s. 260). Nie można więc zgodzić się z twierdzeniem, że po śmierci J. Piłsudskiego liczbę ukraińskich oficerów kontraktowych zredukowano do 40 osób (s. 262). Również inne wyliczenia autora dotyczące liczby Ukraińców – oficerów kontraktowych Wojska Polskiego (s. 260) są niejasne i budzą wątpliwości. Nieprawdziwe jest też stwierdzenie, że oficer kontraktowy otrzymywał w Wojsku Polskim zawsze o jeden stopień niższy, niż posiadał w armii URL (s. 263). Nie było to regułą i dotyczyło zazwyczaj oficerów starszych, dla których brakowało odpowiednich przydziałów służbowych. Błędnie podał on również liczbę

ukraińskich oficerów, którzy ukończyli Wyższą Szkołę Wojsną – 5 osób (s. 263). Do 1939 r. ukończyło ją 7 Ukraińców, a jeden przebywał na kursie 1938/1940. Absolwentem tej uczelni, a nie Akademii Wojskowej, jak pisze Potocki (s. 241), był P. Szandruk. Zupełnym nieporozumieniem jest umieszczenie w tym podrozdziale listy i biogramów dziesięciu polskich generałów, którzy w latach 1917-1919 służyli w ukraińskich siłach zbrojnych (s. 260- 262). Żaden z nich nie miał nic wspólnego ze służbą kontraktową Ukraińców w WP. Także niezrozumiałe jest, jaki związek z armią polską miał wymieniony w tymże miejscu (s. 263) Taras Bulba-Borowec (w książce zresztą błędnie – T. Bulta-Borowec). Podobną niedbałością i ignorancją wykazał się Potocki przy omawianiu wojskowych projektów ukraińskiej emigracji w Polsce. Myli się on twierdząc, że żołnierze niepolskiego pochodzenia nie mogli służyć w Marynarce Wojennej (s. 276) – nie przydzielano ich na jednostki pływające, służyli jednak w jednostkach lądowych tej formacji. Nieprawdą jest, że przedstawiciele mniejszości narodowych w artylerii „zasadniczo pełnili funkcje działonowych i celowniczych” (s. 277). Są to najważniejsze funkcje przy obsłudze działa i właśnie tych funkcji im nie powierzano. Podobnie nieprawdą jest, że pułk kawalerii URL miał posiadać na uzbrojeniu pistolety (a nie karabinki czy karabiny, s. 289). Potocki przyznaje również, iż „nie dysponujemy danymi o liczbie poborowych ukraińskich, służących w armii II Rzeczypospolitej” (s. 277). Widocznie niedokładnie zapoznał się on z cytowaną przez siebie pracą T. Kowalskiego pt. „Mniejszości narodowe w siłach zbrojnych Drugiej Rzeczypospolitej Polskiej (1918-1939)” – wydaną zresztą w Toruniu, a nie, jak podał, w Warszawie, która zawiera wspomniane wyżej dane. Nie daje sobie rady z prostymi wyliczeniami – szacując możliwości mobilizacyjne emigracji URL podał, iż liczba zarejestrowanych żołnierzy byłej armii URL wynosiła 9374 (s. 276), a Ukraińców – byłych żołnierzy gen. A. Denikina – około 9200 osób. Sumując te dwie liczby stwierdza, że „emigranci mogli dostarczyć maksymalnie 30-38 tys. żołnierzy” (! s. 276).

Nadużyciem jest pisanie, że Brody i okolice w 1920 r. (zwłaszcza do decyzji Rady Ambasadorów z 1923 r.) to było terytorium polskie (s. 95). Zgubił gdzieś autor sformowany w październiku 1920 r. gabinet Andrija Liwyckiego (s. 79), który wyprowadził obóz URL na emigrację. Ukraińską uczelnię emigracyjną – Akademię Gospodarczą – umieścił w Pradze (s. 162), gdy w rzeczywistości znajdowała się w Podiebradach. Inną

sprawą jest „Herodot” – jak pisze R. Potocki (s. 252) – grupa wywiadowcza w Rumunii. Tymczasem Dmytro Herodot to znany ukraiński działacz emigracyjny przebywający w Rumunii i dziwne by było, gdyby tak nazwano ową bliżej nieokreśloną grupę.

Niektóre błędy zaliczyć można do „śmiesznych”: Korpus „Studiów” Siczowych (!; s. 85; Strzelców), hotel „Bristol” (s. 147; Bristol), Ukraińskie „Centrum” Komitetu (! s. 187), kordon „sokolski” (s. 206; oczywiście – sokalski), „świtoji” winny (s. 352; kojarzy się ze świętą wojną, prawidłowo „switowoji” winny). Petlurze przypisano jakieś dziwne funkcje – był Wielkim Ministrem (s. 175) Łoży Masońskiej lub Hołownym „Oto-manem” (! s. 336). Niektóre z nich to zapewne błędy pisarskie, czasem trudne do wychwycenia; ich duża ilość świadczy jednak o niechlujstwie redakcyjnym.

Wykorzystanie w pracy naukowej nieużywanych powszechnie terminów nie budzi na ogół zastrzeżeń. W tym opracowaniu „inkluzywizm” (s. 174) i „okcydentalizacja” (s. 170) brzmią pretensjonalnie i jakoś nie podnoszą wartości książki. Inny rzadko używany termin – „utrakwizacja” użyto w błędnej formie – „ultrakwizacja” (s. 204-205), co świadczy, że autor opracowania nie rozumie go. Zdziwienie budzi nie znany w Polsce i w Ukrainie termin „Halicja” (s. 88), a zastrzeżenia – „Małopolska Wschodnia” na określenie Galicji Wschodniej (s. 88, 90, 100, 134 i in.). Szersze pojęcie „Małopolska” niemal zamiennie używane jest z pojęciem „Ziemia Halicka” (s. 329) i „Galicja Wschodnia”. W tej sytuacji dziwacznie wręcz brzmi określenie asymilacja [przez Polskę] „Małopolski” (s. 173). Dyskredytujące autora jest mylenie lub odwracanie pojęć, tak np. Dniepr pomyłono z Dniestrem (! s. 78) – autor napisał, że Dniestr był linią demarkacyjną między USRS a UNR.

Błędem jest używanie przez R. Potockiego terminów „siły sowiecko-ukraińskie, rząd sowiecko-ukraiński” (s. 59, 135 i in.). Przecież tych sił i tego rządu nie tworzyli Sowieci i Ukraińcy, tylko ukraińscy (i głównie rosyjscy) Sowieci. „Ukraina UNR” (s. 95) i „minister MSWojsk”. (s. 259) to tzw. masło-maślane. Chaos pojęciowy powoduje nieuzasadnione dodanie do nazwy I Republika określenia „Radziecka” (! s. 12) – prowadzi do mylenia URL z tworem charkowskim. Ukraińska „spółka” w nazwie organizacji to związek, a nie spółka (s. 251). Do terminologicznych „osiągnięć” autora trzeba też zaliczyć „socialistów-federacjonalistów” (s. 152; chodzi o federalistów). Użycie bez cudzośćłowu terminu „turkiestańczy” (s. 309) na określenie

mieszkańców Turkiestanu jest błędem. Nie ma narodu turkieskańskiego; są Turkmeni.

Błędy merytoryczne dotyczą także dat. Tak więc P. Skoropadski dokonał zamachu na Centralną Radę nie 29 czerwca, jak podano w książce (s. 142), a 29 kwietnia 1918 r. Hetmanat ogłosił unię z Rosją nie 18 grudnia 1918 r. (s. 13), lecz o miesiąc wcześniej – 16 listopada. Skoropadski nie mógł w podanym terminie ogłosić unii, bo 14 grudnia zrzekł się już władzy. Data 18 grudnia 1918 r. błędnie podana jest jako termin przewrotu uczynionego przez Dyrektoriat (s. 14), a przecież to już dzień ogłoszenia deklaracji konstytucyjnej i formalnego odnowienia Ukraińskiej Republiki Ludowej. Nie była to jednak restauracja II Republiki i nie odbyło się to 14 grudnia, jak pisze Potocki (s. 143) – była to restauracja Republiki, którą dopiero po odnowieniu nazwano II Republiką.

Traktat sojuszniczy URL z państwami centralnymi zawarto 9 lutego 1918 r., a nie, jak chce Potocki, 1 lutego tego roku (s. 27). Ukraińską ofensywę po rozejmie polsko-sowieckim wyznaczono na 11 listopada 1920 r., a nie, jak wynika z tekstu (s. 104), na 12 listopada. Przy okazji trzeba zapytać, czemu autor ówczesne ukraińskie działania wojenne nazywa powstaniem S. Petlury (s. 123)? Sprostowania wymaga też data powołania Ukraińskiego Komitetu Centralnego – było to w 1921 r., a nie jak chce Potocki (s. 150) – w 1920 r. Informacja, że prócz UKC inne towarzystwa ukraińskie w Polsce były stosunkowo nieliczne (s. 199) jest błędna – były liczne, tylko mało liczebne. Na emigracji w Polsce powołano Wyższą Radę Wojskową, a nie Najwyższą (s. 150). Spora gmatwanina w tekście Potockiego panuje w nazwach towarzystw powstałych w Kaliszu (s. 197).

Wiele błędów występuje w pisowni tytułów. Niekiedy nazwa jest tylko nieco zniekształcona i można się domyślić, o jaką pozycję chodzi, inne są całkiem błędne, jeszcze inne są jakąś polsko-ukraińską lub rosyjsko-ukraińską mieszaniną. Oto przykłady: „Polska i Ukraina. Sojusz 1920 roku i jego konsekwencje” (s. 20, 349; prawidłowo – następstwa); „Między Zbruczem a Sanem” (s. 32; chociaż to ten sam teren, powinno być odwrotnie – „Między Sanem a Zbruczem”); „Moja żizń” (s. 76; to brzmi z rosyjska, I. Ohijenko napisał po ukraińsku – „Moje życie”); „Derżawnyst’ i hajdamaczyzna” (s. 165; poprawnie – „Derżawnist’ i Hajdamacczyzna”); „Przyrodni bohaterstwa Ukrajiny” (!, s. 172; I. Feszczenko-Czopiwski napisał o bogactwach naturalnych, nie zaś przyrodnich bohaterach – „Pryrodni bahatstwa Ukrajiny”); „Pid tichyj wieczor” (s. 219; to

utwór B. Lepkiego „Pid tychyj wieczir”, w książce Potockiego zapisany trochę po ukraińsku, trochę po rosyjsku. Przy okazji – B. Lepkyj nie należał do emigracji petlurowskiej i omawianie jego twórczości w tym opracowaniu jest nieuzasadnione); „Kalisz – osieredok ukrajinśkoji emihrecji w miżwojennoji Polszczce” (s. 187; to artykuł M. Zygmunińskiego – „Kalisz – oseredok ukrajinśkoji emihraciji w miżwojennij Polszczci”).

Inne przykłady tej dziwnej polsko-ukraińsko-rosyjskiej mieszanki to: „Kaliszke widdielennia Towarzystwa” (s. 190; „Kaliszśke widdiellenia Towarystwa”); „Ukrajinska Narodowa Republika” (s. 39; „Ukrajinska Narodna Respublika”); „Ukrajinske Wijskoho-Istoryczne Towarzystwo” (s. 230; „Ukrajinske Wijskowo-Istoryczne Towarystwo”); „Istoryk i Sowriemiennyk” (s. 110; to tytuł rosyjski – winien brzmieć „Istori i Sowriemienik”); „...żyttia na naddniprzanśkoji Ukraini w druhoji połowyni...” (s. 37; „...żyttia na Naddniprianskij Ukraini w druhi połowyni...”).

Niesamowity chaos panuje w pisowni imion i nazwisk. Pierwszoplanowa postać – Symon Petlura występuje także jako Szymon (s. 33) oraz Semen (s. 131), a Prokopowycz zamiast Władysław ma w książce imię Wołodymyr (s. 79). W niektórych przypadkach te same nazwiska raz są pisane prawidłowo, innym razem błędnie i to w kilku odmianach, często na tej samej lub sąsiedniej stronie. Pomyłek i błędów tego rodzaju jest ponad półtorej setki i samo ich wyliczenie zajęłoby zbyt wiele miejsca. Podajemy tylko przykłady: Kamienieckij (np. s. 18, 177; prawidłowo Kameneckij, jak na str. 178), Wołoszyński (s. 41; prawidłowo Wołoszynowski), Ositko (s. 44; Oskitko), Steropowski (s. 149; Stempowski), Kowalewskij (s. 182; prezes UKC nazywał się Kowalskij!), Didczenko-Zadrenajskij (s. 195; Didczenko-Zadunajskij), A. Chojnacki i A. Chojmacki (s. 204, 206; A. Chojnowski), M. Selehi i M. Selihij (s. 217; Sełehij), Parahan (s. 217; kilka linijek niżej napisano poprawnie – Darahan), Zachopyjko (s. 217; Zahorujko), J. Kosar i J. Koszcz (s. 217-218; Kosacz), Kołomieć (s. 218; Kołomijeć), Tykor (s. 223; Tyktor – lwowski wydawca), Wsiewołod Żmijenko (s. 237 i in.; Wsewołod Zmijenko), Michajło Omelianowycz-Pawlenko (s. 252; Mychajło Omelanowycz-Pawlenko), A. Zaćmiński w tym samym wierszu występuje też jako A. Jaćmiński (329).

Także w pisowni nazw geograficznych – miejscowości i regionów – zarówno w tekście, jak i na mapach roi się od błędów. Przekręconych nazw jest tak dużo, że znów podajemy tylko niektóre: Zagłębie „Borysławieckie” (s. 32; Borysławskie

oczywiście), „Słobożczyna” (s. 80; Słobożanszczyna, czyli Słobodzka, Ukraina), Krzemieniec „Podolski” (! s. 44; jeśli Krzemieniec, to nie Podolski, jeśli Podolski to nie Krzemieniec), „Mariampol” (s. 72; Mariupol), „Powołoczyska” (s. 108; Podwołoczyska), „Stary Konstantynów” (s. 119; Starokonstantynów). Nad Prutem ze zdziwieniem odkrywamy „Czernihów” (! s. 167; autor pomylił to miasto z Czerniowcami), zamiast Bohu mamy „Bóbr” (! s. 90). Jest jeszcze m.in. „Jełtyszów” (s. 89; Jahuszkowo), „Kozatyń” (s. 302; Koziatyn), „Bałka” (s. 90; Baha), „Hajsynów” (s. 134; Hajsyn), „Tyrpole” (s. 106; Trypole), są „Winnice” (s. 102, 167; Winnica) i „Żmerynki” (s. 72; Żmerynka). Stolica Ukrainy ma u Potockiego brzmienie rosyjskie „Kijew” (s. 348; ukr. Kyjiw), choć deklarował on, że będzie tego unikał. Za Dnieprem znajdujemy m.in. „Hrebionkę” (s. 106; Hrebinka), „Zołotonosę” (s. 72; Zołotonosza) i „Nieżyn” (s. 106; Niżyn), „Czernichów” i pisaną małymi literami gubernię „czernichowską” (s. 42, 264, 303; Czernihów). W sąsiedztwie leży „Mochylew” i Gubernia „Mochylewska” (s. 167; „Mohylew”), a w niej „Słonin” (s. 274; Słonim). Przemieszczanie miejscowości i przeinaczanie ich nazw dotyczy też Polski i innych krajów, np. w miejscu Kolna znalazł się „Konin” (s. 274), a „Skalbierzyce” to oczywiście Skalmierzyce (s. 275).

Liczne błędy występują też w pisowni nazw tytułów czasopism. Niektóre z nich, choć napisane błędnie – często przez przyzmat alfabetu rosyjskiego – można rozpoznać np.: „Zirnica” (185; Zirnycia), „Nasza zaria” (185; Nasza zoria), „Żeliznyj striteć” (185; zaraz obok „Zeliżnyj striteć”; prawidłowo Żaliznyj striteć); „Szlachom Niezależnosy” (221; Szlachom niezależnosy), „Studenćkyj hołos” (218; Studentśkyj hołos), „Wijśkowyj wiśnyk” (Wijśkowyj wisnyk). Inne podawane są ni to po ukraińsku, ni po polsku „Ukrajinśkyj inżynier,” prawidłowo Ukrajinśkyj inżener) lub są całkiem przeinaczone: „Koliuszki” (221; Koluczky, jak na s. 185), „Trybun Ukrainy” (220; Trybuna Ukrainy), „Potocznyj Informacijnyj Biułeteń” (!, 338; Politycznyj przecieź). Pomyłki tyczą się też faktów związanych z prasą, np. „Wijśkowa dumka” (s. 230) ukazywała się tylko w 1921 r., „Wesełka” – w latach 1922-1923, a „Wisty UCK” (s. 320) w 1936 r. już nie wychodziły. W 1920 r. we Lwowie ukazywała się „Ukrajinśka dumka”, a nie „Dumka” (s. 103); ta wychodziła w 1921 r. w Wadowicach. „Tabor” wychodził w Kaliszu i Warszawie, a nie w Genewie (s. 160), „Emihrant” natomiast w Chrzanowie, a nie w Warszawie (221). Myli autor „Ukrajinśką trybunę” z „Synem Ukrainy” (s. 118;), a pismo „Donskij kozak” (s. 185) zalicza

bezpodstawnie do ukraińskich. „Pierwsze periodyki emigracji pojawiły się już po podpisaniu umowy rozejmowej z 1 IX 1919 roku” – pisze Potocki (s. 219). Szkoda, że nie uściśla gdzie i jakie. Pisze przecież o emigracji ukraińskiej w Polsce, a ta zaczęła wydawać czasopisma w 1920 roku. Niedorzeczne jest wymienienie Wołynia jako ośrodka wydawniczego prasy petlurowskiej we wczesnych latach dwudziestych (s. 220), a pomijanie przy tym Lwowa i Tarnowa oraz Kalisza w latach 1924-1939.

W niektórych fragmentach książki opis jest chaotyczny, bez zachowania chronologii (np. s. 50-56), zdarzają się nie dopracowane zdania („Sprzyjające warunki terenowe lasy i moczary”; s. 311), odwrócenie znaczenia pojęć (zamiast „defensywny” pisze „ofensywny”; s. 309, por. s. 319), zaprzeczanie dopiero co napisanym słowom. Raz więc atak „miał na celu odbicie zaplecza przemysłowego”, a w następnym zdaniu ten sam atak – „nie miał na celu odbicia zaplecza przemysłowego” (s. 96). W pracy naukowej pożądane jest zilustrowanie opisu graficznie – wykresami, mapami, tabelami. Elementów tych jest w pracy R. Potockiego sporo. Niestety i tu są liczne uchybienia. Na mapach są, o czym była już mowa, pomyłki w nazwach miejscowości i nawet błędna ich lokalizacja. Na niektórych brak jest w ogóle nazw miast, np. na mapach rozmieszczenia ukraińskich ośrodków emigracyjnych i organizacji paramilitarnych w Polsce (s. 189, 254), co znacznie obniża ich wartość. Liczne w książce tabele zaczerpnięto z różnych źródeł, przeważnie z opracowań przechowywanych w CAW, ale pod żadną nie są one podane. W ten sposób R. Potocki sugeruje, że to on jest ich autorem. Nie wolne od błędów są u Potockiego dane dotyczące źródeł archiwalnych. Tak np. w przypisach 23 i 24 (s. 259) odwrócone są numery sygnatur – numer 380 w CAW oznacza zespół „Sprzymierzona Armia Ukrainy”, a 1774 – „II Oddz. Sztabu Generalnego WP”. W kilku przypadkach budzi zastrzeżenia, wykazany przez autora, imponujący zestaw literatury. Niektóre pozycje, np. wymieniane już słowniki, nie powinny się tu znaleźć. Inne, jak także już wspomniana praca T. Kowalskiego, są „niedoczytane”, lub ich wartość poznawcza jest wątpliwa. Zdarzają się i takie, które autor podaje jako źródło, a w których próżno szukać uzasadnienia wyrażonej przez niego myśli (np. praca Z. Kuśsiaka, s. 263, przyp. 30). Kilka opracowań, np. Pragiera i Wrangla, wykazanych jest podwójnie. Zupełnie natomiast nie licuje z powagą historyka powoływanie się na sądy E. Prusa (s. 134).

W wielu kontrowersyjnych przypadkach brak jest uzasadnienia sądu lub komentarza: nie wiadomo, na jakiej podstawie

Potocki pisze, że mord pod Bazarem dokonali Ukraińcy z Dywizji Kawalerii Czerwonego Kozactwa? (s. 135); dlaczego ZUNR określa jako „separatystyczną” (s. 14), a jej proklamowanie nazywa „drugim błędem” (s. 40); dlaczego o wyprawie kijowskiej pisze wojna „polsko-sowiecka” zamiast „polsko-ukraińsko-sowiecka”? dlaczego bezkrytycznie, bez komentarza podaje fantastyczną informację, jakoby Grupa J. Tiutiunnyka otrzymała 40 wagonów sprzętu (s. 135)? Może chodziło o 4 wagony?



R. Potocki zlekceważył zasadę dochodzenia do obszernych problemowo, czasowo i terytorialnie opracowań syntetycznych poprzez gromadzenie i opracowywanie tematów wycinkowych. Postąpił niczym doświadczony profesor, dla którego jednak taka synteza jest często podsumowaniem całego lub znacznej części dorobku naukowego. Zamiast „od dołu” Potocki zaczął pisać, z fatalnym jak widać skutkiem, historię „od góry”. A przecież każda z trzech części, a nawet każdy z rozdziałów jego książki mógłby być tematem oddzielnego i obszernego opracowania. O dziwo, Potocki informuje, że „Obecnie pracuje nad kolejną książką «Wyprawa Kijowska 1920 roku. Wojna o Ukrainę czy z Ukrainą?»” (notka na okładce). Powyższy temat to właśnie tytuł jednego z rozdziałów części I omawianej książki. Ta część dotyczy czasu do ostatecznego upadku Ukraińskiej Republiki Ludowej i zajmuje aż 1/3 objętości książki, chociaż wychodzi poza jej ramy czasowe – wszak ta obejmuje lata 1920-1939. Jest to zatem część wstępna do zasadniczego tematu i w takiej objętości nie powinna się była tu znaleźć. Tu nasuwa się pytanie – dlaczego R. Potocki nie zaczął od takiego, mniej obszernego tematu? Trzeba też wyrazić nadzieję, że w tej zapowiadanej książce wyeliminuje wszystkie błędy, które wyżej zostały wykazane, i przy tym nie popełni innych. Jeżeli jej temat pozostawi bez zmian, to powinien też wyjaśnić, że sformułowanie „Wojna o Ukrainę czy z Ukrainą” funkcjonuje już w publikacjach. Użyte zostało także w recenzowanej książce (s. 66), ale bez podania pochodzenia, co chwalebne nie jest.

Wymienione tu poważne błędy, występujące w książce R. Potockiego masowo, wywołują podczas czytania odruch, by wszystko sprawdzać, konfrontować wydarzenia, daty, nazwiska, nazwy, tytuły – nawet te prawdziwe. Przychodzi to mimo woli wraz z utratą zaufania do słów autora; jest czasochłonne, wymaga posiadania obszernej dodatkowej literatury. W rezultacie

mogą z tej książki korzystać tylko ci, którzy w tej problematyce są dobrze zorientowani, którzy potrafią z niej wybrać jakieś zdrowe ziarna. Ale przecież powstała ona nie tylko i nie tyle dla znawców, a głównie dla tych, którzy dopiero te zagadnienia zechcą poznać. Ci potencjalni czytelnicy powinni bezwzględnie z niej zrezygnować, bo więcej z tego będzie szkody niż pożytku.

Tylko wyeliminowanie wykazanych błędów, przeredagowanie książki, słowem gruntowna restauracja, może ewentualnie uczynić ją pożyteczną. Może, chociaż nie musi. Nasuwa się bowiem pytanie: czy możliwa jest naprawa budowli zupełnie nieudanej? I czy jej budowniczy jest już do tego gotowy? Może byłoby lepiej, by przy realizacji innych, mniej skomplikowanych zadań wzbogacał jeszcze swe umiejętności, nabierał doświadczenia i dopiero za jakiś czas zabrał się za naprawę tej lub stawianie nowej? Dzisiaj jedno jest pewne – to wydanie trzeba odłożyć na niedostępną półkę i pokazywać tylko jako negatywny przykład, jak nie należy pisać pracy naukowej.

Emilian WISZKA

Marek KORNAT

WYBÓR PISM WŁODZIMIERZA BĄCZKOWSKIEGO

13 sierpnia 2000 r. zmarł w Waszyngtonie w wieku 94 lat Włodzimierz Bączkowski, publicysta i pisarz polityczny, wybitny znawca spraw wschodnioeuropejskich i sowietolog, orędownik zbliżenia polsko-ukraińskiego, w dobie II Rzeczypospolitej jeden z czołowych działaczy ruchu prometejskiego. Należał do tego samego pokolenia, co Jerzy Giedroyc, Adolf Bocheński, Jerzy Niezbrzydcki. Bączkowski był więc przedstawicielem tego pokolenia, które w dorosłe życie wkraczało już w niepodległej Polsce. Z oddali Syberii inaczej oceniano toczący się w Polsce spór orientacyjny, prowadzony w emocjonalnej atmosferze przez obóz Piłsudskiego i Dmowskiego.

Ze śmiercią Bączkowskiego zbiegło się ogłoszenie wyboru jego pism pt. „O wschodnich problemach Polski” w opracowaniu Jacka Kloczkowskiego i Pawła Kowala¹. Ta podwójna okazja skłania do poświęcenia szerszej uwagi biografii tego publicysty, jak też i do kilku słów na marginesie jego spuścizny. Ponieważ nazwisko Bączkowskiego wiąże się ściśle z ruchem prometejskim, dlatego też jego miejsce w historii polskiej myśli politycznej należy rozpatrywać w powiązaniu z tą koncepcją.

Włodzimierz Bączkowski urodził się 26 marca 1905 r. na Syberii. Naukę pobierał w rosyjskim gimnazjum w Czycie. Podczas wydarzeń rewolucji i wojny domowej w roku 1917 rodzina Bączkowskich znalazła schronienie w Mandżurii – w Charbinie. Na Uniwersytecie Warszawskim studiował prawo oraz anglistykę i sinologię. Dyplom magistra praw uzyskał w 1929 r.

W początkach roku 1925 powstaje w Warszawie – pod prezesurą senatora Stanisława Siedleckiego – Instytut Wschodni. Była to pierwsza polska placówka badawcza poświęcona studiom w zakresie sowietologii, Europy Wschodniej, Bliskiego i Dalekiego Wschodu. Instytut Naukowo-Badawczy Europy Wschodniej w Wilnie powstał bowiem dopiero pięć lat później, tj. w lutym 1930 r. Warszawski Instytut Wschodni powołano do życia w służbie ideałów ruchu prometejskiego. Środowisko to przejęło spuściznę ideową Związku Zbliżenia Narodów Odrodzonych, który powstał pod kierownictwem Tadeusza Hołównki i Leona Wasilewskiego w roku 1921 i Polskiego Towarzystwa Wschodniego działającego w latach 1920-1922. Instytut pozostawał nieformalnie powiązany z Wydziałem Wschodnim MSZ i Referatem „Wschód” II Oddziału Sztabu Głównego. Czołową rolę w koordynowaniu akcji prometejskiej odgrywali płk Tadeusz Schaetzel, mjr Edmund Charaszkiewicz, płk. dypl. Tadeusz Pełczyński, gen. Julian Stachiewicz. Funkcję prezesa Ligi Prometeusza piastował prof. Roman Smal-Stocki. Z ruchem prometejskim powiązana była również – poprzez dyrektora doc. Władysława Wielhorskiego – wileńska Szkoła Nauk Politycznych, Ukraiński Instytut Naukowy w Warszawie (z prof. Łotockim na czele) oraz (luźno) Instytut Badań Spraw Narodowościowych (poprzez osobę prof. Smal-Stockiego). Organem tego

1. Włodzimierz Bączkowski, „O wschodnich problemach Polski”. Wybór pism, wstęp, wybór i oprac. Jacek Kloczkowski i Paweł Kowal, Kraków 2000. Wyd. Ośrodek Myśli Politycznej i „Księgarnia Akademicka”, 220 s.

międzynarodowego ruchu był wychodzący w Paryżu miesięcznik *Prométhée* (od r. 1938 zmieniono tytuł na *La Revue Prométhée*). Pismem kierował działacz ukraiński Aleksander Szulgin (w pisowni francuskiej: Choulgine).

Założenia koncepcji prometejskiej kształtowały się w realiach powstałych na skutek połowicznego wyniku wojny z Rosją Sowiecką w 1920 r., co podkreślały postanowienia traktatu ryskiego. „Niepodległość Polski nie da się pomyśleć bez niepodległości Litwy, Łotwy, Estonii, Finlandii, Ukrainy i Białorusi. Niepodległość Polski jest bowiem jednym z przejawów tego głębokiego procesu, który odbywa się dziś w Europie – wyzwala się narodów z niewoli politycznej. Jeśli Polska zostanie osamotniona, jeśli inne państwa powstałe na gruzach Rosji nie zdołają się utrzymać, smutna czeka ją przyszłość”. W ten sposób pisał w listopadzie 1920 r. Tadeusz Hołówko², czołowy promotor programu prometejskiego. Na takich założeniach geopolitycznych opierał się program prometejski.

Podkreślić trzeba również, że twórców programu prometejskiego cechowało przekonanie, że w realiach XX stulecia procesów narodowościowych nie da się zatrzymać czy zawrócić. Można oczywiście – przy użyciu przemocy – w imię polityki imperialnej próbować nie dopuścić do uzyskania niezawisłości politycznej przez narody dawnego imperium Rosji. Ich wyzolenie jest wszakże rezultatem procesów historycznych. Tak pojmowano naukę historii, spuściznę „wielkiej wojny” i rewolucji bolszewickiej w Rosji. Do tak wyartykułowanych przemysłów nawiązywał będzie swoimi koncepcjami również i Włodzimierz Bączkowski.

W roku 1928 przy Instytucie Wschodnim w Warszawie powołano dół życia tzw. Orientalistyczne Koło Młodych. Była to komórka afiliowana przy organizacji „Prometeusz”. Prezesem został w 1930 r. właśnie Włodzimierz Bączkowski, pozostając na tym stanowisku do roku 1939. „Koło” było z założenia organizacją międzynarodową i miało służyć zbliżeniu ideowemu młodego pokolenia przedstawicieli narodów ujarzmionych przez ZSSR.

Ważnym osiągnięciem Instytutu Wschodniego stał się kwartalnik *Wschód/Orient*, który funkcjonował jako organ Orientalistycznego Koła Młodych. Pismo powstało na zlecenie

2. Cyt. za J. Łojek, „Idea federacyjna Józefa Piłsudskiego”, *Libertas. Kwartalnik Społeczno-Polityczny*, z. 6, 1986, s. 56.

Ministerstwa Spraw Zagranicznych – Wydziału Wschodniego³. Na stronie tytułowej widniał podtytuł „Organ młodzieży polskiej poświęcony sprawie przyjacielskiego zbliżenia i zapoznania się z narodami Bliskiego i Dalekiego Wschodu”. Periodyk ten wydawany był po polsku i zarazem w językach kongresowych, a zwłaszcza po angielsku. Wychodził w latach 1930-1939. Redakcję zorganizował i pierwszy numer zredagował Jerzy Giedroyc (w tym czasie będący również redaktorem *Myśli Mocarstwowej*), a wszystkie następne już Włodzimierz Bączkowski⁴. W 1932 r. Bączkowski utworzył osobne czasopismo poświęcone idei zbliżenia polsko-ukraińskiego, tak bardzo potrzebnego II Rzeczypospolitej. Periodyk otrzymał nazwę *Biuletyn Polsko-Ukraiński*. Pismo to jako kwartalnik przetrwało do roku 1938. Po jego zamknięciu Bączkowski założył kwartalnik *Problemy Europy Wschodniej*. Zeszyt pierwszy ukazał się w styczniu 1939. Czasopismo wychodziło do wybuchu wojny, do września 1939. Oprócz tego Bączkowski miał swój udział również w zorganizowaniu dwutygodnika *Myśl Polska*, który zaczął wychodzić w roku 1936. Redaktorem tego pisma został Feliks Zahora-Ibiański.

W latach trzydziestych Włodzimierz Bączkowski publikował dość sporo. Wymienić tu trzeba zwłaszcza książkę: „U źródeł wielkości i upadku” (1935). Nawiązując do książki Adolfa Bocheńskiego „Między Niemcami a Rosją” (1937) ogłosił Bączkowski esej pt. „Grunwald czy Piławce”. W przededniu wojny ukazał się drukiem jeszcze wybór jego publicystyki pt. „W obliczu wydarzeń”. W zainteresowaniach Bączkowskiego dominowała tematyka wschodnia. Taki był jego dorobek do r. 1939.

We wrześniu 1939 r. Bączkowski bierze udział w kampanii wojennej. Po klęsce przedostał się do Rumunii, skąd w 1941 r. zdołał wyjechać do Stambułu, a następnie na Bliski Wschód. Nie zrezygnował ze swoich prac wschodoznawczych i sowietologicznych. Pracował w ramach zadań zleconych w Ośrodku Badawczym Ministerstwa Informacji i Dokumentacji na Bliskim Wschodzie z siedzibą w Jerozolimie. Działał też w służbach Akcji Kontynentalnej Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Bączkowski miał istotny udział w powołaniu do życia Instytutu Bliskiego i Środkowego Wschodu „Reduta” w marcu 1946 r. Ośrodek ten

3. Naczelnikiem tego Wydziału do sierpnia 1931 r. był Tadeusz Hołówko, a po jego śmierci Tadeusz Schaetzel.

4. Por. Jerzy Giedroyc, „Autobiografia na cztery ręce”, oprac. K. Pomian, Warszawa 1996, s. 44.

funkcjonował najpierw w Jerozolimie, a następnie w Londynie pod prezesurą gen. Józefa Wiatra i ks. Kamila Kantaka jako prezesa zarządu. Spośród międzywojennych badaczy warszawskich obok Bączkowskiego w „Reducie” działali także mjr Edmund Charaszkiewicz i Stanisław Paprocki. Bączkowski pełnił funkcję sekretarza tej instytucji. Stał także na czele redakcji wydawanego przez ten ośrodek periodyku *The Eastern Quarterly*. Przebywał w Londynie, a następnie osiadł na stałe w Stanach Zjednoczonych, gdzie do 1971 r. pracował w Bibliotece Kongresu.

Pisarstwo Włodzimierza Bączkowskiego z emigracyjnego okresu jego życia należy do klasyki polskiej publicystyki politycznej. Nader ważnym jego osiągnięciem stała się książka pt. „Rosja wczoraj i dziś”, opublikowana w Jerozolimie w roku 1946⁵. Ten ważny esej – świadczący o dużej erudycji i szerokim spojrzeniu – pozostaje być może najpoważniejszym osiągnięciem w dorobku pisarskim Bączkowskiego. W latach powojennych autor ogłosił drukiem również pracę „U źródeł polskiej idei federacyjnej”⁶. Publikował w tym czasie sporo, z tym że jego zainteresowania przesunęły się wyraźnie w kierunku sowietologii, jak też problematyki stosunku zachodniej opinii publicznej do komunizmu i do ZSSR.

Do ogłoszonego wyboru pism weszły przede wszystkim pisane w latach trzydziestych artykuły polityczne Bączkowskiego. Zbiór otwiera tytułowy esej „O wschodnich problemach Polski”. Na uwagę zasługuje zamieszczony w *Biuletynie Polsko-Ukraińskim* artykuł pt. „Nie jesteśmy ukrainofilami” (s. 48-53). Nie mniej ważne jest programowe studium pt. „Zarys podstaw rozwiązania problemu ukraińskiego w Polsce”, drukowane w *Biuletynie Polsko-Ukraińskim* w z. 7 z 1935 r. W sumie spraw ukraińskich dotyczą trzy teksty. Zagadnieniu polityki Rosji Sowieckiej Bączkowski poświęcił artykuł „O istocie siły rosyjskiej” *Wschód/Orient*, 4/1938. Programu prometejskiego dotyczy tylko jeden tekst – esej pt. „Czy prometeizm jest fikcją i fantazją?” (*Problemy Europy Wschodniej*, z. 3/1939). Dwa artykuły dotyczą tematyki syberyjskiej, która z racji miejsca urodzenia autora ma w jego piśmarstwie autobiograficzny kontekst. Spraw kaukaskich dotyczy natomiast artykuł z 1955 r. zamieszczony w *Kulturze*. Wybór zamyka wywiad, jakiego Bączkowski udzielił Januszowi Ciskowi w kwietniu 1995 r.

5. W. Bączkowski, „Rosja wczoraj i dziś”, Jerozolima 1946.

6. W. Bączkowski, „U źródeł polskiej idei federacyjnej,” Jerozolima 1945.

Lektorze publikacji towarzyszy pytanie, czy dokonany wybór artykułów jest reprezentatywny dla bogatej spuścizny pisarskiej Bączkowskiego. Czy pokazuje w pełni jego poglądy, czy pozwala czytelnikowi wyrobić sobie zdanie o wartości ideowej i znaczeniu programowym jego myśli politycznej. Niewątpliwie opublikowany wybór tekstów odzwierciedla główne linie dorobku i zainteresowań autora na przestrzeni jego tak bogatej biografii. Wspomnieć jednak trzeba, że zabrakło niestety dwóch – jak się wydaje – tekstów o znaczeniu nader ważnym w dorobku publicystycznym Włodzimierza Bączkowskiego. Mamy tu na myśli zamieszczony w *Kulturze* cenny esej pt. „Zachód i komunizm”⁷ i nie mniej ważny artykuł wspomnieniowy pt. „Prometeizm na tle epoki”, który ukazał się w *Niepodległości*.⁸

Zauważyć wypada, że wstęp do „Wyboru pism”, który przedstawia biografię Bączkowskiego, napisany jest z dużą wnikliwością – w oparciu o materiały archiwalne Instytutu Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku. W przedstawionym życiorysie Bączkowskiego (s. 7-27) być może wskazane byłoby jednak nieco więcej uwagi poświęcić Instytutowi Wschodniemu i młodemu pokoleniu prometeistów, do którego redaktor kwartalnika *Wschód* należał”. Dzięki tej placówce Bączkowski wkroczył do polityki.

Wstęp i w przypisy do tekstów Bączkowskiego zawierają kilka pomyłek, które należałoby w tym miejscu sprostować. I tak też mylnie podano np. imię gen. Weyganda (s. 132, ma być Maxime).

Próbując zrekonstruować rolę Włodzimierza Bączkowskiego w polskiej myśli politycznej wieku XX, trzeba jego dorobek intelektualny rozpatrywać w ramach dokonań ruchu prometejskiego. Nie sposób także nie zauważyć, że chociaż koncepcje prometeistów doczekały się urzeczywistnienia dopiero po 1989 r., to jednak już w odrodzonej Polsce prometeizm inspirował zainteresowania badawcze wschodem Europy i Rosją.

7. W. Bączkowski, „Zachód i komunizm”, *Kultura* nr 2/64-3/65, 1953, s. 27-46.

8. W. Bączkowski, „Prometeizm na tle epoki. Wybrane fragmenty z historii ruchu”, *Niepodległość*, t. 17, 1984, s. 28-54. Artykuł ten był rozwinieciem ogłoszonego 10 marca 1984 r. w Instytucie Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku odczytu na temat prometeizmu na konferencji historycznej polsko-ukraińskiej. W wystąpieniu tym autor postulował źródłowe opracowanie dziejów tej problematyki. Postulat ten nie został dotychczas wykonany.

Ruch ten – zarazem polityczny i intelektualny – stymulował odpowiednie nastawienie poznawcze w podejściu do tematyki Wschodu w warstwach polskiej inteligencji, uczył obiektywizmu i zrozumienia dążeń wyzwoleniczych tych narodów, którym nie powiodła się próba „wybicia na niepodległość” w wyniku „wielkiej wojny” i rewolucji rosyjskiej. Było to niewątpliwie dużym osiągnięciem. Prometeiści pragnęli wychować nowe pokolenie inteligencji polskiej w duchu poszanowania i wspierania praw nierosyjskich narodów ZSSR. Ich dążeniem było tak kształtować myślenie przyszłych elit politycznych w Polsce, aby usunąć ze świadomości polskiego społeczeństwa często demonstrowane poczucie wyższości w stosunku do tych narodowości. W ich poczynaniach nie było protekcyjizmu. Ich nastawienie ideowe opierało się na tezie, iż urzeczywistnienie prawa do samostanowienia narodów może nastąpić tylko w ścisłym zespoleniu poszanowania demokracji, przy zachowaniu jednak pewnego liberalizmu ustrojowego. Nacjonalizm bowiem prowadzi nieuchronnie do pomnożenia antagonizmów narodowościowych. W tym duchu też prometeiści polscy wywierali wpływ na przedstawicieli emigracyjnych elit narodów imperium rosyjskiego. Zainicjowane wówczas prace mogły, rzecz jasna, przynieść konkretne i wymierne rezultaty tylko w skali długofalowej. Na to zabrakło czasu. Nie znaczy to jednak, iż działalność „Ligi Prometeusza” przeszła bez echa. I tak nie było przypadkiem, że na emigracji orędownikami zbliżenia z Polską i rzeczowej debaty o stosunkach polsko-ukraińskich byli m.in. gen. Pawło Szandruk i Mykoła Liwyckij – wybitni ukraińscy działacze ruchu prometejskiego.

Pisząc o dorobku Włodzimierza Bączkowskiego wspomnieć również należy, iż był on dobrym znawcą spraw rosyjskich i sowieckich. Z jego publicystyki niejedną myśl warto i dzisiaj przypomnieć. We wspomnianym powyżej eseju „Zachód i komunizm” autor pisał w r. 1953: „Na Zachodzie (...) bibliografie prac o Rosji są coraz obszerniejsze, lecz zrozumienie istoty zagadnień i zdolności ich powiązania w logiczną całość pozostaje na dawnym przedwojennym poziomie”⁹. Słowa te nadal wydają się aktualne. Trafnie też wskazywał Bączkowski, że różnice kulturowe między Rosją a Zachodem „przez cały czas historii utrudniały współzycie obydwu światów”. Przed rokiem 1917 pomiędzy autokratyczną Rosją a liberalną Europą Zachodnią

9. Tamże, s. 46.

funkcjonował pewien „pomost w postaci zeuropeizowanej inteligencji rosyjskiej, jednak po jej zniszczeniu przez rewolucję to ostatnie ogniwo znikło”¹⁰. Są to trafiające w istotę rzeczy obserwacje.

Reasumując stwierdzić należy, iż przygotowany przez Jacka Kloczkowskiego i Pawła Kowala wybór pism Włodzimierza Bączkowskiego został sporządzony starannie, z niemałym nakładem pracy, i jest bez wątpienia wartościową pozycją wydawniczą na polu studiów wschodnich w Polsce dzisiejszej. Jest to opracowanie tym bardziej potrzebne, że Bączkowski należy z pewnością do zapomnianych przedstawicieli polskiej myśli politycznej.

Kończąc te uwagi warto zauważyć, iż ze wszech miar pożądanе byłoby opublikowanie możliwie obszernego (mniej więcej w objętości 30 arkuszy wydawniczych) wyboru publicystyki polskich prometeistów doby międzywojennej. Należałoby tam uwzględnić piśarstwo czołowych międzywojennych promotorów polskiego wschodoznawstwa: Leona Wasilewskiego, Tadeusza Hołówki, Stanisława Thugutta, Włodzimierza Wakara, Tadeusza Schaetzla, Stanisława Paprockiego, jak też badaczy związanych Instytutem Wschodnim (Włodzimierz Dzwonkowski, Olgierd Górka). Opracowanie tak pomyślane służyłoby przypomnieniu i należytemu poznaniu dorobku intelektualnego prometeizmu.

Marek KORNAT

10. Tamże.

K O M U N I K A T Y

DAR INSTYTUTU LITERACKIEGO DLA BIBLIOTEKI NARODOWEJ BIAŁORUSI

Biblioteka Narodowa w Mińsku wzbogaciła się 18 maja 2001 roku o komplet *Kultury*, *Zeszytów Historycznych* i wydawnictw Instytutu Literackiego w Paryżu pochodzących z osobistego księgozbioru Redaktora. Zofia Hertz i Henryk Giedroyc – spadkobiercy Jerzego Giedroycia – mając na względzie symboliczną wymowę daru przekazywanego w miejsce narodzin Redaktora, zdecydowali się podarować Jego prywatną bibliotekę. W ten sposób wraca też symbolicznie na Białoruś przesłanie polityczne *Kultury*, przesłanie mówiące o konieczności ułożenia przez Polskę dobrosąsiedzkich stosunków z niepodległą Ukrainą, Litwą i Białorusią.

Z prośbą o ofiarowanie zbiorów zwróciła się dyrektor Biblioteki Narodowej Białorusi Galina Olejnik, która wyraziła przekonanie, iż dzięki tym książkom Białorusini „będą mieli możliwość poszerzyć swój światopogląd o koncepcje, które wyrwały Europę Środkową i Wschodnią z okowów komunizmu. Będziemy się mogli dowiedzieć jak słowem i myślą walczone o niepodległość Polski, Białorusi, Ukrainy, Litwy”. Przypomniała też, że przez szereg ostatnich lat Jerzy Giedroyc z własnej inicjatywy przysyłał jej nowe numery *Kultury*. Jego dar dopełnia teraz kolejne książki.

„To dobrze, że spuścizna Redaktora będzie dostępna na Białorusi. Z jego ogromnej skarbnicy będziemy czerpać same korzyści” – powiedział obecny na uroczystości przekazania zbioru (który został nazwany „Kolekcją Jerzego Giedroycia”) białoruski wiceminister kultury Walery Giedroyc.

Organizacji uroczystości podjął się Instytut Polski w Mińsku oraz Towarzystwo Opieki nad Archiwum Instytutu Literackiego w Paryżu, które przygotowało też wystawę w języku polskim i białoruskim poświęconą sylwetce Jerzego Giedroycia.

Marek KRAWCZYK

XI WSCHODNIA SZKOŁA LETNIA STUDIUM EUROPY WSCHODNIEJ

WARSZAWA 1-21 lipca 2001

WYKŁADY

Tadeusz ŚWIĘTOCHOWSKI – orientalista, prof. Monmouth College (USA): **Kaukaz i Zakaukazie: jedność i konflikt** (wykład inauguracyjny)

Tadeusz ŚWIĘTOCHOWSKI: **Kraje Zakaukazia lat 90-tych: polityka – geopolityka – gospodarka**

Hubert IZDEBSKI – prawnik, prof. Uniwersytetu Warszawskiego: **Państwo i prawo: przemiana systemu prawnego Polski w latach 90-tych**

Andrzej LUBBE – ekonomista, prof. Uniwersytetu Warszawskiego: **Państwo i gospodarka: Polska i Europa Środkowo-Wschodnia – czynniki sukcesów i porażek transformacji gospodarczej lat 90-tych**

Władysław A. SERCZYK – historyk, prof. Wyższej Szkoły Pedagogicznej (Rzeszów): **Wiek XVIII-XX: Powstanie i upadek imperium carów**

Józef SMAGA – rusycysta, prof. Akademii Pedagogicznej (Kraków): **Wiek XX: Powstanie i upadek imperium komunizmu**

Roman WAPIŃSKI – historyk, prof. Uniwersytetu Gdańskiego (Gdańsk): **Wiek XIX/XX: Polacy i nowe narody na obszarach dawnej Rzeczypospolitej**

Adolf JUZWENKO – historyk, dyr. Ossolineum (Wrocław): **Polacy i ich wschodni sąsiedzi. Tradycje polskiej polityki wschodniej**

Tadeusz CHRZANOWSKI – historyk sztuki, prof. emer. (Kraków): **Dziedzictwo dawnej Rzeczypospolitej – narody, kultura, religie**

Jerzy JEDLIICKI – historyk, prof. Polskiej Akademii Nauk (Warszawa): **Kształtowanie tożsamości narodowych w krajach Europy Środkowej i Wschodniej. Rola inteligencji**

Marek WALDENBERG – politolog, prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego (Kraków): **Europa Środkowa i Wschodnia – narody, mniejszości, konflikty**

Radoica LUBURIĆ – historyk (Podgorica, Czarnogóra):
Yugoslavia: between East and West, 1945-1955
Radoica LUBURIĆ: Yugoslavia of the 1990's: Unity and Conflict (wykład zamykający)

SESJA SPECJALNA:

UNIA EUROPEJSKA – POLSKA – EUROPA WSCHODNIA

Dyskusja panelowa:

**Transformacja systemu a rozrachunek z przeszłością:
Niemcy – Polska – kraje Europy Środkowej i Wschodniej**

Udział wezmą m.in.: Włodzimierz BORODZIEJ – historyk, prorektor Uniwersytetu Warszawskiego (Warszawa), Andrzej GRAJEWSKI – historyk, członek kolegium Instytutu Pamięci Narodowej (Warszawa), Andrzej PACZKOWSKI – historyk, prof. Polskiej Akademii Nauk (Warszawa), Klaus ZIEMER – historyk, dyr. Niemieckiego Instytutu Historycznego (Warszawa)

Dyskusja panelowa:

Jakiej polityki wschodniej potrzeba Europie?

Udział wezmą m.in.: Andrzej ANANICZ – wiceminister Spraw Zagranicznych RP (Warszawa), Dieter BINGEN – politolog, dyr. Deutsches-Polen Institut (Darmstadt), Marek KARP – dyr. Ośrodka Studiów Wschodnich (Warszawa), Janusz REITER – prezes Centrum Stosunków Międzynarodowych (Warszawa), Kazimierz WÓYCICKI – prezes Instytutu Niemiec i Europy Północnej (Szczecin)

SEMINARIA SZKOŁY

(do wyboru przez uczestników)

1. **Stosunki Wschód-Zachód od 1917 r. do czasów współczesnych**
(Andrzej KORBOŃSKI – politolog, prof. University of California, Los Angeles, USA)
2. **Narody, granice, stosunki narodowościowe – Wschód i Zachód**
(Zbigniew KRUSZEWSKI – politolog, prof. University of Texas at El Paso, USA)
3. **Rozszerzenie NATO i problematyka bezpieczeństwa w**

Europie postkomunistycznej

(Joing MICGIEL – politolog, prof. Columbia University, New York, USA)

4. Polityka zagraniczna Związku Sowieckiego i Federacji Rosyjskiej

(Michael RYWKIN – politolog, prof. emer. City College of New York, USA)

5. Problemy etniczne i narodowościowe Europy Środkowo-Wschodniej XVIII-XX w.

(Leszek ZASZTOWT – historyk, doc. w Studium Europy Wschodniej, Uniwersytet Warszawski, Warszawa)

OBJAZDY NAUKOWE SZKOŁY

1. *Śladami komunizmu po Warszawie: historia – architektura – relikty przeszłości*

(Waldemar BARANIEWSKI – historyk sztuki, adiunkt w Instytucie Historii Sztuki Uniwersytetu Warszawskiego i Dariusz MIACIAK – historyk, adiunkt w Studium Europy Wschodniej Uniwersytetu Warszawskiego)

2. *Kraków – środowisko historyczne i kulturowe*

(Tadeusz CHRZANOWSKI – historyk sztuki, prof. emer., Kraków)



Wschodnia Szkoła Letnia organizowana jest od 1992 r. przez Studium Europy Wschodniej Uniwersytetu Warszawskiego. Ma na celu umożliwienie młodym badaczom, zwłaszcza z Europy Wschodniej i Środkowej, poznania stanu nauki i systematycznej wiedzy, jak również, nowych ludzi, środowisk i nawiązania międzynarodowych kontaktów naukowych. Szkoła, z powodu bogatego programu zajęć, nie jest w stanie dać możliwości własnej pracy w archiwach i bibliotekach; umożliwia wstępną orientację w ich zasadach, aby przygotować absolwentów do samodzielnej pracy podczas późniejszych stypendiów w Polsce.

Szkoła gromadzi corocznie 30 słuchaczy zajmujących się badaniami w różnych dziedzinach humanistyki nad historią i współczesnością regionu. Uczestnicy Szkoły nie mogą pochodzić z Polski. Wykłady autorskie prowadzi zmieniająca się grupa wybitnych specjalistów, pochodzących głównie z Polski, Europy Zachodniej i Ameryki. Na program składają się: seria wykładów, w tym specjalistyczne sesje wyjazdowe (w 1997 r. – Wilno–Mińsk–Lwów, w

1998 r. – Wilno–Toruń, w 1999 i 2000 r. – Wrocław), seminaria (kilka tematów do wyboru), objazdy naukowe oraz prezentacje instytutów, bibliotek i archiwów. Językami wykładowymi Szkoły, których znajomości wymaga się od kandydatów, są polski i angielski.

Odbyło się dotychczas, w latach 1992-2000, dziewięć zwyczajnych sesji szkoły, oraz sesja dziesiąta mająca charakter Zjazdu Wykładowców i Absolwentów Szkoły. Wykładało łącznie 80 profesorów, ukończyło Szkołę z dyplomem absolwenta „Wschodniej Szkoły Letniej UW” 224 słuchaczy z 15 krajów Europy Środkowej i Wschodniej, z 3 krajów Azji i Kaukazu oraz 5 krajów Zachodu.

Absolwenci kontynuują kariery w swoich krajach, sprawując często poważne funkcje w nauce (Litwa, Białoruś, Ukraina, Rosja, Mołdawia, Słowacja, Czechy, Bułgaria, Szwecja), w służbie archiwalnej i muzealnej (Litwa, Ukraina), a także w organizacjach pozarządowych (szczególnie Białoruś), służbie publicznej i polityce (Ukraina, Litwa) oraz dyplomacji (Ukraina, Białoruś, Węgry) i mediach (Ukraina, Białoruś, Bułgaria).

Jan MALICKI

Kierownik Wschodniej Szkoły Letniej

Studium Europy Wschodniej, Uniwersytet Warszawski
Instytut Orientalistyczny, Krakowskie Przedmieście 26/28,
00-927 Warszawa 64 – Tel. (48 22) 8288075, fax 8285369,
e-mail. eess@orient.uw.edu.pl; www.uw.edu.pl



KOMUNIKAT KOMISJI STYPENDIALNEJ FUNDUSZU IM. JANA I SUZANNE BRZĘKOWSKICH

Informujemy, że termin nadsyłania podań o stypendia na 2002 r. upływa z dniem **28 lutego 2002 r.**

Przypominamy, że zgodnie z założeniami Funduszu, o stypendia ubiegać się mogą osoby specjalizujące się w **historii Polski**. Chodzi o kandydatów, którym dla kontynuowania pracy, niezbędny jest krótki pobyt w Paryżu i korzystanie z tutejszych bibliotek i archiwów, z *wyjątkiem zbiorów Biblioteki Polskiej w Paryżu*, z powodu jej czasowego zamknięcia na prace remontowe.

O stypendia im. Jana i Suzanne Brzękowskich nie mogą ubiegać się mieszkańcy Paryża i regionu paryskiego.

Do umotywowanego podania należy dołączyć życiorys, wykaz publikacji lub opinie osób kompetentnych.

Stypendium wynosi 6.000 franków. Fundusz nie pokrywa kosztów podróży oraz nie zapewnia mieszkania w Paryżu. Stypendyści muszą również załatwić ubezpieczenie na wypadek choroby, przed przyjazdem do Francji.

Podania prosimy przysyłać na adres:

Komisja Stypendialna Funduszu im. Jana i Suzanne Brzękowskich
Société Historique et Littéraire Polonaise
6, quai d'Orléans
75004 PARIS



KOMUNIKAT KOMISJI STYPENDIALNEJ FUNDUSZU IM. STANISŁAWA LAMA

Informujemy, że termin nadsyłania podań o stypendia na 2002 r. upływa z dniem **15 lutego 2002 r.**

Przypominamy, że zgodnie z założeniami Funduszu, o stypendia ubiegać się mogą osoby specjalizujące się w **historii literatury polskiej** i w **krytyce literackiej**. Chodzi o kandydatów, którym dla kontynuowania pracy, niezbędny jest krótki pobyt w Paryżu i korzystanie z tutejszych bibliotek i archiwów, z *wyjątkiem zbiorów Biblioteki Polskiej w Paryżu*, z powodu jej czasowego zamknięcia na prace remontowe.

O stypendia im. Stanisława Lama nie mogą ubiegać się mieszkańcy Paryża i regionu paryskiego.

Do umotywowanego podania należy dołączyć życiorys, wykaz publikacji lub opinie osób kompetentnych.

Stypendium wynosi 6.000 franków. Fundusz nie pokrywa kosztów podróży oraz nie zapewnia mieszkania w Paryżu. Przed przyjazdem do Francji, stypendyści muszą ubezpieczyć się na wypadek choroby.

Podania prosimy przysyłać na adres:

Komisja Stypendialna Funduszu im. Stanisława Lama
Société Historique et Littéraire Polonaise
6, quai d'Orléans
75004 PARIS

LISTY DO REDAKCJI

3 kwietnia 2001 r.

Szanowna Pani Redaktor!

W związku z moim artykułem o polskiej sekcji Radia Wolna Europa w Nowym Jorku w *Zeszytach Historycznych* nr 133 pragnę sprostować nieścisłe informacje dotyczące tej sekcji i roli Jana Lechońa w pracach rozgłośni, zawarte w ostatnio opublikowanych listach Melchiora Wańkowicza do Jerzego Giedroycia („Jerzy Giedroyc – Melchior Wańkowicz. Listy 1945-1963”, Czytelnik, Warszawa 2000). Wańkowicz nie był pracownikiem polskiej sekcji, a Lechoń nie zapraszał go do udziału w radiowych dyskusjach literackich, które prowadził. W moim wcześniejszym artykule, „Lechońa poznałem pod fortepianem...” (*Twórczość*, 1996, nr 7) napisałem, że Lechoń nie lubił Wańkowicza z powodów, które nie były mi znane. Opublikowana obecnie korespondencja sprawę tę pośrednio wyjaśnia. W roku 1949 Wańkowicz wydał w Instytucie Literackim rozprawę „Klub Trzeciego Miejsca”, poddając krytyce stanowisko polskich ośrodków w Londynie i Ameryce. Tezy te spotkały się z ostrą ripostą politycznych i intelektualnych kół emigracyjnych, w tym Jana Lechońa. To tłumaczy złe stosunki między pisarzami, a wątek ten ukazuje się zarówno w listach Wańkowicza, jak i w notatkach poety w jego „Dzienniku”. Wańkowicz potrafił bardzo negatywnie wyrażać się o Lechońu, na przykład 29 sierpnia 1949 (str. 91): „[Lechoń] to facet skabotynizowany na patriotyczno”. Lechoń natomiast, w notatce z 7 lutego 1952 po odczycie Wańkowicza, pisze o „kabotyństwie prelegenta” (Jan Lechoń, „Dziennik”, PIW, Warszawa 1992, tom II, str. 359). Czytając listy Wańkowicza trzeba sięgać do „Dziennika”, by zobaczyć odwrotną stronę medalu.

Nie tu miejsce, by analizować spory między wielkim poetą i wziętym pisarzem. Krytyczna ocena stanowiska Lechońa przyczynić się jednak musiała do fałszywych często wiadomości przekazywanych w korespondencji Wańkowicza. Konkretnie zdementować muszą informacje w liście z 19 listopada 1952 (str. 342): „Są tu co tydzień dyskusje literackie przed mikrofonem [RWE] zatrudniające nie tylko «wieszczów», ale np. stale młodego Żyda, urodzonego w Palestynie, przysłanego z Izraela dla ukończenia studiów w US, który sobie dorabia stypendium palestyńskie, ucząc ideologii

Polaków. [...] Kierownikiem dyskusji jest Lechoń”. Nie wiem, skąd Wańkowicz wziął tę plotkę, ale nie podobnego nie miało miejsca. Byłem w tym czasie tłumaczem w polskiej sekcji Radia Wolna Europa, miałem wgląd we wszystkie programy, znałem uczestników. Poza „wieszczami” (Lechoń, Wierzyński, Wittlin) w dyskusjach czteroosobowych brał często udział Jerzy Krzywicki, w późniejszym okresie administrator programu, oraz starannie wybrani zapraszani goście. Stały udział osoby opisanej przez Wańkowicza, jako uzupełnienie grona najwybitniejszych polskich pisarzy, nie mógł wchodzić w rachubę. W dalszej części listu Wańkowicz podaje krytyce wyrwane z kontekstu rzekome wypowiedzi Lechonia. Trudno dojść, skąd pisarz mógł je znać, wydaje się, że miał na myśli dyskusje literackie, lecz te nie były spisywane ani publikowane. Zachowały się jedynie archiwalne nagrania na taśmie magnetofonowej niedostępne na bieżąco. Plotka, często złośliwa i prawie zawsze mijająca się z prawdą, zajmuje dużo miejsca w listach Wańkowicza, jak na przykład uwagi o mających nastąpić zmianach w radiu (24 kwietnia 1953, str. 367), aczkolwiek w tym wypadku autor zastrzega się, że powtarza plotki.

Opinie o Janie Lechoniu przesyłane przez Wańkowicza Jerzemu Giedroycowi nie pozostały bez wpływu na stosunek Redaktora do osoby poety, choć konflikty sięgały głębiej i dotyczyły krytycznego stosunku Lechonia do ówczesnej linii politycznej *Kultury*. W odpowiedzi na wyżej cytowany list, Giedroyc stwierdza (25 listopada 1952, str. 352): „To, co pisze Pan o Lechoni, jest dosyć przerażające”. Podobne wypowiedzi pojawiają się w innych listach, a także w korespondencji z Jerzym Stempowskim i Konstantym Jeleńskim. Nie wchodząc w meritum sporu pragnę jedynie podkreślić, po lekturze listów Wańkowicza, że Redaktor, nie mając bezpośredniego z Lechoniem kontaktu, nie zawsze był rzetelnie informowany.

Dodaję drobne uzupełnienia do mego artykułu o polskiej sekcji RWE. Ryszard Mossin był stałym członkiem zespołu komentatorów międzynarodowych, a nie zapraszany gościem. Mossin prowadził również dział sportowy, przeprowadzał wywiady i odegrał ważną rolę jako korespondent RWE przy Narodach Zjednoczonych. Feliks Gadomski należał do grona pracowników redakcji przed zmianami, jakie nastąpiły w 1955 roku.

Łączę wrazy poważania

Marek RUDZKI

8 maja 2001 r.

Szanowna Redakcjo,

Do opublikowanego w numerze 135 *Zeszytów Historycznych* artykułu Ihora Iljuszyna i mojego „Utworzenie i działalność czekis-

towskich grup operacyjnych NKWD w zachodnich obwodach Ukrainy w latach 1939-1940" (na podstawie materiałów Państwowego Archiwum Służby Bezpieczeństwa Ukrainy) zakradły się dwa błędy – otóż na str. 64 jest mowa o raporcie Mierkułowa i Sierowa z 5 IX 1939 oraz o skonfiskowaniu przez NKWD 9 IX 1939 archiwum rządowego w powiecie Kiwerce. Rzecz jasna, chodzi o 5 października i 9 października 1939 r. Bardzo proszę o zamieszczenie, gwoili ścisłości, niniejszego sprostowania.

Łączę wyrazy szacunku

Grzegorz MAZUR

Kraków, 25 kwietnia 2001 r.

Szanowna Redakcjo,

W numerze 134 *Zeszytów Historycznych* ukazał się mój dość obszerny artykuł pt. „Początki sowietologii w II Rzeczypospolitej. Geneza, dzieje i dorobek Instytutu Naukowo-Badawczego Europy Wschodniej w Wilnie (1930-1939)” [s. 3-119]. Tekst ten powstał w trakcie, gdy pisałem obecnie już ukończoną książkę o wileńskim ośrodku sowietologicznym, która niebawem ukaże się drukiem. Przygotowując dla śp. Redaktora Giedroycia ów artykuł, trzeba było wielokrotnie skracać niektóre myśli, wiele spraw z konieczności pominąć, zaś szereg gotowych już fragmentów książki poddać licznym przeróbkom, tak aby, na ile to możliwe, utrzymać się w rozmiarach artykułu. Poza tym objętość przeczytanego przez Redaktora maszynopisu – na jego życzenie – została jeszcze o kilkanaście stron zmniejszona. Poza tym, problematyka będąca przedmiotem artykułu wymagała rekonstrukcji faktografii od podstaw, często bez możliwości oparcia się na jakichkolwiek opracowaniach. Wszystko to spowodowało, że wkradło się kilka pomyłek i nieścisłości, które z obowiązku, jaki ciąży na autorze, trzeba sprostować.

Wśród wykładowców Szkoły Nauk Politycznych obok nazwisk wymienionych na str. 21 dołączyć jeszcze trzeba dwóch profesorów Wydziału Prawa i Nauk Społecznych Uniwersytetu Stefana Batoiego: Jerzego Panejkę (prawo administracyjne) i Bronisława Wróblewskiego (prawo karne).

Na str. 107 z tekstu wypadła informacja, że prezesem Instytutu Wschodniego w Warszawie w latach 1925-1938 był senator Stanisław Siedlecki (1877-1939), a Sekretarzem Generalnym doc. dr Olgierd Górka (1887-1955) z Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie. Funkcje te pełnili obydwa do 1938 r.

Płk dypl. Tadeusz Pelczyński pełnił funkcję szefa Oddziału II

Sztabu Głównego do listopada 1938 r., a w praktyce przekazał obowiązki swemu następcy płk. dypl. Józefowi Marianowi Smoleńskiemu dopiero w marcu 1939 r., nie zaś w 1937 (s. 26), jak napisano.

W przypisie nr 191 (s. 63) chodzi o pracę doc. Swianiewicza poświęconą myśli Georgesa Sorela, a nie o dzieło Vilfreda Pareto, jak mógłby sugerować kontekst miejsca. Z kolei cytat w przypisie 194 (s. 64) z Jasinowskiego jest nie dość jasny. Dlatego przytoczyć trzeba ten fragment bez skrótu. Filozof ten w eseju pt. „Cywilizacja Wschodu” [w:] „Kultura i cywilizacja” (Lublin 1937) pisał, iż stawia sobie za zadanie zbadać i ustalić „zasadnicze właściwości cywilizacji wschodnio-chrześcijańskiej w odróżnieniu od cywilizacji zachodniej (...)”. Analizując poszukiwał „cech strukturalnych” cywilizacji wschodniej, a cechy te „posiadają oparcie swe w strukturze psychicznej typów cywilizacyjnych”. W książce swej pragnął pokazać „strukturę psychiczną życia religijnego na Wschodzie chrześcijańskim, jak również właściwości społeczno-prawne należących doń krajów” (wszystkie cytaty – tamże, s. 151-152).

Dr Zygmunt Szempliński, statystyk i ekonomista, zmarł w grudniu 1967 r. w Londynie, a nie w 1968 (s. 105). [Za zwrócenie uwagi na ten fakt dziękuję p. Jackowi Krawczykowi].

W tekście nie wspomniano, że Henryk Dembiński został rozstrzelany przez Gestapo w Hancewiczach na Grodzieńszczyźnie w sierpniu 1941 r.

Wyrok śmierci na osobie sekretarza Instytutu Europy Wschodniej Teodora Bujnickiego został (w niejasnych okolicznościach) wykonany w listopadzie r. 1944, choć był wydany i ogłoszony – jak to podaliśmy w artykule – w roku 1942 (s. 106).

Pełny tytuł książki (zarazem jego tezy doktorskiej) Franciszka Ancewicza (1905–1964) brzmi: „Stalinowska koncepcja państwa na tle ewolucji ustrojowej Związku Socjalistycznych Republik Sowieckich”, przedm. prof. Wacław Komarnicki. Praca ukazała się w ramach „Wileńskiej Biblioteki Prawno-Społecznej” (jako t. 1) w Wilnie w r. 1939. Omyłkowo podano też, iż Ancewicz zginął podczas wojny. W istocie zmarł na emigracji w r. 1964 w Kanadzie.

Prof. dr Witold Staniewicz (rektor USB w l. 1933–1936 i w r. 1938) powrócił do kraju już w roku 1945 (s. 105).

W miejscu, gdzie mowa (zbyt krótko) o wyroku Sądu Specjalnego RP w Wilnie, skazującego w 1942 roku Jędrzychowskiego, Dembińskiego, Bujnickiego na karę śmierci, należy też wspomnieć, że wśród objętych wyrokiem był również profesor skarbowości na USB, Mieczysław Gutkowski, który zginął wszakże w egzekucji zbiorowej w Ponarach 17 września 1943 r. – przeprowadzonej przez Gestapo.

W miejscu, gdzie mowa o kwartalniku „Wschód/Orient”, zabrakło też wzmianki, że od numeru 2 pisma redakcję przejął od Jerzego Giedroycia Włodzimierz Bączkowski. Pismo to wychodziło w latach 1930–1939.

Do przypisu 34 (s. 17) wkradła się też pomyłka w związku z Polskim Towarzystwem dla Badań Europy Wschodniej i Bliskiego Wschodu. Prezesem tej korporacji był istotnie prof. dr Jan M. Rozwadowski (zarazem prezes PAU), ale tylko do 1935, tj. do swej przedwczesnej śmierci, a nie do 1939 r., jak to zostało napisane.

Prosząc o zamieszczenie tego listu pozostaję z szacunkiem

Marek KORNAT

Brwinów, 23 marca 2001 r.

Szanowna Redakcjo,

W myśl przysłowia, że lepiej późno niż wcale, chciałam zwrócić uwagę na nieścisłości, które znalazły się w indeksie do „Autobiografii na cztery ręce” („Czytelnik”, Warszawa 1999). Otóż dwie osoby, noszące to samo imię i nazwisko, zostały pomyłone i jak gdyby „zlane” w jedną osobę.

Są to – Stanisław Skwarczyński, generał, i jego stryjeczny bratanek, również Stanisław Skwarczyński, inżynier rolnik, ekonomista, mój Ojciec.

Stanisław Maria Skwarczyński urodził się 15 września 1904 w Lwowie, był synem Józefa i Kazimieri, wnukiem dra Pawła Skwarczyńskiego, adwokata i działacza samorządowego galicyjskiego (vide „Polski Słownik Biograficzny”), a młodszym bratem dra Pawła Skwarczyńskiego juniora, historyka, po wojnie wykładowcy School of Slavonic Studies w Londynie.

Jako rolnik ekonomista po Politechnice Lwowskiej (wydział rolniczy w Dublanach) pracował w Warszawie w Ministerstwie Rolnictwa, Prezydium Rady Ministrów i w Związku Izb i Organizacji Rolniczych. Nie zdążył obronić pracy doktorskiej, która ukazała się drukiem w 1919 roku pt. „Czynniki wzrostu produkcji rolniczej” (*Prace ekonomiczno-rolnicze*, Towarzystwo Oświaty Rolniczej, Warszawa).

Wiadomo z rodzinnych przekazów, że Ojciec był współpracownikiem *Buntu Młodych* i *Polityki*. Wspomina o tym Jerzy Giedroyc w „Autobiografii...”.

W chwili wybuchu wojny Stanisław Skwarczyński został zmobilizowany jako porucznik rezerwy 6-go Pułku Strzelców Konnych w Żółkwi i po walkach w okolicy Lwowa internowany przez Sowietów w Starobielsku. Matka dostała stamtąd kilka kartek. Został prawdopodobnie rozstrzelany w Charkowie. Mówi o Ojcu Józef Czapski we „Wspomnieniach starobielskich” (str. 27 i 28 w ostatnio wydanym przez „Znak” tomie „Na nieludzkiej ziemi”), a także w

„Rozmowie o Starobielsku” (*Orzeł Biały* nr 16/55, 1943).

Rodzinę Stanisława wywieziono do Kazachstanu, skąd jego matka, żona i córka wróciły w czerwcu 1946 roku.

Znaną przed wojną postacią o tym samym imieniu i nazwisku był generał Stanisław Skwarczyński, krewny Ojca przez dziadków.

Tylko on jest umieszczony w indeksie „Autobiografii...”. Urodził się w 1888 roku, był legionistą, uczestnikiem wojny 1920 r., a od stycznia 1918, po śmierci swego rodzonego brata Adama Skwarczyńskiego, był szefem OZN-u. Po kampanii wrześniowej i niewoli niemieckiej znalazł się na emigracji w Londynie, gdzie zmarł w 1981 r.

Dziękuję za zainteresowanie się moimi wyjaśnieniami i liczę na poprawienie tego przykrego błędu.

Smutne, że nie mogę podziękować już Panu Redaktorowi Giedroycowi. Zapewniając o swojej dla niego czci i podziwie i łącząc się w żalu po Jego stracie, życzę równocześnie, aby udały się dalsze plany prac w Maisons-Laffitte.

Łączę wyrazy szacunku

Janina WITKOWSKA
(córka Stanisława Skwarczyńskiego)

Warszawa, 7 maja 2001 r.

Szanowni Państwo,

Zawiadamiam z przykrością, że w wydanych przez Stowarzyszenie „Archiwum Solidarności” kilku książkach nie podano, względnie podano błędnie nazwiska osób, które przygotowywały tomy do druku. Tę przykrą pomyłkę pragniemy naprawić przez zamieszczenie odpowiednich sprostowań w pismach, do których sięgają czytelnicy zainteresowani historią „Solidarności”.

Stąd pozwalamy sobie przedłożyć na ręce Państwa tekst „Sprostowania” z prośbą o druk w *Zeszytach Historycznych*.

Z najgłębszym szacunkiem

Andrzej FRISZKE
Przewodniczący Zarządu Stowarzyszenia

SPROSTOWANIE

Stowarzyszenie „Archiwum Solidarności”, pod patronatem którego ukazują się dokumenty i monografie dotyczące historii NSZZ „Solidarność”, pragnie powiadomić:

1) W tomie pt. „Krajowa Komisja Porozumiewawcza NSZZ «Solidarność». Posiedzenie 9-10 kwietnia 1981 r.” (Nowa, Warszawa 1996; ISBN 8370541100) do noty wydawniczej wkradł się błąd i powinna ona brzmieć następująco: Do druku przygotował Tomasz Tabako; Wstępem opatrzył Andrzej Paczkowski; Korekta Bogusław Kopka.

2) Tom pt. „Krajowa Komisja Porozumiewawcza NSZZ «Solidarność». Posiedzenie w dniu 23 kwietnia 1981 r”. (Fundacja Polska Praca, Warszawa 1995, ISBN 8385341099) powinien posiadać następującą notę wydawniczą: Opracowanie redakcyjne Tomasz Tabako, Maciej Włostowski; Wstęp Andrzej Paczkowski.

3) Tom pt. „Komisja Krajowa NSZZ «Solidarność». Posiedzenie 3-4 listopada 1981 r.” (Nowa, Warszawa 1999; ISBN 8370541380) powinien posiadać następującą notę wydawniczą: Opracowanie redakcyjne Tomasz Tabako, Maciej Włostowski; Wstęp Andrzej Paczkowski.

Edytorów powyższych książek przepraszamy. Czytelników serii „Archiwum Solidarności” prosimy o wprowadzenie stosownych korekt.



ELNA GISTEDT – KOMENTARZ DO ARTYKUŁU TADEUSZA WYRWY

Tadeusz Wyrwa w artykule „Szwedka o powstaniu warszawskim” w *Zeszytach Historycznych* nr 134 omówił wywiad, jakiego Elna Gistedt udzieliła w Sztokholmie w grudniu 1944 na temat Powstania Warszawskiego. Niestety autor nie posiada żadnych informacji o osobie Elny Gistedt, ograniczając się do stwierdzenia, że „nie podano [o niej] bliższych danych”, a „z jej wypowiedzi wynika, że w Warszawie miała kawiarnię [...], do której uczęszczali głównie Niemcy”. Tak więc Elna Gistedt przedstawiona jest jako nikomu nie znana Szwedka, w dodatku utrzymująca kontakty z Niemcami, co może mieć krzywdzące implikacje. Tymczasem mamy tu do czynienia z osobą bardzo w swoim czasie znaną i wybitną, osobą, która odegrała ważną rolę w kulturalnym życiu przedwojennej Warszawy, a w czasie okupacji, współpracując z podziemiem, wykazała dużą odwagę w akcji ratowania Żydów.

Elna Gistedt urodziła się w Sztokholmie w 1900 roku. W roku 1922 poślubiła polskiego przemysłowca, Zygmunta Kiltynowicza, i osiadła w Warszawie. Była znaną artystką dramatyczną i śpiewaczką operetkową. Śpiewała główne role w operetkach Kalmana, Lehara, Stolza, Offenbacha i Straussa, występując na scenach warszawskich i innych miast polskich, a także w stolicach państw skandynawskich i bałtyckich. Grała też role filmowe. W Polsce cieszyła

się wielką popularnością, należała do elit towarzyskich i kulturalnych. Zrobiła wiele dla pogłębienia współpracy i przyjaźni polsko-szwedzkiej. Wydany w 1938 roku tom: „Czy wiesz kto to jest?” (redakcja Stanisława Łozy, Główna Księgarnia Wojskowa, reprint 1984) poświęca jej obszerną notatkę. Elna Gistedt nie skorzystała z możliwości powrotu do Szwecji po wybuchu wojny i pozostała w okupowanej Warszawie. O tym okresie jej działalności pisze Józef Lewandowski w pracy: „Swedish Contribution to the Polish Resistance Movement during World War Two (1939-1942)”, Uppsala 1979. Elna Gistedt, korzystając ze swych aktorskich zdolności, ucharakteryzowana na Żydówkę przekradała się do getta niosąc pomoc dawnym kolegom ze sceny, muzykom i aktorom. W swym mieszkaniu, ryzykując życie, dała permanentne schronienie dwóm Żydom (Lewandowski, *op.cit.*, str. 61 i 62). Na pewno pomocna tu była uczęszczana przez Niemców kawiarnia. Elna Gistedt, jak wielu innych aktorów polskich scen, otworzyła kawiarnię już na samym początku okupacji. W nie publikowanym dzienniku mego wujka, Adama Nagórskiego, znalazłem notatkę z kwietnia 1940 roku o wizycie w kawiarni Elny. Adam Nagórski znalazł Elnę Gistedt przed wojną, bywała gościem w jego nadmorskiej willi w Juracie. W tym wczesnym okresie okupacji nie było jeszcze rozdziału między lokalami uczęszczanymi przez Niemców i przez Polaków. Później Niemcy mieli własne lokale. Można więc przypuszczać, że kawiarnia Elny Gistedt stała się kawiarnią niemiecką i mogła stanowić prowadzony przez nią punkt wywiadowczy dla podziemia. Popularna, atrakcyjna śpiewaczka z neutralnego kraju, odtwórczyni ról z ulubionych przez Niemców operetek, świetnie się do tego celu nadawała. Nie mogła oczywiście wspomnieć o tym w wywiadzie, by nie narażać pozostałych pod niemiecką okupacją przyjaciół.

Poza przedstawionym przez Tadeusza Wyrwę wywiadem śpiewaczka opublikowała po wojnie wspomnienia (Elna Gistedt, „Från operett till tragedi”, Sztokholm 1946), poświęcone głównie okresowi okupacji. Również tutaj autorka w dużej mierze pomija własny udział w podziemiu nie chcąc, zdaniem Lewandowskiego, kompromitować pozostałych w Polsce osób, teraz narażonych na prześladowania sowieckie. Tadeusz Wyrwa słusznie podkreśla, że w dzisiejszym stanie wiedzy o Powstaniu wywiad z Elną Gistedt nie przynosi żadnych rewelacji. Rewelacyjnym natomiast mogłoby być opracowanie omawiające jej wkład w prace polskiego podziemia.

Marek RUDZKI

SPIS TREŚCI

Andrzej S. Kowalczyk: <i>Jerzy Giedroyc w Bukareszcie (1939-1940)</i>	3
Marek Białokur: <i>Mannerheim a Polska. Przyczynek do biografii marszałka Finlandii</i>	42
Piotr Kołakowski: <i>NKWD-NKGB a podziemie polskie. Kresy wschodnie 1944-1945</i>	59

DOKUMENTY

Marcin Kwiecień, Grzegorz Mazur: <i>Przyczynek do dziejów ruchu prometejskiego w Polsce</i>	87
Grzegorz Ostasz: <i>UB kontra PSL w 1947 r. Rzeszowska instrukcja specjalna</i>	109

WSPOMNIENIA

Andrzej Koraszewski: <i>Zapiski londyńskie 1988-1989</i>	117
Jacek Roman Czartoryski: <i>Wspomnienia z wojny 1918-1920 (dokończenie)</i>	151

OKRUCHY HISTORII

Anna Strońska: <i>U Prusów</i>	174
Jan Venulet: <i>Spór o ekshumację zwłok Prezydenta Ignacego Mościckiego</i>	187
Mieczysław Pruszyński: <i>Czy Klimkowski był agentem?</i>	191
Piotr Daszkiewicz: <i>Plagi szarańczy w dawnej Rzeczypospolitej</i>	198

KSIĄŻKI

Tadeusz Wyrwa: <i>Epoka Powstania Listopadowego w nowym opracowaniu</i>	203
Emilian Wiszka: <i>Nieudana próba</i>	206
Marek Kornat: <i>Wybór pism Włodzimierza Bączkowskiego</i>	217

KOMUNIKATY

<i>Dar Instytutu Literackiego dla Biblioteki Narodowej Białorusi</i>	225
<i>XI Wschodnia Szkoła Letnia</i>	226
<i>Komunikat Funduszu im. J. i S. Brzękowskich</i>	229
<i>Komunikat Funduszu im. S. Lama</i>	230

LISTY DO REDAKCJI

Marek Rudzki: <i>List do Redakcji w związku z artykułem o polskiej sekcji RWE w Nowym Jorku w ZH 133</i>	231
Grzegorz Mazur: <i>Sprostowanie do ZH 135</i>	232
Marek Kornat: <i>Sprostowania do ZH 134</i>	233
Janina Witkowska (Skwarczyńska): <i>List do Redakcji w sprawie „Autobiografii na cztery ręce”</i>	235
Andrzej Friszke: <i>Sprostowanie Stowarzyszenia „Archiwum Solidarności”</i>	236
Marek Rudzki: <i>O Elnie Gistedt, na marginesie artykułu Tadeusza Wyrwy z Zeszytów Historycznych nr 134</i>	237

ACHEVÉ D'IMPRIMER
LE 19 JUIN 2001
SUR LES PRESSES
DE
L'IMPRIMERIE NOUVELLE
16-24, RUE SOUBISE,
93400 SAINT-OUEN
Dépôt légal : 1^{er} trim. 2001
N° d'imprimeur : 6704

F 100